Inny Świat



półrocznik anarchistyczny nr 1(45)/2016 cena: 9 zł (w tym 5% VAT)

80. rocznica hiszpańskiej Rewolucji Społecznej

Fifth Estate
Przeciwko inwigilacji!
To nie jest kryzys migracji
Anarchiści o kryzysie konstytucyjnym
Igor Oliniewicz
Leonard Peltier
Renesans Buntu
Nowy nihilizm
John Zerzan
Egzekucja 16 anarchistów w 1906 r.
Forza Clapton!
5000 czyli anarcho-rap
Gorzka sól
Droga cnoty
i wiele innych inności.

ISSN 1898-7680



INNY ŚWIAT

kwartalnik anarchistyczny

www.innyswiat.most.org.pl



Pismo ***Inny Świat*** nie reprezentuje żadnego określonego kierunku w szerokiej gamie ruchów i idei anarchistycznych. Poglądy prezentowane przez poszczególnych autorów nie muszą być zbieżne z poglądami redakcji.
Pismo ma również charakter nie-komercyjny. Nikt z członków redakcji, ani osób współpracujących, nie odnosi z tego tytułu żadnych korzyści materialnych.

Kontakt z redakcją (propozycje tekstów i innej współpracy przy tworzeniu pisma): innykrawat@wp.pl

Redakcja: Janusz Krawczyk (**redaktor naczelny**) oraz zespół współpracowników

Do powstania tego numeru przyczynili się: *5000,* Asia Bordeaux, Maciej Drabiński, *Leon Cz., freejazz* (Jacek Żebrowski)*, gregpio, ikitos, Kara,* KBB, Michał Kosakowski, Krzysiek (*FA Kraków*) Natalia Krajewska, Aleksander Łaniewski, Łukasz (*FAŚ*) *Nieprzystosowany,* Igor Oliniewicz, Paulina, Mateusz Pietryka, *Powsinoga*, Tomek Romanowicz, Roxana, Tadek, *Sathaniell Zakalwe*, Jarosław Urbański, J.W., Agnieszka M. Wasieczko, *Wila,* Xavier Woliński, Ludwika Wykurz, Zdzichu.

Adres redakcji: ul. Kędziora 2/8, 39-300 Mielec

Wydawca: Oficyna Bractwa *Trojka*, Maciej Hojak, ul. Fredry 5/3a, 61-701 Poznań

Nakład: 330 egz.

Druk: M-DRUK, Janusz Muszyński, Konopnickiej 50, 62-100 Wągrowiec

Tytułem wstępu...

Dla wielu Europejczyków, marzec był miesiącem szczególnym. Islamscy terroryści odważyli się podnieść miecz Mahometa w samym sercu Imperium Europejskiego. Zadrżeli unijni komisarze i urzędnicy, strach obleciał dobrze sytuowanych, zacnych obywateli, nad Brukselą i całą Europą słychać było żałobny lament. 32 ofiary religijnego szaleństwa nie pójdą jednak na marne... Belgia ochoczo przystępuje do walki z *Państwem Islamskim*, europejska forteca coraz bardziej zaciska kolczatki u swych bram, uchodźcy już nie są tak mile widziani przez sytych Europejczyków. Islamofobia, szowinizm, nacjonalizm i faszyzm rosną w siłę. Tymczasem, mało kto przejmuje się tym, iż tegoż samego marca, w pięciu innych krajach, doszło do siedmiu zamachów terrorystycznych (przeprowadzonych w większości przez fanatycznych islamistów). Media głównego nurtu poinformowany nas o nich lakonicznie. W końcu życie 32 Europejczyków, ważniejsze jest o nędznych żywotów jakichś tam Pakistańczyków, Irakijczyków, Nigeryjczyków, Turków czy Afrykańczyków z Wybrzeża Kości Słoniowej. To nic, że tamtych łącznie zginęło ponad 200! Liczą się tylko *nasze* ofiary w nieustającej *wojnie z terroryzmem*...

A na krajowym podwórku wciąż trwa karnawał nowej, monopartyjnej władzy... Wojna z opozycją toczy się w najlepsze, choć co rusz słychać głosy o pokojowych rokowaniach - raz z jednej, a raz z drugiej strony politycznej barykady. Postanowiliśmy i my się włączyć... nie, nie - nie w wojenkę toczoną przez neoliberałów mniej lub bardziej liberalnych czy konserwatywnych. Poprzez publikacje z różnych strony środowiska anarchistycznego, zastanawiamy się wspólnie, co w tej sytuacji powinni robić anarchiści czy antykapitaliści? Wspólnych wniosków nie ma, ale może je wyciągnąć każdy/da z czytelników/czek.

Wojna o Trybunał okazała się jednak być tylko zasłoną dymną. Jedna partia, z jednym przywódcą (skąd my to pamiętamy?) w międzyczasie opanowała strategiczne dla władzy przyczółki. Resorty siłowe, media publiczne i spółki państwowe obsadziła swoimi ludźmi. Ma więc najtwardsze atrybuty, których być może nie będzie się bała użyć. Dzięki swej monopartyjności, uchwala również to, co jej na rękę. Mamy już nowa Ustawę o Policji, którą duża część społeczeństwa przechrzciła na Ustawę Inwigilacyjną! Opór wprowadzeniu ustawy dali anarchiści z *Federacji Anarchistycznej* i kolektywów *Food Not Bombs* (o czym również piszemy). Przeciwko ustawie protestowali też liberalni rewolucjoniści z *Komitetu Obrony Demokracji* - lecz ci, zapomnieli chyba o tym, iż ustawę tą nie stworzyli Kamiński z Macierewiczem i Kaczyńskim do spółki, ale ich liberalni mocodawcy z poprzedniej ekipy rządowej. *PiS*-owska monowładza wprowadziła w życie gotowy projekt - jak więc widać, każda władza żyć ludziom - przeszkadza!!! W kolejce czeka natomiast Ustawa Antyterrorystyczne - wedle której, terrorysta możesz zostać Ty, terrorystą zostanę ja...

Władza ta, ma również zamiar zaciekle walczyć nie tylko z *nowoczesną oPOzycją*, ale i kornikami, które w podstępny sposób wyżerają skarb narodowy, jakim niewątpliwie jest Puszcza Białowieska. Stojący na czele Ministerstwa Ochrony Środowiska, niejaki prof. Szyszko, już raz chciał puścić z dymem cenny obszar przyrodniczy - Dolinę Rospudy. Wówczas w obronie przyrody stanęło pospolite ruszenie ekologów, anarchistów, dziennikarzy, naukowców i ludzi kultury. Czy będziemy w stanie ponownie obronić nasze wspólne przyrodnicze dziedzictwo? Czy może uwierzymy w bajki o niecnych kornikach, które wyjadają dobro narodowe, którym niewątpliwie będą prościutkie deski w tartakach Lasów Państwowych i innych spółek państwowych? Czas ucieka, odwieczna Puszcza nie będzie już odwieczną, jeśli dopuścimy do niej wąsatych panów z piłami motorowymi...

Gdy pisze te słowa, przez kraj przetoczyły się również manifestacje wymierzone w zakulisowe działania rządu i Kościoła, których celem byłoby wprowadzenie całkowitego zakazu aborcji. Monowładza pani premier Szydło chyba nie spodziewała się aż takiego poruszenia w społeczeństwie... Czas pokaże, co tak naprawdę zrobi rząd? Być może się rakiem wycofa z zapowiadanej ustawy, wszak i tak zrobił już dobrze Kościołowi, dają im możliwość posiadania wielkich majątków ziemskich... Stare powraca, to bardzo stare, ze wspaniałego dwudziestolecia międzywojennego, gdy kler posiadał swe folwarki. Brakuje jeszcze tego, by Jarosław wraz z biskupami, wymyślił ustawę pańszczyźnianą - no bo chyba w tych nowych folwarkach nie będą tyrać księża i seminarzyści? Czekamy panie Prezesie! :)

W tym roku obchodzimy dwie szczególne i ważne dla ruchu anarchistycznego rocznice. Pierwszą z nich mieliśmy w styczniu, bo wówczas, 110 lat temu, w Warszawie, carscy kaci stracili na stokach Cytadeli Warszawskiej 16 anarchistów z *Grupy Anarchistów-Komunistów „Internacjonał*. Tak naprawdę, to dziś mało kto pamięta o tym tragicznym wydarzeniu. Historiografia polskiego anarchizmu nadal posiada wiele białych plam, które czekają na zapełnienie. Mamy nadzieję, że publikacja zamieszczonych w tym numerze pisma materiałów dotyczących tamtych zdarzeń, choć w niewielkim stopniu wypełni taką białą plamę oraz pokaże nam, iż warto pamiętać o tych, co przed nami nieśli sztandar z wypisanymi hasłami o wolności i równości. Pamiętajmy również o wielkiej odwadze tych młodych anarchistycznych bojowników, którzy mieli czelność patrzeć prosto w oczy swym katom i ostatnim tchnieniem wykrzyczeć: „Niech żyje Anarchia!"

Druga rocznica jest z pewnością donośniejsza i ważniejsza dla światowego ruchu anarchistycznego. 80 lat temu na hiszpańskiej ziemi, umęczony przez nieustanny kierat na rzecz lanfundystów, kapitalistów, generałów i kleru, lud powstał z kolan i stawił zaciekły opór swym wrogom. Z całą pewnością, anarchiści na całym świecie będą na różne sposoby obchodzić tą ważną dla nas rocznicę. Wolnościowy zryw hiszpańskiego ludu, a przede wszystkim anarchistyczna rewolucja, jak wybuchła w pierwszych miesiącach wojny domowej, są dla nas dowodem na to, iż anarchizm nie jest utopistyczną mrzonką kilku sfiksowanych filozofów czy myślicieli politycznych. Hiszpańska rewolucja społeczna udowodniła, że anarchistyczną utopię można zrealizować! Dla nas, współczesnych anarchistów, jest to nie tylko przykład działania z odległej przeszłości, ale i mit, do którego urzeczywistnienia będziemy zawsze dążyć. Z całą pewnością nie poprzestaniemy na jednorazowej publikacji materiałów tyczących się hiszpańskiej rewolucji i wojny domowej. Jest wciąż wiele do odkrycia w tych inspirujących wydarzeniach, co wciąż będziemy robić w kolejnych numerach naszego periodyku.

W imieniu redakcji, miłej lektury, życzy...

... **JKK**

Spis rzeczy...

50. rocznica powstania pisma Fifth estate



Zimowa edycja amerykańskiego, anarchistycznego magazynu *Fifth Estate*, uświęca 50. rocznicę publikacji pierwszego numeru pisma, czemu przyświecało wiele uroczystości, których nikt się nie spodziewał. Wystawy w dwóch prestiżowych muzeach w Detroit, koncert *The Layabouts* (radykalny przekaz w rytmach ska/reggae/punk/latino), rozmowy w *Detroit Press Club*, stacjach radiowych i TV, artystyczne i polityczne warsztaty oraz panele w muzeach. Były również wycieczki ze studentami oraz innymi grupami po muzeach, które m.in. sprzedają jubileuszowe koszulki *Fifth Estate*.

W prezentowanych wystawach co prawda zanikł trochę radykalizm naszych publikacji, ale czego można się spodziewać po mainstreamowych instytucjach uznających magazyn, który sam się kreuje na wroga Państwa? Założyciel *Yippie* (określenie nadane członkom *Youth International Party*), Abby Hoffman, powiedział kiedyś: „Jeśli Cię nie zamkną w więzieniu i nie zabiją, to w końcu Cię uhonorują".

To bardzo nietypowe dla opozycyjnej, radykalnej gazety - przeżyć okres kontestacji, w którym się formowała. *Fifth Estate* i kilka innych podobnych pism, zaczęło ukazywać się w 1965 roku, już i tak burzliwym okresie heroicznych walk o prawa obywatelskie i ruchów na rzecz czarnoskórych. *Fifht Estate* bardzo szybko dołączyło do setek innych regularnie wydawanych gazet, a do 1970 roku *Underground Press Syndicate* mogło pochwalić się 500 ukazującymi się tytułami z tygodniową ilością czytelników sięgającą 4 milionów. Dziś, niemożliwe jest dokładne oszacowanie publikacji ruchu antywojennego wewnątrz armii Stanów Zjednoczonych (z pewnością było ich około 100), jak i tych, wydawanych przez zbuntowanych uczniów, środowiska pracownicze czy różne grupy społeczne. Pisma te, jak również ruchy o których pisały, zrodziły w późniejszych latach wiele przenikliwych i utalentowanych pisarzy jak i artystów. Opór wobec ogłupiałego społeczeństwa i kultury zdefiniowanej przez przywileje białych i ich Imperium, był intensywny. Dumni z siebie obrońcy okresu powojennego triumfalizmu *Amerykańskiego Snu* zaczęli dostrzegać głosy żądające Reformy i Rewolucji, głosy które brzmiały coraz głośniej.

W podobnym okresie buntu, zwłaszcza w półwieczu od 1890 do 1940 roku, setki a może nawet tysiące publikacji, zaczęło propagować prawa pracownicze, reformy, anarchizm, socjalizm i komunizm. Obecnie trudno to sobie wyobrazić, ale anarchosyndykalistyczny związek zawodowy *Industrial Workers of the World* (*IWW*) pośród wielu swych publikacji, drukował także fińskojęzyczny tygodnik w ilości około 30000 egzemplarzy, w północnej części Michigan, Wisconcin i Minnesoty.

Wiele gazet, które powstały w latach 60., niosło na swych stronach jednocześnie wizję Światowej Rewolucji i Ery Wodnika. Przepełnione były wściekłością wobec morderczego i niesprawiedliwego systemu, a zarazem radością dotyczącą nowej kultury opartej na miłości, eksperymentowaniu i radości. Pomimo tego, większość upadła tak szybko, jak upadły gołębie pocztowe. Rozpoczęło się to wraz z niewytłumaczalną reelekcją prezydenta-zbrodniarza wojennego, Richarda Nixona w 1972 roku, końcem wojny w Wietnamie, a także zwyczajnym wyczerpaniem się części ruchu oporu, który był napędzany głównie przez młodych ludzi. Do roku 1974 większość pism przestało istnieć, ale *Fifth Estate* dzielnie trwało na posterunku, podejmując na nowo próby odkrywania siebie, jako prekursora wszechobecnego tygodnika wciąż utrzymującego swój radykalny sznyt.

W obliczu bliskiego upadku finansowego w 1975 roku, kilka osób wcześniej powiązanych z gazetą, tworzących grupę *Eat The Rich Gang*, wkroczyło do działania, gdyż pismo zostało porzucone przez dotychczasowych wydawców, którzy notabene gdzieś poznikali. Pierwszy numer wydany przez nowych twórców głosił na okładce, iż jest to: „Ostatni Numer". W artykule prostującym ten szokujący tytuł wyjaśniono, iż gazeta nie będzie już dłużej akceptowała komercyjnych reklam czy wypłacała wynagrodzenia oraz, że zaangażowanie redakcji wróciło do swoich pierwotnych idei. Albo, ujmując to słowami raportu FBI z 1971 roku: „*Fifth Estate* wspiera wszędzie przyczyny rewolucji". Nieźle ujęte, chłopaki. Tak ładnie, że czasem cytat ten pojawia się na naszej okładce.

Powodem zniknięcia 499 innych magazynów było to, iż w gruncie rzeczy popłynęły one własnym kursem... *Fifth Estate* ukazywało się nadal, gdyż *Eat the Rich Gang*, a więc również i pismo, zabarwiony został przez idee odkryte w ornamentach ultralewicy, komunizmu rad oraz anarchizmu. Wpływy idei Fredy'ego Perlmana, Jacque'a Camatte, Jean Beaudrillard'a i innych, nadal określają perspektywy dzisiejszego *Fifth Estate*, choć już nie tak bezpośrednio, jak miało to miejsce w drugiej połowie lat 70. W przeciwieństwie do poprzedniego okresu, kiedy treść była efektem masowych wydarzeń i rewolucyjnego optymizmu, nowe teorie poznawane przez kolektyw w latach 70. istniały przede wszystkim na poziomie intelektualnym, w otoczce sekciarskiej debaty i potępienia wobec często pojawiających się autorytarnych lewaków. Wydaje się, że całkowita dominacja Kapitału została osiągnięta na skutek pokonania jego pozornie głównych rywali, socjalizmu i komunizmu. Jednak krytyka cywilizacji i industrializmu zaczęła nabierać kształtu na stronach pisma i w latach 80. powstała opozycja radykalnej ekologii. Gazeta i jej ludzie rozpoczęli aktywne uczestnictwo w kampaniach przeciwko energii atomowej, wojnie i atakom na środowisko. Wraz z ponownym pojawieniem się tętniącego życiem ruchu anarchistycznego w latach 90., *Fifth Estate* znalazło środowisko w którym wyczuwało się generalne uczucie solidarności, chociaż pojawiały się okresowe nieporozumienia z niektórymi jednostkami lub tendencjami w ruchu. *FE* kontynuuje swoją tradycję opisywania zakłóceń i wyzwań wobec toksycznej rutyny cywilizacji industrialnej, gospodarczego kapitalizmu i jej aparatu administracyjnego, państwa policyjnego.

Wraz z anarchistami z poprzedniej generacji, zachowaliśmy ich wizję idealnego, nowego społeczeństwa, którego obraz rósł w ich sercach. Ale badaliśmy także nowe wyzwoleńcze koncepcje, mając na uwadze, że przyszłość rozpisze je w walce.

Wciąż jednak nie do końca potrafimy odpowiedzieć sobie na pytanie, jak to się stało, iż staliśmy się nie tyle rozpoznawalni, co uhonorowani przez szacowne instytucje, będące notabene częścią Systemu? Było to dla nas zaskakujące, szczególnie wystawa poświęcona pismu w Muzeum Historycznym Detroit, kulturowej dumie miasta, powstałej w 1928 r. Jest to miejsce pełne historycznego bogactwa przestrzeni miejskiej, zatem zaprezentowanie naszych losów nie było aż tak wariackim pomysłem, jak mogłoby się wydawać z początku. Nasza wystawa zajmuje centrum głównej galerii muzeum i prezentuje się na siedmiu pionowych panelach, przedstawiających historię pisma. Skupia się ona głównie na latach 60. i 70., choć nie ukrywa radykalnego, anarchistycznego charakteru magazynu. Są tam zdjęcia z manifestacji antywojennych, gdzie noszono flagi *Wietkongu*, szereg okładek, w tym te z dzieciakami rzucającymi butelkami w policjantów i wzywającymi do rewolucji, jak i olbrzymie reprodukcje bieżących edycji. Zastanawialiśmy się, czy wystawa ta nie przyniesie reakcji ze strony skrajnej prawicy - tak jak to miało miejsce w latach 30., gdy w pobliżu Instytutu Sztuki powstał ogromny mural - utrzymany w podobnym duchu - meksykańskiego artysty Dieda Rivery, *Przemysł Detroit*... Jednak, jak do tej pory, ani wystawa, ani obecność anarchistów w programach radiowych i telewizyjnych, nie spotkała się z żadnymi protestami. Ogólnie rzecz ujmując, wystawa jest naprawdę świetna a dzięki umiejętnością i niesamowitemu oddaniu pracowników muzeum, prezentowana będzie ona do końca sierpnia 2016 r. Ponadto, muzeum wydrukowało 10 000 pocztówek promujących naszą wystawę!

Pół mili od Muzeum Historycznego leży Muzeum Sztuki Współczesnej w Detroit (MOCAD). Tam, w czterech pomieszczeniach zaprezentowano wystawę poświęconą stronie graficznej pisma, która zawsze ożywiała treść artykułów. Jej wydźwięk jest bardziej radykalny, choć jest tam również wiele materiałów z pierwszego okresu działalności *FE*. Odwiedzających wita wielki plakat: „Miłość i Anarchia: jedyna droga". Dalej, zobaczyć można słynną fałszywkę gazety codziennej, wypuszczoną przez *FE*, gdzie wielki tytuł głosił: „Ciało Jezusa odnalezione! Wielkanoc odwołana!". Widnieją tam również nasze słynne plakaty: „Pierdol Władzę", „Jabać pobór!" jak i wiele innych materiałów prezentujących naszą radykalną przeszłość i teraźniejszość. Powiedziano nam później, iż nigdy wcześniej żadne publikacja z słowem na „P" nie była tak otwarcie prezentowana w muzeum, ze względu na wycieczki szkolne często odwiedzające ten przybytek kultury. A ów przybytek był również miejscem paneli dyskusyjnych poświęconych polityce *Fifth Estate*, jak i sztuce, jako sile

politycznej. Panele te miały ogromną frekwencję. Wystawę uzupełniał również półgodzinny film dokumentalny, zawierający wywiady z dawnymi, jak i obecnymi twórcami pisma.

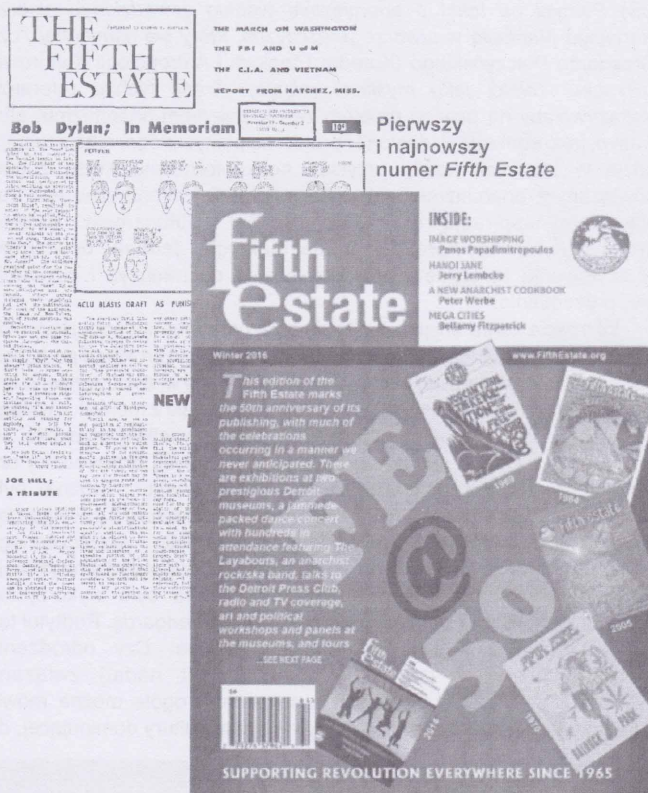
Wystawa w MOCAD poświęcona *FE* odbyła się w budynku znajdującym się tuż za głównym budynkiem muzeum, zwanym Mike Kelly Monile Homestead. Budynek ten sam w sobie jest dziełem sztuki, opisywanym jako „stanowiący partycypujące i społeczne przekształcanie się sztuki". Instalacje poświęcone pismu bardziej przypominały projekt *DIY*, niż profesjonalną wystawę muzealną. Być może dlatego była ona ciekawa dla większości odwiedzających a pracownicy muzeum powiedzieli nam, że jak do tej pory, wystawa ta miała największą frekwencję ze wszystkich dotychczasowych wystaw w tym budynku. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni ekipie z MOCAD za wszelaką pomoc udzieloną naszej redakcji, która nie miała zbyt wielkiego doświadczenia w tego typu przedsięwzięciach.

Żadna z powyższych szacownych instytucji nie odważyła się zadać sobie pytania, dlaczego tak radykalne pismo, jakim niewątpliwie nadal jest *Fifth Estate*, nie jest dziś wyrzucane a jest zapraszane do takich miejsc? Odpowiedź na to pytanie pozostawiamy czytelnikom i odwiedzającym nasze wystawy...

A tymczasem poszukujemy 25-latków i 25-latki, którzy/re chcieliby/chciałyby zapisać się do komitetu przygotowującego 100. rocznicę narodzin *Fifth Estate* :)

Więcej informacjo nt. wystaw oraz historii pisma znajdziecie na naszej stronie: **fifthestate.org**. W *Archiwum* znajdziecie m..in. dokładną historię pisma, napisaną z okazji 40. rocznicy powstania (#368-369/2005). Tam również, setki innych tekstów, publikowanych na naszych łamach przez ostatnie dziesięciolecia...

Tekst ukazał się w: *Fifth Estate* nr 395, zima 2016
Tłum.: **Paulinka**



Pierwszy i najnowszy numer *Fifth Estate*

POMIĘDZY KONTRKULTURĄ A AWANGARDĄ

Temat anarchizmu wśród naukowców pojawia się i znika z różną częstotliwością, jest podejmowany z różnych perspektyw; od licznych badaczy ruchów społecznych wyrosłych z anarchizmu, przez próby zaaplikowania teorii anarchistycznej do różnych badań (jak na przykład badania nad organizacjami czy w szkołach biznesowych), przez próby zbudowania mostów pomiędzy akademią a anarchizmem (czekamy na polskie tłumaczenia *Fragments of Anarchist Antrhropology* Davida Graebera).

Jedną z takich prób była konferencja *Kulturotwórcza rola anarchizmu: pomiędzy kontrkulturą a awangardą*, zorganizowana 16. listopada 2015 roku w Poznaniu przez IEiAK, Katedrę Etnologii Uniwersytetu Szczecińskiego oraz PTPN. Anarchizm i jego relacje z innymi dziedzinami życia jest tematem rzadko podejmowanym przez polskich naukowców, tym większe nadzieje wiązane były z tą imprezą.

Wydaje się także, że również w ramach szeroko rozumianego ruchu anarchistycznego jest sporo miejsca na refleksję o naukowym charakterze. Było to odzwierciedlone w programie konferencji, gdzie razem z naukowcami i nauczycielami akademickimi wystąpili „praktycy", m.in. Maciej Hojak z wydawnictwa *Trojka*, który przedstawiał temat art-zine'ów, głównie na przykładzie swoich doświadczeń z redagowania zine'a *Szelest*. Tym samym Hojak przybliżył słuchaczom spory fragment historii polskiego undergroundu artystycznego i politycznego, a jednocześnie ukazał przykład anarchistycznej samoorganizacji.

Część pozostałych prezentacji również okazała się bogata w informacje o ruchach i aspektach anarchizmu, raczej mało znanych w Polsce. Gor Ordyan mówił o kampanii protestów w Armenii w przeciągu ostatnich paru lat, które umożliwiły wypłynięcie na powierzchnię grup anarchistycznych. Według jego relacji, sytuacja anarchistów w Armenii przypomina sytuację ruchu w Polsce na przełomie lat 80. i 90., z tą różnicą, iż ruch w Armenii nie tylko wciąż poszukuje swojej tożsamości, ale jest także mniejszy. Podobnie ma się ze znajomością kampanii *No TAV* we Włoszech, szerokiej koalicji społecznej przeciwko planom budowy linii kolei dużej szybkości w dolinie Susa. Udział grup anarchistycznych w tej kampanii jako element procesu uczenia się został przedstawiony przez Mateusza Laszczkowskiego w prezentacji *Wolna Republika Valsusa: społeczność lokalna i anarchiczne formy organizacji w alpejskiej dolinie*.

Podobnie było z referatami Krzysztofa Kołackiego i Sylwii Chutnik. W pierwszym, szczegółowo przedstawiony został projekt kina anarchistycznego Jean'a Vigo, prezentując powiązanie rozwoju artystycznego Vigo z jego rozwojem politycznym. Referat Sylwii Chutnik dotyczył historii i rozwoju polskiego anarchofeminizmu, głównie w Warszawie. Z powodu nieobecności prelegentki, referat został jedynie przeczytany i nie było okazji do dyskusji, niemniej jednak tekst Chutnik jest pierwszym znanym mi tak kompletnym i kompetentnym (prawdopodobnie po części opartym na doświadczeniach autorki) opracowaniem tego tematu.

Referat Grzegorza Piotrowskiego przedstawiał powiązanie rozwoju scen muzycznych, w szczególności scen hardcore i punk, z rozwojem najnowszego etapu rozwoju doktryny anarchistycznej. Także tu wskazywano na znaczenie anarchistycznego sposobu organizacji jako równoważnego do programu politycznego anarchizmu. Podobnie jak w innych próbach ujęcia i przedstawienia tematu, także tutaj podkreślano zasadę samoorganizacji (*D.I.Y.* jako jej rozwinięcia), równie ważną jak odrzucenie hierarchii. Kolejnym tematem, który stał się inspiracją dla organizatorów konferencji, było powiązania anarchizmu i akademii. Zagadnieniem tym zajął się w swej prezentacji dr Adam Pomieciński z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UAM. Doktor Pomieciński starał się zarysować historię obecności wyobraźni anarchistycznej w antropologii kulturowej i społecznej. Podkreślił on nie tylko znaczenie anarchizmu jako tematu badań, ale także przypadki badaczy akademickich będących anarchistami, jak wspomniany już wcześniej David Graeber.

Niektóre z referatów pozostawiały słuchaczy w lekkiej dezorientacji, gdyż trudno było powiązać ich treść z anarchizmem. Tak było w przypadku referatu Marcina Kozłowskiego, *Między historią a współczesnością; Anarchizm a murale w Meksyku*, podsumowującym badania w meksykańskim Chiapas, mateczniku zapatystów; prezentacji Waldemara Kopczyńskiego (Katedra Etnologii i Antropologii Kulturowej

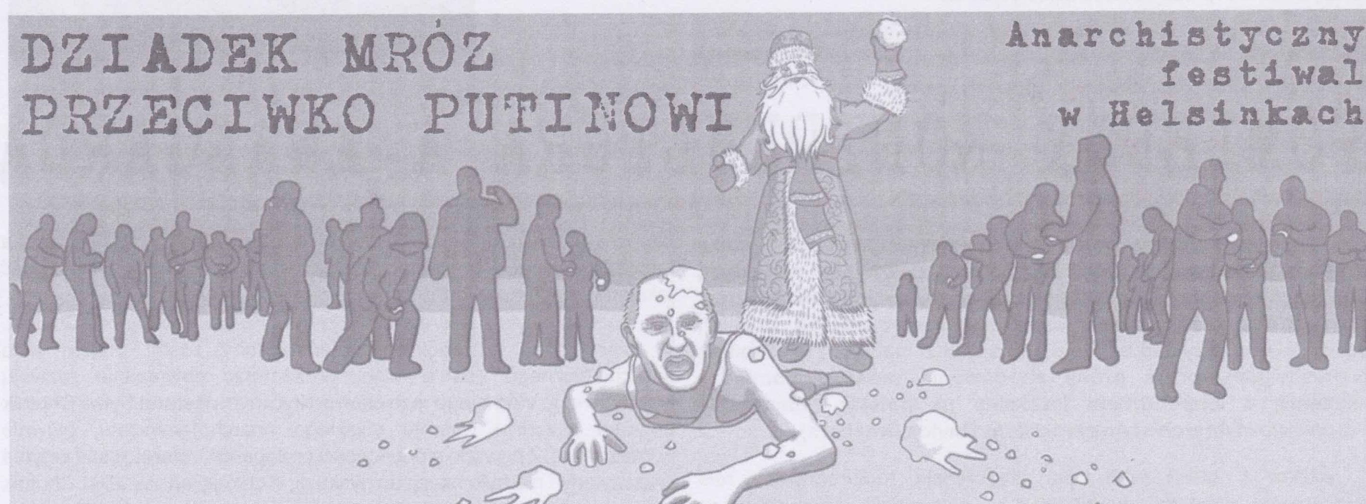
US) *Pomysł na tekst o anarchizmie według szwedzkiego pisarza Henninga Mankella w utworze „Mężczyzna, który się uśmiechał"*, czy Grzegorza Pełczyńskiego (Katedra Etnologii i Antropologii Kulturowej US) *Lew Tołstoj jako myśliciel religijny*. Treść tychże referatów wskazywałaby na pewien problem ze rozumieniem anarchizmu; albo wąsko, jako konkretnej ideologii i programu politycznego, albo szeroko, gdzie w zasadzie każdy przykład nonkonformizmu może zostać powiązany z anarchizmem. Krytyczny potencjał anarchizmu jest bez wątpienia inspiracją dla wielu ruchów społecznych, działań artystycznych czy prądów intelektualnych, jednak dowolność w szafowaniu tą etykietą prowadzi często do nadużyć i powoduje nieporozumienia.

W trakcie konferencji ujawniło się parę problemów z podejściem do tematu. Z jednej strony widać tendencję do bardzo szerokiego podejścia do kwestii anarchizmu: do worka z A w kółku można wrzucić zarówno art-zine'y, doświadczenia pisarskie Lwa Tołstoja, murale z meksykańskiego Chiapas, włoską kampanię przeciwko pociągom wielkiej szybkości *No TAV* jak i muzyczne sceny i subkultury. Brak myśli przewodniej czy wiodącego tematu pozostawia uczucie niedosytu. Można było wykorzystać podtytuł konferencji - *pomiędzy kontrkulturą a awangardą* - aby udzielić odpowiedzi na pytanie o charakter współczesnego anarchizmu. Może lepiej odwrotnie: aby udzielić odpowiedzi na pytanie o charakter współczesnego anarchizmu można było wykorzystać podtytuł konferencji - *pomiędzy kontrkulturą a awangardą*. Podtytuł ten nasuwa również kolejne interesujące pytania: Czy odrodzenie (neo)anarchizmu w latach 60. było (i jest nadal) związane z kontrkulturą? Czy w dzisiejszych czasach w ogóle można mówić o kontrkulturze, podobnie jak o jednym wzorcu kultury dominującej, do której można by być w kontrze? Można również oczekiwać odpowiedzi na pytanie obecne w doktrynie właściwie od czasu sporu Marksa z Bakuninem, o awangardową rolę anarchizmu. Wydaje się również, że organizatorzy mogli pokusić się o bardziej szczegółowe wytyczne dla autorów tekstów, np. przedstawienie krótkiej listy pytań, na które autorzy powinni odpowiedzieć w swoich referatach.

Doświadczenie tej konferencji (i chłodu panującego w sali obrad Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, który wymiótł większość publiczności) pokazuje parę palących problemów interesujących zarówno naukowców jak i anarchistów. Z jednej strony jest wyraźna potrzeba naukowej refleksji w i o ruchu anarchistycznym i anarchizmie jako ideologii, programu politycznego, sposobu organizacji. Okazjonalnie pojawiający się antyintelektualizm w ruchu anarchistycznym nie jest polską specyfiką, jednak - i jak pokazał przykład tej konferencji - ma w sobie potencjał, który można wykorzystać i podjąć. Z drugiej strony, dla naukowców ta konferencja może być impulsem dla bardziej precyzyjnych dociekań badawczych nad anarchizmem i występowaniem jego aspektów w różnych dziedzinach życia i rzeczywistości - dociekań bardziej precyzyjnych i dogłębnych.

Aby zakończyć tę relację i te rozważania bardziej pozytywną notą: organizatorzy przewidują wydanie tomu pokonferencyjnego ze wszystkimi tekstami, co pozwoli na kontynuowanie dociekań z konferencji oraz prowadzenie bardziej pogłębionych rozważań na temat anarchizmu i jego powiązań oraz usytuowania pomiędzy kontrkulturą a awangardą.

gregpio



Trzecia edycja anarchistycznego festiwalu *Dziadek mróz przeciwko Putinowi* (*Pakkasukko Putinia vastaan III, Дед мороз против Путина III*) odbyła się w Helsinkach (Suomi) 9.-10. stycznia b.r. Organizatorami festiwalu były *Federacja Anarchistów Alusta, Anarchistyczny Czarny Krzyż - Helsinki* oraz grupa pisarzy i malarzy *Kiila*.

Idea festiwalu polega na nawiązywaniu oddolnych kontaktów pomiędzy aktywistami z Rosji i Finlandii, wymianie informacji oraz prezentacji lewicowych, anarchistycznych, feministycznych czy queer'owych inicjatyw z Rosji. Festiwal jest więc ukierunkowany głównie na przedstawienie aktualnej sytuacji w Rosji, niemniej część problemów jest wspólna i dotyczy również Finlandii, więc Finowie aktywnie uczestniczą w dyskusjach i sami robią wykłady. Festiwal jest otwarty i każdy może brać w nim udział.

W Rosji święta noworoczne zaczynają się 1. stycznia i kończą parę dni po prawosławnym (według kalendarza Juliańskiego) Bożym Narodzeniu (w tym roku 7. stycznia), czyli mniej więcej po 9. stycznia. W tym czasie stolicę Finlandii odwiedza wielu turystów, którzy jeszcze do niedawna, nim drastycznie spadł kurs rubla, jeździli do Helsinek i innych fińskich miast na zakupy i w odwiedziny. Był to dodatkowy argument za takim festiwalem, otwartym miejscem gdzie można bez problemów i kontroli ze strony rosyjskich służb mundurowych agitować wśród obywateli Rosji - do czego aktywnie zachęcali organizatorzy w zaproszeniach.

W pierwszy dzień imprezy mówiono m.in. o:

- Nacjonalistycznej/nazistowskiej scenie w Sankt Petersburgu, która na początku XXI w. miała swój pełen rozkwit a dziś na szczęście chyli się ku upadkowi.
- Feministycznym kolektywie krawieckim *Швемы*, gdzie mogliśmy dowiedzieć się jak działa struktura oddolna w ramach produkcji, oraz jak kolektyw oparty na horyzontalnej współpracy może przetrwać w warunkach kapitalistycznych.
- *Moskiewskim Klubie Feministycznym* - dziewczyny rozwiewają idee trzeciej fali feminizmu. Program klubu jest stworzony przez otwartą horyzontalną grupę dziewczyn z Moskwy, St. Petersburga, Samary, Kijowa,Ałma-Aty i innych miast.
- Historii rozwoju energetyki jądrowej w Rosji, opowiedzianej przez Igora Kulikowa, inżyniera który pracował w branży nuklearnej w latach 1957 - 2001.
- O macierzyństwie i twórczości opowiadała malarka Maria Godowannaja, która na własnych doświadczeniach przedstawiła wpływ wczesnego macierzyństwa na procesy twórcze oraz jakie zmiany i formy przybiera twórczość wraz z rozwojem dziecka.
- Torfiance - typowym parku na terenie Moskwy, o którym było głośno na początku lata 2015 roku. Protesty wokół parku są bezprecedensowe dla współczesnej Rosji. Cześć parku, z naruszeniem prawa, została sprzedana cerkwi prawosławnej pod budowę nowego kościoła. Uczestnicy protestów, które permanentnie trwają już ponad pół

roku, opowiedzieli o współpracy w ramach konkretnego protestu ludzi o zupełnie różnych poglądach i z różnych grup społecznych. Wszystkich ich scalała jedna idea: Żadnych cerkwi ani innych budynków w parku!

Pierwszy dzień festiwalu zakończył performers grupy *Нежелательная организация* (dotyczył on migracji) oraz koncert, w ramach którego zagrali: *Ередовое Удожество* - psychodeliczna poezja polityczna w stylu rosyjskiej rzeczywistości, połączenie muzyki elektronicznej z elementami noise; Stas Poczobut - białoruski bard grzejący politycznego punka na gitarę akustyczną i harmonijkę ustną, na koniec zaś wystąpił Hävitys - szybki, mroczny i ostry grind core rodem z fińskich lasów... pogo i chodzenie na głowie w najlepszej tradycji ciężkiego uderzenia.

Drugiego dnia początek zaplanowano na godz. 11:00. Niestety, biba jaka miała miejsce noc wcześniej uniemożliwiła większości uczestników uczestniczenie we wczesnych wykładach. A szkoda, bo warto było wcześniej wstać i zdążyć na wykład ludzi z *Libertarnego Klubu Robototechniki* z St. Petersburga, którzy opowiadali o tym, jak można wykorzystać postęp techniczny w tworzeniu wolnościowego społeczeństwa oraz jak będzie wyglądać przyszłość ludzkości, gdy roboty będą wykonywać całą pracę za ludzi :).

Kolejny wykład dotyczył północnego Kaukazu, na przykładzie Republiki Kabardyjsko-Bałkarskiej. Mowa była głównie o stosunkach władza-ludność, korupcji jako części gospodarki „narodowej", nacjonalizmie, islamie i miejscu kobiet w tej społeczności.

Po przerwie obiadowej aktywista z antypschiatrycznej inicjatywy *Sojusz Uzdrawiaczy* z Niżnego Nowogroda, mówił o działalności tej inicjatywy, która polega głównie na artystycznej, analitycznej i praktycznej kolektywnej rehabilitacji wariatów, w jej twórczych, intelektualnych i instytucjonalnych aspektach.

Dwa ostatnie wydarzenia skupiały się na sprawach pracowniczych. Omówiono m.in. *Sieć Solidarności* oraz *Czarną Listę Pracodawców*, była też rozmowa o prekariacie i walkach robotników przeciwko ostrym zasadom ekonomicznym, jaki w ostatnich latach pojawiły się w Rosji.

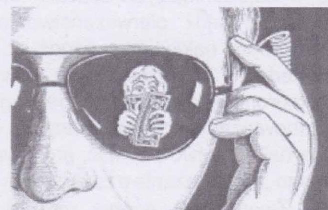
Niestety, musiałem powoli opuszczać już Helsinki, ominęła mnie więc finałowa dyskusja, ale po tym co zdążyłem już zauważyć, to z pewnością była to typowo wschodnia dyskusja, kiedy to emocje biorą górę i wszyscy są tak aktywni, iż nie zauważają już ani moderatora, ani oponentów :).

Gdzieś w centrum Helsinek zgromadzeni próbowali połączyć kosmiczny chaos z konstruktywną wymianą zdań... a ja jechałem już w kierunku wschodniej granicy Suomi, rozmyślając tylko o tym, że musiałbym zmniejszyć się dwukrotnie, by ta typowa puszka fińskiego piwa (0,33 l) nie wyglądała tak śmiesznie w moich olbrzymich łapskach...

Tadek



AGENCI ABW WYCHODZĄ Z SZAFY



W ostatnim czasie, przez media przetoczyła się fala spekulacji, dotyczących powiązań Wałęsy z dawną Służbą Bezpieczeństwa. Mieliśmy okazję zajrzeć do wnętrza szafy gen. Kiszczaka, naocznie ocenić wartość dowodową znalezionych tam materiałów, sprzeczać się i emocjonować argumentami strony atakującej i bronionej. Jednak pomijając nasze osobiste zapatrywania, zabarwienia polityczne czy postawę wobec obu bohaterów wydarzeń, warto wyciągnąć z owej historycznej szafy inny, bardziej ukryty wymiar - agenturalną działalność werbunkową, sposób pozyskiwania, nakłaniania do współpracy oraz metody, jakimi posługiwali się ówcześni tajniacy. W świetle tego, co dzieje się teraz głównie w Warszawie, wiedza o sposobach działania służb okazuje się bardzo pomocna. Bo kto wie, może niebawem i wam przyjdzie stanąć przed takim trybunałem ludu: z szafką pełną kompromitujących dokumentów, zdjęć czy udzielonych mimochodem informacji?

Zacznijmy od przypomnienia aktualnych wydarzeń: kilka miesięcy temu, na jednej z antyfaszystowskich stron internetowych zamieszczono oświadczenie, w którym opisano próby werbunku osoby udzielającej się w ramach konkretnej grupy wolnościowej. Tzw: *smutni panowie z wąsem* obrali sobie za cel kandydatkę z problemami ekonomicznymi i prywatnymi, samotnie wychowującą dziecko. Usiłując uczynić z niej informatora, posłużyli się licznymi metodami działań, doprowadzając do różnego rodzaju konfrontacji: począwszy od męczących i bezustannych telefonów, poprzez pojawianie się w pobliżu upatrzonej osoby (dom - w dzień i w nocy, przedszkole dziecka, miejsca spotkań towarzyskich) doszli do propozycji gratyfikacyjnych, czyli obiecywali doraźną pomoc pieniężną, spłatę długów itp. Sytuacja była męcząca bo dość długa, a nagłośnienie jej tylko na moment uspokoiło zachowanie *wąsatych panów*. Warto wspomnieć, że w swojej pracy posiłkowali się - pewnie znanymi wam - policyjnymi sposobami perswazji, głównie zabawą w dobrego i złego policjanta (w tym przypadku: gwałtowne zastraszanie i przepraszanie).

Dzięki odtajnionym dokumentom dotyczącym działalności operacyjnej UB (do 1956) i SB (1956 - 1990), możemy zrekonstruować sposoby działania służb - mieniącymi się służbami bezpieczeństwa - w czasach, których relikty wzbudzają ostatnią niemałą sensację. I tak, możemy dowiedzieć się, iż interesujący nas zakres ich pracy był unormowany tajnymi „instrukcjami", w których uszczegóławiano sposoby i zakres pracy werbunkowej. W jej skład wchodziły: wybór kandydatów na współpracowników, zbieranie o nich informacji „opracowywanie" obiektu, werbunek czyli pozyskanie współpracownika, praca z nimi czyli spotkania oraz kontrola nowych towarzyszy. Sieć agenturalną tworzyli tajni współpracownicy: zwerbowani agenci oraz informatorzy, tj: „kontakty operacyjne" i w tej kategorii mieściły się także osoby udzielające informacji nieświadomie.

Co decydowało o wyborze kandydata? Przede wszystkim nagląca potrzeba posiadania jakiegoś - „konkretna sytuacja operacyjna uzasadniająca potrzebę zdobycia tajnego współpracownika". Kolejno dochodziły walory osobiste, „postawa moralna, cechy charakteru" przydatne do wyznaczonych mu później zadań. Ostatnią, nie mniej ważną cechą, było „prawdopodobieństwo pozyskania kandydata", więc



informacja o wszelkich obciążających zarzutach czy prywatnych kłopotach, które pomogłyby w złamaniu danej osoby. Oznacza to, iż służby nie działały po omacku, lecz ich praca podporządkowana była ściśle wyznaczonemu celowi, a wybór kandydatów do roli współpracowników lub informatorów był dokładnie przemyślany i nieprzypadkowy.

Po dokonaniu wyboru „ofiary", następowało zbieranie informacji służących do określenia jak najlepszego sposobu „nakłonienia do współpracy". Zasadniczo sprowadzało się to do trzech wersji, które mogły się ze sobą przeplatać lub być wykorzystywane oddzielnie, z różną intensywnością. Pierwszy z nich to sposób „na odpowiedzialność obywatelską", czyli z jednej strony, bazowanie na uczuciach patriotycznych („przecież pomagasz ważnym służbom, bądź dobrym obywatelem, to dla dobra kraju, ten człowiek jest niebezpieczny"); a z drugiej wykorzystywanie najbardziej prymitywnych afektów, jak zemsta, zazdrość, złość czy strach i chęć ratowania siebie oraz umiejętne podsycanie ich. Według statystyk, w burzliwych latach 80. ponad 2/3 zebranych informacji pochodziło właśnie dzięki wykorzystaniu tej chrześcijańskiej metody. Następny sposób werbunku to „zainteresowanie materialne", czyli konkretna gratyfikacja - wysoka wypłata już na początku współpracy, okazyjne prezenty, a w najtrudniejszych czasach komuny - dostarczanie deficytowych towarów bądź pierwszeństwo w przydziale mieszkania. Trzecim sposobem nakłonienia kogoś do współpracy było wykorzystywanie materiałów obciążających - dowodów przestępstwa lub informacji kompromitujących. Wszystkie drogi prowadziły do jednego - podpisania „zobowiązania do współpracy", czyli tzw: *lojalki*. Jeśli jednak kandydat nie dał się łatwo podejść, próbowano innego sposobu - pobierano od niego „zobowiązanie o zachowaniu w tajemnicy faktu i treści rozmowy".

Zwerbowani agenci również nie działali w próżni celowej - funkcjonowali w ramach spraw operacyjnych, różniących się sposobami i zakresem inwigilacji. I tak, mogli pracować w ramach *sprawy obiektowej*, czyli sprawdzać instytucje wraz z ich pracownikami np. uczelnie wyższe, kościoły, obiekty medialne, spółki i firmy, które cechowała „wrogość do Polski Ludowej". *Operacyjne sprawdzanie* to „weryfikacja informacji i materiałów wstępnych o wrogiej działalności lub wyjaśniania, czy zaistniełe zdarzenie i zjawiska są wynikiem działalności przestępczej". Sprawa *profilaktyki i obserwacji* operacyjnej to ścisła, czyniona przy pomocy wszelkich dostępnych środków inwigilacja wybranej osoby lub grupy osób „w celu rozpoznania ich wrogiej działalności". Natomiast najbardziej złowróżbne, czyli *operacyjne rozpracowanie* miało miejsce, gdy stwierdzono, że grupa prowadziła antypaństwową działalność. Wówczas celem działań było **„wykrycie wszystkich sprawców antypaństwowej działalności przestępczej, pełnego jej zapoznania oraz udokumentowania, tak by pozwoliło ono na wszczęcie postępowania karnego i ułatwiło jego prowadzenie"**.

Wąsaci panowie z Warszawy nie złożyli broni. Kiedy ich względnie łagodne techniki perswazji nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, sięgnęli po broń zapasową. Wykorzystali pierwszy i drugi sposób nakłaniania do współpracy, opisany wcześniej jako metody towarzyszy z SB, czyli kompilacje sposobów wzbudzania strachu - zastraszanie odpowiedzialnością karną (często fałszywą) za domniemane działanie lub faktyczne akcje; wyciąganie kompromitujących faktów z prywatnego życia z partnerem/partnerką, dawne kłopoty z prawem czy obciążające prawnie materiały. Kłamali przy tym na temat ich współpracy z osobami „ze środowiska", chwaląc się wiedzą o faktycznych lub fikcyjnych organizatorach kilku słynniejszych demonstracji i akcji, znajomych kandydata na współpracownika czy nawet jego rodziny lub rodziny znajomych! **Za każdym razem próbowali namówić na kolejne spotkania oraz robili wszystko, by podpisać zobowiązanie do milczenia.** Wykorzystywali więc dokładnie ten sam sposób działania, w tej samej kolejności, co ich koledzy sprzed niemal trzydziestu lat.

W świetle niedawnych zmian w ustawie o inwigilacji, zbieranie informacji o każdym z nas jest dziś nieporównywalnie łatwe, więc też i skuteczność zastraszania porównywalnie silniejsza.

Co zrobić, by w razie ewentualnego spotkania z tajniakami wyjść z tego bez szwanku? Oto kilka podstawowych zasad.

ZADBAJ O WŁASNE BEZPIECZEŃSTWO

Postaraj się zabezpieczyć swój komputer na tyle, na ile to możliwe! Po wprowadzeniu tzw: ustawy inwigilacyjnej to już konieczność. Internet to dziś kopalnia informacji, nie tylko o nas, ale też o naszych najbliższych. W większych miastach co jakiś czas odbywają się różne wersje *Linux party*, czyli spotkania na których można nauczyć się, jak w łatwy sposób zainstalować podstawowe programy szyfrujące, sprawdzić swój komputer, poszerzyć wiedzę w temacie bezpieczeństwa - informacje o nich oraz inne rzeczy znajdziecie pod adresem: **stopinwigilacji2016.bzzz.net/**

JEŚLI CIĘ ZACZEPIĄ - MILCZ

To najlepsze wyjście. Pamiętaj, że tajniacy chwytają się najbardziej bezczelnych sposobów - będą popisywać się wiedzą o Twoich znajomych, rodzinie, interesujących Cię wydarzeniach lub nawet próbować przypisać Ci za coś winę, tylko po to, by uzyskać zaprzeczenie - każde *to nie ja* to dla nich bezcenna informacja, pozwalająca zawęzić krąg poszukiwań czy też po prostu kogoś nią szantażować.

NICZEGO NIE PODPISUJ

To jedna z podstawowych technik perswazji: każdy podpis zobowiązuje psychologicznie do tego, co nim poświadczono - nawet jeśli został zrobiony mimochodem, na odczepnego. Ma też długofalowe działanie - służy wzbudzeniu poczucia winy czy strachu przed jego wykorzystaniem w innym celu.

NIE UKRYWAJ TEGO, ŻE CIĘ NAGABUJĄ

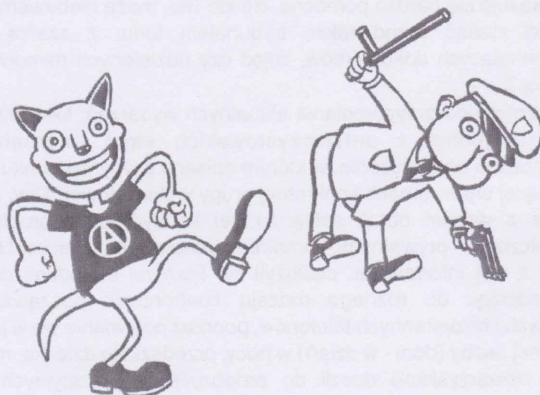
Praca tajnych agentów jest efektywna, kiedy jest tajna. Ujawnienie szczegółów zawsze działa na niekorzyść operacji, bowiem odstrasza potencjalnych kandydatów.

Warszawską inwigilacją prowadzoną przez ABW zainteresowały się media - dziennikarze zapytali rzecznika Agencji o etykę pracy... Mimo, iż ta ironia może bawić, sytuacja wydaje się być poważniejsza niż zwykle. Niniejszy tekst ma nie tylko wykazać uderzającą zbieżność sposobów i technik działania „służb bezpieczeństwa", ale też ustrzec przed błędami, jakie najczęściej popełniają inwigilowane osoby. Chcemy też wyraźnie podkreślić, że działania agentów nie są oderwane od rzeczywistości - zawsze stanowią przemyślany i podporządkowany jakiemuś celowi krok, więc każde nasze zachowanie wobec nich może pociągnąć za sobą dalsze konsekwencje wobec wszystkich.

Solidarność naszą bronią!

KKB

Źródła:
Http://ipn.gov.pl/__data/assets/pdf_file/0008/47753/1-6306.pdf
http://zawszeczujni.blogspot.com/2015/06/dzialnosc-operacyjna-aparatu.html

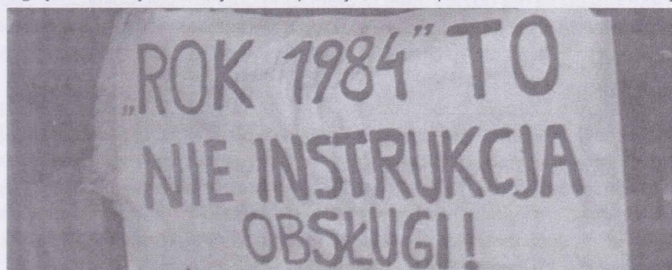


WYJMIJ Z UCHA KARALUCHA

Jeśli mówicie, że nie obchodzi was prawo do prywatności, bo nie macie nic do ukrycia, to tak, jakbyście mówili, iż nie obchodzi was wolność słowa, bo nie macie nic do powiedzenia.
E. Snowden

Rok 2016, niestety ani na krok nie zbliżył nas, do upragnionej anarchistycznej wolności. Wraz z jego początkiem rząd ogłosił, że pracuje w szybkim tempie nad zmianą ustawy inwigilacyjnej, czytaj: rozprężeniem zasad podsłuchiwania obywateli. Ukrócenie swobód miało już miejsce nie raz, jednak w tym przypadku, rząd wyciągnął lekcje z poprzednich prób, które zakończyły się fiaskiem (*ACTA*), więc tegoroczna nowelizacja nastąpiła szybko, po cichu, bez konsultacji i opinii zewnętrznych.

Tzw: *Projekt Ustawy o Policji* wzbudza szczególne kontrowersje ze względu na całkowity brak kontroli czynności podejmowanych przez funkcjonariuszy, a zwłaszcza służb specjalnych. Tam, gdzie dawniej stał Sąd lub Trybunał Konstytucyjny, teraz stoi otwarta furtka. Szczególnie ma to miejsce w przypadku dostępu do danych telekomunikacyjnych, czyli wszelkich informacji, jakie można zebrać inwigilując nasz telefon - od listy kontaktów, przez podsłuchiwanie rozmów, aż po instalacje nadajników GPS. Tzw. billingi nie wymagają już zgody żadnego zewnętrznego urzędu, tak jak miało to miejsce wcześniej. Ponadto, nowa ustawa godzi w wolność *Internetu* - pozwala na nieograniczony wgląd we wszystkie czynności podejmowane przez nas w *Sieci*. Służby



mogą bezkarnie śledzić co kupujemy, oglądamy czy z kim rozmawiamy, a także jak długo korzystamy z określonych stron. Każdy, świadczący usługi drogą internetową, będzie musiał gromadzić i przetrzymywać dane o użytkownikach. Pozwoli to szybko i dokładnie prześledzić interesującą służby osobę. Ta sama ustawa zawiera jednak bezprecedensowe uregulowania dotyczące ochrony parlamentarzystów - to, jak zwykle, tylko czysta polityka i brudne rządowe rozgrywki.

Niedawno do mediów przeciekła informacja o zawrotnej sumie wydanej przez CBŚ na programy szpiegujące *Internet*. To istotny fakt, bo o ile policja broni się argumentując, że nowe przepisy znacznie ułatwią im pracę, szczególnie w aspekcie ochrony poszkodowanych lub w czynnościach prewencyjnych, o tyle inne służby wykorzystają dostępne im teraz od ręki środki do rozpracowywania godzących w bezpieczeństwo wewnętrzne państwa osób, czyli wszelkich krytyków władzy i organów urzędniczych, będących ich prawą ręką, lub całą resztę osób uznanych za niewygodnych czy podejrzanych.

Nowelizacja *Ustawy o Policji* w radykalny sposób zagraża naszemu prywatnemu życiu i ukazuje bezczelność rządzących, pogardę dla społeczeństwa oraz autorytarne zakusy obecnie dominującej grupy politycznej. Będąc projektem poselskim, a nie rządowym, nie dopełniono wymogów konsultacji społecznych i opinii publicznej, powstał więc karzełek prawny - upośledzony, przygotowany niestarannie twór, źródło kolejnych możliwości represji. Domagając się wycofania z tego projektu, *Federacja Anarchistyczna* wespół z innymi grupami wolnościowymi rozpoczęła cykl pikiet i demonstracji.

Jako pierwszy zbuntował się Śląsk, protestując 9. stycznia b.r. w centrum Katowic. Spotkanie zgromadziło około stu osób, jednak zakończyło się postawieniem zarzutów jednej z nich, za przewodzenie nielegalnemu zgromadzeniu oraz stawianie oporu funkcjonariuszom. Następnie *FA* ogłosiła *Tydzień Antyinwigilacyjny* - czas akcji pomiędzy 18. a 24. stycznia. Od tego momentu w wielu miastach kraju organizowano spontanicznie różnorodne wydarzenia, takie jak np. we Wrocławiu - pokaz filmów tematycznych, warsztaty *Linux Install Party* - spotkanie poświęcone pogłębieniu wiedzy oraz instalowaniu systemów zabezpieczających komputer, a także pikiety wraz z grupami *Food Not Bombs*. Kolejno do demonstracji przyłączyły się inne miasta: Warszawa, Grodzisk Mazowiecki oraz Poznań (22. stycznia), za nimi Wrocław, ponownie Katowice i Lublin (23. stycznia), na koniec Kraków wraz z lokalnymi ekipami *FNB* w Gdańsku, Szczecinie, Ostrowie Wielkopolskim, Rzeszowie i Szamotułach (24. stycznia i później). *Kostrzyńskie Środowisko Wolnościowe* wydało serię ulotek i plakatów, zaś stosowne bannery zawisły nad ulicami min. we Wrocławiu i Łodzi.

Jednak największa demonstracja miała miejsce w Krakowie. Ponad 150 osób przeszło ulicami tego miasta, wznosząc hasła: *Stop POPiSowej inwigilacji*, kończąc spokojny pochód pod Urzędem Wojewódzkim. Kolektywy *Food Not Bombs* min. w Lublinie, Łodzi i Wrocławiu wydawały swoje posiłki pod hasłem *Jedzenie zamiast podsłuchów*. Mimo takiego zaangażowania, rząd przyjął ustawę w planowanej formie 7. lutego. W tym samym miesiącu, również w Krakowie, odbyła się kolejna impreza, tym razem o nazwie *Crypto Party* - spotkanie mające na celu popularyzację technologii chroniących prywatność w *Internecie*. W Poznaniu zorganizowano *Pogrzeb Wolności* - happening połączony z przemarszem ku pl. Wolności. Obecnie (marzec) działania koncentrują się na popularyzacji metod szyfrowania oraz propagowaniu wiedzy na temat szczegółów i konsekwencji, jakie niesie za sobą zmieniona ustawa. Cały czas trwają prace nad rozbudową i aktualizacją strony:
stopinwigilacji2016.bzzz.net.

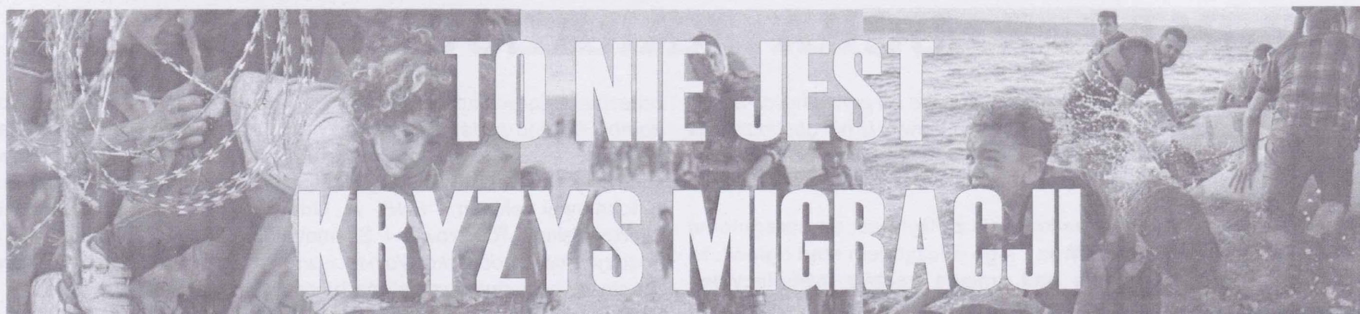
Na koniec przypomnę krótko o szczególnych możliwych zagrożeniach, jakie stwarzają nowe przepisy. W myśl nowej ustawy, aż dziesięć różnych służb będzie mogło mieć niekontrolowany, a być może i nielimitowany dostęp do wszelkich informacji na nasz temat - nowe prawo przerzuca koszty obsługi zapytań funkcjonariuszy na firmy, do których ci się zwracają, a sąd oddaje pola kontroli nad podejmowanymi czynnościami. Dewastuje to nie tylko nasze prawo do prywatności ale przede wszystkim czyni służby niewidzialnymi, ponieważ brak odpowiedzialności przed kimkolwiek stwarza zagrożenie nadużywania



dostępu do informacji oraz braku dowodów na nią. Ponadto ustawa rodzi wątpliwości co do kwestii tajemnicy zawodowej lekarzy, prawników i dziennikarzy. Wedle zmian, od teraz to funkcjonariusz po pozyskaniu materiału będzie rozstrzygał, czy pobrane informacje kwalifikują się jako tajemnica zawodu. W razie wątpliwości - wysyła zapytanie do prokuratora, a ten do sądu! To aż trzy jednostki, które zapoznają się z zebranymi materiałami. A przecież funkcjonariusz policji czy służb zainteresowany jest zebraniem jak największej ilości materiału - nie ma więc pewności, że jego decyzja będzie odpowiednia. Co więcej - nowe przepisy znoszą możliwość zażalenia na zwolnienie z tajemnicy zawodowej, a w przypadku wyjaśnionej drogi inwigilacji, ani lekarz ani jakikolwiek inny przedstawiciel zawodu dysponującego zawodową tajemnicą, o inwigilacji i pozyskaniu o niej wiedzy nie będzie informowany. Zatem instytucja zaufania do wykonawców pewnych profesji zostaje całkowicie zniesiona.

Z czasem przekonamy się, jak daleko idące są to zmiany. Jedno jest pewne - kolejna granica prywatności została przekroczona. Czy odpowiedzią na nią będzie powszechne szyfrowanie komunikacji i komunikatorów? Czy może sami zaczniemy inwigilować władzę na inne sposoby? Powodów mamy już zanadto... Do zobaczenia na ulicy!

KKB



Prawicowi demonstranci machają francuskimi i izraelskimi flagami i wznoszą domowej roboty transparenty, z hasłami o krwi i Niemieckim Narodzie. Naprzeciw nim, za metalowymi barierkami, antyfaszyści krzyczą: *Kein Mensch ist illegal! Bleiberecht überall!* - *Żaden człowiek nie jest nielegalny! Prawo pobytu dla wszystkich!* Obie strony oddzielało 20 metrów asfaltu i policja. - Październik 2015, Berlin, Niemcy.

Azylanci zastają Niemcy podzielone. *Willkommenskultur,* kultura powitania, towarzyszyła pierwszym falom przybyszy, przed którymi wielu Niemców otworzyło swoje domy i okazało pokrzepiającą solidarność. Ale powoli zapala się także lont nietolerancji, podsycany przez wzrost skrajnej prawicy, sposób działania rządu i postawę mediów. Wraz z narastaniem podziałów, obywatele zmartwieni mobilizacją skrajnej prawicy i biernością rządu, starają się oddolnie przeciwdziałać tej sytuacji. **Ale nie chodzi tu o kryzys migracji.**

Skrajna prawica na fali

PEGIDA, skrót od *Patriotycznych Europejczyków Przeciwko Islamizacji Zachodu*, to projekt ciągle się rozwijający - jak *start-up* w Dolinie Krzemowej. Zmień pierwszą literę i otrzymasz *LEGIDĘ* w Lipsku, *BÄRGIDĘ* w Berlinie, czy trafnie nazwaną *THÜGIDĘ* w Thüringen. W Düsseldorfie znajdziesz *DÜDIDĘ*, która regularnie wykrzykiwana, składa się w melodyjne *„DÜDIDA-didadidida"*.

Demonstracje *PEGIDY* we wschodnio-niemieckim Dreźnie, osiągnęły szczytową liczebność na początku 2015 roku, kiedy 12. lutego 25 000 ludzi demonstrowało pod banerami „Dzisiaj Paryż, jutro Berlin" - odnosząc się do ataków na *Charlie Hebdo*. Po tym jak media społecznościowe obiegły zdjęcia Lutza Bachmana, noszącego wąsy Hitlera, *PEGIDA* utraciła popularność.

Alternatywa dla Niemiec (*Alternative für Deutschland, AfD*) to kolejni skrajnie prawicowi zawodnicy, których lider Björn Höcke ostatnio obiecał „Tysiącletnie Niemcy!" - nadal pozostaje niejasne, jak pomysł na 1000 lat trwania czegokolwiek mógł podekscytować cały naród?

Najbardziej ekstremistyczna grupa skrajnej prawicy to *Narodowa Partia Demokratyczna* (*Nationaldemokratische Partei Deutschlands, NDP*), którą rząd próbował bezskutecznie zdelegalizować w 2003 i 2011 roku. Choć jest uznawana za „zagrożenie dla porządku konstytucyjnego", otrzymuje finansowanie od podatników, ponieważ zasiada w lokalnych władzach - co pozwala jej na planowanie i organizację, przykładowo swoich kongresów. W USA wyglądałoby to tak, jakby rząd federalny sponsorował *Ku Klux Klan* - i podarował mu ogrzewany lokal, w którym mogliby szyć sobie kaptury.

To nie kryzys migracji; to kryzys rasizmu.

Skąd wzięła się popularność prawicowych populistów

Poprzez media społecznościowe, portretowanie siebie samych jako wygnańców mainstreamowej polityki, szkalowanych przez *Lügenpresse* („łże-media"), *PEGIDA* zbudowała zaraźliwy, populistyczny nastrój - pełen kłębiących się mitów, konspiracyjnych teorii i paranoi, a przy tym zażarcie patriotyczny. Ten populistyczny nastrój jest zakaźny dlatego, że jest bardzo prosty: albo my, albo oni, ludzie kontra elita. Gdy zwolennicy *PEGIDY* śpiewają „Wir sind das Volk!" („To my jesteśmy Ludem!" - popularne hasło protestów ze Wschodnich Niemiec w latach 80.), rzucają tym samym piasek w oczy elit.

Politolog Benjamin Arditi stwierdza, iż populiści są podobni do uciążliwego gościa na imprezie, który pije zbyt dużo, flirtuje z twoją żoną i jednocześnie ma gdzieś „całą tą pieprzoną poprawność polityczną", bo woli prawdę. Jest jednak istotna różnica pomiędzy ostatnimi populistami lewicowymi, a ich przeciwnikami: „uciążliwy gość" z prawej strony może po wszystkim spalić ci dom.

W całej Europie obserwujemy, że populistyczni liderzy nie muszą przejmować władzy, aby zmieniać politykę; po prostu muszą nadać jej pożądany kierunek - i zabrać wszystkich ze sobą. Jak zauważa Cas Mudde, ekspert od skrajnie prawicowego populizmu: „Nie muszą przeciągać głosujących na nowe pozycje, wystarczy, że przyciągną ich uwagę nowym tematem: z dala od kwestii socjo-ekonomicznych, jak bezrobocie, ku kwestiom socjo-kulturowym, jak imigracja."

Partie skrajnie prawicowe w Wielkiej Brytanii, Szwecji, Holandii i Francji, ciągną społeczeństwo w prawą stronę, blokując politykę w niekończącej się debacie o „duszy narodu" i uniemożliwiając rzeczywiste zajęcie się kwestią uchodźców.

Żyjemy w świecie, gdzie publiczne zaufanie do mediów i polityków „odpływa". Nie wierzymy w historie, które słyszymy - ale nie mamy swoich, którymi można by je zastąpić. Hannah Arendt pisze: „Jeśli wszyscy ciągle cię okłamują, w efekcie nie zaczynasz wierzyć w kłamstwa, ale wszyscy przestają wierzyć w cokolwiek". To żyzna gleba dla zaraźliwych przekazów, wycelowanych w „zewnętrznego wroga" - i to właśnie wykorzystano.

W całych Niemczech miało miejsce ponad 500 (w momencie tłumaczenia tekstu już ponad 1000 - przyp. tłum.), agresywnych ataków na uchodźców i ich miejsca zamieszkania. Ale przemoc nie ogranicza się do uchodźców. Atakuje się także dziennikarzy, którzy otrzymują nekrologii ze swoim imieniem i nazwiskiem. W październiku, Henriette Reker, działaczka polityczna z Kolonii, została ugodzona nożem w szyję przez sympatyka skrajnej prawicy.

To nie kryzys migracji; to kryzys nienawiści.



Rząd i media

Rządowa odpowiedź to „dużo mówić, ale stać w miejscu". We wrześniu, Angela Merkel ogłosiła, że drzwi Niemiec stoją otworem, w przeciwieństwie do Węgier, gdzie wzniesiono mury i druty kolczaste. Jednak polityka otwartych drzwi wywołała podział w rządowej koalicji, głównie między partią Merkel, czyli *CDU*, a siostrzaną partią z południa Niemiec, *CSU*, która chce bardziej restrykcyjnej kontroli.

Ale opinia, iż niemiecka koalicja rządowa jest „przyjazna uchodźcom" to przesada, szczególnie biorąc pod uwagę wcześniejszą politykę *CDU/CSU* wobec przybyszów. Proponowane zmiany w prawie migracyjnym oznaczają, że uchodźcy otrzymają miłe słowo zamiast pieniędzy, a odrzuceni azylanci, którzy nie opuszczą Niemiec dobrowolnie, poniosą kary finansowe; choć dawanie mandatów uchodźcom bez pieniędzy, albo nawet tym z pieniędzmi, wygląda dziwnie - to jakby karać rybę za to, że jest mokra.

Media nie pozostają bez winy. Przykładowo, *BBC*, *Reuters* i *The Guardian* opublikowały tą samą historię - wywodzącą się z prawicowego, niemieckiego tabloidu *Bild* - o 1,5 miliona azylantów, którzy mają przybyć w 2015 roku do Niemiec. Ale dane Federalnego Biura ds. Migracji i Uchodźców pokazują, że od stycznia do października 2015, złożono jedynie 331 226 wniosków azylanckich, z czego 53% pochodziło od Syryjczyków.

Co dziwne, po opublikowaniu „gorącego tematu" *Bilda* w międzynarodowych mediach, zastępca rzecznika rządu Georg Streiter, stwierdził, że nic mu nie wiadomo o raporcie, na którym *Bild* oparł swoją historię, mówiąc: „Nikt nic nie wie o takim dokumencie".

To nie kryzys migracji; to kryzys informacji.

Oddolne organizacje wypełniają pustkę

W realiach wzrastającej nietolerancji i państwa niezdolnego lub niechcącego działać w temacie uchodźców, do akcji wkroczyły oddolne organizacje. W Moabicie, we wschodnim Berlinie, gdzie znajduje się centrum rejestracji uchodźców, panuje chaos. Można tam spotkać niekończące się kolejki do rejestracji, brak wykwalifikowanych pracowników do procesowania wniosków, a także brak pomocy medycznej dla chorych.

Wraz z narastaniem frustracji, dochodzi do starć pomiędzy różnymi grupami etnicznymi. Strażnicy zostali oskarżeni o bicie uchodźców, a jednego nagrano, jak groził azylantom, że zostaną odesłani do obozów koncentracyjnych. Oskarżono też władze o pozorowanie niekompetencji, by zniechęcić nowych przybyszów. Jak to mówią uchodźcy: „Zostań ciepło przyjęty, by potem zamarznąć na śmierć". Woluntariusze pracujący dla *Moabit hilft* (*Moabit pomaga*) zapewniają jedzenie, ubrania i asystę medyczną, organizują tłumaczy i dają wsparcie przybywającym uchodźcom - którzy mówią tylko trochę po niemiecku lub wcale. Ci ludzie przeszli długą, stresującą podróż, często przybywają z przepełnionych obozów w Libanie, Jordanii, Turcji i Iraku - krajów, które kwaterują przytłaczającą większość syryjskich uchodźców.

17. października ub.r. *Moabit hilft* zorganizowało demonstrację „Es reicht!" - „Już dość!" - by zwrócić uwagę na narastający brak kompetencji berlińskich władz. Setki Berlińczyków przybyło na Alexanderplatz z ręcznie wykonanymi znakami, z hasłami jak: „Berliński Senacie - weź się do pracy." Przedstawicielka *Moabit hilf*, Diana Henniges, wyjaśniła jak obecne centrum dla uchodźców nie może poradzić sobie z zaległymi sprawami, nie mówiąc już o nowych. W powietrzu roznosił się dźwięk granych na żywo koncertów samych uchodźców, a przesłanie płynące z ich społeczności było jasne: „nie jesteśmy tu, aby narzekać, chcemy tylko żyć gdzieś bezpiecznie." Ponadto, wraz z formowaniem się skrajnie prawicowych grup, narasta także oddolny opór wobec nietolerancji. Gdy berlińscy sympatycy *PEGIDY - BÄRGIDA* - zaczęli swój marsz, koalicja lokalnych organizacji oraz osób prywatnych uformowała „Nie dla BÄRGIDY", by stawić opór.

Michael Koschitzki, członek zarządu *SAV* (*Porozumienie Socjalistyczne*) i jeden z organizatorów „Nie dla *BÄRGIDY*", opisuje pierwsze reakcje na skrajną prawicę: „Ludzie myśleli, że to tylko grupa lunatyków, nikt nie postrzegał ich jako zagrożenie." „*BÄRGIDA* maszerowała wokół Regierungsviertel, dzielnicy rządowej. Później, udali się do centrum rejestracyjnego w Moabicie" - wyjaśnia Michael. „Wtedy ludzie zdecydowali, iż należy działać."

Choć „Nie dla *BÄRGIDY*" demonstrowało przez tydzień przeciwko skrajnej prawicy, odpowiedź z tradycyjnych ugrupowań lewicowych i związków zawodowych była rozczarowująca. Micahel Koschitzki mówi:



„To kluczowe, by związki zrozumiały, że muszą przeciwdziałać rasistowskiemu zagrożeniu. Teraz płoną domy uchodźców, ale następnym razem będą to siedziby związków zawodowych."

W Dreźnie, mieście założycielskim *PEGIDY*, porozumienie *Nazifrei! Dresden stellt sich quer* (Wolni od nazizmu! Drezno blokuje) od 2009 roku organizowało opór przeciwko skrajnej prawicy. Silvio Lang, przedstawiciel *Dresden Nazi Frei* mówi: „Saksonia to nie Niemcy. Jesteśmy prawicową częścią Niemiec i panuje tu terror przeciwko wszystkim, którzy nie są <<niemieccy>>. Nie jest to już bezpieczne miejsce dla ludzi, którzy nie pasują do tych [prawicowych] ideologii, a sytuacja będzie się pogarszać, ponieważ policja, sądy i rząd nie rozumieją problemu i jego źródeł." Silvio dodaje: „Trzeba zwalczać rasizm na wszelkie możliwe sposoby."

Kryzys migracji i „my"

Tego lata, telewizja pokazywała na żywo azylantów wędrujących przez całą Europę w poszukiwaniu schronienia; to biblijna fala ludzi - która jednak nie spotkała się z chrześcijańskim przyjęciem. Europa odpowiedziała rozwlekłością, chaosem i niechęcią, a niektóre kraje Unii wniosły mury i rozłożyły drut kolczasty.

Kwestia uchodźców jest wykorzystywana przez skrajną prawicę i populistyczne grupy, by stać się silniejszymi i wyjść ponad wąską bazę swoich zwolenników, szczególnie w krajach, które otworzyły przed uchodźcami drzwi, jak Szwecja czy Niemcy. Temat ten jest także wykorzystywany przez lokalne elity dla swoich politycznych celów. Ale czy liderzy polityczni rozumieją co się dzieje? Zmierzamy do podzielonej Europy: ci, którzy chcą pomóc i ci, którzy chcą nienawidzić - a większość jest niepewna i podejrzliwa. Oddolne inicjatywy obywatelskie pracują ponad podziałami, wzrastając na glebie rządowych niepowodzeń. Ale mają one ograniczone zasoby i nie są w stanie zrobić wiele więcej.

To nie ma nic wspólnego z kryzysem migracji; **to kryzys rasizmu, nienawiści i informacji**. Dla Europejczyków, to także **kryzys tożsamości**. Jak ostrzega Cas Mudde, „W istocie, w polityce wobec uchodźców nie chodzi o to, kim są *oni*, lecz kim *my* jesteśmy".

Być może więcej dzieli nas od siebie samych, niż od uchodźców. Być może nie wiemy już kim „my" jesteśmy. **I to jest prawdziwy kryzys.**

Paul Walsh

Tekst ukazał się na: **www.roarmag.org**. Tłum. **Mateusz Pietryka**

Autor jest magistrem *Studiów Środkowo-Europejskich*. Pisze o ruchach społecznych, oddolnych organizacjach i Europie Południowo-Wschodniej.



DLACZEGO WARTO ROBIĆ BENEFITY NA UCHODŹCÓW

Mogę sobie wyobrazić tę dyskusję w gronie anarchistów: czy trzeba czy nie trzeba pomagać i jeśli tak, to jak? Moim zdaniem tak, trzeba pomagać i to z kilku powodów. Przede wszystkim, zaczynając z takiego zwykłego ludzkiego odruchu a kończąc na motywach czysto politycznych. O ile motywacja humanitarna może być bliska każdemu, poczynając od chrześcijańskich wartości na etyce ogólnoludzkiego humanitaryzmu, bez żadnej religijnej podstawy, kończąc, to w naszym anarchistycznym środowisku warto by podkreślić kilka innych argumentów.

Po pierwsze, ci ludzi uciekają przed konfliktem/konfliktami rozpętanymi przez wielkie mocarstwa i ich interesy. Mamy obecne zarówno NATO/USA/UE/bogate kraje Zatoki Perskiej a po drugiej stronie Rosję/Iran. I choćby dlatego, że uchodźcy są pionkami w tej geopolitycznej grze, którą się toczy na ich ziemi należy im się nasze wsparcie. Po drugie, są to ludzie wydziedziczeni ze swojej ziemi, domu itd. To taka a nie inna polityka, czy to reżimu Asada czy też bojówek militarnych Państwa Islamskiego, skazuje ich na porzucenie wszystkiego i tułaczkę. Podobnie w Iraku i Afganistanie. Bycie zaś wydziedziczonym i wyrzuconym tworzy z nich zagrożenie dla starego porządku. Należy sobie przypomnieć, iż w Europie też wyrzucano kiedyś chłopów ze swojej ziemi aby zagarnąć ich wspólne ziemie pod majątki arystokracji czy szlachty. Ten sam schemat powtarza się od wieków. Po tworzeniu folwarków były kolonie itd. Tutaj nic się nie zmieniło. I w tym znaczeniu są oni naszymi sojusznikami, są takimi samymi jak my eksploatowanymi przez system polityki krajowej i międzynarodowy układ sił politycznych i ekonomicznych.

To nie jest przypadek, że środowiska wolnościowe, anarchistyczne, antyfaszystowskie, skłoterskie itp. zaangażowały się w pomoc uchodźcom na ulicach, parkach, portach czy plażach. Są tam, gdzie powinny być. Mają małe fundusze ale to nie oznacza, iż działają gorzej niż inni. Nawet śmiem twierdzić, że lepiej, bo nic się nie marnotrawi, niczego się nie wyrzuca, każdy grosz się liczy. Ale właśnie przez to, iż nie dysponują taką rozbudowaną siecią logistyczną, pomocy, zbiórką funduszy potrzebują tego wsparcia z zewnątrz. I skoro wiadomo, że raczej nikła jest perspektywa nagłego zalewu Polski uchodźcami - choć prawicowe media będą nadal nakręcać taką psychozę strachu, używając tych ludzi jako kozła ofiarnego - to trzeba wysyłać te zebrane fundusze tam, gdzie akurat wiemy, iż są najbardziej potrzebne. Z mojego doświadczenia wynika, że trzeba decydować w ostatnim momencie, rozeznać się w sytuacji i po prostu przekazać pieniądze grupie, która akurat ma największy problem, lub której najbardziej ufamy i czujemy, iż robią dobrą robotę. Tu ważne jest stworzenie siatki kontaktowej, co przy obecnej hegemonii Internetu i sieci społecznych nie jest wcale trudne.

W polskim wydaniu benefity alternatywno-wolnościowe to głownie koncerty i imprezy taneczne. Ale to zawęża znacznie możliwości. Uważam, że szukanie nowych form jest konieczne i docieranie do innych środowisk niż najbliżsi koledzy, koleżanki i ,,znajomi królika" - jest bardzo potrzebne. Inaczej po jednej albo dwóch imprezach nasz zapał opadnie a nowych darczyńców nie przybędzie. Dlatego polecam spokojnie zastanowić się co każdy z nas może zrobić, w czym jest dobry, czego jeszcze twoja grupa czy ekipa znajomych zainteresowanych tematem nie robiła. I nie musi to być jakieś wielkie przedsięwzięcie ani duże pieniądze. Tutaj każda złotówka się liczy i wszystko razem się sumuje. Ja mogę tylko powiedzieć, z własnego doświadczenia, że takie proste akcje jak pokaz filmu dokumentalnego dotyczący tematu, warsztaty wegańskie, giełda rzeczy z drugiej ręki, wieczór poezji arabskiej, lekcje tańca czy zwykła większa kolacja dla kilkunastu osób pozwoliła nam zrobić zbiórkę i wysłać te pieniądze tam gdzie akurat myśleliśmy, iż się przydadzą (do tej pory wysłaliśmy fundusze do Belgradu, na granicę serbsko-chorwacką, do Aten i na grecką wyspę Lesbos). Dlaczego piszę o pieniądzach a nie rzeczach? Dlatego, że koszty wysyłki są tak duże, iż po prostu często przekraczają wartość zebranych przedmiotów i nie opłaca się ich wysyłać. Po drugie, to co jest dziś, potrzebne za tydzień może już nie być, a potrzeba czegoś innego. Osoby będące na miejscu wiedzą najlepiej co akurat należy kupić. Musimy się nauczyć ufać jedni drugim i zdać sobie sprawę, że tam są tacy sami ludzie jak my, pomagający innym, też takim samym jak my. I żadna polityka międzynarodowa tego nie zmieni. Anarchizm to właśnie też takie oddolne budowanie sieci kontaktów i pomocy wzajemnej ponad podziałami i granicami Państwa i Kapitału.





Wracając jednak do benefitów. Zbieranie pieniędzy i wysyłanie ich bezpośrednio do grup anarchistycznych czy wolnościowych na całym szlaku bałkańskim jest bardzo potrzebne. Działają one oddolnie, często wbrew zasadą jakimi posługują się zwykłe NGO'sy, wbrew zakazom i nakazom lokalnych władz czy policji, za to są blisko ludzi. Docierają tam gdzie wielkie NGO'sy umywają ręce albo uciekają przed problemami. Sprawa dużych NGO'sów i ich pracy to temat na zupełnie oddzielny tekst, więc nie będę się rozpisywać. Wszyscy wiemy ile tam pieniędzy się traci lub po prostu rozkrada, że działają one zgodnie z zasadami jakie wyznacza im władza na danym terenie i nie ryzykują jeśli na coś im się nie pozwala. Dostosowują się po prostu do takich ram prawnych jakie im się narzuca. Grupy wolnościowe mają tu dużo większe możliwości, choćby dlatego, że żaden porządek prawny nie jest w stanie ich ograniczyć. Dlatego to one zajmują opuszczone budynki pod noclegownie, świetlice, kuchnie czy punkty informacyjne dla uchodźców. To one oferują im jedzenie tam gdzie się zbierają, na placach czy ulicach albo w parkach mimo, że policja ich usiłuje stamtąd usunąć. To właśnie te grupy dokumentują przemoc różnych służb porządkowych wobec uchodźców gdy dziennikarzy lub reporterów tam nie ma.

Natalia Krajewska

DYSKRETNY UROK FIOLETU...

Ubiegłoroczne wybory parlamentarne zaskoczyły mnie w dwojaki sposób. Po pierwsze nie spodziewałem się tak dużego poparcia dla *PiS*. Brałem pod uwagę zwycięstwo formacji Jarosława Kaczyńskiego, lecz jego rozmiar przeszedł moje oczekiwania. Drugim dla mnie zaskoczeniem było poparcie części anarchistów dla marginalnej, lewicowej partyjki *Razem*. Postanowiłem nie pozostawić tego bezprecedensowego w polskich realiach wydarzenia bez stosownego komentarza.

Do dnia dzisiejszego zastanawiam się co skłoniło część osób, mniej lub bardziej związanych z ruchem wolnościowym, do zagłosowania na fioletowych polityków. Doprawdy uśmieszek politowania błąkał się po moich ustach, kiedy czytałem na internetowych forach, bądź też w alternatywnych zinach, hamletyzowanie w stylu: „nie chciałem, ale musiałem zagłosować aby osłabić polską prawicę" (?!), „głosowałem, ponieważ potrzeba w Polsce prawdziwej, ideowej lewicy" (!!!) oraz moje ulubione: „głosowałem na *Razem* i popieram tą partię, ponieważ jest to droga do zmian społecznych i propagowania idei anarchistycznych w społeczeństwie" (??!!!). Urocze... Dobry temat na skecz w stylu *Monthy Pythona*.

Dlaczego, w może mało wyszukany sposób, drwię z tego neofickiego zachwytu nad kolejnym tworem politycznym? Ponieważ w pierwszym odruchu można było na widok tych dywagacji parsknąć śmiechem. Trzeba jednak przyznać, że byłby to śmiech przez łzy. W tej sytuacji należałoby się raczej rozpłakać nad stanem ideowym i poziomem intelektualnym, nie małej części naszego ruchu anarchistycznego.

Doczekaliśmy się oto kolejnego etapu w rozwoju naszego środowiska, które roboczo można nazwać „socjaldemokratyzacją" anarchizmu. Jak można bowiem inaczej nazwać życzliwe wsparcie „anarchistów" dla partii, która nie wiele się ideologicznie różni od typowej, lewicowej formacji politycznej jakich wiele w Zachodniej Europie? Zupełnie nie rozumiem dlaczego polscy wolnościowcy mają pomagać w rewitalizacji lewicy parlamentarnej. Dzieli nas przecież, prawdziwa przepaść - socjaldemokracja przecież umacnia struktury państwa opiekuńczego, które pomimo szerszego pakietu socjalnego nadal jest aparatem wrogim jednostce i społeczeństwu. Socjaldemokracja nie pragnie likwidacji kapitalistycznych stosunków społecznych, chce je jedynie „uczłowieczyć", w pewien sposób zamortyzować ich negatywne skutki, nie likwidując jądra problemu. Przypominam niezorientowanym, iż anarchizm społeczny niezależnie od nurtów ideowych, proponuje radykalnie inną perspektywę: zniesienie instytucji państwa, pod warunkiem stworzenia federacji samorządnych, oddolnie organizowanych gmin z uspołecznioną gospodarką i środkami produkcji. Tylko w ten sposób społeczeństwo będzie miało gwarancję, że powstały w oddolnie i egalitarnie koordynowanej gospodarce dobrobyt, stanie się udziałem wszystkich pracujących dla społeczeństwa jednostek. Tutaj się kłania stara syndykalistyczna maksyma: „naszą bronią jest akcja bezpośrednia, a nie kartka wyborcza!". Wybory parlamentarne i wspieranie rządu, nawet lewicowego, nie wyręczy nas w odpowiedzialności za własne życie oraz owoce naszej ciężkiej pracy. Wprost przeciwnie, cofnie nas do tyłu, gdyż z działaczy społecznych sprowadzi nas jedynie do statusu szarego elektoratu.

No właśnie, to kolejny wątek. Niektórym „anarchistom" wydaje się, że zaangażowanie w działalność partii *Razem* jest formą działalności społecznej. Nic bardziej mylnego. Działalność partyjna, a także uczestnictwo w demokracji parlamentarnej, bardziej usypia niż rozbudza działalność społeczną. Wrzucenie kartki wyborczej usypia sumienie, daje złudne poczucie wpływu na rzeczywistość, a co za tym idzie odciągają od wartościowej pracy na rzecz najbliższego otoczenia. To przecież anarchistyczny elementarz...

Dlaczego niektórzy z nas uwierzyli, iż partia *Razem* zrealizuje swój program wyborczy? Doprawdy nie wiem, czym tak uwiedli naszych „anarchistów" fioletowi socjaldemokraci. Czy przykład greckiej *Syrizy*, która zdobyła władzę głosząc o wiele radykalniejsze hasła, a następnie w ekspresowo krótkim czasie zgodziła się na dyktat cięć budżetowych, narzuconych przez decyzyjne państwa w UE, nie był dość wymowny? Dlaczego *Razem* miałoby nie pójść na drogę kompromisu z korporacjami finansowymi? Naprawdę uwierzyliście, że oni będą mogli znieść kapitalizm? I jeszcze jedno, nie łudźcie się moi drodzy fioletowi anarchiści, *Razem* nawet jeżeli zdobędzie władzę, to przejmie także państwowy aparat ucisku - policję, wojsko i służby specjalne, które w sytuacji zagrożenia własnego *status quo*, nie zawaha się go użyć przeciwko społeczeństwu. Wam także, moi naiwni towarzysze. Kończąc ten dosyć smutny w swej wymowie tekst, nie sposób poruszyć najważniejszej kwestii, a mianowicie świadomości ideowej polskich anarchistów. Musi być ona niestety bardzo niska, skoro wystarczyło, aby pojawiła się partia ze średnio radykalnym programem politycznym, aby wzbudzić zaufanie części polskich anarchistów. Moi drodzy, czas zadać sobie pytanie - czy jestem anarchistą, czy po prostu kolejnym zwolennikiem lewicy parlamentarnej? Nie ma, powtarzam, nie ma możliwości połączyć ideałów z definicji antypaństwowych, z działalnością w socjaldemokratycznej partii politycznej, mającej ambicje parlamentarne. To absurd. Nieliczne głosy mówiące, że po przejęciu władzy przez *Razem*, uda się państwo znieść ustawą, nawet nie będę komentował. Pewne przejawy nonsensu i groteski, po prostu pominę milczeniem...

Niestety, jak widać, w polskim ruchu anarchistycznym zaniedbano edukację, niektórzy działacze nie znają podstawowych zasad idei, w imieniu której podobno działają. I to się zemściło. Nie wszystko bowiem można włączyć w pojemny worek działalności anarchistycznej. Paktowanie z przeciwnikiem, choćby nie wiem jak sympatycznym, nie rozwinie naszego ruchu, ani nie przybliży nas do upragnionej wolności. Czas powrócić do ideowych źródeł Koleżanki i Koledzy. Jeżeli tego nie zrobimy, to zamienimy się w towarzyską grupę statystów, bezwolnie podążających za lewicowymi liderami. Obym się mylił...

Typ spod Czarnej Gwiazdy



KRYZYS KONSTYTUCYJNY. KRYZYS PAŃSTWA?

okiem anarchisty

W niecałe dwa miesiące po ostatnich wyborach parlamentarnych, które przypieczętowały przejęcie pełni władzy przez narodowo-konserwatywny obóz *PiS*, temperatura politycznej debaty osiągnęła nieznany od dawna poziom. Z pozoru błahy konflikt wokół obsady Trybunału Konstytucyjnego (dalej TK) w błyskawicznym tempie eskaluje do rangi sporu o ideowe podstawy i wizję funkcjonowania państwa.

Polityczne partie i środowiska, do niedawna jeszcze będące filarami parlamentarnej demokracji i zwalczające od lat wszelkie przejawy społecznej aktywności, wykraczające poza udział w wyborach i bierne podporządkowanie się woli wyłonionej w nich parlamentarnej większości, dziś apelują do społeczeństwa o udział w ulicznych protestach i przeciwstawienie się rzekomej „dyktaturze matematycznej większości", zagrażającej podstawom demokracji.

Z niebytu społecznej apatii wyłonił się *Komitet Obrony Demokracji*, rzekomo apolityczny, spontaniczny ruch rzekomego społeczeństwa obywatelskiego w broniące liberalnej demokracji. Wokół protestów *KOD* krystalizuje się polityczna koalicja, egzotyczny sojusz ortodoksyjnych neoliberałów, niedawnych partii aparatu władzy i niedobitków socjaldemokratycznej lewicy. Entuzjazm liberalnych mediów relacjonujących demonstracje *KOD* nie pozwala mieć złudzeń, po której stronie sporu leży sympatia wielkiego kapitału, którego interesy reprezentują.

Polaryzacja opinii i stanowisk dotyka coraz to nowych dziedzin życia: nie ma już powszechnie szanowanych autorytetów, niezawisłych sędziów, kompetentnych ekspertów, niezależnych dziennikarzy czy wartościowych artystów. Są nasze autorytety i ich autorytety, nasi sędziowie i ich sędziowie, nasi eksperci i ich eksperci, nasze media i media należące do „nich", nasi poeci i ich poeci... Mniejsza o to, która ze stron ustrojowego konfliktu jako pierwsza odkryła, że przypisanie politycznych preferencji którejkolwiek z postaci toczącego się dramatu automatycznie odbiera jej walor obiektywizmu i prawo do reprezentowania „świata wartości" - czy to społecznych, czy też ustrojowych bądź artystycznych. Dziś już obie strony równie ochoczo korzystają z tego odkrycia, na wyścigi podkopując wszystko to, co do niedawna wydawało się wspólne, przesądzone, nie podlegające dyskusji. W błyskawicznym tempie wszystko staje się polityczne. „Nasi" politycy, sędziowie, dziennikarze czy artyści z definicji są bezstronni, niezależni, pełni troski o dobro kraju i współobywateli. „Ich" - z definicji są partyjnymi funkcjonariuszami pozbawionymi osobistych przymiotów, marionetkami wypełniającymi wolę politycznych mocodawców.

Liberałowie i konserwatyści są siebie warci: ci, którzy w politycznych adwersarzach widzą „komunistów i złodziei" i ci, którzy w jednym zdaniu wynoszą pod niebiosa wartości demokracji i konstytucji i domagają się, by demokratycznie i konstytucyjnie wybrane władze podały się natychmiast do dymisji.

Liberalni intelektualiści jeszcze niedawno trzęśli się ze świętego oburzenia, gdy przeciwna strona atakowała bliskich im ideowo artystów czy dzieła, bronili Olgi Tokarczuk czy Władysława Pasikowskiego przed nagonką „prawdziwych patriotów". Dzisiaj - z radością małego inkwizytora w oczach - polują na kompromitujące wypowiedzi poety Rymkiewicza i krzyczą o skandalu za każdym razem, gdy dorobek któregoś z prawicowych artystów doczeka się wyrazów uznania.

Społeczeństwo przechodzi przyspieszony kurs upolitycznienia, posiadanie poglądów przestało być obciachem. Wbrew obawom części intelektualnych elit, to raczej przejaw powrotu do normalności, choć minie pewnie jeszcze sporo czasu, zanim obie strony nauczą się pokojowego współżycia w realiach „politycznej wielokulturowości".

Apolityczność. Mit „konstytucji" i mit „narodu"

Zabawne, jak w momencie systemowego konfliktu określenie „polityczny" zyskało dla samych polityków głęboko negatywny wydźwięk. Ta krytyka „politycznych nominacji" w mediach, aparacie państwowym czy sądownictwie, którą od rana do wieczora serwują nam liberalne media, na nowo stawia w centrum społecznej uwagi jeden z najważniejszych mitów liberalnej demokracji, jej kłamstwo założycielskie - apolityczność. Jej podstawowe znaczenie, dla zachowania stabilności i ciągłości systemu państwowego, zauważył już pod koniec lat 60. Guy Debord, i choć swe refleksje na temat metod działania współczesnej klasy panującej i ich konsekwencji dla społeczeństwa opierał pierwotnie na analizie totalitarnej biurokracji spektaklu skoncentrowanego, pasują one jak ulał również do demokracji liberalnej: „Panująca klasa ideologiczno - totalitarna to władza odwróconego na opak świata: im jest silniejsza, tym głośniej zapewnia, że nie istnieje, a swoją siłę wykorzystuje przede wszystkim do tego, by przydać owym zapewnieniom mocy. Zresztą wykazuje się skromnością tylko w tej jednej kwestii, jej oficjalne nieistnienie jest bowiem tożsame z nec plus ultra rozwoju historycznego, które mielibyśmy rzekomo zawdzięczać jej nieomylnemu przywództwu. Wszechobecna biurokracja ma być dla świadomości klasą niewidzialną. Całe życie społeczne popada tym samym w obłęd. Społeczna organizacja absolutnego kłamstwa wyrasta z tej zasadniczej sprzeczności" (1).

Ta „niewidzialna klasa" istnieje i ma się dobrze również i w polskim systemie politycznym, zanim jednak przejdziemy do omówienia jej znaczenia w obecnym konflikcie, zacząć należy od przedstawienia tego z wymiarów systemu, w którym się on rozpoczął - sfery praw i instytucji. Jak się zaraz przekonamy, krytyka Deborda odnosi się do niej w jeszcze większym stopniu, niż do sfery realnego aparatu państwa.

Jak uczy nas liberalno - demokratyczna mitologia, władza państwowa w znanej nam współcześnie formie wyłoniła się z „umowy społecznej" - hipotetycznego aktu, w którym ogół wolnych jednostek zrzeka się dobrowolnie części swych praw na rzecz władzy państwowej, uzyskując w zamian gwarancję osobistego bezpieczeństwa i społecznego rozwoju. Obowiązujący system prawny, z konstytucją jako podstawowym aktem normatywnym, to zatem nic innego jak treść tej umowy państwa ze społeczeństwem, aparat państwowy czerpie swą władzę z dobrowolnej zgody społeczeństwa na „bycie rządzonym", sfera walki partyjno - politycznej ma zaś być tym obszarem, na którym dokonuje się nieustająca renegocjacja pierwotnej umowy, dostosowanie jej do warunków zmieniającego się świata, i sprzecznych na ogół postulatów różnych grup społecznych.

Wszystkie rządy państw liberalno - demokratycznych stają zatem przed podstawowym problemem: jak zapewnić ciągłość funkcjonowania władzy (i własną, dominującą pozycję) w systemie, w którym przynajmniej teoretycznie, każde wybory parlamentarne mogę nie tylko wysadzić je z siodła, ale i wynieść na ich miejsce siłę polityczną, dysponującą społecznym mandatem do zasadniczej zmiany reguł gry, zasad funkcjonowania państwa, praw i przywilejów władzy? Zwracał na to uwagę Rafał Górski w swej *Demokracji uczestniczącej*, gdzie poświęcił wiele miejsca krytyce amerykańskiej demokracji liberalnej jako systemu, który od momentu swego powstania miał zapewnić rządy „oświeconej mniejszości" nad „nieodpowiedzialnym motłochem". Każdy „demokratyczny" rząd na świecie stara się osiągnąć dokładnie ten sam cel co amerykańscy „ojcowie założyciele" - z upływem czasu i ewolucją systemów demokratycznych zmieniają się jedynie metody. Twierdzenie o „apolityczności" wybranych instytucji państwa jest jedną z najbardziej skutecznych.

Mówiąc w największym skrócie: jeśli władza państwowa czerpie swą legitymizację z umowy społecznej, polityka zaś jest przestrzenią ciągłej renegocjacji tej umowy to, co „apolityczne" nie podlega tym negocjacjom, jest poza dyskusją, trwałe i niezmienne pomimo zmieniającej się wyborczej koniunktury. W ten oto sposób, niczym królik z kapelusza, w systemie w którym cała władza pochodzi z umowy ze społeczeństwem, pojawiają się obszary nie objęte tą umową, nie podlegające demokratycznym standardom i procedurom. „Niewidzialne" - jak pisał Debord. Nie trzeba dodawać, iż o tym, co jest „polityczne", co zaś „apolityczne", decyduje sama władza, na ogół przy współudziale przychylnego sobie aparatu medialno - propagandowego.

Techniki tej magicznej przemiany, tego co wynegocjowane, w to co odwieczne, niezmienne i nie podlegające dyskusji, to już tajemnica warsztatu każdego z rządowych „czarodziejów", zaś omówienie wszystkich wymaga osobnego tekstu. Toczący się od kilku miesięcy spór wokół TK pozwala jednak poznać przynajmniej niektóre z nich.

Zamieszanie wokół TK, które na początku sprawiało wrażenie standardowej potyczki o administracyjne stołki, w przeciągu paru

tygodni przerodziło się coś, co mainstreamowi komentatorzy określili jako „kryzys konstytucyjny". Szybkość tej eskalacji i kaliber wytaczanych przez obie strony sporu dział świadczą, że mieliśmy do czynienia z rzeczywistym starciem dwu wizji funkcjonowania państwa, nie zaś z typowym konfliktem politycznym, sztucznie podsycanym dla osiągnięcia taktycznych celów jednej ze stron. Osią sporo była kwestia „apolityczności" bądź „polityczności" sądu konstytucyjnego, stawką - przypisanie go do puli politycznych łupów, jakie przypadają w udziale zwycięscy wyborów, a więc wyrwanie go z systemu kotwic, gwarantujących sprawowanie władzy przez „oświeconą większość". W toku kryzysu stało się to aż nadto widoczne. Pod ostrzałem niespodziewanej krytyki, liberalno - demokratyczna narracja zaczęła pokazywać swoje antydemokratyczne oblicze.

Jak wszyscy pamiętamy, podczas grudniowej batalii, narracja „obozu konstytucyjnego", złożonego z polityków partii liberalnych, mediów tej orientacji oraz promowanych przez nie tzw. autorytetów, skupiała się wokół obrony „porządku konstytucyjnego", zagrożonego przez uzurpatorskie działania parlamentarnej większości. Wedle tej narracji, TK obdarzony przymiotami niezależności, apolityczności i obiektywizmu, gwarantować miał, że bez względu na wyborczy wynik ustrojowe podstawy państwa nie zostaną zmienione, a demokracja liberalna nie zmieni się w „dyktaturę większości". Ta mesjanistyczna wizja roli sądu konstytucyjnego, rozwijana wraz z narastaniem sporu, znalazła swój najpełniejszy wyraz w wywiadzie, jakiego prezes trybunału, Andrzej Rzepliński, udzielił telewizji *TVN24* w połowie grudnia zeszłego roku. Powiedział wówczas, między innymi: „Nikt, nawet tysiąc Kukizów, nie może ruszyć podstaw ustroju wolnej, demokratycznej, sprawiedliwej, wolnościowej Polski. A to jest zapisane w konstytucji." (2).

Nie sposób zauważyć, iż taka wizja miejsca sądu konstytucyjnego w systemie prawnym i stojących przed nim zadań nie ma wiele wspólnego ani z zasadami, na których wedle własnych deklaracji opiera się liberalna demokracja, ani z rzeczywistością.

Przede wszystkim nie sposób bronić tezy, że TK, złożony z sędziów wybieranych w efekcie procesu politycznego i działający - jakby nie patrzeć - w oparciu o przepisu będące efektem politycznego kompromisu, sam jest ciałem niezależnym i obiektywnym, a przede wszystkim - apolitycznym. Stworzony przez określony system polityczny i zajmujący w nim jedno z kluczowych miejsc, sam pozostaje bytem wobec niego zewnętrznym, nie uczestniczy w politycznych rozgrywkach i nie podlega ich wpływowi, chroniony przed pokusą wykorzystania własnej pozycji przez „supermoce" nadane mu przez dziennikarzy *Gazety Wyborczej* i *TVN24*.

Jeśli by nawet, przy dużej dozie dobrej woli, uwierzyć, iż w sądzie konstytucyjnym zasiadają istoty ulepione z lepszej gliny, obiektywne i nieomylne w swych decyzjach, wolne od pokus bieżącej polityki - choć wybrane na swój urząd przez samych polityków - pozostaje drugi, równie istotny problem. Zdefiniowanej przez środowiska liberalne pozycji TK w systemie demokratycznym nie da się bowiem wyprowadzić z podstawowych zasad tego systemu, z oficjalnej, liberalnej ideologii umowy społecznej. Jeśli bowiem wyłoniona w wyborach większość parlamentarna reprezentuje większość społeczeństwa i dysponuje najwyższym mandatem do sprawowania władzy (załóżmy przez chwilę, iż to prawda), jednym słowem - ma prawo renegocjacji umowy społecznej, jak uzasadnić istnienie instytucji, dysponującej prawem wetowania podjętych przez nią decyzji w imię obrony „porządku prawnego" lub „ustrojowych podstaw państwa"? Tak zdefiniowany TK broniłby społeczeństwa przed nim samym, oceniając czy demokratycznie wyrażona wola większości społeczeństwa nie godzi w zasady samej demokracji, zawarte w *Konstytucji*, która sama jest wyrazem tej woli. Stojąc na ich straży, jednocześnie podlegałby prawu i stał ponad nimi, jako reprezentant porządku wyższego niż ono: władzy oświeconej mniejszości, jedynego posiadacza liberalnych prawd objawionych.

Oczywiście - diabeł tkwi w szczegółach - w tym przypadku w szczegółach konstytucyjnych zapisów, uzależniających mandat do zmiany przepisów prawa od posiadanej w parlamencie większości. Co wolno 2/3 posłów, tego nie wolno zwykłej większości. Skoro jednak sam prezes najważniejszego sądu w kraju twierdzi, że „nawet tysiąc Kukizów" nie ma prawa tykać się konstytucji i zmieniać ustrojowych podstaw państwa, bez względu na parlamentarną arytmetykę, narracja „obozu konstytucyjnego" byłyby taka sama. Taka interpretacja ustawy zasadniczej prowadzi do dyktatury konstytucji.

Po drugiej stronie politycznej barykady trzeźwej refleksji o politycznym charakterze sądu konstytucyjnego, towarzyszyła narracja o wyższości, wyrażonej w wyborach, woli większości społeczeństwa nad funkcjonującymi obecnie przepisami prawa i decyzjami powołanych przez nie instytucji. Streszczeniem tych poglądów było przemówienie weterana *Solidarności Walczącej*, Kornela Morawieckiego, na inauguracyjnym posiedzeniu nowego sejmu: „Nad prawem jest dobro narodu. Jeżeli prawo to dobro zaburza, to nie wolno nam uważać tego za coś, czego nie możemy naruszyć. (...) Prawo, które nie służy narodowi, to jest bezprawie." (3)

Podobne stwierdzenia w ustach marszałka - seniora najważniejszej z demokratycznych instytucji powinny być niczym miód na serce dla każdego anarchisty - illegalisty. Prymat interesu społecznego nad instytucjami państwa, mandat do unieważnienia praw stojących na straży systemu w imię dobra większości - w porównaniu z liberalną narracją o rządach prawa i nienaruszalności ustrojowych podstaw brzmiały nader obiecująco. Nie minęło jednak wiele czasu, nim okazało się, że to odmieniane przez wszystkie przypadki „dobro narodu" (termin występujący zamiennie z „wolą większości społeczeństwa") jest dla konserwatywno - narodowej prawicy tożsame z własnym programem politycznym i doraźnymi celami, jakie wyznacza. Obóz rządzący posłużył się zatem klasycznym, demokratycznym mitem, wedle którego parlamentarna większość reprezentuje we wszystkich swych poczynaniach większość społeczeństwa, i na czas aż do kolejnych wyborów ma nieograniczony mandat do działania w jej imieniu.

To założenie stało się ideologiczną bazą prawicy w batalii o TK. Zgodnie ze stanowiskiem obozu rządowego, społeczny mandat uzyskany w wyborach jest silniejszy, niż mandat sądu konstytucyjnego, wynikający z zapisów prawa i politycznych decyzji poprzedniego parlamentu. Stąd wynika nieograniczone prawo parlamentarnej większości do ustalania zasad działania trybunału i manipulowania jego składem.

Podstawową słabością takiego stanowiska jest oczywiście przyjęcie wygodnej dla rządzących tezy, jakoby za sprawą wyborczego wyniku reprezentują oni wolę większości społeczeństwa. Założenie takie ma charakter aksjomatu, twierdzenia którego nie da się w żaden sposób wyprowadzić ani z zasad parlamentarnej demokracji, ani z doświadczenia jej praktycznego funkcjonowania. Można je co najwyżej przyjąć na wiarę. Wiara taka prowadzi do dyktatury parlamentarnej większości.

Poczynania parlamentarnej większości wywołały wściekłą reakcję obozu liberalnego, słusznie oceniającego, iż prawicowa narracja o „wyższości woli narodu" uderza bezpośrednio w ideowe podstawy liberalnej demokracji: nienaruszalność zapisów konstytucji, która będąc podstawą demokratycznego porządku sama jest ponad nim i nie podlega zwykłym, demokratycznym procesom i trwałość instytucji, powołanych dla obrony takiego stanu rzeczy. W odpowiedzi liberałowie zaatakowali ideowe fundamenty narracji konserwatystów, podważając ich mandat do reprezentowania większości społeczeństwa. Zabawnie było obserwować, jak ci sami politycy, którzy jeszcze kilka miesięcy temu z pełnym przekonaniem twierdzili, iż sprawują władzę z woli społeczeństwa, w związku z czym mają pełne prawo podnosić wiek emerytalny czy dysponować oszczędnościami przyszłych emerytów nie pytając o zdanie samych zainteresowanych - z wypiekami na twarzy dowodzą, że ich adwersarze, choć mają większość w parlamencie, w rzeczywistości reprezentują skromną mniejszość, która oddała na nich głos. Zapominając oczywiście, iż sami cieszyli się pełnią władzy pomimo równie skromnego poparcia.

Czas pokaże, która ze stron poniosła w tej odsłonie konfliktu większe straty, pewne jest jednak to, iż największym jego przegranym będzie sam system liberalno - demokratyczny. Po raz pierwszy od burzliwego początku lat 90., wojny na górze i nocy teczek, w wyniku eskalacji konstytucyjnego sporu polityczne elity same zaatakowały ideowe podstawy systemu, którego są beneficjentami. Obustronny ostrzał ugodził pielęgnowane przez ostatnie ćwierć wieku dogmaty państwa: społeczny mandat do sprawowania władzy przez parlamentarną większość, nienaruszalność konstytucyjnego porządku, bezstronność i apolityczność TK. W apogeum sporu przypominał on grę w rosyjską ruletkę z udziałem polityków rządu i opozycji - chęć postawienia na swoim wzięła górę nad instynktem samozachowawczym, nakazującym oszczędzić to, co obu stronom zapewnia władzę i przywileje. Gdy jego dalsza eskalacja stała się zbyt niebezpieczna, nadszedł czas na zawarcie rozejmu, i choć walka toczyła się w błysku fleszów, negocjacje pokojowe toczą się w zaciszu gabinetów. Jowialna twarz prezesa Rzeplińskiego zniknęła z telewizorów - zastąpiły ją zatroskane oblicza unijnych komisarzy...

Aparat - ciemna materia państwa

Aparat biurokratyczno - państwowy obecnie w Polsce to prawie milion urzędników (4), przez szereg lat administracja państwowa była

jedyną dziedziną gospodarki, w której rosło zatrudnienie. Ta armia biurokratów, zatrudnionych w setkach, jeśli nie tysiącach urzędów, biur, inspekcji, funduszy i spółek skarbu państwa, obraca każdego roku ponad 300 miliardami złotych, składającymi się na budżet państwa. Od wykopania szamba na działce po budowę elektrowni atomowej - prawie każda forma społecznej aktywności wymaga zgody któregoś z biurokratów. Jeśliby kiedykolwiek przeprowadzić badania nad tym, jaki odsetek istotnych dla każdego z nas decyzji podejmowany jest przez władze pochodzące z wyboru, a jaki leży w kompetencjach tej anonimowej machiny, okazałoby się zapewne, że aparat państwowy jest realnym decydentem, prawdziwym kręgosłupem systemu. Jeśli stanowiska polityczne w administracji centralnej porównać do gwiazd, widzianych gołym okiem, biurokracja, nosząca dumne miano „służby cywilnej", jest ciemną materią państwowego wszechświata - niewidzialną dla oka, a jednak całkowicie go wypełniającą i decydującą o jego wewnętrznej dynamice.

Stanowiska polityczne w administracji, obsadzane według partyjnego klucza, stanowią pomimo ostatnich zmian w prawie, znikomą część aparatu. Resztę stanowią, na mocy konstytucji, „apolityczni specjaliści" - „w celu zapewnienia zawodowego, rzetelnego, bezstronnego i politycznie neutralnego wykonywania zadań państwa, w urzędach administracji rządowej (...)" (5). Obsadzane są one w drodze konkursów.

Intuicja i codzienne doświadczenie podpowiadają, iż każda instytucja dąży w naturalny sposób do podporządkowania sobie całej, dostępnej przestrzeni, zaś granicą jej strefy wpływów są interesy innych grup i instytucji, wykazujących podobne dążenia. Pamiętając o tym, trudno uwierzyć w tezę o „apolitycznej administracji" jako obszarze, nad którym władza polityczna dobrowolnie zrzekła się kontroli na rzecz kadry zawodowych biurokratów. Administracja państwowa skupia w swoim ręku zbyt wiele władzy, ma potencjalnie zbyt wielki wpływ na sukces lub porażkę swych politycznych mocodawców, by mogła pozostać niezależna. Nie jest też taka w rzeczywistości - w swej typowej dla demokracji liberalnej postaci jest raczej kolejną z „systemowych kotwic" gwarantujących, że ewentualna wyborcza wygrana sił, dążących do realnej zmiany reguł gry nie doprowadzi do destrukcji „systemowych podstaw państwa." Jeszcze bardziej niż inne, „apolityczne" ciała, administracja państwa jest obszarem rzeczywistej walki politycznej, w której przedstawiciele poszczególnych partii i frakcji za kulisami wykuwają kompromis, odzwierciedlający rzeczywisty układ sił w państwie. Prawie milion urzędniczych etatów, geograficznie i strukturalnie rozproszonych w ramach struktur państwa i stała groźba administracyjnego „sabotażu" gwarantują, iż każda „nowa władza" musi się dogadać ze „starą władzą," czasowo przynajmniej powstrzymać swój apetyt na przejęcie całości aparatu, zrezygnować z najbardziej radykalnych projektów w imię zachowania sprawności całego systemu, a więc i własnej, realnej władzy nad krajem. „Apolityczność" administracji, a więc w praktyce wyłączenie jej spod demokratycznych zasad obsadzania politycznych stanowisk sprawia, że cały ten proces ucierania się politycznego kompromisu nigdy nie jest transparentny, rządzi się własnymi, niepisanymi prawami, dzieje się w zaciszu gabinetów, z dala od choćby pozorów społecznej kontroli.

O tym, iż dzieje się to rzeczywiście, świadczą nie tylko wypowiedzi „skruszonych" polityków, jak niedawny *bon mot* byłego premiera Leszka Millera, który w jednym z programów publicystycznych oświadczył, iż nawet stanowisko sprzątaczki w urzędzie wojewódzkim obsadzane jest z politycznego klucza. Również badania, przeprowadzone przez organizacje dalekie od sympatii wobec którejkolwiek ze stron politycznego sporu prowadzą do podobnych wniosków. Przed trzema laty polski *Greenpeace* wziął pod lupę obsadę stanowisk w państwowym koncernie energetycznym PGE (6). Krótka analiza powszechnie dostępnych informacji o ruchach kadrowych wewnątrz holdingu, podlegającej wszak nie tylko antykorupcyjnym przepisom, dotyczącym spółek skarbu państwa, lecz również audytowi instytucji finansowych, ukazała istnienie dziwacznej karuzeli stanowisk, wynoszącej byłych ministrów na kierownicze stanowiska w spółkach, podpisujących wielomiliardowe kontrakty ze Skarbem Państwa, zaś ich doradców czy szeregowych, partyjnych aparatczyków na posady w ich radach nadzorczych czy mniej eksponowane, kierownicze stołki w terenie. Całość przypomina znany z poprzedniego systemu fenomen „członka, wysuniętego z ramienia na czoło" - cudu peerelowskiej chirurgii będącego w rzeczywistości skrótowym obrazem partyjnej nomenklatury, kasty „specjalistów od wszystkiego", obsadzającej kluczowe stanowiska w aparacie państwowym i gospodarce.

Konserwatywna prawica, która przejęła władzę w wyniku ostatnich wyborów, rozpoczęła swe rządy od podporządkowania sobie administracji, zdominowanej przez wrogich jej liberałów. O mentalności nowej władzy wiele mówi fakt, że pierwszą instytucją, nad którą przejęła całkowitą kontrolę, był aparat przemocy - policja i prokuratura jako organa przemocy fizycznej oraz media publiczne, narzędzie ideologicznej przemocy państwa. Następnie, na mocy nowelizacji ustawy o służbie cywilnej, pod koniec stycznia rozpoczęła się czystkach w urzędach centralnych i wojewódzkich.

Trzeba zauważyć, że narodowi konserwatyści nie wymyślili tu nic oryginalnego - każda kolejna ekipa, niezależnie od politycznej orientacji, robi dokładnie to samo. Cele władzy się nie zmieniły - inne są jedynie środki. Zamiast mozolnych, zakulisowych negocjacji i koncesji na rzecz funkcjonariuszy związanych z ustępującą ekipą, nocna zmiana odpowiednich ustaw otwierająca drogę do większej (jednak nie całkowitej) swobody powoływania i odwoływania osób, sprawujących kierownicze funkcje. Zamiast pozorów niezależności - jawne upolitycznienie. Obóz rządzący uzasadnia te systemowe zmiany w funkcjonowaniu podległego mu aparatu z cyniczną szczerością - skoro apolityczność instytucji państwowych od początku była fikcją, ich jawne upolitycznienie jest krokiem w stronę transparentności całego systemu, przywróceniem zgodności teorii z praktyką.

Trudno się dziwić, że ani potraktowanie aparatu państwowego jako politycznego łupu, ani narracja, jaka ma ten fakt uzasadnić nie spotkały się z aprobatą polityczno - medialnego obozu liberałów. Podnoszone przezeń argumenty są dwojakiego rodzaju. W pierwszej fazie konfliktu, w toku prac nad ustawą medialną i nowelizacją ustawy o służbie cywilnej, przeważała krytyka z pozycji systemowych, narracja o zamachu, dokonywanym przez rządzącą prawicę na apolityczną służbę cywilną. Państwowa biurokracja, podobnie jak sowicie opłacane gwiazdy państwowych mediów, nigdy nie były obiektem specjalnej, społecznej sympatii, zaś przekonanie o upolitycznieniu obu tych instytucji są na tyle powszechne, iż argumentacja taka nie wytrzymała konfrontacji z przekazem obozu rządowego. W związku z tym, te pryncypialne stanowisko w kwestii obrony apolitycznej administracji zastąpiła wkrótce bardziej pragmatyczna argumentacja o niekompetencji przyszłych urzędników, wyniesionych na stanowiska w efekcie *PiS*-owskiej czystki.

Trudno w tym momencie ocenić, czy nowa, bardziej polityczna administracja państwowa będzie rzeczywiście bardziej niekompetentna od obecnej. Nie sposób jednak nie zauważyć, iż dzięki zamieszaniu, jakie powstało za sprawą skoku obozu rządowego na państwowe media i biurokrację, ucierpiała reputacja obu tych instytucji, jako apolitycznych tworów służących przede wszystkim społeczeństwu. Reputacja niezasłużona, oparta nie tyle na faktach, co na powtarzanych przez ostatnie ćwierć wieku mitach liberalnej demokracji. Każde państwo jest bytem politycznym, w którym polityka rządzącej ekipy kieruje działaniem wszystkich państwowych instytucji. Zapisana w ustawie zasadniczej apolityczność administracji państwowej nie chroni jej niezależności, sprawia jedynie, że procesy podziału władzy i wpływów w ramach biurokracji są wyłączone spod demokratycznej kontroli, przewidzianej dla innych, pochodzących z wyborów instytucji. Być może dzięki „upolitycznieniu" administracji ten stan rzeczy zmieni się choć trochę, w każdym bądź razie odpowiedzialność za działania takiej „politycznej" administracji spadnie bezpośrednio na barki rządzącej ekipy. Władza straci jeden ze swoich ulubionych argumentów - twierdzenie, iż gdy w państwie dzieje się coś złego, dzieje się tak bez jej wiedzy i winy.

Pewne jest również to, iż starcie z inercją i polityczną opozycją aparatu państwowego będzie jednym z najważniejszych testów siły prawicowo - konserwatywnej ekipy. To pierwszy z obszarów, na których polityczne deklaracje o woli zmian i skrywane pod nimi aspiracje do zdobycia pełni władzy spotkają się z rzeczywistym oporem, zaś ostateczny stan równowagi między wpływami nowego a starego aparatu, jaki zapanuje w efekcie obecnej konfrontacji będzie najlepszym wskaźnikiem potencjału prawicowej władzy. Drugim z nich będzie zaś zakres państwowej kontroli nad gospodarką.

Gospodarka

„Spektakularne opozycje w rzeczywistości skrywają jedność nędzy. Rozmaite postacie tej samej alienacji mogą toczyć ze sobą zaciekłe boje, udając skrajny antagonizm, są one bowiem wyrazem tłumionych wprawdzie, niemniej jednak realnych sprzeczności." (7).

Powyższa teza Deborda, idealnie wprost pasuje do opisu relacji pomiędzy sferą polityki i gospodarki w każdym kapitalistycznym państwie. Najbardziej zaciekłym sporom co do formy i zasad funkcjonowania instytucji politycznych, relacji z innymi państwami, czy w końcu obyczajowości, kultury i ideologii towarzyszy z reguły milcząca zgoda co do neoliberalnych pryncypiów w sferze produkcji i wymiany

dóbr. Dla liberałów wszystkich odmian, „wolny rynek" i zasada minimalizacji ingerencji państwa w gospodarkę (co w praktyce oznacza pełną dyspozycyjność władzy politycznej wobec kapitału) stanowi podstawowy dogmat. Żywiołem prawicy jest państwo i jego instytucje, na gruncie ekonomii nie czuje się ona zbyt pewnie i co do zasady pozostawia tę sferę we władzy kapitalistycznego „prawa naturalnego", jej bardziej narodowe odmiany wykazują skłonność do etatyzmu i podatność na pokusy ingerencji w ekonomię, konserwatyści hołdują wolnorynkowej ortodoksji. Socjaldemokracja - tam gdzie jeszcze istnieje - w podejściu do gospodarki cechuje się daleko posuniętym pragmatyzmem i woli nie zadzierać z wielkim kapitałem. Sfera ekonomii, choć stanowi materialną bazę dla istnienia państwa i ma bezpośredni wpływ na warunki życia każdego z jego mieszkańców, jest w dużej mierze wyłączona spod władzy aparatu politycznego - kapitał jest wystarczająco potężny, by dyktować mu swoje warunki i obronić własne zdobycze przed polityczną interwencją. Czy zatem rządy nowej, prawicowej ekipy przyniosą jakiekolwiek zasadnicze zmiany w relacjach państwo - praca - kapitał?

Zanim spróbuję odpowiedzieć na to pytanie, konieczne jest określenie gospodarczych warunków, w jakich przyszło funkcjonować nowej władzy. Przede wszystkim zauważyć trzeba, że po ćwierć wieku neoliberalnych reform, Polska jest typowym krajem peryferyjnym, z neokolonialną gospodarką zdominowaną przez międzynarodowy kapitał, dyktujący własne warunki w sferze produkcji i wymiany tak państwu, jak i lokalnym kapitalistom. Zgodnie z neoliberalną „teorią skapywania", polityka gospodarcza kolejnych rządów od początku lat 90. ubiegłego wieku koncentrowała się na zapewnieniu wielkiemu kapitałowi możliwie korzystnych warunków inwestowania w nadziei, iż taka niskokosztowa, oparta na prostych technologiach gospodarka wygeneruje dość nadwyżek, by zapewnić państwu środki na realizację ograniczonych do minimum zadań, społeczeństwu zaś warunki do reprodukcji zdolności produkcyjnych, a z czasem cywilizacyjnego awansu. Realizacji tego programu służyła, w pierwszym okresie reform, celowa destrukcja państwowego przemysłu, mająca dostarczyć prywatnemu kapitałowi tanich surowców - wykwalifikowanej siły roboczej i majątku produkcyjnego po zlikwidowanych przedsiębiorstwach. W tym samym celu, kolejne władze ograniczały również konsekwentnie zakres praw pracowniczych i związkowych, by w końcu stworzyć możliwość nieograniczonego zatrudniania pracowników poza regulacjami narzuconymi przez *Kodeks Pracy* i system powszechnych ubezpieczeń społecznych. Wraz z wejściem do Unii Europejskiej ostatecznie zniesiono też bariery w transferze kapitału i swobodzie inwestycji, zaś za sprawą systemu ulg i przywilejów dla inwestorów, obciążenia kapitału na rzecz państwa ograniczono do minimum.

Przez szereg lat system ten wydawał się działać. Przez ponad dekadę gospodarka stale rosła, choć powoli. Rozwijające się metropolie wchłonęły część siły roboczej z obszarów dotkniętych strukturalną zapaścią gospodarczą, resztę - prawie 3 miliony osób - udało się wyeksportować po otwarciu rynków pracy przez Unię Europejską, co zapobiegło zapewne załamaniu ekonomii na poziomie kraju i społecznemu wybuchowi. Zmasowana propaganda i umiejętna polityka - ciągłe przypominanie o obowiązku „zaciskania pasa" w imię bliskiego już nadejścia królestwa radosnej konsumpcji - i jednoczesne - stopniowe ograniczanie koszyka gwarantowanych przez państwu usług - pozwalały utrzymać społeczne niezadowolenie na bezpiecznym dla rządzących poziomie, bez ponoszenia przez państwo dodatkowych wydatków. W międzyczasie na styku kapitału i liberalnej ekipy, rządzącej samodzielnie przez osiem lat, lecz wywodzącej się jeszcze z czasów poprzedniego systemu, wyrosła sieć mniej lub bardziej formalnych powiązań: drzwi rządowych gabinetów (i jak się niedawno dowiedzieliśmy, uczęszczanych przez urzędników państwowych knajp...) były przed przedstawicielami biznesu zawsze szeroko otwarte, postulaty „rynku" mogły liczyć na zrozumienie - zaś politycy, którzy tymczasowo wypadli z rządowego obiegu na miejsce w tej czy innej radzie nadzorczej i związane z nim profity. W ten sposób rządy liberałów stały się gwarancją bezproblemowych i zyskownych interesów - a w ślad za tym kredytem zaufania szło poparcie korporacyjnych mediów.

Jak się wydaje, problemy rozpoczęły się około roku 2012, gdy do Polski dotarł spóźnione następstwa globalnego kryzysu finansowego, a inwestujące w naszym kraju korporacje w odpowiedzi na spadek popytu na kluczowych rynkach wdrożyły własne „programy oszczędnościowe" - nasilenie transferu nieopodatkowanych zysków do macierzystych krajów i dalszą „racjonalizację zatrudnienia" - zastąpienie umów o pracę, obciążonych składkami na ubezpieczenia społeczne, umowami śmieciowymi. Na efekty nie trzeba było długo czekać - pomimo, że w latach 2008 - 2013 przychody działających w Polsce firm prawie się podwoiły (rosnąc z trzech do grubo ponad pięciu bilionów złotych) wpływy z podatku dochodowego od przedsiębiorstw spadły o ponad 3 miliardy złotych, z 31,1 do 28 miliardów (8). Skutkiem tego udział wpływów z tego podatku w PKB spadł w tym okresie z 2,7 do 1,7% (9) i o tyle realnie zmniejszyło się obciążenie podatkowe wielkich korporacji. Warto dodać, że na chwilę obecną tak zwana „luka w CIT" - czyli różnica, między tym, co płacą firmy, a tym, co powinny płacić, szacowana jest na od 10 do 43 miliardów złotych. Jeszcze bardziej dramatycznie przedstawiają się statystyki ściągalności podatku VAT, z którego pochodzi ponad 1/3 dochodów budżetowych. W tym przypadku wartość podatku, którego nie udało się ściągnąć do budżetu, w latach 2007 - 2015 zrosła pięciokrotnie! O ile w zeszłym roku „luka w VAT" wyniosła w liczbach bezwzględnych 41 miliardów złotych, o tyle w zeszłym roku było to już 53 miliardy (10), wobec 124 które trafiły do kasy państwa. Równocześnie - dalszy rozkwit śmieciowych form zatrudnienia uderzył bardziej bezpośrednio w system państwowych ubezpieczeń społecznych. Gdyby tego było mało, napływ nowego kapitału inwestycyjnego z zagranicy zmalał w 2011 roku o połowę, a rok później zagraniczne firmy wycofały z Polski więcej środków, niż zainwestowały. Sytuacja ta powtórzyła się w krytycznym roku 2013, gdy z kraju wypłynęło w ten sposób ponad 23 miliardy złotych (11).

Patrząc na te statystyki, trudno się w zasadzie dziwić, że finanse państwa, oparte na „supermarketowych" zasadach (duży obrót - niskie marże) zaczęły rozłazić się w szwach. Model gospodarki, oparty na napływie zagranicznych inwestycji w dziedziny przemysłu nie wymagające wysokich nakładów i skomplikowanych technologii, a zarazem nie generujące wysokich zysków w oparciu o niskie koszty pracy i obciążenia podatkowe (a przede wszystkim możliwość uniknięcia wielu z nich) osiągnął swoje naturalne granice, gdy tylko zmalał strumień bezpośrednich inwestycji. Dochody budżetu państwa znalazły się w niebezpieczeństwie, wydatków nie bardzo dało się już ograniczać, możliwości zaciągania długów wyczerpały się dawno temu... W tej sytuacji liberalny rząd zmuszony był sięgnąć do kieszeni grup społecznych, stanowiących jego własne zaplecze polityczne. Z fatalnym dla siebie skutkiem.

Symbolem porzucenia noeliberalnego dogmatyzmu na rzecz bardziej pragmatycznej polityki finansowej było powołanie w listopadzie 2013 roku na stanowisko ministra finansów Mateusza Szczurka. Nie można wykluczyć, iż w długofalowych planach *Platformy Obywatelskiej* ten młody ekonomista miał pełnić rolę „zderzaka", który po wykonaniu brudnej roboty miał zostać wymieniony, w imię naprawy relacji ze społeczeństwem - a przede wszystkim z kapitałem. Tego się szybko nie dowiemy, faktem jest, że to właśnie z jego nazwiskiem wiąże się największy od dekady atak na kieszenie dużych i małych kapitalistów, jak i całego społeczeństwa. Ta walka o ratowanie budżetu zaczęła się po cichu, od stopniowego przykręcania śruby drobnym, krajowym przedsiębiorcom, za pomocą stopniowej likwidacji rozlicznych ulg w prawie podatkowym i dokładniejszą (ich zdaniem - dokładną do przesady) kontrolę skarbową. Ten niespodziewany afront po latach przyjaznego współistnienia zraził małych i średnich przedsiębiorców do rządzącej ekipy - jeśli zastanowić się, dlaczego tak wielu polskich kapitalistów poparło w niedługo potem *PiS* (część znalazła swe miejsce w szeregach partii Kukiza), odpowiedź kryje się zapewne w zmianie polityki fiskalnej *PO* w ciągu ostatnich dwu lat.

O ile to drenowanie kont prywatnych przedsiębiorców odbywało się z dala od telewizyjnych kamer, kolejny etap „walki o budżet" stał się medialnym wydarzeniem. 6. grudnia 2013 roku sejm, głosami koalicji PO - PSL, przyjął ustawę o Otwartych Funduszach Emerytalnych, sankcjonującą *de facto* denacjonalizację systemu ubezpieczeń emerytalnych. W wyjątkowo krótkim czasie dwu miesięcy, połowa środków zgromadzonych przez społeczeństwo w prywatnych funduszach emerytalnych - w sumie ponad 150 miliardów złotych - trafić miała do ZUS, prywatnym firmom zakazano też inwestowania w państwowe obligacje. Obywatele kraju dostali trzy miesiące na podjęcie decyzji, czy chcą dalej oszczędzać na emeryturę w prywatnych funduszach, przy czym brak decyzji oznaczał przeniesienie wszystkich zgromadzonych składek do ZUS. W ten sposób, w ekspresowym tempie, liberalny rząd wycofał się z jednej ze sztandarowych reform liberalnej transformacji, jaką była prywatyzacja systemu emerytalnego. O skali społecznego sprzeciwu wobec niej świadczy to, że na dalsze korzystanie z „dobrodziejstw" prywatnego systemu emerytalnego zdecydowało się jedynie 15% w nim ubezpieczonych (12).

Reforma systemu ubezpieczeń emerytalnych uderzyła bezpośrednio w międzynarodowe korporacje finansowe, zarabiające przez 15 lat na prowizjach od prowadzenia kont emerytalnych.

Wystarczy spojrzeć na dowolny wykres, przedstawiający wyniki finansowe poszczególnych OFE by określić, które z nich zostały bezpośrednio poszkodowane, tracąc setki miliardów kapitału obrotowego. W obronie korporacji, tak brutalnie skrzywdzonych przez liberalny rząd, stanęło wkrótce 115 ekonomistów, sygnatariuszy listu otwartego w obronie OFE (13). Wśród tych „jedynych sprawiedliwych" neoliberalnej doktryny, poza - co raczej oczywiste - Leszkiem Balcerowiczem, znajdziemy również... Ryszarda Petru. Półtora roku później jego zaangażowanie zostało docenione - gdy *PO* utraciła zaufanie korporacji i ostatecznie skompromitowała się w oczach społeczeństwa, to właśnie on namaszczony został jak wiemy przez korporacyjne media na lidera opozycji i ostatnią nadzieję liberalizmu...

Chronologicznie, ostatnią antyliberalną reformą liberalnej ekipy było domknięcie luki w systemie ubezpieczeń społecznych, umożliwiającej zatrudnienie kilku milionów osób na umowy cywilno - prawne, pozbawiające je prawa do ubezpieczenia zdrowotnego i emerytalnego. Miało to miejsce w październiku 2014 roku, choć nowe zasady odprowadzania składek na ZUS, zgodnie z którymi mają być one odprowadzane od wszystkich zawartych przez danego pracownika umów do wysokości ustawowej płacy minimalnej, weszły w życie od początku tego roku. Ma to zapobiec sytuacji, w której składka ubezpieczeniowa opłacana jest jedynie od najniższej, opiewającej na symboliczną kwotę umowy. Posunięcie to spotkało się z oczywistą reakcją biznesu, pozbawionego możliwości dalszego przerzucania kosztów opieki zdrowotnej i zabezpieczenia w przypadku niezdolności do pracy na swoich pracowników i system państwowych ubezpieczeń społecznych.

Oczywiście, jak wszyscy pamiętamy, budżetowy pragmatyzm, który doprowadził poprzedni rząd do konfliktu z kapitałem uderzył równie mocno w ogół społeczeństwa. Symbolem tej polityki „mniej (świadczeń) za więcej (podatków)" jest z pewnością wydłużenie wieku emerytalnego w maju 2012 roku, o dwa lata dla mężczyzn i aż o siedem dla kobiet. Podniesienie wieku emerytalnego pomimo wyborczych obietnicy rządzącej ekipy, powszechnego sprzeciwu w społeczeństwie i kilku milionów podpisów zebranych przez związki zawodowe za referendum w tej sprawie, przelało być może szalę goryczy i rozwiało resztki złudzeń co do antyspołecznego charakteru liberalnych władz. Nawiasem mówiąc, trwający od 1999 do 2014 roku eksperyment z prywatyzacją systemu emerytalnego jest zapewne największym oszustwem dokonanym na społeczeństwie od czasów planu Balcerowicza. Oszczędności 16 milionów obywateli odbyły w tym czasie okrężną podróż z kasy państwa do kasy państwa - po drodze przewidywana wartość przyszłej emerytury spadła z 1/2 do 1/3 ostatniej pensji, a wiek emerytalny został wydłużony - dla kobiet o prawie dekadę.

Na początku zeszłego roku miały miejsce dwa ostatnie z wydarzeń, które doprowadziły obóz liberalny do utraty władzy. Próba zaoszczędzenia choć części z 4,5 miliarda złotych, jakie pochłaniają co roku dotacje do górnictwa, przez likwidację nierentownych kopalń doprowadziła w styczniu 2015 roku do wybuchu największego od lat strajku na Śląsku. Zdecydowana postawa związków zawodowych podczas kilkutygodniowych protestów zmusiła rząd do odłożenia swych planów na półkę, protest poparła większość społeczeństwa, solidaryzując się z górnikami broniącymi swych miejsc pracy. Władza przegrała strajk na dwu frontach - nie mogąc go złamać, wykazała się brakiem zdecydowania, próbując tego dokonać - kolejny raz pokazała swe antyspołeczne oblicze.

Ostatni cios spadł na rządzącą ekipę z dość niespodziewanej strony, był jednak o tyle bolesny, że uderzył wprost w jej najwierniejszych zwolenników. Gdy na początku zeszłego roku uwolniony kurs franka szwajcarskiego poszybował powyżej granicy 5 złotych, pozbawiony rezerw (i woli walki z systemem bankowym) rząd mógł tylko bezradnie rozłożyć ręce. Siedemset tysięcy rodzin, które uwierzyło w polski cud gospodarczy i zaciągnęło kredyt na mieszkanie we frankach znalazło się na lodzie. Setki tysięcy zwolenników neoliberalizmu po raz pierwszy poczuło na gardle niewidzialną rękę rynku.

Powody, które doprowadziły do zmiany rządzącej ekipy w październiku zeszłego roku, były moim zdaniem przede wszystkim ekonomiczne. Nawet jeśli w następstwie globalnego kryzysu finansowego, realne dochody społeczeństwa i poziom wyzysku przez kapitał znacząco nie wzrosły, poczucie stagnacji, swoistego ugrzęźnięcia w poczekalni rozwiniętego świata były w ostatnim roku coraz bardziej powszechne. Mniejszość społeczeństwa, która na fali liberalnej modernizacji podniosła swój status materialny i aspirowała do bycia klasą średnią, najmocniej odczuła oszczędnościową politykę ponadnarodowych korporacji, a później skokowy wzrost kursu franka a co za tym idzie - własnego zadłużenia. Większość, skazana na śmieciowe zatrudnienie i wieczne oszczędzanie od wypłaty do wypłaty, na dobre utraciła wiarę w to, iż ta ekonomiczna kondycja jest stanem przejściowym, że jeszcze rok - dwa zaciskania pasa i otworzy się przed nimi perspektywa nieograniczonej konsumpcji. Cała generacja, która weszła w dorosłe życie już po transformacji zrozumiała, iż bez systemowej zmiany nigdy nie osiągnie ekonomicznej stabilizacji i dochodów pokolenia własnych rodziców, nie mówiąc już o rówieśnikach, którzy przed kilku laty wyjechali z kraju.

W tej sytuacji kluczem do wyborczego zwycięstwa dla konserwatywnej prawicy okazał się pakiet socjalnych obietnic, mających zapewnić większości społeczeństwa namiastkę życia w państwie dobrobytu: przywrócenie dawnego wieku emerytalnego, pomoc w spłacie kredytów, hojne zasiłki na dzieci, wprowadzenie minimalnej płacy i cywilizacja śmieciowego zatrudnienia. Temu pakietowi typowo socjalnych obietnic towarzyszyły mniej jasne zapowiedzi odbudowy roli państwa jako inwestora i sanacji upadających branż i regionów.

Ile z tych obietnic było jedynie wyborczą propagandą? Trudno to na razie ocenić, faktem jest jednak, że społeczna presja na korzystną dla społeczeństwa zmianę układu sił w relacjach państwo - praca - kapitał jest większa, niż kiedykolwiek. Przez szereg lat perspektywa lepszego życia po przystąpieniu do Unii Europejskiej była skutecznym narzędziem tłumienia społecznego niezadowolenia, później zastąpiła ją propaganda „zmniejszania różnic rozwojowych" - jednak i ona przestała być wiarygodna. Po kolejnej dekadzie odkładania życia na później, kapitał społecznej cierpliwości jest na wyczerpaniu - tak jak na wyczerpaniu są realne społeczne zasoby, konieczne do odbudowy demograficznego i produkcyjnego potencjału. Mówiąc wprost, nie da się w nieskończoność odkładać decyzji o zakupie własnego lokum, żyć od jednego sezonu budowlanego do kolejnego, od fuchy do zlecenia. Nie da się stale pożyczać od lepiej sytuowanej rodziny, cedować opieki nad dziećmi na rodziców i teściów, łatać rozpadającego się auta, służącego za mobilny warsztat pracy. Spełnienie choć części socjalnych obietnic jest warunkiem zapewnienia społecznego spokoju, a rządzący zdają sobie sprawę ze skali rozbudzonych oczekiwań. Wiedzą również, że wobec nieprzejednanej wrogości liberalnych elit i ponadnarodowego kapitału wobec prawicowej ekipy, gorzej sytuowana część społeczeństwa, pracownicy (jak i ruch związkowy) jest ich najważniejszym sojusznikiem. Stąd bierze się ekspresowy start programu zasiłków rodzicielskich, prowadzonego wbrew oporowi ekonomicznych liberałów we własnych szeregach i trudnej sytuacji finansów państwa. Program ten, choć już w założeniach daleki od efektywności i mający cechy rządowego „socjalu", uwolni przynajmniej część najbiedniejszych rodziców od ekonomicznego przymusu podejmowania najgorzej płatnych zajęć, wykonywanych w XIX-wiecznych warunkach supermarketów, stref ekonomicznych, czy manufaktur „prywaciarzy".

Jeśli realizacja programu socjalnego wymuszona jest głównie społeczną presją i politycznym pragmatyzmem (po części zaś również względami ideologicznymi - mieszanką katolickiego solidaryzmu i rasistowskich obsesji demograficznych), postulowana przez rząd zmiana polityki gospodarczej i relacji państwa i kapitału wynika z programowej refleksji na temat roli państwa w gospodarce i gospodarczego modelu państw peryferyjnych. Jak się wydaje, prawica odrzuca tu promowany przez opcję liberalną model „kraju - montowni", z gospodarką opartą o proste technologie, niskie płace i państwo chroniące interesy inwestorów. Ten model wyczerpał swoje możliwości i jego dalsze funkcjonowanie grozi trwałym uwięzieniem w pułapce peryferii, którym za sprawą niskiej produktywności nigdy nie udaje się przekroczyć technologicznego i ekonomicznego progu dzielącego je od państw rozwiniętych. Przyznają to dziś nawet mniej fanatyczni z wolnorynkowych ekonomistów: przejście od systemu, który reprodukuje biedę do takiego, który reprodukuje bogactwo jest największym wyzwaniem nadchodzących dekad. Prawicowa recepta na ten cywilizacyjny skok to przede wszystkim większa rola państwa w gospodarce, akumulacja państwowych kapitałów i wykorzystanie ich jako czynnika rozwoju poprzez inwestycje w kluczowych branżach, jak również wsparcie dla krajowego kapitału prywatnego w przemyśle i handlu. Trudno powiedzieć, na ile ten etatystyczny program sprawdzi się w praktyce, o ile zostanie zrealizowany. Faktem jest, iż stanowi jakiś krok do przodu w porównaniu z neoliberalnym leseferyzmem.

Etatyzm *PiS* jest zresztą wyraźnie widoczny tak w wyborczym programie partii, jak i pierwszych, gospodarczych posunięciach rządu. Zauważyć trzeba, iż trzonem socjalnej oferty prawicy jest przede wszystkim wzmocnienie państwowej redystrybucji, czy to jeśli chodzi o finansowe wsparcie rodzin, czy pomoc dla „frankowiczów" czy w końcu zapowiadany program państwowego budownictwa na wynajem.

Rozwiązania, które bezpośrednio wzmocniłyby pozycję świata pracy wobec kapitału, jak podniesienie płacy minimalnej i rozciągnięcie jej obowiązywania na umowy śmieciowe, przyznanie pracownikom na śmieciówkach pełni praw pracowniczych czy choćby odbudowa systemu rokowań zbiorowych z udziałem związków zawodowych, są odsuwane na dalszą przyszłość, lub w ogóle nie obecne. W sferze gospodarki, podobnie jak w innych dziedzinach życia społecznego, *PiS* nie zamierza dzielić się władzą - rządzone przez nie państwo ma być najsilniejszym graczem, samodzielnie realizującym przyjęty przez partię program. Takie podejście, o ile uda się je wprowadzić w życie, oznacza z jednej strony kres hegemonii kapitału i ponadnarodowych koncernów, z drugiej jednak - dalszą marginalizację związków zawodowych.

Już dziś jednak wiele wskazuje na to, że realizacja okrojonego nawet programu społecznego będzie wymagała od prawicy rezygnacji z państwowej hegemonii i zgody na wzrost znaczenia organizacji pracowniczych, zaś program odbudowy gospodarczej autonomii trzeba będzie odłożyć na półkę. Na samym początku swych rządów *PiS* przekonał się, mówiąc brutalnie, iż socjal kosztuje. Mimo politycznych nacisków, rządowym finansistom z największym trudem udało się znaleźć w dopiętym „na styk" budżecie 17 miliardów złotych na sfinansowanie programu 500+, co jednak sprawiło, że o realizacji innych, przedwyborczych zapowiedzi, przede wszystkim podniesienia kwoty wolnej od podatku, można zapomnieć na co najmniej rok - sytuacja budżetu w 2017 roku będzie bowiem jeszcze trudniejsza. O programie przywrócenia dawnego wieku emerytalnego słuch jak na razie zaginął. Cóż, w ekonomii nie ma cudów i przy dopinającym się z trudem budżecie wzrost wydatków socjalnych musi oznaczać zwiększenie wpływów. Tych zaś - o ile nie chce się narażać na utratę społecznego poparcia podnosząc podatki osobiste - szukać można jedynie w kieszeniach firm i korporacji. To zaś oznacza nieuchronny konflikt z kapitałem i światowymi organizacjami finansowymi. Przedsmak tego, jak zareagują one na podwyżkę danin na rzecz państwa, mieliśmy przy okazji wprowadzenia podatku bankowego i prac nad podatkiem od hipermarketów. Choć obie daniny, z punktu widzenia korporacji, nie są znaczącym obciążeniem, reakcja kapitału była taka, jakby rząd zapowiedział co najmniej nacjonalizację obu branż. Neoliberalni ekonomiści i rzecznicy korporacyjnych interesów przepowiedzieli rychły Armagedon i postraszyli ogniem piekielnym wszystkich, którzy poważą się podnieść rękę na zyski banków i sklepów wielkopowierzchniowych. Gdy to nie poskutkowało, finansowe lobby zastosowało mniej subtelną formę przypomnienia państwu, kto rządzi: agencja ratingowa *Moody's* zapowiedziała obniżenie oceny wiarygodności kredytowej Polski w razie uchwalenia ustawy o przewalutowaniu kredytów frankowych, co było jedną z kluczowych obietnic wyborczych nowych władz. W ten sposób program zwiększenia dochodów państwa natrafił na rafę, zanim na dobre został sformułowany i stało się to zanim rząd w ogóle zabrał się za uszczelnianie systemu podatkowego, z którego co roku wycieka do kieszeni prywatnych podmiotów równowartość prawie 30% całego budżetu kraju.

Być może z czasem, gdy zniknie szansa na polityczny przewrót i rychły powrót do władzy neoliberałów, korporacje i instytucje finansowe zacisną zęby i postanowią dogadać się jednak z nie lubianym rządem. Patrząc jednak obiektywnie na pozycję przetargową obu stron, trudno oczekiwać, by zawarty kompromis przyniósł rządzącym dość środków na realizację wyborczych obietnic. Skarb państwa jest pusty, skłócona z nimi władza nie może też liczyć ani na poparcie głównych sił politycznych w kraju, ani mocnych graczy za granicą. Kapitał ma w ręku wszystkie atuty - za pomocą manipulacji kursowych i ratingów może odciąć rząd od możliwości zaciągania taniego kredytu, może ograniczyć, z tym samym skutkiem, zakup polskich obligacji, może w końcu wycofać z kraju część zainwestowanych środków lub czasowo ograniczyć operacje w Polsce, co zrujnuje budżet i przełoży się na wzrost bezrobocia i zubożenie społeczeństwa.

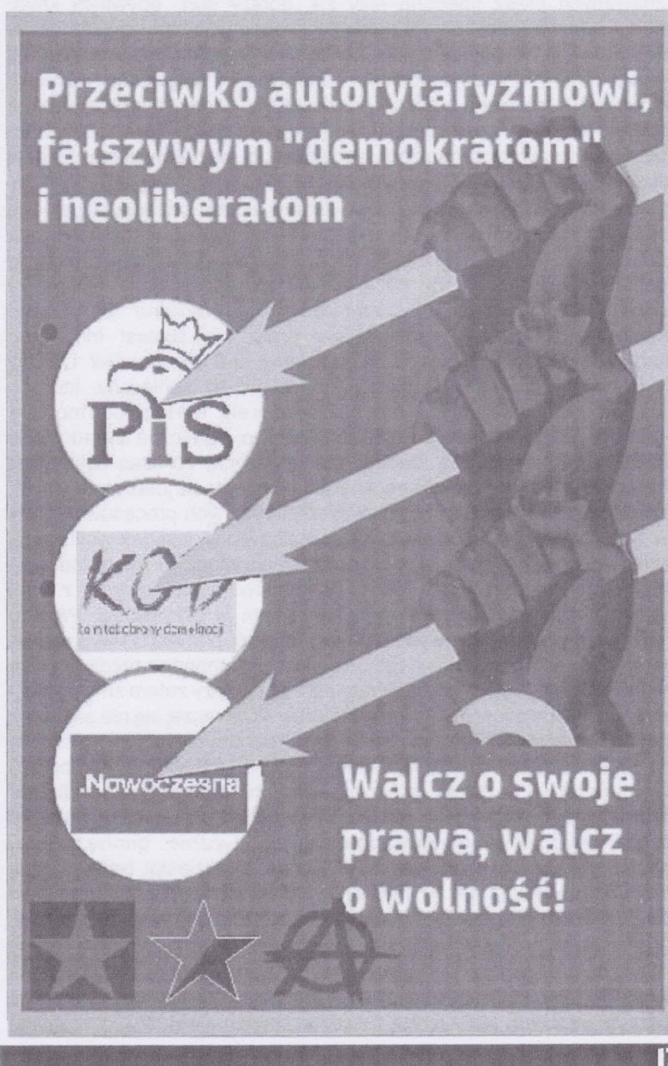
Jeśli nie uda się zmusić wielkiego kapitału do podzielenia się zyskami ze społeczeństwem za pośrednictwem państwowej redystrybucji (do czego sprowadza się socjalny program prawicy), jedynym sposobem na uniknięcie kompromitacji i społecznego niezadowolenia może się okazać bezpośrednia ingerencja w podział wartości dodanej między pracowników a pracodawców, poprzez ograniczenie zatrudnienia na śmieciówkach, ustawowe podniesienie płacy minimalnej, rozszerzenie zakresu praw pracowniczych czy choćby wsparcie dla rewindykacyjnych działań związków zawodowych. Oznacza to oczywiście ograniczenie roli rządu, jako głównego „dobroczyńcy społeczeństwa" na rzecz organizacji zawodowych, z drugiej jednak strony pozwala mu załatwić kwestię bardziej sprawiedliwej redystrybucji dochodu bez dodatkowych obciążeń dla budżetu, i co równie ważne, za jednym zamachem zdobyć narzędzie pewnego nacisku na kapitał, i zaspokoić finansowe aspiracje i antykorporacyjne resentymenty społeczeństwa.

Najbliższy czas pokaże, na ile te przewidywania są słuszne, pewne jest jednak to, że to gospodarka będzie tą strefą, w której prawicowy slogan „dobrej zmiany" zostanie rzeczywiście zrealizowany, lub ostatecznie się skompromituje. Jadwiga Staniszkis celnie określiła nową ekipę *PiS* jako „infantylną dyktaturę" (14) - w konfrontacji z międzynarodowym kapitałem jej urzędników czeka bardzo przyspieszony proces dojrzewania.

Społeczeństwo wobec kryzysu politycznego. Prawica, lewica i anarchiści

Konflikt polityczny, na nieznaną od lat skalę, w ciągu kilku miesięcy udowodnił, jak wielką fikcją jest społeczeństwo obywatelskie, z takim wysiłkiem „budowane" od ćwierćwiecza przez kolejne, liberalne rządy. Prawdziwe jest zatem stwierdzenie, iż to polityka prowadzona przez osiem lat liberalnych rządów nie tylko otworzyła prawicy drogę do władzy, lecz pozwoliła jej na tak szybki i w zasadzie przeprowadzony bez społecznego oporu demontaż kilku kluczowych, jak się wydawało, dla liberalnego porządku instytucji.

Można zresztą powiedzieć, że niechęć do wszelkich, autentycznych przejawów społecznej samoorganizacji i zaciekła obrona monopolu struktur państwowych na decydowanie o tym co dobre dla obywateli była jedną z niewielu wspólnych cech wszystkich ekip rządzących przez ostatnie 25 lat. Świadomość sprawujących władzę, iż chowają „trupa w szafie", że same podstawy nowego porządku w kraju: wprowadzenie neoliberalnego kapitalizmu i polityczne porozumienie solidarnościowy i postkomunistycznych elit - nie są efektem społecznego konsensusu, „umowy społecznej" lecz gabinetowych rozmów i dyktatu światowych instytucji finansowych sprawiała, iż każdy przejaw oddolnej, politycznej organizacji społeczeństwa traktowany był przez nich jako potencjalne zagrożenie dla konsensusu elit. Efektem była, dominująca aż do jesieni ubiegłego roku w liberalnych mediach, narracja o tym, iż sprawnie działająca demokracja przedstawicielska nie potrzebuje innych, niż



system partyjny sposobów na to, by polityczna wola większości społeczeństwa została przełożona na decyzje sprawujących władzę. Obywatele mieli zabierać głos w wyborach, by później nie wtrącać się w działania swoich przedstawicieli. Ta fasadowa w swej istocie forma demokracji obrosła z czasem licznymi atrapami społeczeństwa obywatelskiego, „ruchami miejskimi," organizacjami pozarządowymi, fundacjami i stowarzyszeniami. Ich działalność była tolerowana tak długo, jak tylko nie uderzała w strategiczne cele władzy - ba, żyły one swym pseudożyciem, brały udział w pseudokonsultacjach, organizowały pseudoakcje relacjonowane następnie z entuzjazmem przez liberalne media. Nie zmieniało to jednak faktu, że ich jedyną, społeczną funkcją było zapewnienie środków do życia, bądź możliwości biurokratycznej kariery dla swoich aktywistów. Dopiero z czasem, gdy liberalny porządek okrzepł na tyle, iż władza uznała, że „nie ma z kim przegrać" - elity przystąpiły do formowania organizacji, mających stanowić społeczną bazę panującego porządku. Wśród inicjatyw o takim charakterze pierwszeństwo przypadło świetlicom *Krytyki Politycznej*, a po fiasku tego projektu, sieci klubów dyskusyjnych tworzonych wokół kwartalnika *Kultura Liberalna*. Obie inicjatywy od początku cechował intelektualny elitaryzm, zaś ich ideowe poszukiwania metod ulepszenia systemu z założenia nie mogły przełożyć się na konkretną krytykę i konkretny program działania, w związku z czym nie mogły spełnić przypisanej im roli społecznego zaplecza liberalizmu. Zmiana władzy jesienią zeszłego roku dobitnie to udowodniła.

Po odsunięciu od władzy w roku 2007 *PiS*-owska prawica, odcięta od urzędów i zdominowanych przez liberałów środków masowego przekazu i skazana na polityczną izolację rozpoczęła bezprecedensowy program budowy „państwa równoległego" - własnych mediów, własnych wydawnictw, własnych ruchów społecznych obchodzących własne święta i rocznice, organizujących w każdym zakątku kraju spotkania z własnymi autorytetami - program finansowany zresztą przez opanowane przez siebie i funkcjonujące na marginesie systemu instytucje, ze spółdzielczymi kasami oszczędnościowymi na czele. Życie społeczne nie znosi próżni - *PiS*-owskie państwo równoległe stało się w niedługim czasie przystanią dla wszystkich grup i środowisk, uznawanych przez liberalne elity za „gorszy sort" obywateli kraju: ortodoksyjnych katolików, narodowych konserwatystów, zwolenników alternatywnej ekonomii czy w końcu wyznawców „kultu pancernej brzozy". Stało się też ośrodkiem autentycznej aktywności i krytyki, wypartych z „trzeciego sektora" przez politykę władz. Wkrótce prawica stała się jedynym, poza ruchem związkowym, podmiotem zdolnym do masowej, sprawnej organizacji społecznego niezadowolenia - wokół własnego programu i dla własnych celów.

Utrata władzy postawiła obóz liberalny wobec potrzeby szybkiego stworzenia własnych struktur społecznego sprzeciwu, umożliwiających przeniesienie walki politycznej na ulice. Istniejące, liberalne organizacje pozarządowe, pozbawione jakiejkolwiek społecznej bazy, nie mogły sprostać temu zadaniu, zaś partie polityczne były zbyt skompromitowane by organizowany przez nie protest mógł być wiarygodny. Odpowiedzią na te problemy stał się *Komitet Obrony Demokracji* - pierwszy w historii oddolny ruch społeczny, którego jedynym postulatem jest przywrócenie władzy elit. Ten fenomen mógł się wydarzyć jedynie w społeczeństwie, którego polityczna świadomość wyjałowiona jest dekadą rządów, deklarujących, że czas politycznej aktywności się skończył, zaś neoliberalna demokracja jest ostatecznym, urzeczywistnionym celem wszystkich historycznych procesów. Oparty na tych założeniach, przekaz *KOD* pozbawiony jest tak politycznej refleksji nad tym, co doprowadziło do przejęcia władzy przez narodowo - konserwatywną prawicę, jak i postulatów systemowych zmian, mających zapobiec podobnym wydarzeniom w przyszłości. Według *KOD*, wynik ostatnich wyborów jest czymś pomiędzy wypadkiem losowym a efektem kolosalnego oszustwa, dokonanego przez prawicę na nieświadomych niczego obywatelach. Wystarczy zatem zmusić ją do oddania steru rządów (jak? - tym ideolodzy *KOD* raczej się nie zajmują), i zwrócić władzę „dobrym ludziom" z partii liberalnych, którym należy się ona jako strażnikom politycznego „stanu natury" - demokracji parlamentarnej opartej na objawionych prawach liberalizmu. Zasmucający jest fakt, że ten program polityczny, którego autorem mógłby być średnio uświadomiony politycznie gimnazjalista, wyprowadził na ulice pod koniec stycznia kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Protesty powtarzają się co weekend, jednak ich dynamika stopniowo maleje, odkąd polityczne starcie wokół TK zaczęło wygasać.

Pierwsze protesty *KOD* były okazją do przedefiniowania sceny politycznej, obecność na styczniowych demonstracjach oznaczała akces do antypisowskiej koalicji - zgłosiły go, co oczywiste, obie partie liberalne, ludowcy, jak również resztki socjaldemokratów. Od początku nie było jednak złudzeń, kto będzie w niej grał pierwsze skrzypce, by potem zagarnąć owoce zwycięstwa. Nieomal w przeddzień pierwszego marszu „w obronie demokracji" *Gazeta Wyborcza*, nieformalna trybuna antyprawicowego „frontu ludowego", w felietonie *Rewolucja liberalna, nie socjalistyczna* postawiła tę sprawę jasno: „Niezależnie od wszelkich perswazji i zaklęć to nie lewica, lecz liberałowie są obecnie największą siłą opozycyjną i jedyną realną alternatywą dla coraz bardziej autorytarnych rządów *PiS*." (15).

Przystąpienie do liberalnej koalicji, socjaldemokracja przepłaciła całkowitą marginalizacją - nie mogło być inaczej, skoro nie dysponowała już ani potencjałem organizacyjnym, ani co gorsza, własną krytyką poczynań władz, pozwalającą jej zachować tożsamość na tle antypisowskiego „pospolitego ruszenia" i mówić własnym głosem. W ten sposób na socjaldemokratycznej lewicy zemściła się dekada programowych zaniedbań, gdy zamiast pracować nad własną alternatywą tak dla neoliberalnego leseferyzmu, jak i dla nacjonalistycznego etatyzmu *PiS*, żyła złudzeniem dawnej siły i zadowalała się resztkami z rządowego stołu.

Jak się wydaje, polityczny kryzys wywołany prawicowym „skokiem" na struktury państwa był również zaskoczeniem dla prawicowych i lewicowych „antysystemowców". Pokaźna parlamentarna reprezentacja, jaką w ostatnich wyborach zyskali prawicowi populiści skupieni wokół Pawła Kukiza, nie przełożyła się w żaden sposób na ich znaczenie w toczącym się starciu. Zapewne duża w tym „zasługa" zdominowanych przez opcję liberalną mediów, które skupiły się całkowicie na krytyce władz i promocji tych sił politycznych, które toczą z nimi najostrzejszy spór. Faktem jest jednak, że kryzys ujawnił programową pustkę, kryjącą się za „antysystemowymi" sloganami o rozmontowaniu systemu partyjnego i zwróceniu władzy społeczeństwu. W obliczu konstytucyjnej ofensywy *PiS*, „kukizowcy" nie byli w stanie przedstawić ani konkretnej krytyki *PiS*-owskiego etatyzmu, ani własnych propozycji rozwiązania spornych kwestii w zgodzie z własną linią programową.

To samo można zresztą powiedzieć o narodowcach, którzy jak się wydaje, całkowicie pogubili się w niuansach politycznego sporu i sami nie wiedzą już, czy być „za" czy „przeciw". Chyba tylko w ten sposób wytłumaczyć można fakt zorganizowania przez nich w kilku miastach pikiet przeciwko demonstracjom *KOD* w sprawie ustawy o inwigilacji. Powodem ich słabości, tak jak w przypadku partii Kukiza, jest programowa płycizna *Ruchu Narodowego* - za sloganami o „narodowej rewolucji" nie stoją żadne systemowe postulaty czy dający się zrealizować program jej przeprowadzenia. Trudno się temu dziwić, skoro wychowane już w realiach „nowej Polski", kierownictwo narodowych radykałów jest tak przesiąknięte liberalnym myśleniem o państwie i polityce, iż swej radykalnej wizji „nowego porządku" nie jest w stanie przełożyć na radykalny program działań, prowadzących do jego urzeczywistnienia. Armii ich zwolenników wydaje się to jednak nie przeszkadzać.

Po lewej stronie antysystemowej opozycji, trwający kryzys polityczny doprowadził do polaryzacji stanowisk. Obserwując lewicowe portale widać, że część organizacji i ruchów społecznych o tej orientacji stanęła wyraźnie po stronie liberalnego „pospolitego ruszenia", część pozostała przy lewicowej ortodoksji. Pomimo całkiem otwartych nacisków liberalnych autorytetów i związanych z tą opcją mediów, socjalistyczną linię trzyma partia *Razem*, słusznie zakładając, iż poparcie protestów *KOD* odebrałoby jej wiarygodność jako sile antyliberalnej i skonfliktowało na zawsze z bazą społeczną, do której chce się odwoływać. Z dwojga złego, *Razem* wybrało więc gniew niedawnych sojuszników z *Gazety Wyborczej* i *TVN*, woląc medialny niebyt od roli przystawki na uczcie zwycięstwa Ryszarda Petru. Podobnego wyboru dokonała też bardziej radykalna część galaktyki lewicowych grup, organizacji, środowisk i kręgów towarzyskich. Pozostali - w tym większość grup feministycznych, *genderowych* czy skupionych na „miejskim aktywizmie", jak również część portali antyfaszystowskich, opowiedzieli się po stronie „liberalnej kontrrewolucji".

Dla anarchistów, kryzys polityczny w którym jeden z najważniejszych aktorów głównej sceny politycznej posunął się do zanegowania systemowych podstaw panującego porządku, stać się może okazją, by korzystając ze sporów, jakie się wokół nich toczą, zawalczyć o miejsce w świadomości społecznej dla własnej krytyki i własnej wizji organizacji życia społecznego. By stało się to możliwe, anarchiści powinni wyciągnąć własne wnioski z wydarzeń ostatnich lat, których kulminacją jest aktualne przesilenie.

Po pierwsze, jak wskazują doświadczenia ostatnich miesięcy, punktem wyjścia każdej zmiany społecznej musi być jasno określony program. Powtarzana przez lata pogłoski o „śmierci ideologii" okazały się przedwczesne - w obecnym sporze liczą się tylko te siły polityczne, które prezentują własną, jasno sprecyzowaną wizję państwa, mają zdefiniowane poglądy na to, jaki zakres władzy powinien wiązać się z demokratycznym mandatem, jakie powinny być relacje pomiędzy rządem, kapitałem i społeczeństwem. Dopiero wypracowanie własnych odpowiedzi na te pytania może być punktem wyjścia do budowy społecznego zaplecza postulowanych zmian - bez nich każdy ruch społeczny czy polityczna tendencja jest skazana na szybsze lub wolniejsze wchłonięcie przez jeden z dominujących w polityce krajowej obozów.

Po drugie - nawet najlepszy program polityczny pozostanie utopią garstki teoretyków, jeśli nie zbuduje się wokół niego rzeczywistego, sprawnego ruchu społecznego. „Długi marsz" *PiS* po władzę w kraju nie byłby możliwy bez stworzenia, na przestrzeni ostatnich pięciu lat, zorganizowanego społecznego zaplecza w postaci autonomicznej sieci wymiany informacji i ośrodków skupiających obywatelską aktywność. Dzięki tej konsekwentnej pracy z grup i środowisk, latami marginalizowanych przez neoliberalny porządek, powstało politycznie uświadomione i politycznie aktywne zaplecze wyborczego sukcesu, prawicowe społeczeństwo obywatelskie. O ile o programie i politycznych praktykach prawicy można napisać dowolnie wiele złego, jej bezdyskusyjną zasługą pozostaje przywrócenie znaczenia politycznej aktywności szerokich kręgów społeczeństwa jako przeciwwagi dla dominacji elit i władzy „oświeconej mniejszości". To, by społeczeństwo odzyskało swą podmiotową rolę w systemie politycznym po wielu latach stagnacji, pozostaje jednym z kluczowych wyzwań, stojących także przed ruchem anarchistycznym.

Bez względu na to, jak krytycznie oceniać można reformy wprowadzane przez prawicową ekipę, anarchiści nie mają żadnego interesu w powrocie do sytuacji sprzed październikowych wyborów. Żadne ekscesy „zaślepionej większości" nie usprawiedliwiają władzy „oświeconej mniejszości" kontrolującej struktury liberalnego państwa. Ostatnie osiem lat neoliberalnych rządów było okresem społecznej stagnacji, ugruntowania podziałów na biednych i bogatych, na elitę, uzurpującą sobie prawo do wyłączności udziału w życiu politycznym i masy, skazane na rolę przedmiotu politycznych rozgrywek. Powrót do takiej sytuacji na wiele następnych lat odbierze nam szansę na radykalną zmianę społeczną. Dlatego współpraca środowisk anarchistycznych z liberalną opozycją jest pozbawiona sensu - skończyłaby się dla nich utratą wiarygodności w oczach grup, stanowiących ich społeczne zaplecze. Oznaczałaby również dobrowolną rezygnację z walki pod własnym sztandarem, utratę szans na budowę własnego zaplecza i realizację własnego programu.

Wbrew temu, co twierdzą propagandyści antypisowskiej opozycji, demontaż instytucji demokracji liberalnej - jaki obecnie obserwujemy - nie jest wynikiem żadnego zamachu stanu, ani wyborczego oszustwa. Jest za to konsekwencją niemożliwych w zasadzie do usunięcia sprzeczności, tkwiących w liberalnym modelu, które sprawiają, że samodzielnie nie może się on obronić przed „wrogim przejęciem" przez własne instytucje. W ramach systemu opartego na hierarchicznej władzy, jakim jest demokracja liberalna, skuteczna kontrola nad najwyższą jej instancją jest zwyczajnie niemożliwa. Jeśli sąd konstytucyjny miałby być formą takiej kontroli, samemu musiałby stać w tej hierarchii ponad instytucjami politycznymi, pochodzącymi z demokratycznych wyborów - sam musiałby być zatem niedemokratyczny, niczym irańska Rada Strażników Konstytucji. Jeśli zaś byłby jedną z tych instytucji - podlegałby tym samym politycznym ograniczeniom co one, co wykluczałoby jego skuteczność, gdyż ten sam system ustalałby reguły gry, czuwał nad ich przestrzeganiem, i wymierzał sobie kary za ich łamanie. Ten właśnie logiczny paradoks demokracji przedstawicielskiej polegający na tym, że instytucje, które same ustalają powszechnie obowiązujące zasady nie mogą ich złamać, gdyż każda ich decyzja automatycznie staje się prawem, został wykorzystany przez *PiS* w walce z TK i może zostać wykorzystany w przyszłości przez siły polityczne, obdarzone bardziej dyktatorskimi zapędami i większą wyobraźnią w dziedzinie represjonowania społeczeństwa. Skuteczna kontrola systemu musi znajdować się poza tym systemem - w neoliberalnym kapitalizmie należy ona do koalicji, złożonej z wielkiego kapitału i związanej z nim politycznej elity, kontrolującej administrację i media - kanały przepływu informacji i rozkazów z ośrodków władzy do społeczeństwa. Podstawowym postulatem radykalnej, prospołecznej zmiany systemu powinno być, by kontrola ta trafiła w ręce zorganizowanego społeczeństwa.

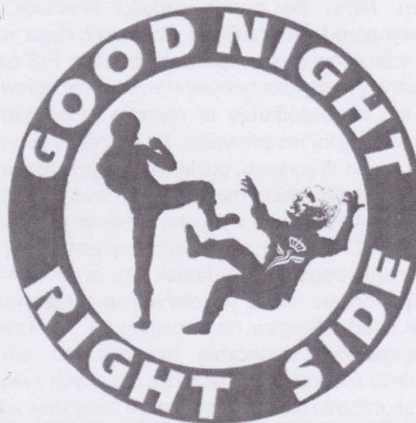
Żadna radykalna zmiana w dziedzinie polityki nie będzie możliwa bez równie radykalnej zmiany w dziedzinie ekonomii, w relacjach pomiędzy społeczeństwem, władzą i kapitałem. Poddani kapitalistycznej machiny wyzysku nie staną się z chwilą opuszczenia murów fabryki świadomymi obywatelami, walczącymi o odbicie demokratycznych instytucji z rąk tych samych korporacji, którym posłusznie służą w miejscu pracy. Popierając w ostatnich wyborach etatystyczną prawicę, społeczeństwo odrzuciło neoliberalny projekt państwa, łączący europejskie standardy funkcjonowania instytucji demokratycznych ze znanymi z Trzeciego Świata relacjami między pracą a kapitałem. To najlepszy dowód na porażkę takiej hybrydy, niemożność wytworzenia w niej własnej bazy społecznej, uzasadniającej jej istnienie - społeczeństwo, funkcjonujące w realiach ekonomicznych XIX-wiecznego kapitalizmu uwierzyło, że autorytarny etatyzm rodem z pierwszej połowy XX wieku ochroni je przed wszechwładzą kapitału i zapewni minimum socjalnej opieki. Konflikt między władzą polityczną a kapitałem, który wydaje się w takiej sytuacji nieuchronny, postawi na nowo kwestię pracy, płacy i praw pracowniczych w centrum społecznej uwagi. Chcąc osiągnąć rzeczywisty postęp w relacjach pracy i kapitału, anarchiści muszą być na to programowo i organizacyjnie przygotowani.

Przed nami czas dynamicznych zmian. Konflikt na szczytach władzy, który rozpoczął się jesienią zeszłego roku, jeszcze długo nie wygaśnie - obie jego strony mają zbyt wiele do stracenia, interesy zbyt wielu wpływowych grup i środowisk znalazły się na szali. Dla ruchu anarchistycznego ten pierwszy od ponad dekady kryzys instytucji państwowych to podróż w nieznane. Nie sposób dziś przewidzieć, czy mając w dyspozycji tak skromne siły i środki, będzie on w stanie wykorzystać wiążące się z nim szanse, by wpłynąć na bieg wypadków czy choćby zaistnieć na nowo w świadomości szerszych mas społeczeństwa jako radykalna, prospołeczna siła polityczna. Pewne jest tylko to, iż zbyt niewiele ma on do stracenia, by nie zaryzykować. Społeczna stagnacja ostatnich lat władzy *PO* była czasem rozkwitu faszyzującej prawicy - być może burzliwe lata rządów *PiS* będzie czasem anarchistów? Jak powiedział Georg Lichtenberg: „Nie mogę wprawdzie powiedzieć, czy będzie lepiej, gdy będzie inaczej, ale tyle rzec mogę, że musi być inaczej, jeśli ma być dobrze."

Wila

Przypisy:

(1) Guy Debord, *Społeczeństwo spektaklu oraz Rozważania o społeczeństwie spektaklu*, PIW 2006 s. 84;
(2) http://wyborcza.pl/1,75478,19369915,rzeplinski-nie-ustapie-ze-stanowiska-na-mnie-zwrocone-sa.html#ixzz3xdTOeVZn;
(3) http://wyborcza.pl/1,75968,19248677,prawo-nie-swiete-nad-prawem-jest-narod-a-wole-narodu-wyraza.html#ixzz3xdmcAI4t;
(4) http://www.rynekpracy.pl/artykul.php/typ.1/kategoria_glowna.16/wpis.729;
(5) Konstytucja RP, art. 153, ust. 1;
(6) http://www.greenpeace.org/poland/pl/wydarzenia/polska/Dlaczego-Platforma-Obywatelska-robi-prawo-dla-koncernow-a-nie-dla-ludzi/;
(7) Guy Debord, *Społeczeństwo spektaklu…*, PIW 2006, s. 58;
(8) http://wpolityce.pl/gospodarka/257182-70-mld-zl-luki-podatkowej-slabe-wplywy-z-vat-i-cit-polski-fiskus-nie-radzi-sobie-ze-sciaganiem-podatkow-od-zagranicznych-firm;
(9) http://finanse.wnp.pl/luka-w-cit-to-nawet-46-mld-zl-rocznie,259148_1_0_0.html;
(10) http://www.pwc.pl/pl/media/2015/2015-09-25-luka-podatkowa-vat-wzrosnie-w-2015-do-poziomu-3-pkb.html;
(11) http://www.nbp.pl/publikacje/zib/zib_2014_n.pdf;
(12) http://tvn24bis.pl/wiadomosci-gospodarcze,71/zus-skonczyl-liczyc-w-ofe-zostaly-2-mln-564-tys-72-osoby,460034.html;
(13) http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/rynek/1564387,1,ekonomisci-krytykuja-zmiany-w-ofe-j-k-bielecki-odpowiada.read;
(14) http://wiadomosci.dziennik.pl/opinie/artykuly/509159,jadwiga-staniszkis-o-trybunale-konstytucyjnym-rzadzie-pis-i-andrzeju-dudzie.html;
(15) http://wyborcza.pl/1,75968,19326637,demokracja-liberalna-nie socjalistyczna.



Po jesiennych wyborach, tak jak przypuszczaliśmy, sytuacja na polskiej scenie politycznej została przetasowana. Mamy u władzy jedną partię, strojącą się w patriotyczno-socjalne fatałaszki, a tak naprawdę wciąż praktykującą ekonomiczny neoliberalizm, z trudem maskowany zapowiedziami prospołecznych reform. Ta operacja propagandowa, tak jak i zapowiedzi „uzdrowienia Państwa", to tylko gra pod publikę, która zaufała *Prawu i Sprawiedliwości* - zarówno w wyborach parlamentarnych, jak i wcześniejszych, prezydenckich. Wobec niemożności wywiązania się z wyborczych obietnic, polityka wewnętrzna *PiS* skupia się na tematach zastępczych... Z drugiej strony pojawia się znikąd jakiś wyimaginowany *Komitet Obrony Demokracji*. Na fali awantur wokół Trybunału Konstytucyjnego rodzi się rzekomy ruch oporu przeciwko planowanej dyktaturze. Na ulice wyprowadza się ludzi, którzy nagle doszli do wniosku, że żyją w państwie autorytarnym a sami są bojownikami wolności i demokracji. Na herszta całej tej hucpy lansuje się niejaki Petru, przywódca partii, która wydaje się być założona przez bankierów, przemysłowców i członków rad nadzorczych korporacji. Obok niego stają wielcy przegrani ostatnich wyborów oraz tak kuriozalne postacie, jak Roman Giertych - doskonale pamiętany jako neoendecki minister w rządzie *PiS/LPR/Samoobrona*. Gdzieniegdzie widać niedobitki lewicy parlamentarnej, czasem zabłąkają się też tam ci, kojarzeni dotąd z ruchami kontrkulturowyni. Wszyscy oni, chcą bronić demokracji!

Polityczna polaryzacja społeczeństwa wymusi w końcu na wszystkich jasne określenie się, po której stoimy stronie. Można się spodziewać, iż już niebawem (albo nawet już to się dzieje) zdecydowana większość feministycznych, równościowych, ekologicznych czy antyrasistowskich NGO'sów stanie po stronie *KOD*-u, wspierając tym samym partie neoliberalne, mniejszość zaś pozostanie wierna lewicowej ortodoksji, rozwijając własną, socjalistyczną krytykę zarówno liberalnej, jak i narodowo - autorytarnej wizji państwa.

A co z anarchistami? O wspieraniu jakiegokolwiek rządu - nie ma mowy! Politycznym samobójstwem byłoby zaś poparcie dla ruchu stworzonego przez liberałów różnej maści, broniących rzekomo demokracji... Czy ruch, środowisko, grupy anarchistyczne nie powinny jasno wypowiedzieć się w tej sprawie? Czy może powinny stworzyć jakiś wspólny program działań na najbliższe lata? Jak się zachować i co robić? Wedle jednego z telewizyjnych sondaży, 22% badanych nie popiera ani *KOD*-ów ani *PiS*-u. Jest więc gdzie siać - pytanie tylko co i jak? Poprzez poniższe wypowiedzi próbujemy uzyskać odpowiedzi na te wątpliwości...

(Wypowiedzi zostały zebrane na przełomie stycznia i lutego b.r.)

Krzysiek - Federacja Anarchistyczna Kraków

Co robić? Robić swoje - tylko bardziej! Z jednej strony rząd naprawdę coś robi - to strategia przywiązania pracujących do zespołu wartości, które *PiS* chce wcisnąć społeczeństwu. Z drugiej - liberałowie „jadą wartościami", żeby odtworzyć swoją polityczną siłę w oparciu o sytych lub względnie sytych. Trudno powiedzieć, kto jest bardziej cyniczny. Jak ustawia to plan nam?

Według mnie, istotna zmiana jaka zaszła, to zmiana w metodach i tematach dyskursu. Odkąd *KOD* organizuje demonstracje przy akompaniamencie mediów, wychodzenie na ulicę stało się mainstreamem. Z drugiej strony, rząd wprowadzając zmiany w funkcjonowaniu Państwowej Inspekcji Pracy czy minimalną swatkę godzinową, przywołuje z medialnego niebytu tematy pracownicze. Oczywiście nie posunie się do nazwania konfliktu klasowego po imieniu. Podobnie jak *KOD*, nie posunie się do bardziej praktycznych form protestu - bo nie umie i nie jest to jego droga.

I to jest - jak sądzę - nasza droga. Śmielej występować, mówiąc dobitnie o walce klas. Prowadzić działania edukacyjne, obliczone na tych, którym nie po drodze ani z jednymi, ani z drugimi. Obliczone na głębszy przekaz, bardziej długotrwałe. Pokazywać działania w alternatywie. Rozruszać się w akcji bezpośredniej. Tłumaczyć, tłumaczyć, tłumaczyć i pokazywać, że spójność polityczna leży w bakuninowskim sloganie o wolności i socjalizmie.

Na plus dla nas przemawia to, iż wielu „normalsów" dokonało politycznych *coming-outów*. Dyskusje o polityce w pracy, czy przy piwie, stają się czymś zwyczajnym - nic nie stoi na przeszkodzie, żeby włączyć się do takiej rozmowy. A jest o czym mówić - ostatnio spotkałem się z kolegami z liceum i jedna z dziewczyn (doktorantka nauk humanistycznych) na hasło że jestem anarchistą odpowiedziała: „No co ty, głosowałeś na Kukiza?" Polacy to polityczni analfabeci, zasadniczo nie ma się więc co bać jakichś starć z „normalsami". A atmosfera rozdyskutowania otwiera drogę do edukowania.

Warto przy tym pamiętać, że za kilka miesięcy *KOD* się wypali - pozostanie szkieletowa załoga do kampanii wyborczych. Wtedy część jego sympatyków zostanie na lodzie, z chęcią do działania. Część tej części będzie na tyle otwarta, by zainteresować się długodystansowcami - czyli anarchistami.

Łukasz - Federacja Anarchistyczna Śląsk

Nie dostrzegam obecnie większego „zagrożenia demokracji" niż miało to miejsce za poprzednich rządów. Nacjonaliści są i w *PiS* i w *PO*. Obecna konsolidacja władzy jest działaniem typowym dla demokracji. Rządy *PiS* trzeba ocenić w świetle nowego rozdania wpływów w światowym systemie kapitalistycznym. USA i UE chcą utrzymać wpływy, zagrożone przez rosnącą potęgę korporacji chińskich, kontrolowanych przez chiński rząd. Trwa walka o utrzymanie postkolonialnego podziału władzy i kapitału. Polski rząd jest marionetką USA. *PiS* w sposób zdecydowany popiera TTIP i wprowadza działania inwigilacyjne wypróbowane już w Wielkiej Brytanii i USA.

Z haseł socjalnych, którymi *PiS* wygrał wybory, po kilku miesiącach ostało się niewiele. Rząd Beaty Szydło przygotowuje kolejne reformy w duchu neoliberalnym. Mówi się o konieczności likwidacji ciężkiego przemysłu i obniżaniu wynagrodzeń górników. Ponieważ klasa robotnicza w ostatnich wyborach w zdecydowanem większości poparła *PiS* oznacza to, że za kilka miesięcy robotnicy będą rozczarowani i wybuchnie gniew społeczny.

Pytanie kto zagospodaruje te nastroje? Obawiam się, iż sfrustrowani robotnicy skłonią się ku narodowcom. Po następnych wyborach możemy mieć sytuację taką jak na Węgrzech, gdzie dla faszyzującego Orbana opozycją jest nazistowski *Jobbik*. Osobiście nie wierzę, że lewica i ruch anarchistyczny będą w stanie cokolwiek zyskać na wybuchu społecznej frustracji. Lewica w Polsce nie ma racji bytu. Z kolei ruch anarchistyczny jest marginesem marginesu i nie znajduje żadnego poparcia. W latach 90. anarchizm przyciągał młodzież subkulturową. Obecnie młode pokolenie jest zafascynowane nacjonalizmem podobnie jak młodzi Niemcy na początku lat 30. Tzw. „kryzys migracyjny" pozwala kapitalistom skutecznie manipulować emocjami społecznymi. Rozdmuchiwanie afer rzeczywistych czy urojonych związanych z uchodźcami przez media skutecznie buduje poparcie dla faszystów w Polsce i całej Europie.

Asia Bordeaux - Kolektyw SPINA

Jedną z moich większych inspiracji były działaczki z *Mujeres Libres*, które podczas wojny domowej w Hiszpanii, owszem, walczyły na froncie, ale przede wszystkim zajmowały się pracą ze społecznością lokalną, edukacją, wsparciem medycznym i pracą u podstaw. I mam poczucie, że to jest najlepsza droga którą można obrać w tych dziwnych, trochę śmiesznych czasach. Nie ma się co łudzić, iż właśnie teraz jest czas na anarchię, na „wygranie rewolucji", bo przecież ona dzieje się cały czas, tylko za kulisami. Nie interesuje mnie wielka polityka, bo właśnie prywatne jest polityczne i tam możemy dokonać najwięcej zmian, wspierając ludzi, działając z nimi, a jednocześnie jawnie, otwarcie odpuszczając nasze przywileje, pozycje związane z wykształceniem czy pochodzeniem. To są małe rewolucje dnia codziennego, kiedy rozbijamy struktury hierarchiczne w naszym życiu i pokazujemy innym, że też się bez nich doskonale obejdą. Tylko takie małe kroczki mogą nas doprowadzić do zmiany społecznej. Będzie ona mniej spektakularna i - ojej, niestety! ;) - przeprowadzona bez liderów i liderek, ale za to ma szansę być trwałą, wewnętrzną zmianą ludzi. Czego nam życzę, razem z cierpliwością, na kolejne lata.

Nieprzystosowany - Grecja w Ogniu

Czasy są trudne i jest nas mało, ale nie powinno nas to zniechęcać, ponieważ mamy wiele inspirujących przykładów działania na całym świecie, z których możemy się uczyć. Po pierwsze, nasza taktyka powinna być radykalna, gdyż dobrze zorganizowana mniejszość może być głośna i widoczna, jeśli będzie bojowa. Ciągłe czekanie, aż społeczeństwo do nas dołączy i hamowanie się aby go nie odstraszyć, to odwieczna bajka, która usypia anarchizm i uczy nas jedynie czekania, wyrywa nam kły i zamienia w zwyczajnych aktywistów obywatelskich. Efekt jest taki, że ludzie i tak nie dołączają, a my popadamy tylko w marazm, zamiast rozwijać nasze własne buntownicze *praxis*. Chociaż odbywa się wiele pomniejszych pokojowych działań, przechodzą one bez większego echa i szybko popadają w zapomnienie (choć stanowią element autoedukacyjny i pozwalają stawiać pierwsze kroki młodym aktywistom). Dopiero akcje, takie jak okupacja kamienicy podczas *Antykongresu*, kierują uwagę ludzi ku anarchistom i pokazują, iż jesteśmy gotowi ryzykować dla naszych idei, że hasła walki z systemem traktujemy poważnie. Będziemy zauważani a nasz przekaz stanie się słyszalny tylko wtedy, gdy forma naszych działań będzie konfrontacyjna, a więc jeśli chcemy „jedzenia zamiast bomb", to pojawiajmy się na konferencjach firm zbrojeniowych, zakłócajmy ich pracę, jeśli chcemy antyfaszyzmu, idźmy tam gdzie są faszyści, itd. inaczej nasza walka staje się pozorowana. Ponieważ jednak jest nas mało, a nasze zasoby i możliwości ograniczone, powinniśmy działać inteligentnie. Anarchista, który nie boi się zadymić podczas demonstracji to bardzo cenny towarzysz, ale gdy tylko dostanie paroletnie zawiasy, od razu zostaje wyłączony z gry i automatycznie wycofuje się z wielu dziedzin akcji. Biorąc pod uwagę ile/ilu nas jest, władza szybko może sparaliżować w ten sposób środowisko. Czasem lepiej jest przeprowadzić jakieś działanie poza oficjalnymi kanałami protestu. Aby nie usypiać naszej energii powinniśmy uczyć się autonomii i luźnych sojuszy. Wchodzenie w szersze struktury anarchistyczne może zaspokajać poczucie przynależności, ale też ograniczać samodzielne eksperymentowanie z metodami i celami działania, wpisywać nas w kalendarz działań ustalany przez tych bardziej doświadczonych i - nie bójmy się tego słowa - obdarzonych większym autorytetem. Punktem wyjścia powinno być działanie w małych i zaufanych grupach, które przestrzegają zasad bezpieczeństwa. Nie bójmy się kontestować nieformalnych ognisk władzy wyłaniających się w naszych własnych środowiskach. Anarchia jest żywiołem negacji, a powszechny konsensus może być hamulcem rozwoju. Naszym głównym celem nie powinno być przyciągnięcie zwykłych ludzi (nie jesteśmy mesjaszami żadnej religii ani handlarzami żadnej idei) tylko odnajdywanie buntowników, myślących i czujących podobnie do nas z którymi będziemy mogli wyrwać się ze szponów społecznej alienacji, tworzyć wspólnotę codziennych doświadczeń i czerpać radość z atakowania tego, co uznajemy za nieludzkie i ograniczające naszą wolność. To samo w sobie tworzy przestrzeń walki zdolną przyciągać nowe jednostki. Mamy deficyt radykalnych doświadczeń, dlatego warto studiować je wyjeżdżając za granicę, ucząc się od towarzyszy którzy przesunęli u siebie linię walki o wiele dalej.

Bardzo pomogłoby nam tworzenie własnej kontrinformacji, anarchistycznego dziennikarstwa. W tej dziedzinie mamy nieprawdopodobne braki. Spędzaj mniej czasu na *facebooku*, który okrada nas z życia. O wiele lepiej byłoby poświęcić go na budowanie własnych mediów. Załóż ze znajomymi serwis informacyjny (twój profil *fb* nim nie jest!), tłumacz teksty, opracowuj własne *newsy*, pisz własne komentarze do bieżących wydarzeń i ucz się jak robić to profesjonalnie. Nawet jeśli nie przyciągnie to zbyt wielu ludzi, wpłynie bardzo pozytywnie na twój samorozwój i pogłębi twoją świadomość polityczną. W dobie *Internetu* dźwięk i obraz nabierają coraz większego znaczenia, dlatego bardzo ważny jest montaż filmów, nagrywanie wywiadów i dyskusji, reportaży z demonstracji, dokumentowanie przemocy państwa i skrajnej prawicy. To właśnie dzięki licznym filmikom i serwisom, faszyści stworzyli szersze podium dla własnych idei poza oficjalnymi kanałami informacyjnymi. Teraz kolej na nas.

Jarosław Urbański - Federacja Anarchistyczna Poznań, OZZ Inicjatywa Pracownicza

Bezwzględnie obecna sytuacja polityczna w kraju nosi pewne znamiona nowości. Po pierwsze, po 8 latach została odsunięta od władzy *Platforma Obywatelska*. Po drugie, pierwszy raz od 25 lat władzę w państwie wzięło w swoje ręce jedno ugrupowanie - *PiS*. Po trzecie, główne ugrupowania od kilku lat politykę uprawiają nie tylko w parlamencie i „na salonach", ale także na ulicy. Zmiany te trzeba jednak - moim zdaniem - postrzegać w kontekście ogólnego kryzysu ekonomicznego, jak też politycznego. Jego przejawami jest nie tylko recesja czy w najlepszym przypadku światowa stagnacja gospodarcza trwająca od 2007/2008 roku, ale także np. poważny kryzys Unii Europejskiej, który szczególnie objawił nam się w kontekście tzw. kryzysu uchodźczego.

Polityczny kryzys Unii Europejskiej, z którym mamy obecnie do czynienia, wydawał się jeszcze 10 lat temu niewyobrażalny. Korzysta na nim nacjonalistyczna prawica, grając na sentymencie „starych dobrych czasów" państwa narodowego i odwołując się do retoryki oraz wyobrażeń polityki z czasów Mussoliniego. Wojna, rasizm, antyimigranckie nastawienie i autorytet silnego państwa powraca na polityczne salony. Co gorsza, wynosi ich piewców do władzy. Pokój, pojednanie, poszanowanie praw człowieka, równość i sprawiedliwość społeczna są spychane na boczny tor pod wspólnym szyldem: „lewacki bełkot".

Anarchiści i anarchistki nigdy nie popierali koncepcji Unii Europy, jako machiny wsparcia dla kapitalizmu. W roku 2000 ukazała się broszurka *Federacji Anarchistycznej* pt. *Dlaczego nie lubimy Unii Europejskiej?*, będąca rodzajem zapisu dyskusji na ten temat w naszym środowisku. Autorzy i autorki tekstów podnieśli głównie te argumentu, które dotyczyły UE jako projektu ekonomicznego i wpisującego się w oczekiwania ze strony globalnego kapitalizmu. Natomiast wiele z obietnic politycznych (jak otwarcie granic) uznali 15 lat temu za spychane na drugi plan, lub w praktyce często nie realizowane w ramach UE, choć teoretycznie idące w dobrym kierunku. Pamiętam, że niektórzy z nas zakładali również, iż UE może na niektórych obszarach (np. ekologia) wnieść nową jakość. Dalekie to było oczywiście od optymizmu ówczesnych patriotów, którzy uważali przystąpienie do UE za „polską rację stanu" czy „cywilizacyjny awans", ewentualnie wykazywali umiarkowany „eurosceptycyzm" w klasycznym duchu „jestem przeciw, a nawet za".

Dziś wojna w Europie jest faktem, pobór do wojska trwa, a na granicach wznosi się mury przed imigrantami. Jako anarchiści i anarchistki znowu jesteśmy w mniejszości opowiadającej się za zniesieniem granic. Dzisiejsze wydarzenia i wzmagający się nacjonalizm wskazuje, że mogą nie przetrwać nawet namiastki europejskiej jedności, być może dlatego, iż de facto zasadzała się ona na neoliberalnych zasadach.

Osobiście sądziłem zaraz po wyborach, że *PiS* skoncentruje się wyłącznie na kwestiach politycznych i wykorzysta obecne nastroje w Europie: polityka zagraniczna, resorty siłowe, tajne służby itd., co pozwoliłoby „uciec od kwestii socjalnych". Jednak masowe i nieoczekiwane demonstracje *KOD* uświadomiły *PiS*-owi, iż bez utrzymania poparcia społecznego, jego władza, pomimo większości w parlamencie, może okazać się niestabilna. Kolejna klęska - jak ta z 2007 roku, której doświadczył *PiS* po dwóch lata sprawowania rządów - oznaczałaby kompletną kompromitację i zapewne rozpad tej partii. Paradoksalnie, neoliberalne siły, przerażone bardziej zmianami socjalnymi niż groźbą zamordyzmu, atakując *PiS*, zmuszają go do nieustannego szukania własnej legitymizacji (której jakimś jednak odzwierciedleniem są sondaże wyborcze, ale też liczba osób protestujących na ulicy) i wywiązania się ze swoich socjalnych obietnic wyborczych. Neoliberałów nic nie obchodziłyby prawa obywatelskie i konstytucyjne, gdyby nie zapowiedzi zmiany wieku emerytalnego, zamknięcia supermarketów w niedziele, wzrost podatków dla biznesu i redystrybucja dochodu narodowego, choćby w postaci programu 500+.

Paradoksalnie jednak oceniam demonstracje *KOD* pozytywnie, jak każdą presję zmuszającą (pośrednio czy bezpośrednio) rząd do realizacji postulatów socjalnych. Ruch anarchistyczny też powinien się do tego dołączyć, ale niekoniecznie demonstrując „ramie w ramię" z *KOD*, a już w szczególności z *Nowoczesną*. Oprócz tak oczywistych protestów, jak przeciwko nadaniu nowych uprawnień policji, trzeba - moim zdaniem - skupić się na problemach właśnie socjalnych i przypomnieć się *PiS*-owi w najbliższym czasie np. z kwestią obniżenia wieku emerytalnego. Powinniśmy zachować względny spokój wobec histerycznych reakcji środowisk neoliberalnych, jednocześnie jednak pamiętając, iż w razie osłabnięcia protestów społecznych, pozostaniemy być może jedynymi demonstrującymi na ulicach i wówczas rząd uderzy w nas (ruch anarchistyczny i radykalno-lewicowy) z cały impetem. W oczach prawicy reprezentujemy bowiem wszystko to, czego najbardziej w sensie kulturowy nienawidzą. Wówczas potrzebować będziemy być może pomocy z różnych środowisk.

Nie można też pozwolić, aby *PiS* przedstawiał się jako siła antysystemowa. W istocie rzeczy formacja ta tworzyła ten porządek polityczny od samego początku. Partia Kaczyńskiego zasłania się tym, iż nie miała zbyt wielu okazji, aby tworzyć rząd, ale w parlamencie i przede wszystkim na poziomie samorządowym (gminnym, powiatowym, wojewódzkim) bierze udział we władzy systematycznie od samego początku. Trzeba jednocześnie zaznaczyć, że zarówno w sensie politycznym, jak też ekonomicznym (dysponowanie finansowymi środkami publicznymi) znaczenie samorządu terytorialnego systematycznie od 1990 roku rosło. Po drugie, trzeba zwrócić uwagę na fakt „wędrówki polityków" i zmiany przynależności partyjnej. Najdobitniejszych przykładem jest tu aktualny wicepremier, Jarosław Gowin. Nie będę się rozwodził nad karierą polityczną Gowina, można o niej poczytać choćby na *Wikipedii*, ale barwy klubowe zmieniał on wielokrotnie, a od kilkunastu lat ciągle należy do najbardziej prominentnych polityków w Polsce. Używając prawicowej frazeologii, jest „zasranym komuchem" w *PiS*-owskim rządzie, odpowiedzialnym za degrengoladę narodu polskiego, amen.

Uważam, iż problemem nie jest - jak chce tego prawica - postkomunizm, ale postsolidaryzm. „Solidarność" do tej pory odbieraliśmy jako ideę wzajemnego wspierania się w walce z państwem i kapitałem, ale w polskich warunkach okazała się jedynie „solidaryzmem", którego zasadniczym celem jest zatarcie różnic klasowych w imię domniemanej jedności narodowej, która dotychczasowym elitom politycznym, biznesowym i biskupom pozwala zachować dominację w obliczu światowego kryzysu ekonomicznego i politycznej destabilizacji. W tym sensie, ostatnia zmiana u sterów władzy niczego nie wnosi. Dopóki rządzą postsolidarnościowe system nie ulegnie odpowiedniej transformacji.

Trudno ocenić jak sytuacja rozwinie się dalej. Czy struktury unijne z jednej strony, a samorządowa decentralizacja z drugiej, uniemożliwią odrodzenie się polityki w duchu Mussoliniego? Czy pod presją społecznych nacisków *PiS* przeprowadzi reformy socjalne, a opozycja zmusi go do przestrzegania praw obywatelskich, praw mniejszości? Czy też obecny zamęt polityczny będzie się pogłębiał, aż dojdzie do konfrontacji, z której zwycięsko wyjdzie tylko jedna ze stron? Czy pod hasłem „obrony przez zagrożeniem imigranckim i islamskim" wprowadzona zostanie dyktatura, zawieszone prawa obywatelskie, spacyfikowane ruchy społeczne i powołane państwo stanu wyjątkowego? A może pojawi się istotna trzecia siła społeczna, najbliższa naszemu ruchowi, która przyniesie faktyczne zmiany polityczne? W okresach zamętu, jak pisał Immanuel Wallerstein, wszystko jest możliwe, a nawet niewielkie grupy społeczne - takie jak nasze - mogą mieć zasadniczy wpływ na to, co się stanie. Nigdy od naszej aktywności tak wiele nie zależało.

Zdzichu - Federacji Anarchistyczna Lublin/Rzeszów

Od jesiennych wyborów parlamentarnych jesteśmy świadkami nowej odsłony starej walki - walki prawicy z prawicą. Po latach należących do liberałów, do żłoba dorwała się *PiS*-owska konserwa. W istocie, dotychczasowa opozycja i rządząca koalicja, zamieniły się miejscami przy tej samej barykadzie. Oczywiście twarze tej wiecznie żywej walki, pozostają zasadniczo takie same, tak jak takie same są dwa główne odcienie polskiej prawicy - oba pozornie trudne do pogodzenia, jednak w rzeczywistości oba grające do tej samej bramki. Rząd Beaty Szydło (czytaj: Jarosław Kaczyński i jego fan klub) rozpoczął wprowadzanie swoich „porządków" przede wszystkim od prób radykalnego odwrócenia przemian, jakie kojarzą się negatywnie z *PO* (wiek emerytalny, sześciolatki w szkołach itd.), co oczywiście ma tło bardziej propagandowe niż pragmatyczne. Od razu też - jak po każdej zmianie ekipy rządzącej - zaczęły się czystki we wszystkich strukturach zależnych od nowej władzy, począwszy od rządowych spółek, poprzez głównonurtowe media, aż po władzę sądowniczą (co tylko unaocznia, jak bardzo „wolne" są media i jak bardzo „niezawisłe" są sądy). Na rządowych i państwowych stanowiskach znaleźli się kolejni aroganci i aferzyści, których poprzednie rządy nie zdążyły rozliczyć. *PiS*, prócz składania socjalnych obietnic, na których spełnienie nie będzie miał środków, w bardzo charakterystyczny dla siebie sposób, ordynarnie i infantylnie, propaguje hołdowanie tzw. autorytetom. Pomysł comiesięcznej zmiany warty przy pomniku ofiar katastrofy smoleńskiej jest tego najlepszym przykładem. Nie sposób nie odnieść wrażenia, że państwo polskie niejako zamyka się na tzw. resztę świata - wzmocnienie akcentów anty-imigranckich, usuwanie flag UE zza trybuny pani premier (autor niniejszego tekstu nie ma nic przeciwko usuwaniu flag państwowych czy ponadpaństwowych z przestrzeni publicznej, tu chodzi tylko o unaocznienie pewnych ksenofobicznych tendencji), ocieplenie relacji z faszyzującym rządem węgierskim... Mówiąc krótko, rozpoczęły się rządy tej prawicy, która jest zorientowana bardziej konserwatywnie i ksenofobicznie, niż prawica w wydaniu neoliberalnym. Skąd ta zmiana? Patrząc na osiem lat rządów *PO*, nie sposób było nie przewidzieć, że kiedyś *PiS* powróci na stołki, choćby dlatego, iż ludzie w końcu będą mieli dość. Abstrahując jednak od zniechęcenia czy zdenerwowania prawicowego elektoratu, należy podkreślić fakt, że zmiana u steru władzy nastąpiła w dosyć korzystnych dla tej „skrajniejszej" prawicy okolicznościach. Cała Europa przeżywa tzw. kryzys migracyjny, który jest wodą na młyn dla skrajnie prawicowych siewców paranoi. Skręt w prawo jest skądinąd obserwowany w Europie od lat. Jak by nie było, nasilają go także wybuchające na świecie co raz to nowe konflikty zbrojne. Faktem jest, iż o ile w Europie Zachodniej, uchodzącej niby za bardziej ucywilizowaną, multikulturową i otwartą na świat, silny wzrost nastrojów rasistowskich może nieco dziwić, o tyle w Polsce wcale nie dziwi. Tu nawet tzw. antysystemowość przybiera skrajnie prawicową formę. Przez ostatnie kilka lat, frustracja i chęć stawienia oporu rosnącemu bezrobociu, brakom perspektyw, ekonomicznym nierównościom, społecznemu upokorzeniu i innym efektom rządów liberałów, doprowadziły do pojawienia się grupy „zbuntowanych", którzy nie mieszcząc się w szeregach zwolenników ani *PiS*-u (który w pewnych kręgach po prostu nie jest modny) ani tym bardziej *PO*, o lewicy nie wspominając, poparli skrajną, nacjonalistyczną prawicę. Jednak, żeby nie było tak jasno i prosto, nie zagłosowali oni na *Ruch Narodowy*, tylko na partię pajacującego populisty Pawła Kukiza. I tak się składa, że to właśnie kukizowcy-antysystemowcy, pozostając w pozornej opozycji, wspierają większość (jeśli nie wszystkie) propozycje represyjnych zmian w prawie i stanowią w chwili obecnej polityczne zaplecze pisowsko-autorytatywnego fundamentalizmu. Nie kto inny, jak właśnie narodowcy, dają uliczny odpór grupom, określającym się jako *KOD*. A czym jest właściwie sam *KOD*? To pozornie spontanicznie powstała i działająca na zasadzie reakcji sieć grup, których sensem i celem działania nie jest bynajmniej ochrona czy obrona demokracji, tylko próba ukazywania i nasilania społecznej kontestacji tego, co tworzy *PiS*. W istocie, jeśli *PO* straciła praktycznie jakiekolwiek znaczenie w parlamencie, sądach czy mediach publicznych, to zostaje jej tylko ulica i ruchy pozornie społeczne. Takie zadanie zdaje się realizować *KOD*,

powstały z całą pewnością z inspiracji partii liberalnych i ugrupowań pseudolewicowych, które nie przejawiając ani socjalnych ani realnie wolnościowych tendencji, chcą po prostu uchodzić za bardziej europejskie, postępowe czy nowoczesne niż obecnie rządzący *PiS*. Tak się składa, iż właśnie europejskość, pseudo-postępowość i tzw. nowoczesność (dobór słów nie przypadkowy) to jedyne cechy, które różnią liberałów od konserwatystów w polskim parlamencie - który nawet po lewej stronie jest prawicowy. Niewiele natomiast można powiedzieć o lewicy, której w parlamencie nie ma (i praktycznie nie było). Wydaje się, że w przestrzeni społecznej szeroko pojmowana lewicowość jako taka rozdzieliła się częściowo pomiędzy niektóre NGO-sy, związki zawodowe, działającą od niedawna *Partię Razem* czy inne podobne twory...

Tak oto w skrócie można przedstawić obecnie trwającą sytuację polityczną. Pojawia się pytanie, czy widząc to, co dzieje się w Polsce i Europie, jesteśmy świadkami tworzenia się gruntu pod radykalizujące się rządy prawicy narodowo-konserwatywnej? Zapewne. Faktem jest, iż forsowane przez *PiS* i popleczników zmiany w prawie, mogą sugerować nadchodzące, niekorzystne - zwłaszcza dla środowisk wolnościowych - czasy. Można niestety odnieść wrażenie, że tym razem pisowskie rządy nie zakończą się tak szybko, jak ostatnio, bo w odróżnieniu od poprzedniej dekady, sam Kaczyński i spółka znajdują się w dużo bardziej korzystnej sytuacji - mogą rządzić samodzielnie. Dodatkowo mają „antysystemowe" wsparcie ze strony grupy Kukiza i szerzej rozumianych środowisk nacjonalistycznych...

Gdzie natomiast są i co robią anarchiści? Co dla nich oznacza i jakie konsekwencje niesie ze sobą obecna sytuacja? Co robić i jak reagować na zachodzące zmiany? Na pierwszy rzut oka, wydaje się, że nic nie zwiastuje bynajmniej nadchodzącej pełni wolności ani też żadnych zmian względnie korzystnych dla tzw. ruchu czy środowiska anarchistycznego. Prawo staje się coraz bardziej represyjne, policja zyskuje coraz szersze uprawnienia, skrajna prawica panoszy się coraz odważniej na ulicach... Zapewne w obrębie środowisk wolnościowych już pojawia się doza pewnego rodzaju niepokoju i wzmożonej ostrożności. Co zatem dalej? Oczywistym jest, iż anarchiści nie poprą ani rządu, ani jednej, ani drugiej strony prawicowo-prawicowej walki. Jeśli trzymać się konsekwentnie postaw anarchistycznych, nie może też być mowy o przybieraniu pozy właściwej lewicowym partiom czy organizacjom pozarządowym. Z kolei zamykanie się we własnym światku, do niczego efektywnego nie doprowadzi. Oczywiście można dalej próbować robić to, co robiło się do tej pory, usiłując nie oglądać się za siebie, jednak wydaje się, iż nawet i obecną sytuację można wykorzystać w pozytywny sposób. Otóż, zacznijmy od tego, iż zasadniczym problemem anarchizmu w tym kraju jest brak rzeczywistego, silnego ruchu anarchistycznego, który miałby znaczące przełożenie (choćby propagandowe) na przestrzeń społeczną czy medialną. Nad przyczynami tego faktu nie ma co się długo zastanawiać, warto raczej pomyśleć, co zrobić, by stan ten odmienić, zwłaszcza, iż potrzeba jest pilna, zważywszy na stan względnej defensywy, w jakim się znajdujemy. Należy się spodziewać, że zachodzące zmiany polityczne oraz prawne, mają i mieć będą charakter coraz bardziej radykalny i represyjny. Początkowo, równolegle z wprowadzanymi zmianami, rządzący będą mydlić oczy społeczeństwu tanim populizmem, doraźnymi rozwiązaniami socjalnymi, organizowaniem tzw. igrzysk dla mas oraz, jak zawsze - i jak zwykle, zwłaszcza w Polsce - kampanią negatywną wymierzoną w opozycję, Rosję, Niemcy, imigrantów itd. Z czasem jednak - co zwiastują wprowadzane i zapowiadane ustawy - iluzje miną i o ile obecny rząd będzie konsekwentny w swojej polityce, może się okazać, iż coraz więcej grup społecznych będzie dostawać po głowie, a swoboda działań obywatelskich będzie stopniowo ograniczana. Należy się spodziewać, iż reakcją na taki stan rzeczy może być narastająca frustracja, gniew i chęć stawienia oporu. O ile rządy liberałów, wywołując podobny skutek wśród części społeczeństwa, spowodowały wzrost znaczenia skrajnej prawicy, o tyle rządy prawicy konserwatywnej, mogą wywołać efekt politycznie przeciwstawny. I w ten oto sposób może nastąpić moment i okoliczność, której anarchiści nie mogą przeoczyć i na którą powinni być przygotowani. W zasadzie, anarchistyczna reakcja na próby ograniczenia wolności i swobód powinna już mieć miejsce i - w istocie - ma miejsce. Przykładem jest przeprowadzona przez grupy anarchistyczne w całej Polsce w połowie stycznia br. sieć akcji, określonych jako anty-inwigilacyjne, a które wymierzone były we wprowadzone przez nowy rząd zmiany ustawowe, dające służbom państwowym możliwość znacznego zwiększenia kontroli nad obywatelami (w tym miejscu nadmienić należy, że skrajna, rzekomo antysystemowa prawica nawet nie kiwnęła palcem w tej sprawie, skupiając się raczej na otaczaniu i przekrzykiwaniu ogólnikowych w swym przekazie manifestacji przeprowadzanych przez *KOD*, albo - jak miało to miejsce np. w Rzeszowie - wręcz na atakowaniu anarchistycznych pikiet anty-inwigilacyjnych). Idąc dalej, jeśli anarchistyczne protesty i różnorodne formy stawiania oporu względem represyjnej polityki państwa, połączone z sensownymi propozycjami pozytywnych rozwiązań, będą konsekwentnie przeprowadzane i kontynuowane, to - w obliczu względnego braku zaufania ludzi do niedawno odsuniętych od władzy liberałów, nieuchronnie rosnącej niechęci społecznej do rządzących konserwatystów, jak również braku propozycji realnych alternatyw ze strony lewicy parlamentarnej - anarchiści mogą chociażby zwrócić na siebie uwagę, ich przekaz może wzbudzić zainteresowanie i w końcu zyskać poparcie, co może - prócz doraźnych efektów bezpośrednich - okazać się pierwszym krokiem w kierunku budowy i wzrostu znaczenia ruchu anarchistycznego jako takiego. Co będzie dalej? Zobaczymy... Póki co, najważniejsze, by nieustannie patrzeć władzy na łapska i sprawnie reagować. Może okaże się, że faktycznie nie ma tego złego, co by na jakieś dobre nie wyszło...

J.W. - warszawski anarchista

Nie wiem gdzie te socjalne fatałaszki w rządzie *PiS*? To najbardziej neoliberalny rząd po 1989 roku, a całe te 500 zł na dziecko obejmuje tylko klasę średnią, jednocześnie oskubując biedotę, która ze swoich podatków finansuje rozpłód klasy średniej, co celnie wypunktowała inna frakcja neoliberalna - *Gazeta Wyborcza*. Inna sprawa, nawet gdyby *PiS* był socjalny, to czy to argument do popierania *PiS*-u? Co do *Nowoczesnej* - przesadą jest twierdzenie, że założyli ją bankierzy, przemysłowcy i menadżerowie. To projekt elit politycznych drugiego garnituru, które mają przejąć schedę po *Platformie*. I w to trzeba celować, bo powyższy obraz jest mocno uproszczony, plus za bardzo wpasowuje się w narracje *PiS*-u.

Co ma robić lewica? Bratanie się z liberałami doprowadziło właśnie do tego, co się stało. A może być jeszcze gorzej. Nie dziwi zatem, że *Razem* trzyma się jak najdalej od *KOD*-u, co wielu się nie podoba. Anarchiści powinni sprzeciwiać się wszystkim. Na takiej postawie wypłynął niejeden ruch, poza tym, tutaj nie ma mniejszego zła. *Nowoczesna* po przejęciu władzy nie posprząta burdelu zrobionego przez *PiS*, a dołoży do tego swoją księżycową wizję ekonomii. Chyba, że nie ma zamiaru spełniać obietnic wyborczych :)

Jeszcze nie dawno, cały ten syf to nie była nasza walka, tylko konflikt międzyburżuzyjny. Sens może mieć co najwyżej wchodzenie w nie swoje protesty ze swoim przekazem, tak jak zrobili banderowcy na Majdanie. Aczkolwiek, skutek może to mieć mizerny lub odwrotny od zamierzonego. Dlatego, lepiej starać się walczyć o to co zawsze. Wbrew pozorom, nie ma żadnej dobrej zmiany. Sytuacja na rynku pracy jest nadal katastrofalna, a zaangażowanie w kwestie pracownicze bliskie zeru. Cały czas powinniśmy pracować nad programem. Aczkolwiek, sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie, w związku z czym nie wiadomo z czym będziemy się borykali np. za rok. Potrzebna jest perspektywa, która nie będzie na żadnej płaszczyźnie wiązać nas z tym konfliktem. Najlepsze wydają się być kwestie pracownicze, ponieważ obie strony konfliktu to ugrupowania anty-pracownicze, a partia określająca się mianem partii prekariatu - *Partia Razem* - to banda wyalienowanych społecznie i zachowawczych, jak na polskie standardy, ledwo lewicujących kuców.

Życie poza kratami...

„JESTEŚMY PO STRONIE PRAWDY, ZWYCIĘŻYMY!"

ROZMOWA Z IGOREM OLINIEWICZEM - BIAŁORUSKIM ANARCHISTĄ, BYŁYM WIĘŹNIEM REŻIMU ŁUKASZENKI, AUTOREM KSIĄŻKI „JADĘ DO MAGADANU"

Wszyscy mniej więcej wiemy za co znalazłeś się w więzieniu a z kartek książki *Jadę do Magadanu,* jak wyglądało Twoje życie w areszcie śledczym itp. Chciałbym pogadać o pobycie w samych łagrach. Czy pamiętasz może jakie było Twoje pierwsze wrażenie, gdy przekroczyłeś obozową bramę?

Pewnie, trudno o tym zapomnieć. Kiedy suka wjechała za bramę, przed moimi oczami ukazała się prawdziwa idylla. Słońce, zielony ogród, białe chodniczki i łagodne twarze pilnujących. Ogromnie się to różniło od opowieści starych więźniów. Pamiętam, jak jeden z nich opowiadał, że jak wysiadł z suki, to zobaczył altankę w której więzień grał na gitarze, a pijany konwojent spał nieopodal. Bardzo cieszyliśmy się, iż wreszcie możemy pospacerować w wolierze o długości ok. 10 metrów. Dla więźnia to niesłychany luksus. W każdym razie, tej atmosfery rozluźnienia wystarczyło dosłownie na jeden dzień. Wszystko się skończyło następnego dnia o 6 rano, kiedy usłyszeliśmy rozkaz: „Pobudka!"

Jakie według Ciebie były największe różnice pomiędzy życiem w areszcie śledczym a obozem?

Areszt śledczy, to miejsce, dokąd wrzucają człowieka wyrywając go z jego codziennego życia. Taka osoba jeszcze żyje według starej moralności. Wciąż ma nadzieję, że wszystko szybko się skończy. Wciąż myśli w kategoriach i wydarzeniach wolności. Ludzie bardzo to przeżywają, w każdej chwili mogą puścić im nerwy. Łagier jest państwem-wyspą, inną planetą. Ukształtowała się tam mentalność tych, którzy słabo pamiętają wolność. Osadzony żyje według wydarzeń łagrowych i więziennych. Życiem zewnętrznym interesuje się mała grupa więźniów. To z kolei wypracowuje średniowieczny, a poniekąd prehistoryczny pogląd na świat. Czasem taki pogląd całkowicie wymazuje osobowość i nawet poniekąd przekształca ją w zwierzęcą.

Ile przez te kilka lat odsiadki zwiedziłeś łagrów i czy zauważyłeś między nimi jakieś różnice. W Polsce na przykład, każdy zakład karny ma swój własny wewnętrzny regułami dotyczący wielu spraw - czy coś podobnego występuje również w białoruskich łagrach czy może wszyscy stosują się do centralnych wskazówek?

Formalnie wszystkie łagry są podporządkowane jednemu regulaminowi Departamentu Wykonania Kar, według którego, warunki dla różnego rodzaju więźniów są prawie identyczne, może z wyjątkiem *pierwochodów* (1) i recydywistów, którzy przebywają w różnych sektorach. W rzeczywistości jednak, każdy łagier jest unikatowy, każda administracja wykręca prawo jak tylko chce. Na przykład w jednym łagrze więźniowie mogą być zmuszeni do maszerowania od rana do wieczora, chodząc do łazienki tylko za pozwoleniem, a w innym - dozorcy mogą wchodzić do baraków wyłącznie w celu przeliczenia jego mieszkańców, a więźniowie mogą zajmować się czym zechcą, mając telefony komórkowe podłączone do Internetu i kupując sobie randki.

Byłem w dwóch łagrach. W pierwszym porządek był zbudowany na rywalizacji klawiszy, *czerwonych* (2) i *błatnych* (3). Niezależnie od zewnętrznego rygoru, można było wykorzystywać korupcję. To był brutalny łagier, ale ze stosunkowo ludzką twarzą. Drugi łagier całkowicie się różnił. Swoje wyroki odbywała w nim wielu byłych mundurowych, urzędników i kierowników przedsiębiorstw. Poziom zabezpieczenia materialnego był o wiele wyższy, a reżim wewnętrzny nie tak rygorystyczny. Nie było mowy jednak o tym, żeby strażnicy pokazali w jakiś sposób swoją ludzką twarz. Wyrafinowana polityka straży więziennej zubażała ludzką wolę, zamieniając człowieka w posłuszną maszynę. Są opinie, iż właśnie tam praktykowano najnowsze rozpracowania naukowe w sferze kontroli społecznej. Na ten temat powstają nawet doktoraty.

Jak na Białorusi wyglądają podziały pomiędzy więźniami?

Podstawową ideologią w więzieniu są *pojęcia*, ogromny zestaw reguł, który istnieje tylko w ustnej formie, regulując przy tym wszystkie sfery życia więźniów. Ukształtowały się one w radzieckich łagrach lat 60. XX w., chociaż większość podstaw ideowych sięga czasów Gułagu. Więźniowie są podzieleni według *masti* (4) i szeregu kategorii pośrednich. Najwyżej stoją *błatnyje* („szlachta"), którzy żyją „prawidłowym" życiem kryminalnym. Sprawują opiekę nad *pojęciami*, będąc pewnego rodzaju organem sądowym dla więźniów. Niżej jest podstawowa subkultura *mużyki* („mieszczanie") (5). Pracują na obiektach produkcyjnych i odprowadzają środki w *obszczak* (6), którym zarządzają *błatnyje*. Jeszcze niżej stoją *sznyri* („czeladź") (7), zajmujący się pracą na rzecz innych więźniów: sprzątanie, prasowanie, mycie naczyń. Najniżej stoją *pietuchi* (8) („niewolnicy"), kasta niedotykalnych. Zazwyczaj trafiają do niej pedofile, ale spotykają się również osoby, których przyłapano podczas seksu oralnego, geje oraz zgwałceni za duże wykroczenia wobec świata więziennego. Oprócz aktów płciowych jakikolwiek kontakt fizyczny z nimi jest zakazany. Do ich zadań należy sprzątanie toalet i śmietników, pranie skarpet i męskiej bielizny, mają zakaz dotykania cudzej własności oraz zasiadania przy wspólnym stole.

Równolegle istnieje subkultura *kozłów*, czyli *krasnych* lub *aktywistów* („hajducy"). Są to więźniowie pełniący funkcje organizacyjne, gospodarcze lub wychowawcze. Również mają własną hierarchię, od zwykłego sprzątacza do zarządcy pracami. Do ich zadania należy pomoc funkcjonariuszom więziennym w kontrolowaniu sytuacji i wykonywaniu za nich dużej części pracy.

W jaki sposób władze więzienne wykorzystują te podziały?

Straż więzienna wykorzystuje *pojęcia*, jako jeden ze sposobów kontroli nad więźniami. Ten sposób kierowania, w porównaniu z czerwonym więzieniem (*красной зоной*), w którym rządzą klawisze i *kozły*, jest bardziej efektywny. Przecież zwykły więzień nigdy nie uzna w *kozłe* swojego, dla niego *aktywista* stoi zawsze po stronie straży więziennej. Z kolei *błatnyje* są przeciwko funkcjonariuszom więziennym i *kozłom*, nie godzą się na ustanowiony reżim, co ułatwia życie, dlatego podporządkowanie się im jest molarnie łatwiejsze. Oczywiście klawisze mogą dogadać się z niektórymi *błatnymi*, na przykład by wywrzeć presję na zwykłego więźnia w celu uzyskania korzyści materialnych, albo by więzień zaczął wypłacać zadośćuczynienia, ewentualnie, by przestał pisać skargi. W dodatku, co by zmniejszyć niezadowolenie wśród *mużyków*, gdyż w rękach *błatnych* oprócz przemocy, spoczywa możliwość by przy pomocy jakiejkolwiek sfabrykowanej sprawy nadać niższy status każdemu więźniowi.

Jeżeli odwołamy się do porównania z systemem politycznym, to *błatnyje* pełnią rolę socjaldemokratów i związków zawodowych, czyli mówią o potrzebach klasy robotniczej i czasem osiągają drugorzędne ulepszenia, w rzeczywistości zaś, dążą do realizacji własnych interesów. Ponadto jest mniejsza wiarygodność, iż *błatnyje* wydadzą miejscowych klawiszy w wypadku śledztwa o nadużyciach, w odróżnieniu od *kozłów*. Ci wydadzą wszystkich od razu, jeżeli poczują zagrożenie.

Czy w czasie twego okresu przebywania w obozach zdarzały się jakieś konflikty pomiędzy osadzonymi a administracją? Strajki głodowe, bunty? Wiesz coś o tym? Zdarzało się w ogóle coś takiego kiedykolwiek w nowoczesnej historii Białorusi?

Jeszcze nie tak dawno, zdaje się, że w latach 80. ubiegłego wieku, więźniowie spalili łagier w Mińsku. Osobiście rozmawiałem ze świadkiem tych wydarzeń. Opowiadał jak do BUR-u (9) i karceru dwa razy w tygodniu wpadali klawisze i bili wszystkich tak po postu, w celach profilaktycznych. Ci pacyfikatorzy ubierali czarne kożuchy (półpłaszcze), jak w Gułagu i wprowadzili reżim totalnej przemocy i ucisku. Inicjatorów podpalenia bito i później, w więzieniach tranzytowych.

Osobiście zobaczyłem masowe niepodporządkowanie prawie od razu po przybyciu: oddziały masowo odmówiły przyjmowania posiłków w stołówce. Głodówkę zainicjowali *błatnyje* z powodu informacji, że *brygadzista* stołówki i *gławpietuch* (naczelny cwel) pili razem herbatę. Jest to jaskrawy przykład cech charakterystycznych kastowego świata łagrowego. Później podobne dzienne głodówki odbywały się mniej więcej dwa razy w roku. Masowe nieposłuszeństwo zawsze inicjują *błatnyje*, tylko raz widziałem i uczestniczyłem w proteście *mużykow*.

Przez zniewaźenie ze strony nachlanego klawisza i próbę egzekucji na oburzonym więźniu, zbuntował się cały oddział, udając się w kierunku administracji, żeby wyjaśnić sytuację. W więzieniu wówczas wszystko wrzało, w przeddzień miały miejsce masowe pobicia *kozłów* i *stukaczy* (donosicieli). Według skali namiętności, bunt *mużyków* był bardziej spontaniczny i życiowy, mało brakowało, żeby doszło do otwartej konfrontacji. Periodycznie odbywają się lokalne bunty w BUR oraz *pokrytym* (specjalne więzienie przeznaczone dla osób złośliwie łamiących regulamin), zazwyczaj są to głodówki. Chociaż zdarzają się

przypadki kolektywnych działań samobójczych, kiedy więźniowie masowo przecinają sobie żyły, brzuch, grdykę. Ogólnie rzecz biorąc, ruchu protestacyjnego w łagrach nie ma (nie licząc *błatnych*). Klawisze osiągnęli sukces w dławieniu i kontrastowaniu wobec siebie więźniów. Protesty raczej wybuchają z przyczyny beznadziejności.

Dostawałeś z pewnością wiele gestów solidarności w czasie swej odsiadki. W jaki sposób taka solidarność z osadzonymi (akcje, listy, kartki) wpływa na samego osadzonego oraz jego położenie w strukturach więziennych?

Wsparcie jest bardzo potrzebne. W więzieniu życie i czas płyną poza społeczeństwem i każda informacja z zewnątrz jest odbierana z większą wrażliwością, dlatego, że nie ma przytłoczenia informacyjnego, do którego przyzwyczailiśmy się na wolności. Jakakolwiek akcja i publikacja, listi widokówka, wizyta rodziców i pomoc materialna (paczki i pieniądze), spotkania, to wszystko tworzy poczucie braterstwa, pomagając nie „utonąć" w mentalności łagrowej.

Ze strony polskich anarchistów i sympatyków otrzymałem mnóstwo pocztówek i listów. Tutaj odbywały się zbiórki pieniędzy i akcje solidarnościowe: spotkania informacyjne, pokazy filmów, wywieszanie bannerów, pikiety. O tym dowiadywałem się podczas spotkań z rodzicami. Wspólnym wysiłkiem polskich i białoruskich anarchistów była tłumaczona moja książka *Jadę do Magadanu*. Byli więźniowie polityczni *NSZZ „Solidarność"* przekazywali dla mnie ciepłe ubranie i produkty żywnościowe. Szalik, który dostałem od nich towarzyszył mi przez cały okres zniewolenia. Bardzo ważnym było odczuwanie wzajemności ludzi, którzy sami przeszli przez więzienia i się nie załamali.

Dzięki wsparciu nigdy nie czułem się samotnie, nawet spędzając tygodnie w karcerze. Ponadto solidarność wpływa na stosunek innych więźniów. Przecież, jeżeli człowiek obdarzony jest taką uwagą z zewnątrz, to znaczy, iż z nim i z jego działalnością rzeczywiście się liczą. Z tej samej przyczyny władza więzienna mniej ochoczo idzie na bezprawie. O wiele łatwiej jest znęcać się nad osobą, która nie ma do kogo się zwrócić, niźli nad osobą, o której mogą opublikować informację w mediach i dla której będą niepokoić państwowe instancje.

Wspomniałeś kiedyś, iż gdybyś nie wyszedł na mocy ostatniej amnestii, to prawdopodobnie nigdy już nie opuściłbyś obozu... Czy naprawdę istniało dla Ciebie tak duże zagrożenie życia w obozie? Czy byłeś na tyle niebezpieczny dla reżimu Łukaszenki?

Poprawię: nie na mocy amnestii, ale ułaskawienia. Amnestie wobec nas, złośliwych przestępców, nie stosowano. Żeby zrozumieć psychologię reżimu Łukaszenki, należy zdawać sobie sprawę z niektórych cech charakterystycznych klasy panującej. To nadal ta sama radziecka nomenklatura, która głęboko ugrzęzła w korupcji i represjach. W stosunku do niektórych z nich, nawet liberałowie nie są w stanie przymknąć oczu. Każde zmiany strukturalne będą oznaczać koniec ich położenia, nie wyłączając więzienia czy nawet egzekucji. Świadomość nieuchronnego końca i strach przed odwetem ze strony uciskanych, wymuszają na wymierzających karę poszukiwania własnego uspokojenia się w coraz nowszych zaostrzeniach, jak gdyby to coś mogło zmienić. Cały czas szukają nowych gróźb i wrogów. Kilka lat temu w propagandzie państwowej tymi wrogami byli Zachód i opozycja. Teraz, gdy opozycja wykrwawiła się i jest mniej zauważalna, do rangi nowych wrogów zaliczono bezrobotnych, osoby skorumpowane i uzależnionych od narkotyków. Obecnie urzędników wsadzają do więzień paczkami, żeby pokazać ludowi sadystyczne igrzyska i radość z cudzego nieszczęścia, typu „klasa panująca też płacze". Ale aparat państwowy jest całkowicie zgniły i ten, kto wsadza, w niczym się nie różni od tego, kogo wsadza. A jest to ok. pół miliona osób. Ostatnio wszystkich bezrobotnych zmusili do płacenia rocznego podatku. Co do osób uzależnionych od narkotyków, których zamykają pod przykrywką wsadzania dużych dilerów, straż więzienna otrzymała rozkaz stworzyć w łagrach taki reżim, ażeby prosili o śmierć (pierwsze posunięcia w tym kierunku rozpoczęły się jeszcze za moich czasów w styczniu 2015 r.).

Mówiąc: „Nigdy nie opuściłbym obozu" miałem na myśli możliwość systemu karzącego, dodawanie do terminu pobytu kolejne lata w nieskończoność, jak to robiono z Mikołajem Diedkom: na 5 dni przed zwolnieniem dodano mu rok więzienia za „złe zachowanie" (art. 411 KK). Gdzieś ok. 10 lat temu miał miejsce przypadek, kiedy jeden autorytet kryminalny trafił do więzienia z wyrokiem 3 lat, a dodatkowe lata dostawał rok po roku. Wyszedł dopiero po 9 latach.

Na tle takiej masowej irracjonalnej brutalności, posiadający władzę sami zechcieli zobaczyć we mnie i innych towarzyszach jakichś ultra wrogów, których sami wymyślili we własnej chorej wyobraźni, zmęczonej podświadomymi lękami o własną przyszłość. Ten reżim nie może funkcjonować bez wizerunku wroga, jest to stara radziecka cecha, która znowu się uwidacznia. Nawet sam fakt, iż zachodnim ambasadorom mówiono, że istnieją wyjątkowe warunki naszego uwolnienia związane z oczekiwaniem aktu terrorystycznego, świadczy o nieadekwatnym postrzeganiu rzeczywistości.

Po wyjściu na wolność, niemal natychmiast opuściłeś Białoruś. System pozbył się niebezpiecznej jednostki, Ty zyskałeś wolność ale jednocześnie pewnie zamknięto ci drogę powrotu. Czy wrócisz na Białoruś dopiero, jak upadnie reżim Łukaszenki?

W ciągu 5 lat straciłem przywiązanie do życia w tym kraju. Dla mnie teraz wszystko jest nowe, nieważnie gdzie. Wspomnienia są przede wszystkim związane z łagrem, jest to jednak jak oddzielna planeta. Nie znam w tej chwili odpowiedzi, zobaczymy jak wszystko się potoczy.

Po kolejnych wyborach na Białorusi, nic się nie zmieniło. Czy widzisz jakąkolwiek nadzieję na to, że w tym kraju może dojść do jakichkolwiek zmian? Ludzie z pewnością z taką nadzieją patrzyli na zmiany w sąsiedniej Ukrainie, choć te jak dotąd nie wyszły Ukraińcom na dobre.

W łagrze przyzwyczaiłem się do tego, że lepiej niczego się nie spodziewać, a tylko wierzyć w siebie, w bliskich, w człowieka. Reżim rzuca do obiegu społecznego kolejne formy brutalności, to mówi o jego rychłym upadku. Pamiętam jak ludzie wszystkich grup społecznych patrzyli na Majdan z zapartym tchem, jak rosło w nich napięcie w miarę rozżarzenia wydarzeń, jakie było duchowe podniecenie, kiedy zajęto parlament, a Janukowycz uciekł. Pamiętam jak lśniły ich oczy, kiedy zaczęły się pierwsze egzekucje na tych, co karali: prokuratorzy, sędziowie, gliny.

W odróżnieniu od Ukrainy, nie mamy mocnej klasy oligarchów, którzy zahamowali protest. W ogóle nie mamy rozwiniętej wielkiej i średniej burżuazji, dlatego, że 80% własności wciąż należy do państwa. Nikt nie będzie w stanie skanalizować protestu, działając we własnym interesie, liberalna opozycja jest słaba, ludzie są nią rozczarowani. Sporo rozmawiałem z przedsiębiorcami, nawet oni nie mają złudzeń, co do reform ze strony kasty posiadającej władzę. Z tego powodu, kiedy w zdrętwiałym ciele reżimu pojawią się pęknięcia, zacznie się totalna egzekucja: nie ma niewinnych. A dalej... Wszystko bardzo zależy od geopolityki...

Orientujesz się jak dziś wygląda sytuacja w białoruskim ruchu anarchistycznym? Czy ruch podnosi się z kolan po represjach sprzed pięciu lat?

Orientuję się dość pośrednio. Coś się zmieniło - nie pojawiło się nowe pokolenie. Część aktywistów, jak i wcześniej, zapatruje się w ruch zachodni i kopiuje go, przede wszystkim Niemcy. Zazwyczaj jest to zainteresowanie weganizmem, feminizmem, skłotami (w teorii), *LGBT*, ekologią, *freemarketami*, wolnymi uniwersytetami itd. Część rozwija się w kierunku klasycznego anarchizmu. Zapożyczenia idą więcej z tendencji insurekcyjnych, ale bez szału - zapał po greckiej fali minął. Współpracy między tymi kierunkami już nie ma, szereg konfliktów pochował jedność.

Są również i ogólne zmiany. Koncerty subkulturowe często rozpędza milicja i czekiści (10). Pod wpływem wydarzeń na Ukrainie pojawiły się grupy tzw. narodowych „anarchistów" (etno-anarchistów). Ostatnio nawet organizowali wycieczkę po krajach bałtyckich, gdzie w środowiskach wolnościowych byli przyjmowani jako swoi, m.in. na polskich skłotach. Bardzo podniósł się poziom bezpieczeństwa informacyjnego i konspiracji. Jeżeli kiedyś dla gliniarzy wystarczyło zatrzymać wszystkich i konfiskować komputery, to teraz to nie pomaga. Aktywiści nauczyli się korzystać z kryptografii, zabezpieczać formy komunikowania się między sobą i nic nie mówić podczas przesłuchań. Z tej przyczyny służby zaczęły uciekać do bardziej wyrafinowanych metod - wprowadzać do ruchu donosicieli.

Podkreślę, iż wielokrotnie zwiększyła się ilość wydawanej literatury, w języku rosyjskim ukazuje się mnóstwo zachodniej anarchistycznej klasyki oraz prac współczesnych autorów. Jednak prawie nikt nie nazywa siebie lewicą. To określenie prawie się wyeliminowało, na szczęście.

Sprawa Waszego aresztowania, jak i ogólnie sprawa grupy *Przyjaciele Wolności*, przez część środowisk anarchistycznych kojarzona była z insurekcyjnym nurtem w anarchizmie. Wiem, że sam się za insurekcjonistę nie uważasz, ale widzisz jakiekolwiek pozytywne aspekty w tym nurcie?

W latach 2000. anarchiści bili się z policją podczas demonstracji alterglobalistycznych, używali kamieni i butelek z benzyną. Przykładem z historii mogą być bojowe drużyny *CNT* walczące z kapitalistami. I nagle każde działania radykalne zaczyna się określać jako insurekcjonizm. Z tym terminem osobiście zapoznałem się dopiero w 2010 r., ukrywając

się w Moskwie. Podstawowa cecha pozytywna tego kierunku to bezpośrednia konfrontacja z systemem, która kształtuje rewolucyjnego ducha. Ponadto, większą uwagę przywiązuje się do taktyki grup autonomicznych. Na tym cechy pozytywne się kończą.

Nie uważasz, iż insurekcjonizm nie powinien być rozpatrywany jako nowa idea ale tylko i wyłącznie jako taktyka, której mogą używać zarówno anarchiści nihilistyczni jak i społeczni.

W insurekcjoniźmie nie ma żadnej nowej idei. „Nowe", to zapomniane stare. Jako przykład mamy bogatą praktykę historyczną w Imperium Rosyjskim. Na początku XX wieku w Białymstoku działali członkowie organizacji *Czornoje Znamia*. Historia tej młodzieży cechowała się lekkomyślnym fanatyzmem i permanentną przemocą. Była to pierwsza w Imperium grupa anarchistyczna, która zaingerowała świadomą politykę terroru wobec ustalonego porządku. Składająca się z ok. 10-12 osób wywierała zemstę na posiadaczach i szefach. Typografia *Anarchia* wydała mnóstwo odezw i ulotek wyrażających gwałtowną nienawiść do istniejącego społeczeństwa i wzywających do jego natychmiastowego zniszczenia

Zgodnie z filozofami inuserkcjonizmu, takimi jak Bonano, ruch powstańczy powinien rozwijać się jak kula śnieżna, stając się coraz większym, do póki nie ogranie całego społeczeństwa i nie sparaliżuje systemu. Ale praktyka pokazuje, że po pewnym wzroście protestów, nie mamy jakościowego przejścia, społeczeństwo nie może przyjąć wyłącznie zniszczenia. Kiedyś przedstawicieli greckich *Konspiracyjnych Komórek Ognia* zapytano, dlaczego nie okupują fabryki lub mniejszego miasta, żeby pokazywać przykład konstruktywnych przekształceń. Odpowiedzieli: „Ale po co? Chcemy wszystko zniszczyć". W tym widzę utopijność całej idei insurekcjonistycznej.

W 2010 r. fala anarchizmu powstańczego dosięgła Białorusi, Rosji i Ukrainy. Były podpalane policyjne posterunki, auta urzędników, biura partii politycznych, sprzęt budowlany. W ciągu 3 lat wszystko upadło. Część uczestników została wykryta i zrezygnowała z działalności, część nadal się ukrywa lub wyjechała zagranicę. Niezależnie od wszystkich starań aktywistów, naród nie udzielił wsparcia. Nasi towarzysze w przeszłości już próbowali tych metod i zapłacili za to ogromną ilością swoich żyć, wskazując nam na ślepy zaułek - musimy uczyć się na błędach. Dzisiaj wielu wczorajszych insurekcjonistów przemyślało swoje doświadczenie i skłania się do wykorzystania radykalnych metod punktowo, zależnie od kontekstu konfliktów społecznych.

Wiem, że swej wizji działań anarchistycznych kładziesz duży nacisk na używanie nowych technologii, takich jak Internet czy media społecznościowe. Z jednej strony są to pożyteczne rzeczy, pomagające w działaniach, jednak z drugiej zastawiają one na działaczy wiele pułapek, choćby uzależnienie do *Sieci* czy nieograniczone możliwości inwigilacji ze strony Państwa. Czy zauważasz te zagrożenia?

Czy tego chcemy czy nie, społeczeństwo coraz bardziej pogrąża się w *Sieci*. Czy technologie niosą ze sobą niebezpieczeństwo? Same w sobie technologie nie niosą obciążenia moralnego: wszystko zależy od tego, w jakich celach są wykorzystywane. Państwo, rzecz jasna, dąży do wzięcia pod kontrolę wirtualnej przestrzeni. Społeczeństwo naturalnie stara się wykorzystywać *Web* bez ograniczeń.

W tym wyścigu społeczeństwo wydaje się być bardziej dynamicznym niż państwo. Na zidentyfikowanie IP-adresów społeczeństwo odpowiedziało *TOR*-em i *VPN*, na wykrycie haseł - softem kształtu *TrueCrypt*, na blokowanie dla ochrony prawa autorskiego - *Torrentem*, na przegląd czatów - *Jabberem*, na lukę w zabezpieczeniach *Skype* pojawił się *Tox*, na odłączenie sieci komórkowych podczas protestów - autonomiczną aplikacją *FireChat*. Pojawiły się waluty nie przywiązane do banków centralnych jak *bitcoin*.

Możliwości społecznego obliczenia rozproszonego już wielokrotnie górują nad możliwościami wszystkich superkomputerów świata razem wziętych! *Crowdsourcing* rozszerza się po planecie, społeczeństwo samo staje się inwestorem, tworząc wszystko - od filmów do najnowszych technologii. Dlatego stworzenie systemu elektronicznej samorządności społecznej nie należy do *science fiction*, ale do przewidywalnej przyszłości.

Dzięki skrzynkom mailowym, komunikatorom i serwerom wymiany plików odbył się duży progres w poziomie świadomości informacyjnej i koordynacji działań. Anarchiści coraz więcej dowiadują się o sobie. *Riseup* stworzył serwer *We*, co jest dużym krokiem naprzód. Wypadałoby, żeby kolektyw dopracował serwer, gdyż w tej chwili przegrywa z podobnymi projektami. Wszystko dąży do tego, że pojawi się nasz własny portal społecznościowy. Wtedy nasze możliwości wzrosną kilkakrotnie. Ogólnie mówiąc, nie trzeba obawiać się technologii, a uczyć się wykorzystywać ją na pożytek sprawy wyzwolenia.

W Polsce miałeś kilka spotkań zorganizowanych przez anarchistów, na których „promowałeś" swoja książkę jak i opowiadałeś o swych więziennych przeżyciach. Jakie były Twoje wrażenia po tych spotkaniach? Jak ze swej perspektywy oceniłbyś polski ruch anarchistyczny?

Do Polski trafiłem prawie od razu po wyjściu z więzienia. Jeszcze nie zdążyłem porządnie wejść do kręgów swoich towarzyszy, dlatego te spotkania stały się dla mnie integracją w ruch na nowo. Co czułem? Siedząc przez długi czas w karcerach, niezliczoną ilość razy wyobrażałem sobie ten moment, kiedy ponownie wrócę w ten braterski krąg. Ta myśl podtrzymywała mnie. Z biegiem czasu jednak nie wiedziałem czy to naprawdę się kiedyś wydarzy. I nagle wszystko dzieje się w rzeczywistości. Brak mi słów, żeby opisać te wrażenia.

Polski ruch anarchistyczny znam dość powierzchownie, jest tu wiele różnych interesujących inicjatyw. Byłem pod wrażeniem kooperatyw, skłotów i ośrodków anarchistycznych, wydawnictwa, pomocy uchodźcom, poziomu udziału w ruchu robotniczym, lokatorskim oraz innych ruchach społecznych. Ale najbardziej mi się podobają sami ludzie.

Czy planujesz również podobne spotkania w krajach Europy Zachodniej?

Zapraszali mnie już towarzysze z Francji, Niemiec i Szwecji, ale miałem wówczas spotkania w Polsce. Aktualnie kończę własną redakcję książki, dopracowuję pełną wersję. Jeżeli anarchistów z innych krajów to zainteresuje, chętnie przyjmę zaproszenie na takie spotkania.

Jakie masz plany na przyszłość? Spokojne życie na Zachodzie czy partyzancka walka z reżimem Łukaszenki?

Spokój śni nam się tylko (uśmiecha się) (11).

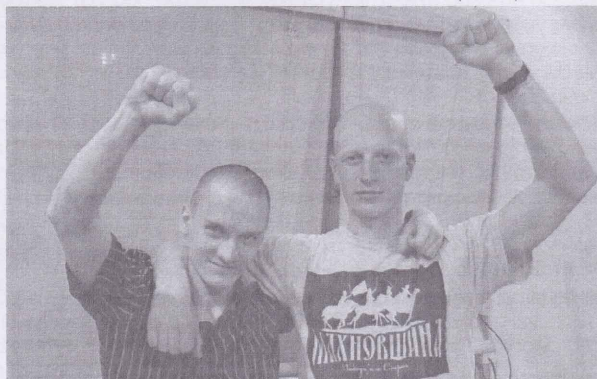
Dzięki za wywiad i powodzenia...

Dziękuję! Wiesz, przez 5 lat zawiodłem się na wielu rzeczach i tylko w wierności anarchizmu wielokrotnie się utwierdziłem. Jestem przekonany, iż ruch anarchistyczny wkrótce zasygnalizuje o sobie całemu światu. Jesteśmy po stronie prawdy, zwyciężymy!

Tłumaczenie i przypisy: **Aleksander Łaniewski**
Specjalne podziękowania dla *Kary*.

Przypisy:

(1) *Pierwochod* (ros. первоход) - osoba pierwszy raz trafiająca w więzienie, w polskiej gwarze więziennej (grypserze) odpowiada określeniu *świeżak* czy *cuwaks*. Tu i dalej wszystkie odpowiedniki podane są w przybliżeniu;
(2) *Krasnyje* (ros. красные, dosł. czerwoni) - więźniowie funkcyjni. Inne określenie to *kozły* (ros. козлы) i *aktywiści* (ros. активисты). W polskiej grypserze odpowiada określeniu *fest*;
(3) *Błatnyje* (ros. блатные) - najwyższa kasta więzienna, w polskiej grypserze odpowiada określeniu *grypcujący*, *ludzie*;
(4) *Mast'* (ros. масть) - w postradzieckiej gwarze więziennej kasta lub subkultura więzienna. Podstawowe znaczenie słowa, to kolor sierści zwierząt lub kolor kart do gry;
(5) *Mużyki* (ros. мужики, dosł. chłopy) - w polskiej grypserze nie ma odpowiednika, wydaje się, że z dużym zastrzeżeniem *mużyków* należy umiejscawiać w okolicach *szwajcarów*;
(6) *Obszczak* (ros. общак) - wspólna kasa przestępców pełniąca rolę swoistego funduszu dla pomocy wzajemnej wśród więźniów;
(7) *Sznyri* (ros. шныри) - w polskiej grypserze odpowiada określeniu *frajerzy*;
(8) *Pietuchi* (ros. петухи, dosł. koguty) - najniższa kasta, w polskiej grypserze odpowiada określeniu *cwele*;
(9) ros. *Барак Усиленного Режима* - barak o wzmocnionym rygorze, „więzienie w więzieniu";
(10) Czekista - pracownik radzieckiej CzeKa (Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem), w krajach postradzieckich potocznie określenie funkcjonariuszy KGB, FSB, SBU itd.;
(11) Bardzo popularne na postradzieckim obszarze powiedzenie, słowa te pochodzą z wierszu słynnego rosyjskiego poety Aleksandra Błoka „Na Kulikowym Polu" (1908 r.), aczkolwiek do powszechnego obiegu wprowadził je inny wybitny literat rosyjski, Iosif Brodski, wierszem „И вечный бой. Покой нам только снится" (1962 r.).



Igor Oliniewicz (z prawej) i Aleksander Franckiewicz - obaj skazani w sprawie *Przyjaciół Wolności*.

MOJE 40 LAT W WIĘZIENIU

Cóż mogę powiedzieć czego nie powiedziałem wcześniej? Myślę, że mogę zacząć od powiedzenia „na razie" wszystkim tym, którzy odeszli z tego świata w ubiegłym roku. My Tubylcy nie lubimy wymawiać ich imion. Wierzymy, iż jeśli je wypowiemy, to zakłócimy ich podróż. Ich duchy mogą zgubić drogę i będą się wiecznie błąkać po tamtym świecie. Jeśli zbyt wielu będzie ich wzywać z powrotem, to będą próbowały wrócić. Ale i tak duchy wiedzą, że o nich myślimy, więc wszystko co chcę powiedzieć, to „bezpiecznej podróży" i do zobaczenia wkrótce...

6. lutego minęło 40 lat mojego uwięzienia. Mam teraz 71 lat i ciągle przebywam w bloku o zaostrzonym rygorze. W moim wieku nie mam pewności ile życia jeszcze mi zostało. W trakcie odsiadki „zarobiłem" ekstra 4-5 lat czasu, którego nikt nie chce mi uznać. Czyżby to się nie liczyło? W okresie kiedy byłem sądzony, średni czas po którym skazani na dożywocie mogli starać się o zwolnienie warunkowe wynosił 7 lat. To oznacza, iż odsiedziałem już niemal sześć wyroków dożywocia i powinienem być zwolniony już dawno. Poza tym jest prawo, które nakazuje zwolnienie każdego więźnia po odbyciu 30 lat kary. A ja jestem już tu 10 lat dłużej. Teoretycznie rząd nie może zmieniać praw, tylko po to by trzymać kogoś w więzieniu. **NO, CHYBA ŻE NAZYWASZ SIĘ LEONARD PELTIER!**

Niedawno powiedziano mi, że nadal będę trzymany w USP Coleman (więzienie federalne na Florydzie dla najniebezpieczniejszych przestępców - *przyp. tłum.*) przynajmniej do roku 2017, kiedy to znów zadecydują czy mogę - lub NIE - być przeniesiony do lżejszego więzienia. Ale, proszę sprawdź to, ja już jakieś 15 lat temu zostałem zakwalifikowany jako więzień „średniej kategorii zagrożenia", a w dodatku regulamin więzienny wyraźnie mówi, iż więźniowie w podeszłym wieku powinni być przetrzymywani w blokach o średnim rygorze bezpieczeństwa. Niestety, **NIE JEŚLI NAZYWASZ SIĘ LEONARD PELTIER.**

Jak pewnie pamiętasz, historia moich starań o ułaskawienie jest bardzo długa. Pierwszą apelację wniosłem za kadencji Jimmego Cartera. Odrzucił ją. Ronald Reagan obiecał prezydentowi Gorbaczowowi, że uwolni mnie na zasadzie wymiany, jeśli Związek Radziecki wypuści innego więźnia. Ale Reagan ostatecznie się z tego wycofał. George H.W. Bush nie zrobił niczego. Następna apelacja była już za czasów Billa Clintona. Odszedł on jednak z urzędu bez podjęcia żadnych kroków w tej sprawie, mimo tego, iż *Pardon Attorney* (urząd przy prezydencie USA, doradzający mu w sprawach ułaskawień - *dop. tłum.*) przeprowadziło 11-miesięczne dochodzenie (zwykle trwa około 9 miesięcy), po którym powiedziano nam, że rekomendowano moje ułaskawienie. Z kolei George W. Bush odrzucił moją petycję w 2009 roku. Co ciekawe, w każdą decyzję dotyczącą mojego ułaskawienia ingerowało FBI! A to jest nielegalne jak cholera!

Teraz jednak stoję przed zupełnie innym problemem - tętniak aorty brzusznej. Jest wielkości baterii AAA. Lekarz powiedział mi, iż jeśli pęknie, to mogę wykrwawić się na śmierć. Mogę również skończyć zupełnie sparaliżowany, ponieważ tętniak znajduje się blisko kręgosłupa. Dobra wiadomość jest taka, że jest to uleczalne, a operacje kończą się powodzeniem w 96 - 98 % przypadków. Ale, jestem nadal w więzieniu o zaostrzonym rygorze i nikt stąd nie otrzymuje zgody na leczenie!

Mam jednak nadzieję, że teraz, kiedy dobiega końca ostatni rok kadencji Baracka Obamy, będzie on kontynuował walkę o spełnienie swoich obietnic, a jego administracja poczyni dalsze postępy w kierunku rozwoju współpracy z organizacją *First Peoples*. Nadzieję daje mi to, iż ten prezydent ciężko pracował na to, żeby potwierdzić bliskie relacje z Ludnością Tubylczą. Wierzę, że z Waszym poparciem Barack Obama będzie miał odwagę i chęć, żeby złagodzić mój wyrok i odesłać mnie do domu, do mojej rodziny.

Patrząc wstecz na 40 lat starań w mojej sprawie, czuję się przytłoczony i upokorzony. Chcę podziękować wszystkim którzy mnie wspierają, wszystkim którzy wierzyli we mnie przez te lata. Niektórzy z Was są ze mną od samego początku. Zadbaliście żebym miał książki i pieniądze, za które mogłem kupić coś w więziennej kantynie i uczynić moje życie tu na tyle wygodnym na ile to w takim miejscu możliwe. Wpłacaliście również fundusze na *Komitet Obrony i Ofensywy* (organizacja walcząca o uwolnienie Peltiera - *przyp. tłum.*), dzięki czemu mogliśmy kontynuować walkę o moją wolność. Pracowaliście - nadal zresztą ciężko pracujecie - nad tym, żeby poinformować świat o czymś, co dziś nazywane jest najbardziej oburzającym wyrokiem w historii USA.

Są na tym świecie ludzie dobrego serca i Wy jesteście jednymi z nich. Przepraszam, że nie nadążam odpisywać na wszystkie Wasze listy, ale dziękuję za miłość którą mi okazujecie. Bez tego nigdy nie wytrwałbym tak długo. Tego jestem pewien.

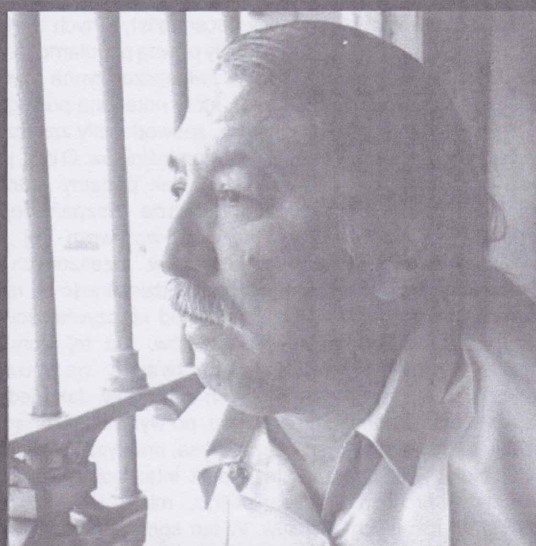
Wierzę, iż moje uwięzienie, instytucjonalna przemoc oraz wszystkie złe postępki i błędy rządu w mojej sprawie, są problemami dużo większymi i szerszymi niż tylko moje życie czy wolność. Czuję, że każdy z Was uczestniczących w batalii o moją wolność, był jednocześnie częścią większej walki. Walki Ludów Tubylczych o prawa polityczne, suwerenność i po prostu o nasze przetrwanie.

Jeśli kiedyś zostanę „wezwany do domu", proszę, nie zaprzestawajcie naszej walki.

W Duchu Szalonego Konia...

Leonard Peltier

Więcej informacji o sprawie znajdziecie na stronach:
http://www.whoisleonardpeltier.info/
http://www.indianie.eco.pl/lpsg.htm



Leonard Peltier (ur. 1944) pochodzi z plemienia Czipewejów i w latach 70. ub. w. był jednym z czołowych działaczy *Americam Indian Movement* (*Ruch Indian Amerykańskich*), organizacji która coraz głośniej zaczęła upominać się o prawa ludności tubylczej. *AIM* znalazło się na celowniku FBI w ramach programu *COINTELPRO*, który za swój cel miał zwalczanie wszelkich radykalnych ruchów politycznych. 26. czerwca 1975 r. doszło do incydentu w rezerwacie Pine Ridge w Południowej Dakocie, w wyniku którego zginęło dwóch agentów FBI oraz jeden Indianin. Sprawa zastrzelenia agentów stała się priorytetowa dla FBI, jednak w sprawie zastrzelenia młodego tubylca, Joe Stunza, nigdy nie rozpoczęto dochodzenia. O zamordowanie dwóch agentów federalnych oskarżono czterech działaczy *AIM*. Jeden z nich został wykluczony spośród podejrzanych a dwóch pozostałych oczyszczono z zarzutów na mocy prawa do samoobrony. O podwójne morderstwo został oskarżony Peltier, któremu udało się zbiec do Kanady, gdzie został zatrzymany i przewieziony do Stanów. Peltier dostał podwójne dożywocie, mimo, iż nie było i nadal nie ma niezbitych dowodów na to, że brał udział w owej strzelaninie. W jego obronę zaangażowanych jest na całym świecie wiele osób, w tym wiele osób publicznych (aktorzy, pisarze, politycy, duchowni).

W 80. rocznice Rewolucji Hiszpańskiej...

ZREALIZOWANA UTOPIA

CZEGO NAUCZYŁA NAS HISTORIA HISZPAŃSKIEGO RUCHU ANARCHISTYCZNEGO

Problem hiszpańskiego ruchu anarchistycznego oraz Rewolucji Hiszpańskiej jest poruszany stosunkowo często w publikacjach anarchistycznych, także w Polsce. Niestety nadal wiele kluczowych pozycji dotyczących tego okresu nie zostało na język polski przetłumaczonych. Stąd też wiele opracowań krąży wokół problemu stricte militarnego, a niekoniecznie historii rozwoju ruchu i przebiegu samej rewolucji. Wiele możemy przeczytać na temat poszczególnych starć na frontach wojny domowej w Hiszpanii, o konflikcie pomiędzy anarchistami oraz niestalinowskimi komunistami a stalinistami. To wszystko są istotne kwestie i warto je znać, ale to, co jest najważniejsze z punktu widzenia współczesności - to właśnie przemiany rewolucyjne oraz wcześniejszy bezprecedensowy rozwój i siła ruchu anarchistycznego na Półwyspie Iberyjskim.

Aby uzmysłowić sobie rozmach tego ruchu, należy zwrócić uwagę, że w swojej klasycznej postaci rozwijał się on przez dziesięciolecia, od lat 60. XIX wieku aż do końca lat 30. XX wieku, gdy w dużym stopniu został rozbity przez zwycięską i krwawą dyktaturę Franco. W jego ramach zdążyło urodzić się i umrzeć kilka pokoleń ludzi. Gdy wybuchła rewolucja, setki tysięcy osób mogło powiedzieć: „mój pradziadek był anarchistą, mój dziadek, matka i ojciec byli anarchistami, ja też jestem anarchistą". Gdy w latach 60. na Półwyspie Iberyjskim pojawili się reprezentanci Bakunina, w Hiszpanii znane były już prace Proudhona, popularyzowane, w złagodzonej formie, przez federalistę Francisco Pi y Margalla, późniejszego prezydenta pierwszej republiki. Kraj ten ma długą tradycję federalizmu i tendencji decentralistycznych i w kręgach ich zwolenników pisma Proudhona zdobyły pewną popularność. Jednak dopiero pojawienie się bakuninistów, a zwłaszcza słynne tournée po kraju Giuseppe Fanellego w 1868 roku, który notabene posługiwał się wyłącznie językiem francuskim i włoskim, spowodowały zaszczepienie idei anarchistycznych wśród robotników i rzemieślników. O tym, jak duże wrażenie musiał wywołać anarchizm i na jak podatny grunt trafić, świadczy fakt, iż na założycielskim zjeździe hiszpańskiej sekcji *Międzynarodówki*, która powstała pod wpływem tej wizyty, reprezentowanych było 40 tysięcy robotników, zrzeszonych w 150 stowarzyszeniach. Anarchizm więc rozpoczął działalność od razu jako ruch w miarę masowy, a nie wyizolowana od rzeczywistości grupka teoretyków lub zawodowych rewolucjonistów. Od tej pory sekcja hiszpańska *Międzynarodówki* stała twardo na pozycjach anarchistycznych w czasie wewnętrznych konfliktów. Jako jedyna też przetrwała w nienaruszonej niemal formie, po wyrzuceniu anarchistów i rozwiązaniu *Międzynarodówki* przez Marksa, praktycznie aż do końca lat 30. XX wieku. Do dziś zresztą aspekt internacjonalistyczny jest kluczowy dla anarchizmu hiszpańskiego, mimo ich przywiązania jednocześnie do lokalnych inicjatyw. W ten sposób narodził się ruch, który stał się laboratorium różnorodnych inicjatyw wolnościowych realizowanych na szeroką skalę. Oczywiście ruch natychmiast spotkał się z represjami ze strony państwa w wyniku podejmowanych akcji strajkowych i został zdelegalizowany pod pretekstem „podejrzanych" kontaktów międzynarodowych. Mimo to, kolejna legendarna postać hiszpańskiego anarchizmu, Anselmo Lorenzo wiosną 1872 odbył, jak to określił jeden z historyków, „apostolską podróż" po andaluzyjskich wsiach. Do tego czasu anarchizm iberyjski rozwijał się głównie wśród robotników i rzemieślników na północy. Ta podróż zapoczątkowała silny i najbardziej chyba radykalny, nurt wiejski.

Leniniści często zarzucali anarchizmowi jego rzekomą „drobnoburżuazyjność". Faktycznie, w formie proudhonowskiej rozwijał się on głównie wśród rzemieślników, ale w wersji proponowanej przez bakuninistów objął głównie robotników Barcelony i Madrytu oraz masy bezrolnych i małorolnych chłopów Andaluzji. Tym się też różnił od leninizmu, że nie podkreślał „przewodniej roli" żadnej z tych grup. Dlatego tak masowo garnęli się do niego chłopi.

W większości krajów, wówczas i później, ruch anarchistyczny spotykał się z represjami. Tak też było w Hiszpanii. Przy czym represje te miały szczególnie okrutny charakter. Złapanych *internacjonalistów*, jak ich często nazywano, poddawano torturom, duszono na garocie i mordowano na dziesiątki innych sposobów, jakie tylko bezwzględny reżim tego feudalnego kraju mógł wymyślić. Zabijani byli zresztą nie tylko anarchiści, ale wszyscy, którzy przeciwstawiali się monarchii, Kościołowi, czy panom feudalnym - liberałowie, federaliści, zwolennicy socjalizmu państwowego itd. Odpowiedź na te represje często była także gwałtowna, choć nad formą tej reakcji dyskutowano od samego początku. Wielu uznało, iż odpowiadanie zgodnie ze starotestamentową zasadą „oko za oko" jest niezgodne z anarchistyczną etyką i doprowadza do zaklętego kręgu przemocy - represji, ataku, represji, kolejnego ataku, co wykrwawia ruch. Dlatego na początku lat 80. XIX wieku doszło do rozłamu na tym tle. Większość opowiedziała się dalej za masową akcją związkową, strajkami, itd. Niewielka mniejszość, zwłaszcza z Andaluzji z okolic Jerez, postanowiła podążyć drogą terroryzmu tworząc grupę *Los Desheredados* (*Wydziedziczeni*), która propagowała działanie głównie poprzez zabijanie reprezentantów władzy państwowej, kościelnej, feudałów, kapitalistów itd. Dało to pretekst władzy do kolejnych krwawych represji, zwłaszcza, że powiązano wydziedziczonych z działalnością dość tajemniczej grupy *La Mano Negra*. Wiele, najczęściej niewinnych, osób zostało uwięzionych, torturowanych i straconych z tego powodu. W wyniku szeroko zakrojonej działalności represyjnej anarchizm w Andaluzji doznał straszliwych strat w tym okresie. Z 40 tysięcy członków organizacji na początku represji w regionie, pod koniec tego okresu pozostało jedynie 3 tysiące. Nie udało się go jednak zniszczyć całkowicie, ponieważ zakorzenił się już dość głęboko wśród całego pokolenia Andaluzyjczyków. W latach 90. znowu podjęto działania powstańcze (w 1892 roku cztery tysiące chłopów wkroczyło do Jerez uzbrojonych tylko w sierpy i zabiło kilku niepopularnych kupców), które także skończyły się brutalnymi represjami ze strony państwa.

Tymczasem w Barcelonie rozpoczęły się strajki o ośmiogodzinny dzień pracy. Jednocześnie z Włoch i Francji dotarła tu moda na zamachy bombowe, początkowo nie wyrządzające zbyt wielu szkód. Gdy kapitaliści i władze zaczęli wynajmować również po swojej stronie uzbrojonych bojówkarzy, rozpętała się prawdziwa wojna uliczna, doszło też do kilku zupełnie niepotrzebnych jatek, jak np. zamach na teatr. Mnożyły się policyjne prowokacje. Np. w 1896 roku ktoś rzucił z okna bombę na przechodzącą procesję kościelną. Anarchiści i socjaliści byli przekonani, że była to prowokacja, bo rzucono nią nie na czoło procesji, gdzie szła hierarchia kościelna i państwowa, ale na tył, gdzie szli zwykli ludzie. Niemniej uzasadniło to kolejną brutalną falę represji skierowaną przeciwko całej lewicy.

Doświadczenie lat 90., czyli spirala przemocy, różnych prowokacji, a często działań po prostu ludzi niezrównoważonych, którzy powoływali się na „anarchizm", doprowadziła do kryzysu ruchu. Coraz więcej robotników, odstręczanych niekończącym się kręgiem przemocy, zaczęło skłaniać się ku socjalistycznym organizacjom. Jedynym wyjściem było sprowadzenie anarchizmu do swoich korzeni - do masowego ruchu robotniczego i chłopskiego. Do związków zawodowych. I tak się stało.

Od początku XX. wieku trwały próby reformy i odnowienia anarchistycznego ruchu związkowego, co doprowadziło do powstania w 1910 roku słynnej konfederacji związkowej *CNT*, której celem było wywłaszczenie kapitalistów i przejęcie kontroli nad gospodarką przez robotników i chłopów. Wielkim wsparciem wówczas było także powstanie po drugiej stronie Pirenejów związku *CGT*, choć *CNT* w przeciwieństwie do swojej francuskiej siostry, była od razu świadomie anarchistyczna, ponieważ wywodziła się bezpośrednio z istniejących już wcześniej anarchistycznych stowarzyszeń robotniczych i określonej wolnościowej kultury politycznej. Ten poziom świadomości był zapewne tą różnicą, która zaważyła na późniejszej odmienności dróg, jakimi podążyły *CGT* i *CNT*.

Niedługo po powstaniu, w wyniku podjętego strajku generalnego, *CNT* została zdelegalizowana, co nie oznaczało zaprzestania działalności. W 1919 roku strajk generalny zorganizowany przez *CNT* sparaliżował kataloński przemysł. Bezpośrednią konsekwencją tej akcji strajkowej było, po raz pierwszy, wprowadzenie przez rząd

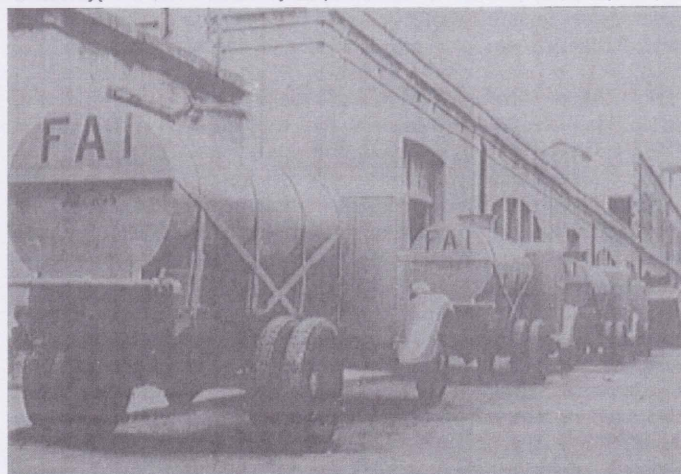


8-godzinnego dnia pracy. W tymże roku, na fali sukcesu, *CNT* osiągnęła liczebność ponad 700 tysięcy osób.

Po rewolucji rosyjskiej powstało zagadnienie stosunku *CNT* i anarchosyndykalizmu w ogóle, do przemian w Rosji. Początkowo robotnicy w Hiszpanii (tak jak na całym świecie) przyjęli rewolucję w tym kraju z nadzieją. Rozpoczęły się negocjacje dotyczące przyłączenia się *CNT* do tworzonej przez bolszewików „czerwonej międzynarodówki związkowej". Delegacja *CNT* do Rosji była bardziej dociekliwa niż wiele innych tego rodzaju przedstawicielstw - odkryli, iż represje bolszewików dotknęły m.in. anarchistów rosyjskich, a sam nowy reżim dąży do odtworzenia starej struktury państwowej. Pod wpływem relacji delegatów, *CNT* zerwała negocjacje. Odmiennymi drogami poszła francuska *CGT*. Wielu związkowców, w tym nawet dawnych anarchosyndykalistów, uwierzyło w propagandę bolszewicką i na fali ogólnego entuzjazmu przyłączyło się do francuskiej partii komunistycznej, wciągając cały związek w orbitę wpływów Moskwy. Większość związków anarchosyndykalistycznych jednak nie poszło za tą dominującą wówczas modą i utworzyło w Berlinie w 1922 roku własną międzynarodówkę, o nazwie bezpośrednio odwołującej się do *I Międzynarodówki - Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników* (istniejąca do dziś i wciąż największa międzynarodowa organizacja anarchistyczna *IWA-AIT*). Jak pamiętamy, *CNT* bezpośrednio wywodzi się z organizacji robotniczych powstałych w Hiszpanii pod egidą *I Międzynarodówki*. Nowa międzynarodówka, tak jak i *CNT*, przeszła na pozycje propagowania niebolszewickiego i anarchistycznego komunizmu wolnościowego (bezpaństwowego systemu ekonomicznego opierającego się na zasadzie „od każdego według sił, każdemu według potrzeb"). Ten rozbrat z „komunistami chowu rosyjskiego", szczególnie tragicznie uwidoczni się podczas Rewolucji. Tymczasem w Europie, poczynając od Włoch, zaczęły plenić się różnego rodzaju autorytarne formy prawicowych rządów. Nie ominęło to Hiszpanii, gdzie władzę przejął generał Miguel Primo de Rivera. Jego dyktatura bardziej przypominała tę Piłsudskiego niż Mussoliniego, czy później Franco, pod względem poziomu represji. Mimo to *CNT* i inne organizacje anarchistyczne musiały ponownie zejść do podziemia. Dodatkowo dyktator, który mimo swoich ograniczeń widział potrzebę modernizacji Hiszpanii, wspierał bardziej mu odpowiadające związki propagujące socjalizm państwowy, zrzeszone w centrali *UGT*. *CNT* przeżywała kryzys. Tymczasem w jej pismach trwała ostra debata pomiędzy zwolennikami reformizmu i ugody z nowym reżimem oraz anarchosyndykalistami, którzy uważali, że nie należy dać się wciągnąć w budowany przez dyktatora scentralizowany system polityczny, ponieważ spowoduje to wasalizację związku. Był to początek rozłamu, który ujawni się szczególnie w latach 30.

Na fali tego sporu powstała potrzeba zjednoczenia anarchistów w ramach *CNT* i w związku z tym powołano w 1927 roku *Federación Anarquista Ibérica*. Niektórzy komentatorzy uważają, iż była to forma „partii", która z zewnątrz „kierowała" *CNT*. Pozornie tak to mogło wyglądać. Bardziej jednak było to stowarzyszenie robotników w ramach *CNT*, o poglądach anarchistycznych, którzy nie „przyszli z zewnątrz", ale byli w jej ramach od początku. W dodatku, w sytuacji silnej decentralizacji związku, trudno byłoby opanować jakiekolwiek pozycje decyzyjne i „rządzić związkiem". *FAI* była raczej organizacyjnym wyrazem pewnej tendencji w *CNT*, niż jakąś organizacją „sterującą". Anarchiści uznali, że nie wolno dopuścić do sytuacji znanej z Francji, gdzie *CGT* zeszła na pozycje bliskie bolszewikom, czy z Włoch, gdzie część związkowców zaczęła sympatyzować z Mussolinim. Stąd też sytuacja domagała się grupy, która będzie propagować anarchizm wśród członków masowej organizacji, jaką była *CNT* i do której zapisywało się mnóstwo osób o nieokreślonych poglądach. Okazało się to skuteczną strategią. Mimo prób wymuszenia na związku przyjęcia różnych, już to reformistycznych, już to bolszewickich rezolucji, nigdy się to nie udało. Wiadomo nawet o próbie wpływania na *CNT* ze strony faszystowskiej *Falangi*. Falangistom, głównie dzieciakom z bogatych domów i klasy średniej, imponowała bojowość i masowość związku i próbowali skierować go na bardziej patriotyczne i narodowe tory. Przyjęli nawet celowo „czarno-czerwone" barwy swojej organizacji, aby wywołać zamieszanie. Nic to jednak nie dało. *CNT* w swej masie pozostała nadal wierna wolnościowej tradycji.

Po powstaniu Republiki nasiliły się jednak tendencje reformistyczne. Część osób, pod wodzą znanego działacza Angela Pestanii („upadłego anioła", jak go później nazywano w związku) próbowało doprowadzić do oficjalnego uznania przez *CNT* republiki i włączenia się w jej struktury. Sam Pestaña powołał nawet *Partię Syndykalistyczną*, która wprowadziła kilku posłów do parlamentu, ale nie odegrała ona żadnej istotnej roli politycznej. Walka o skierowanie *CNT* na pozycje reformistyczne, skazana była na niepowodzenia. Zarówno z powodu silnie zakorzenionych idei anarchistycznych, jak i wieloletnich praktycznych doświadczeń, które powodowały brak zaufania do kolejnych zmieniających się rządów i systemów politycznych. Później sformułowano to w popularnym sloganie: „Wygra lewica, czy wygra prawica. Szykujcie się do wojny". Brak zaufania pogłębiły także kolejne represje nowych republikańskich (w tym także lewicowych) rządów skierowanych przeciwko strajkującym i protestującym związkowcom. Po krótkotrwałej „odwilży", więzienia znowu zapełniać zaczęli działacze *CNT*. Czarę goryczy przelała masakra zbuntowanych chłopów we wsi Casas Viejas. Był to cios moralny, który spowodował przegraną w wyborach lewicowej koalicji. Okazało się, że anarchiści mieli rację - także lewicowy rząd był zdolny do znanych od dawna represji. Następny prawicowy rząd oczywiście jedynie wzmógł represje i zmasakrował za pomocą armii strajkujących robotników w Asturii. W następnych wyborach, w 1936 roku, kiedy wojna domowa wisiała już na włosku, lewicowi politycy, zdając sobie sprawę z siły masowego anarchosyndykalistycznego związku i jego znaczenia dla przyszłych wyborów, próbowali zdobyć poparcie *CNT*. Ta, o żadnym oficjalnym wsparciu lewicowych partii nie chciała słyszeć. Natomiast wyjątkowo zgodziła się nie ogłaszać bojkotu wyborów, ale w zamian za realizację bardzo konkretnych postulatów - zwolnienia uwięzionych



działaczy oraz rozdanie broni organizacjom robotniczym, tak aby mogły się bronić przed spodziewanym prawicowym puczem. Po wygranej, pierwsze żądanie zostało spełnione, drugiego lewicowy rząd nie chciał zrealizować, bojąc się rewolucji i utraty władzy. Upierał się przy tym samobójczym stanowisku nawet, gdy pucz wojskowy się już zaczął. Robotnicy musieli więc sami zdobyć koszary i uzbrojenie, aby móc się bronić przed wojskowymi, którzy zapowiadali, iż aby zaprowadzić

porządek „wymordują 1/3 proletariatu" (jak ogłosił w radiu gen. Queipo de Llano) w celach wychowawczych, żeby więcej nie mieli odwagi podnieść ręki na swoich panów (w niektórych miastach zdobytych przez nacjonalistów udało im się to zrealizować). Historia Rewolucji Hiszpańskiej, która wybuchła jako reakcja na pucz wojskowych w lipcu 1936 roku, nadaje się na osobny, obszerny tekst. Tutaj zasygnalizuję tylko kluczowe momenty, wyjąwszy problematykę czysto militarną. W rejonach, w których robotnicy i chłopi pokonali wojsko, państwo przestało samo z siebie istnieć. Jak wiadomo, państwo nie może funkcjonować bez aparatu represji, a tymczasem wojskowi i spora część policji poparła nacjonalistów. Tam więc, gdzie robotnicy ich pokonali, powstawała próżnia, którą należało zagospodarować. W tym kluczowym momencie wszelkich rewolt istotne jest to, kto posiada pomysł, odpowiedni poziom organizacji i wystarczające doświadczenie, aby jak najszybciej spowodować, aby dana społeczność zaczęła funkcjonować ponownie. Okazało się, że na ogromnych obszarach Hiszpanii tylko anarchosyndykaliści posiadają odpowiednie doświadczenie organizacyjne i koncepcję, co robić dalej. Zwłaszcza na wsi ta dominacja idei i praktyki anarchistycznej była niemal absolutna i to zanarchizowani chłopi poszli w rewolucji najdalej - likwidowano wielką własność feudalną z jednej strony i zachęcano do włączania się do nowych kolektywów rolnych chłopów indywidualnych. Jako, że małe, karłowate często gospodarstwa słabo sobie radzą (co znamy i z dzisiejszej wsi), wielu chłopów tworzyło samorządne gminy rolne. Wszelkie decyzje podejmowano na lokalnych zgromadzeniach, a w razie potrzeby tworzono federacje regionalne, aby koordynować proces produkcji i dystrybucji na większą skalę. Dzięki kooperacji pomiędzy branżami wiejskim i miejskimi *CNT* (oraz *UGT*, która w większości przyłączyła się do procesu rewolucyjnego, nie chcąc pozostawać w tyle) na wiele pól po raz pierwszy w historii wyjechał nowoczesny sprzęt. Produkcja rolna nie spadła, ale nawet nastąpił wzrost, mimo sytuacji wojennej. Także w miastach poddawano zarządowi robotniczemu duże i średnie fabryki. Racjonalizowano produkcję. Zamiast dużej liczby małych, biednych warsztatów, tworzono bardziej funkcjonalne większe, ale demokratycznie zarządzane struktury. Dzięki zaangażowaniu i doświadczeniu związku zawodowego kolejarzy, pociągi po raz pierwszy w historii Hiszpanii zaczęły jeździć punktualnie. Jednak ten proces, w przeciwieństwie do rewolucji bolszewickiej, nie był narzucany z góry, ale wynikał z decyzji samych robotników i chłopów. Jak pisał Orwell, świadek tych wydarzeń, klasa robotnicza po raz pierwszy na taką skalę wstała z kolan. Robotnicy i chłopi udowodnili, że potrafią sami zarządzać produkcją, a pasożytujące na nich klasy i grupy społeczne - kapitaliści, biurokraci państwowi i feudalni panowie - nie są do niczego potrzebne.

W miastach jednak sytuacja była o tyle skomplikowana, że nadal istniały frakcje polityczne, którym te przemiany się nie podobały. Jako, iż zgodnie z polityką Stalina, *Komunistyczna Partia Hiszpanii* potępiała jakiekolwiek zmiany rewolucyjne na rzecz skoncentrowania się na „walce z faszyzmem" oraz broniła własności kapitalistycznej, do *KPH* dołączyło - o paradoksie! - mnóstwo byłych posiadaczy ziemskich i członków klasy średniej. Stalin bardzo chciał przejąć kontrolę nad tym, co się dzieje w Hiszpanii, a wiedział, że w tym celu musi złamać potęgę *CNT*. Anarchiści nie byli zbyt doświadczeni w rozgrywkach politycznych, więc dali się wmanewrować w politykę lansowaną przez *KPH* oraz partię socjalistyczną pod hasłem „jedności antyfaszystowskiej". Dzięki tej taktyce - jak się okazało zgubnej - udało się przetrwać pierwsze trudne miesiące rewolucyjne różnym siłom, które pragnęły odtworzyć strukturę państwową i zniszczyć rewolucję. Niestety wielu anarchistów zorientowało się za późno, iż pod pozorem jedności przegrywają rewolucję. Dali się wciągnąć w rozgrywkę, która nie była ich domeną - wpadli w sieć politycznych intryg. Wejście do rządu, który uciekł ze zrewoltowanego Madrytu do Walencji, niektórych znanych anarchistów było błędem politycznym, który doprowadził w efekcie do klęski rewolucji, a w następnej kolejności także wojny. Zwolennicy odbudowy państwa, ze stalinistami na czele, odzyskali siłę i zaatakowali w maju 1937 roku zmuszając anarchistów do walki na dwa fronty. Był to początek klęski. Nacjonaliści przegrywali dzięki wielkiej przewadze rewolucyjnego czynnika, jakiej nie mieli - niesamowicie wysokiego morale i całkowitego oddania sprawie anarchosyndykalistów. Dość powiedzieć, aby wyobrazić sobie jak to wyglądało w praktyce, że gniazda karabinów maszynowych były likwidowane np. przez taksówkarzy, którzy wbijali się w nie samochodami. Aby utrzymać tak wysoki poziom morale, robotnicy i chłopi musieli wierzyć w czystość sprawy i zwycięstwo rewolucji. Wejście części anarchistów w negocjacje i konszachty z autorytarnymi politykami doprowadziło do upadku tego kluczowego czynnika każdego starcia - wiary w zwycięstwo. Wszak nie chodziło tylko o „zwycięstwo nad faszyzmem", ale o zwycięstwo rewolucji. W dodatku doprowadziło to do sporów i postępującego chaosu w samym związku. W sytuacji przewagi militarnej wroga, upadek morale to pewna klęska. I tak też się stało.

Przechodząc do wniosków, warto tutaj wspomnieć także o tym, iż anarchizm hiszpański nie zajmował się wyłącznie kwestiami stricte gospodarczymi, choć niewątpliwe były one kluczowe i stanowiły bazę jego działań i źródło sukcesu. Od samego początku jednak poruszano mnóstwo zagadnień, które spora część lewicy odkryje wiele dziesiątek lat później. Gdy spojrzy się na sprawozdania ze zjazdów, zauważyć można wielobarwność tego ruchu. W okolicy *CNT* orbitowały różnorodne organizacje zajmujące się kwestiami kobiecymi, „naturyzmem" (dziś powiedzielibyśmy „ekologią"), propagowaniem esperanto, wegetarianizmu itd. To była cała unikatowa kultura robotnicza rozwijająca się w dzielnicach i gminach, a nie jedynie określona organizacja. To w ramach *CNT* powstała największa w historii zbrojna organizacja kobieca *Mujeres Libres*, która walczyła o równe prawa kobiet, prowadziła szeroko zakrojoną działalność uświadamiającą dotyczącą planowania płodności, propagowała antykoncepcję i tworzyła warunki do bezpiecznej aborcji (podobne działania podejmowały również anarchosyndykalistki w innych krajach, np. *FAUD* w Niemczech).

Anarchizm w Hiszpanii przywiązywał ogromną wagę do edukacji i działalności konstruktywnej. Powstawały liczne czasopisma, z najsłynniejszym ówcześnie teoretycznym pismem anarchistycznym *La Revista Blanca*, do którego pisały sławy kultury i nauki. Oprócz periodyków teoretycznych powstało sporo tytułów prasowych „dla zwykłego człowieka", takich jak *Solidaridad Obrera*, który przekształcił się następnie w dziennik. W sytuacji wysokiego poziomu analfabetyzmu i jednocześnie opanowania systemu edukacji przez kler, anarchiści hiszpańscy rozwinęli na szeroką skalę szkolnictwo świeckie na poziomie podstawowym, utrzymywane najczęściej przez związki zawodowe. Rozwijano także spółdzielczość. Chodziło też o budowę „nowego świata w skorupie starego". Uznawano, za radą np. Kropotkina, anarchizm za ruch przede wszystkim opierający się na wolnościowej etyce. Środki więc powinny przystawać do celów. Skoro chcemy wolnościowego świata, to musimy próbować działać tu i teraz tak, jakbyśmy chcieli, aby ten świat wyglądał w przyszłości. Przywiązywano więc ogromną wagę do sposobu podejmowania decyzji, do tego, aby każdy miał głos. Zgodnie z tradycją wolnościową, struktura organizacji anarchistycznych miała formę zdecentralizowanych konfederacji i federacji. Postawą związku *CNT* były tzw. *Sindicatos Unicos*, czyli lokalne związki zrzeszające robotników różnych zawodów jednego zakładu lub jednej miejscowości lub gminy. Zdecentralizowana forma organizacji anarchistycznych powodowała, że bardzo trudno było władzom zniszczyć całą strukturę za jednym zamachem. W czasach wzmożonych represji, poszczególne związki często traciły ze sobą kontakt, ale wielu udawało się przetrwać w formie swego rodzaju „kapsuł bezpieczeństwa". Po okresie represji, ku zaskoczeniu i wściekłości władz, struktura związku szybko się odradzała, a zerwane więzi na nowo odtwarzane. To, co zadziwia, również współczesnych historyków, to poziom poświęcenia i zaangażowania ówczesnych anarchistów. Większość nie poddawało się zniechęceniu. Gdy represje dotykały ich w jednym miejscu, szli do innego. Gdy zamykano szkołę, prowadzono lekcje na powietrzu. Gdy aresztowano jednych, następni kontynuowali działalność, często w podziemiu. Gdy władzom wydawało się, iż ruch został zniszczony, ten po kilku latach odradzał się ponownie. Poziom represji był znacznie wyższy niż obecnie, a mimo tego ludzie się nie zniechęcali. Ścigano ich, mordowano, torturowano, a mimo to ruchu nie udawało się złamać. I to jest chyba największa nauka dla nas płynąca z historii hiszpańskiego ruchu. Anarchizm hiszpański stworzył nie tylko jedną organizację, ale całą kulturę z własną prasą, ośrodkami edukacji, różnorodnymi organizacjami samopomocowymi, rozwiniętą dyskusją ideową i praktycznymi rozwiązaniami na dziś i na jutro. To, o czym warto pamiętać, to fakt, że w czasie rewolucji ta struktura i ta tradycja, która ma określony pomysł na to „co robić" oraz jest na tyle silna i liczna, żeby to wprowadzić w życie, przejmuje „rząd dusz". Jeśli ta struktura i tradycja jest autorytarna, wtedy i nowy, porewolucyjny porządek będzie autorytarny (jak np. w Rosji, gdzie silnie hierarchiczna partia bolszewicka przełożyła swoją „kulturę organizacyjną" na cały kraj).

Dlatego musimy przywiązywać szczególną wagę do tego, jak działają anarchistyczne organizacje już teraz, czy decyzje są podejmowane bez tworzenia struktur hierarchicznych. Taka będzie przyszła rewolucja, jak działają nasze organizacje.

Inną kwestią jaką warto sobie uświadomić, to fakt, że Rewolucja Hiszpańska nie pojawiła się znikąd. To były dziesiątki lat doświadczeń praktycznych całych pokoleń, ideowych dyskusji i rozwoju organizacyjnego. Sukcesów i błędów. Mimo to w momencie wybuchu rewolucji, wielu anarchistów uważało, iż rzeczywistość zmusiła ich do niej za wcześnie. Jak się okazało, była to prawda. Z drugiej jednak strony, mimo, że rewolucja upadła z powodów głównie militarnych i sytuacji zmuszającej do walki na dwa fronty bez pomocy z zewnątrz, stała się żywym dowodem na to, że pracownicy miejscy i wiejscy mogą sami przejąć kontrolę nad produkcją i dystrybucją. Dzięki temu doświadczeniu anarchizm mógł wreszcie przetestować różne pomysły w większej skali. Teraz już wiemy, iż kapitalizm albo „wschodnia, autorytarna odmiana socjalizmu", to nie są jedyne systemy ekonomiczne, jakie mamy do wyboru. Są możliwe alternatywne rozwiązania. I za tę „realizację utopii w praktyce" powinniśmy być milionom hiszpańskich chłopów i robotników wdzięczni. Wywalczyli dla nas miejsce w historii, dzięki czemu nasza walka jest obecnie łatwiejsza, bo możemy odwoływać się nie do niebiańskich idei filozofów, ale konkretnych faktów i konkretnych rozwiązań. Możemy ocenić, co poszło nie tak, a co działało dobrze i warte jest kontynuacji. Ich zryw stał się zapowiedzią możliwej przyszłości.

Xavier Woliński

Autor jest aktywistą *Związku Syndykalistów Polski* i *Akcji Lokatorskiej*. Niemal codziennie komentuje rzeczywistość na: facebook.com/wolnelewo

HISZPAŃSKA REWOLUCJA SPOŁECZNA

ROZMOWA Z MACIEJEM DRABIŃSKIM, AUTOREM KSIĄŻKI „HISTORIA HISZPAŃSKIEGO ANARCHIZMU"

Historia hiszpańskiego anarchizmu **- książka, która ma lada chwila się ukazać nakładem *Bractwa Trojka*, to druga w historii polskiej historiografii książka poświęcona anarchizmowi na półwyspie Iberyjskim. Z pewnością czytałeś *W kręgu zbiorowych złudzeń* Franciszka Ryszki. Czy w jakiś szczególny sposób Twoja książka będzie się różnić od pozycji profesora Ryszki?**

Przede wszystkim, obie prace posiadają odmienny charakter. Profesor Ryszka był historykiem, ja zaś jestem politologiem, z filozoficznym zacięciem, acz jak mogłem starałem się ten wpływ minimalizować. To stanowi główną różnicę - prezentujemy inne perspektywy oraz podejścia. Dlatego więcej uwagi poświęciłem na kwestie, które w *Kręgu zbiorowych złudzeń* zostały zbagatelizowane, zgeneralizowane lub nawet pominięte. Drugą podstawową różnicę stanowi Rewolucja Społeczna - to na niej skoncentrowałem się w drugiej części książki, tymczasem Franciszek Ryszka praktycznie rzecz ujmując, całkowicie pominął ją w swej pracy.

Początek hiszpańskiego anarchizmu zazwyczaj datuje się w momencie przybycia do tego kraju włoskiego wysłannika Bakunina, Giuseppe Fanelliego. Czy faktycznie wówczas narodził się ruch anarchistyczny w Hiszpanii? Czy może jest to tylko data symboliczna?

Trudno jest na to pytanie jednoznacznie odpowiedzieć. Pamiętać bowiem należy, iż zawsze akty założycielskie otaczane są pewnymi legendami, mitami, zaś ich daty posiadają często wyłącznie wymiar symboliczny, które utrwala brak źródeł historycznych, co w tym wypadku jest aż nadto widoczne. Mówiąc inaczej, nie jesteśmy w stanie jednoznacznie stwierdzić czy przed przybyciem na Półwysep Iberyjski Fanelliego istniał jakiś szczątkowy ruch anarchistyczny w Hiszpanii. Nie ukrywam, że jakoś specjalnie mnie nie intrygowały początki anarchizmu w Hiszpanii, dlatego nie skupiałem się na tej kwestii w materiałach źródłowych. Najpewniej jednak przed przybiciem Włocha, istniał jakiś szczątkowy ruch na Półwyspie Iberyjskim, niemniej to właśnie jego starania, działania oraz inicjatywy stanowiły istotny asumpt dla powstania hiszpańskiej sekcji *I Międzynarodówki* (*Federación Regional Española*), zdominowanej niemal całkowicie przez bakunistów, dając początek zorganizowanemu oraz - co ważniejsze - masowemu ruchowi anarchistycznemu w Hiszpanii.

Hiszpański anarchizm w swych początkach w dużej mierze miał podłoże chłopskie. Czy przez to nabrał on jakichś szczególnych cech?

Naturalnie i pierwsze o czym należy wspomnieć, to o pewnym przełamaniu dychotomii pomiędzy wsią a miastem, z czym wszystkie następnie wymieniane przeze mnie aspekty oraz cechy hiszpańskiego ruchu anarchistycznego się wiążą. Idzie mi o to, iż o ile anarchizm ze swej natury, w przeciwieństwie np. do tradycyjnego marksizmu czy radykalnego republikanizmu, widział w chłopach taki sam potencjalny podmiot rewolucyjny co ogółem w miejskich pracownikach najemnych, którzy zresztą najczęściej byli pochodzenia wiejskiego, to jednak często w wymiarze praktycznym, tj. organizacyjnym, wiejski i miejski anarchizm nie tworzyły jednolitej struktury organizacyjnej, nie współpracowały ze sobą czy też ogółem zachowywały względem siebie dużą dozę nieufności. W przeważającej mierze wynikało to z tego, że z jednej strony, miejskie ruchy postrzegały wieś jako przeżytek, ekonomiczny skansen, rezerwuar reakcjonizmu i bastion religii, z drugiej zaś, wiejskie ruchy znacznie bardziej obawiały się industrializacji aniżeli towarzysze z miasta. Oczywiście, najbardziej jaskrawym oraz brutalnym przykładem tego stanu rzeczy pozostają dzieje Rewolucji Meksykańskiej, lecz zasadniczo i upraszczając nieco, w każdym państwie, w którym nie doszło do uprzemysłowienia na ogromną skalę, przynajmniej w takim stopniu, by ludność miejska swą liczebnością przeważała nad wiejską, istniała ta dychotomia. Rzecz jasna w Hiszpanii temu przełamaniu sprzyjało ekonomiczne zacofanie i dopiero co wejście na ścieżkę industrializacji, acz ograniczonej terytorialne głównie do Katalonii i związana z tym, migracja chłopów do miast, co nie miało miejsca np. we Francji, w której industrializacja przebiegała stopniowo, zaś sytuacja na wsi - za sprawą rozwiniętego rolnictwa indywidualnego - była ustabilizowana, czy w Imperium Rosyjskim, w którym istniały tylko małe wysepki rozwiniętego przemysłu. Szło za tym jednak coś więcej, dopiero co sproletaryzowani chłopi, przenosili do miast swe tradycje ludowe, w tym nade wszystko wolnościowe tendencje komunistyczne, których symbolicznymi wyrazami były niezwykle żywe mity „wolnej komuny" czy wyczekiwanego dnia wyzwolenia, a także korespondujący z anarchistycznym *credo* sprzeciw wobec dehumanizującej oraz alienującej pracy najemnej oraz ogółem kapitalistycznej dyscypliny pracy. Ułatwiło to *CNT*, aspirującemu przeto do objęcia swym zasięgiem ogółu mas pracujących Hiszpanii, stać się pierwszą ogólnokrajową organizacją zrzeszającą w swych szeregach chłopów, robotników rolnych, proletariuszy, pracowników średniego szczebla, oraz przedstawicieli tzw. wolnych zawodów. Na tym oczywiście nie kończy się wpływ wiejskich źródeł anarchizmu w Hiszpanii, co uwidaczniała także krytyka pod adresem państwowych planów reformy rolnej wysuwana przez *Konfederację* i formułowanie własnych alternatywnych programów, czemu dużo uwagi poświęcano podczas kongresów. Trzeba jednak pamiętać, iż to duże zainteresowanie wsią wynikało nie tylko z wiejskich źródeł anarchizmu, lecz także z bardzo silnego zakorzenienia ruchu i wartości anarchistycznych na hiszpańskiej wsi, co w pewien sposób komponowało się ze wspomnianymi już tendencjami komunistycznymi i mitem „wolnej komuny" do czego anarchiści celowo się odwoływali, wraz ze sprzeciwem wobec procesu odchłapiania oraz wykazywaną troskę o zachowanie tożsamości chłopskiej. Co prawda, w późniejszym okresie, wpływy te zaczęły nieco maleć na rzecz wiejskiej przybudówki *UGT*, niemniej andaluzyjskie, aragońskie, lewantyjskie czy katalońskie - acz paradoksalnie te ostatnie w mniejszym stopniu z racji rozwiniętego weń rolnictwa indywidualnego - wsie zostały zdominowane

przez ideały anarchistyczne. Świadczy o tym doskonale fakt, że to właśnie na wsi rewolucja społeczna posunęła się najdalej. Wspominam o tym nie bez przyczyny, dlatego, iż o ile w wymiarze organizacyjnym udało się przezwyciężyć wzmiankowaną dychotomię pomiędzy wsią a miastem, to pomimo tego można mówić o współistnieniu dwóch szkół teoretycznych wewnątrz *CNT*, które w dużej mierze wyrażały wiejskie oraz miejskie pragnienia i wyobrażenia. Idzie o to, iż wiejskim członkom *Konfederacji* bliżej były ideały tradycyjnego anarchokomunizmu, oparte na idei „wolnej komuny", autarkicznej i preindustrialnej ekonomii, które najbardziej znanym reprezentantem i teoretykiem był Isaac Puente. Z kolei dla miejskich *cenetistas*, większe znaczenie posiadały projekty „syndykalistyczne", które jawiły się jako bardziej dostosowane do realiów nowoczesnej gospodarki. Najbardziej wpływowym przedstawicielem i teoretykiem tego nurtu był Diego Abad de Santillán.

W historii iberyjskiego ruchu wolnościowego pełno mamy buntów, powstań, prób wywołania rewolucji czy w końcu skrytobójczych zamachów, strzelanin i ulicznej przemocy. Illegalizm cechował z pewnością anarchizm przełomu XIX i XX wieku, jednak w Hiszpanii przetrwał on z pewnością do wybuchu rewolucji i wojny domowej w 1936 roku a nawet czasów dyktatury Franco. Czy możemy mówić o specyfice hiszpańskiego anarchizmu, która łączyła by go z umiłowaniem do porywczości i używania przemocy?

I tak i nie. Z jednej strony, rola i znaczenie przemocy bywa przeceniana w dziejach hiszpańskiego ruchu anarchistycznego, albowiem to jednak codzienna walka ekonomiczna i społeczna, a także swoista praca u podstaw, zmierzająca do ustanowienia nowej kultury, opartej na nowych aksjomatach, separującej masy ludowej od oficjalnej kultury stanowiły główny ciężar aktywności hiszpańskiego ruchu anarchistycznego. Naturalnie, otwieranie domów robotniczych, rewindykacyjna i rewolucyjna działalność związkowa, tworzenie bibliotek i wolnych szkół czy też wydawanie niezliczonej liczby tytułów prasowych oraz książkowych, nie kwestionowały stosowania przemocy, która w określonych momentach historycznych przyćmiewała wszelkie inne formy działalności. Wątpię jednak, by można było mówić o jej umiłowaniu - strategia insurekcjonistyczna czy też illegalistyczna wynikały z ogromnego napięcia politycznego i eskalacji konfliktów - patrząc ze współczesnej perspektywy trudno byłoby, nawet Hiszpanom, zrozumieć atmosferę polityczną gorących lat 20. i 30. XX wieku w tym państwie - innym razem stanowiły odpowiedź na brutalność i agresję ze strony państwa lub kapitalistów. Bywały także przemyślaną strategią mającą destabilizować państwo, kapitał i kler, a przede wszystkim wytwarzać lub podtrzymywać sytuację przed lub już rewolucyjną. Dlatego też, użycie przemocy charakteryzowało się kilkoma specyficznymi cechami. Po pierwsze, nie odstępowało zbytnio od standardów hiszpańskiej kultury politycznej w ogóle, w której przemoc odgrywała istotne znaczenie od momentu wynalezienia *pronunciamiento* w XIX wieku. Idzie mi o to, że działania anarchistów - jak np. zabójstwa przedsiębiorców, członków kleru czy *pistoleros*, jak również kradzieże, podpalenia, napady na banki, wywoływanie zamieszek itd., zasadniczo nie różniły się od działań władz i elit ekonomicznych, z tą jednak różnicą, iż były mniej brutalne, a ich skala i natężenie były mniejsze, co obrazują statystyki - to robotnicy i aktywiści częściej padali ofiarami ataków ze strony „nieznanych sprawców" (nie wspominając już o przemocy, w tym także społeczno-ekonomicznej, strukturalnej i systemowej), aniżeli przedstawiciele elit czy ich lojalni żołnierze ze strony anarchistów. Po drugie, o czym właściwie już wspomniałem, przemoc często posiadała wymiar defensywny bądź nabierała charakteru wendetty, bądź też stanowiła następstwo eskalacji konfliktu politycznego, lub była świadomą i zaplanowaną formą strategii politycznej ukierunkowanej ku np. destabilizacji konkretnego rządu lub podtrzymania sytuacji przedrewolucyjnej jak np. w okresie pomiędzy lutym a lipcem 1936 roku. Po trzecie, i to należy szczególnie uwypuklić, ogniskowała się ona w ramach ruchu związkowego czy ujmując jeszcze inaczej, praktykowana była w jego ramach. Wtem można dostrzec pewną dozę integracji i wzajemnego przenikania środowisk anarchosyndykalistycznych ze zwolennikami illegalizmu, insurekcjonizmu czy też członkami partyzantki miejskiej. Było to dosyć osobliwe, lecz jednocześnie sprawiało, że kij i rewolwer postrzegane były czasami jako ostateczny środek nacisku w walce ekonomicznej i społecznej. Powodowało to również, iż w istocie niemal wszystkie grupy partyzantki miejskiej, jak np. *Los Solidarios*, były powiązane z *Konfederacją* zaś ich bojownicy byli najczęściej także związkowcami. Trudno odnaleźć jakąś trwalszą grupę, która działałaby niezależnie od *CNT* i zaaprobowała stricte insurekcjonistyczną bądź illegalistyczną strategię. Oczywiście, wynikało to też w pewnym stopniu z tego, iż *Konfederacja* cieszyła się hegemonią w łonie ruchu anarchistycznego, zatem trudno byłoby działać obok niej, a jeszcze trudniej wbrew niej oraz zaaprobowanej przez nią strategii i celom doraźnym. Stąd też - jak mniemam - można założyć, że przemoc była tolerowana i praktykowana dopóty, dopóki wspomagała walkę ekonomiczną i społeczną, dopóki odpowiadała i pomagała osiągnąć strategiczne cele *Konfederacji* oraz mieściła się w pewnych granicach akceptowalności wynikających z hiszpańskiej kultury politycznej. Nie było natomiast mowy o przyjęciu stricte insurekcjonistycznej strategii, opartej wyłącznie na przemocy i jej gloryfikacji, a już tym bardziej jej oderwaniu od działalności związkowej.

Swą pierwszą książkę, *Anarchosyndykalizm w Europie. Teoria i praktyka*, poświeciłeś europejskiemu ruchowi robotniczemu, czerpiącemu z anarchistycznego dorobku. Znalazło się również w niej sporo miejsca poświęconego hiszpańskiemu anarchosyndykalizmowi, który wydawał się być nieco odmienny od reszty ruchu. Jakie możemy wymienić szczególne cechy hiszpańskiego anarchosyndykalizmu?



Część spośród nich już wymieniłem, odpowiadając na dwa poprzednie pytania dotyczące wiejskich źródeł hiszpańskiego anarchizmu oraz znaczenia przemocy dlań. Zatem tylko w ramach krótkiej ich rekapitulacji podkreślić należy właśnie owe organizacyjne przełamanie dychotomii między wsią a miastem, odwoływanie się do tradycji ludowych i podtrzymywanie mitu „wolnej komuny", czy także dbałość o tożsamość chłopską. Ponadto, względem innych, zwłaszcza europejskich ruchów anarchistycznych już w XX wieku, był znacznie bardziej żywiołowy i bojowy, przy czym nie chodzi mi tu o stosowanie przemocy, która - jak wspominałem - również miała dosyć osobliwy wydźwięk, lecz ogółem o żarliwość, angażowanie się w każde możliwe przedsięwzięcie, na każdym możliwym polu oraz o skalę stosowania akcji bezpośrednich. Naturalnie, sprzyjała temu masowość ruchu, ale również niemal religijny fanatyzm przejawiany przez hiszpańskich anarchistów. Mówiąc wprost, hiszpańscy wolnościowcy oddychali i żywili się ideami anarchistycznymi. Napełniały ich nadzieją na lepsze, bardziej sprawiedliwe jutro. Na emancypację, na tryumf. Skorelowane to było z wszechstronną, holistyczną działalnością hiszpańskich anarchistów - walkę ekonomiczną i społeczną na każdym szczeblu, łączyli z pozytywistyczną działalnością u podstaw (a nadmienić należy, iż w tych kategoriach patrzono także na walkę w miejscu pracy) objawiającą się głównie na polu oświatowym i kulturowym, zmierzającą do stworzenia nowej, odrębnej kultury, separującej masy od oficjalnej kultury. Rzecz jasna nie była to cecha szczególna wyłącznie dla

hiszpańskiego anarchizmu - anarchiści na całym świecie prowadzili tego rodzaju działania, lecz wyjątkowa była skala ich zaangażowania. Przechodząc już do samego *CNT*, warto zauważyć, iż - najpewniej wskutek wcześniej wymienionych aspektów - *Konfederacja* była mniej redukcjonistyczna klasowo. Idzie mi to, iż z jednej strony, nie wykluczała żadnej grupy zawodowej ze swych szeregów - zrzeszała chłopów, robotników rolnych, proletariat miejski, bezrobotnych, pracowników technicznych i średniego szczebla, a także przedstawicieli tzw. wolnych zawodów oraz inteligencję. Z drugiej zaś, była bardziej uniwersalistyczna i praksastyczna - tradycyjnie anarcho-syndykalistyczną koncepcję klasy robotniczej jako klasy uniwersalnej, której wyzwolenie, z racji zajmowanej pozycji w systemie kapitalistycznym, tożsame będzie z emancypacją całej ludzkości, rozszerzyli o ogół mas pracujących. Przede wszystkim jednak, hiszpański ruch anarchosyndykalistyczny pełnił rolę swoistej awangardy, w tym także teoretycznej, dla światowego ruchu anarchistycznego. Nie nawiązuję nawet tutaj do często spotykanej polemiki w literaturze dotyczącej pytania czy Hiszpania była pierwszym państwem, w którym powstał ruch anarchosyndykalistyczny, chociaż niewątpliwe na dwadzieścia lat przed powstaniem *CGT* i zdominowania tej centrali przez anarchistów, w Hiszpanii rozwijała się analogiczna strategia, podejście oraz struktura organizacyjna, podobnie nim w Europie upowszechniła się koncepcja strajku generalnego, w Hiszpanii już nią oddychano. Mam na myśli poszukiwania i adaptowanie nowatorskich rozwiązań organizacyjnych, czy też rozważania teoretyczne dotyczące np. roli syndykatów w okresie porewolucyjnym, okresu przejściowego czy też „budowy anarchii w jedynym państwie". Zmierzając powoli ku końcowi, warto także nadmienić, iż hiszpański ruch anarchistyczny był mniej antypolityczny (co było pokłosiem specyficznej sytuacji politycznej w Hiszpanii) oraz w dużej mierze rozwijał się niezależnie względem europejskiego ruchu anarchistycznego, za to dostrzec można weń wiele wpływów latynoamerykańskiego anarchizmu, zwłaszcza argentyńskiego, co oczywiście wynikało z bliskości kulturowej oraz migracji wielu działaczy pomiędzy kontynentami.

Anarchosyndykalizm nierozerwalnie łączy się w Rewolucją roku 1936. W dużej mierze, to właśnie owej rewolucji poświeciłeś sporo miejsca w swej nowej książce. Dlaczego anarchistyczna rewolucja wybuchła właśnie w Hiszpanii, a nie np. w krajach, gdzie anarchizm był głębiej zakorzeniony i miał spore poparcie?

Zacznę od tego, że stwierdzenie jakoby anarchistyczna rewolucja wybuchła wyłącznie w Hiszpanii jest bardzo krzywdzące, albowiem wolnościowi socjaliści posiadali istotny wpływ na procesy rewolucyjne w szeregu innych państw w pierwszej połowie XX wieku, odgrywając niekiedy rolę wiodącą. Wystarczy wspomnieć o roli anarchistów w dobie przed i po Rewolucji Październikowej, w Niemczech (zwłaszcza podczas Rewolucji Marcowej), we Włoszech (Czerwone Dwulecie), czy też Meksyku. Niemniej faktycznie, to w Hiszpanii ludzkość była najbliższa urzeczywistnieniu anarchistycznego ideału i rzeczywiście z racji swej specyfiki, stopnia przemian, rozmiaru oraz skali zaangażowania mas ludowych, Rewolucja w tym państwie pozostaje wyjątkowa. Dlaczego akurat tam. Odpowiedź na to jest akurat wyjątkowo prosta i przeczy postawionej w pytaniu tezie. Nie było wówczas innego państwa na świecie, w którym anarchizm byłby głębiej zakorzeniony oraz byłaby bardziej masowym ruchem. Trudno oczywiście wskazać ilu Hiszpanów było anarchistami - można się spotkać z opiniami, iż co drugi obywatel tego państwa, ale też, że co siódmy. Nie zmienia to zasadniczo faktu - hiszpański ruch wolnościowy był ruchem masowym i co ważniejsze, wielopokoleniowym, żywiołowym, charakteryzującym się wręcz fanatyzmem. Jak już wspominałem - hiszpańscy anarchiści żyli i oddychali anarchistycznymi ideałami. To one napawały ich nadzieję, one tworzyły ich świadomość, immaginaria, a nawet fantazmaty. Co więcej, to dzięki swoistej pracy u podstaw oraz toczonej walce o hegemonię kulturową i polityczną, zręby nowego świata istniały już w starym. To sprawiało, iż nie było lepszego miejsce na urzeczywistnienie anarchistycznego ideału. Naturalnie, nie doszłoby do Rewolucji, gdyby nie zaaprobowanie przez *Konfederację* takiej a nie innej długofalowej strategii, a także gdyby nie sprzyjające okoliczności zewnętrzne, w postaci narastającego kryzysu politycznego, postępującego rozkładu państwa oraz narastającej polaryzacji pomiędzy stronnikami postępu i sprawiedliwości, a reakcji i kapitału, czego następstwami było oczywiście przesilenie z lutego 1936 roku, które de facto wytworzyło sytuację przedrewolucyjną oraz pucz z lipca, który zainicjował procesy rewolucyjne.

Dla wielu anarchistów, hiszpańska rewolucja z 1936 roku jest swego rodzaju romantycznym mitem potwierdzającym słuszność anarchistycznych idei. Z drugiej strony, rewolucja ta pokazuje, iż anarchistyczna utopia, tak naprawdę ową utopią nie jest, gdyż w Hiszpanii właśnie pokazano anarchizm w działaniu. Gdzie leży tak naprawdę prawda o hiszpańskiej rewolucji anarchistycznej z 1936 roku?

W pierwszej kolejności Rewolucja Społeczna dokonała egzemplifikacji anarchistycznych racji. Pokazała, że możliwe jest urzeczywistnienie oddolnie i samorządnie organizującego się społeczeństwa i wykształcenie ładu wyrażającego anarchistyczną wrażliwość, kulturę polityczną i nierozerwane oraz absolutystycznie postrzegane ideały równości, wolności i sprawiedliwości, czyniąc to przy tym w oparciu o zasady federacyjne. Zademonstrowała ekonomiczną racjonalność, efektywność i zasadność imperatywów socjalistycznych oraz komunistycznych. Wskazała na możliwość zerwania z towarowym charakterem ekonomii i przestawienie jej na zaspokojenie potrzeb społecznych, celem urzeczywistnienia prawa do dobrobytu. Nie powinno nas to prowadzić do założenia, iż był to wykształcony ustrój pozbawiony wad i trudności, zarówno na gruncie politycznym, jak i ekonomicznym. Przede wszystkim w niewielkim stopniu urzeczywistniono komunizm ekonomiczny sam w sobie. Powstał raczej ustrój mieszany, w którym koegzystowały obok siebie kolektywy w pełni realizujące zasadę komunizmu ekonomicznego, łączące zasady komunistyczne z socjalistycznymi, socjalistyczne czy po prostu zwykłe spółdzielnie. Obok uspołecznionej ekonomii cały czas istniał sektor prywatny oraz państwowy, lub państwowo-społeczny (jak np. przemysł zbrojeniowy, w którym łączono elementy państwowego planowania z oddolną, robotniczą samorządnością). Rzecz jasna uspołeczniona ekonomia borykać się musiała z wieloma problemami - wiele, jeżeli nie większość, wynikało z uwarunkowań zewnętrznych (celowy sabotaż ze strony władz Republiki, działania komunistów, blokada ekonomiczna, podział kraju oraz realia toczącej się wojny), część z przyczyn wewnętrznych, w tym nade wszystko ambiwalentnej postawy *Konfederacji*. Także w aspekcie politycznym, działania *CNT* podważały anarchistyczny charakter powstałego ładu - nie idzie mi tutaj nawet o wejście organizacji do rządu Katalonii oraz Republiki, lecz o postępującą centralizację samej organizacji oraz tendencję do objęcia swym zasięgiem i nadzorem całości żywiołów rewolucyjnych, a także całego życia społecznego. To, wraz ze wspomnianą ambiwalentną postawą liderów organizacji, którzy byli gotowi poświęcić Rewolucję na ołtarzu jednolitego frontu antyfaszystowskiego oraz paranoiczną obawą przed ustanowieniem „anarchistycznej dyktatury" stworzyło niebezpieczną dla dalszych losów Rewolucji mieszankę. Nie zmienia to faktu, że Rewolucja ta - w moim rzecz jasna odczuciu - spełnia i powinna spełniać rolę mitu, acz mitu w rozumieniu sorelowskim, czyli jako pewnego narzędzia emancypacyjnego, prowadzącego do heroicznych czynów, wyzwalającego energię społeczną i dokonującego odnowy moralnej. W tym wypadku mit Rewolucji społecznej daje nadzieję na wyzwolenie, dostarcza pozytywnego przykładu i mobilizuje do walki, wskazuje na istnienie alternatywy wobec istniejącego ładu, zaszczepiając określone wartości, finalnie umożliwiając transformację społeczną. Jednocześnie osiągnięcia Rewolucji egzemplifikujące realność i zasadność anarchii w sferze politycznej i komunizmu w sferze ekonomicznej, może stanowić dla współczesnych pokoleń działaczy swego rodzaju system odniesienia.

Rewolucja to nie tylko wywrócenie do góry nogami kapitalistycznych stosunków społecznych, to również triumf ducha, nowy etos, budowa nowego społeczeństwa. Anarchiści w Hiszpanii już przed rewolucją zaczęli tworzyć nowe formy anarchistycznej kultury. Czy te podwaliny miały znaczący udział w pierwszym, zwycięskim etapie rewolucji?

Oczywiście. Pamiętać bowiem należy, iż rewolucja urzeczywistniła, to co na poziomie świadomości, w postaci marzeń, ideałów, wartości, czy też lacanowskiego *immaginarium* przejawiało miliony Hiszpanów kilku pokoleń. Wyniosła na powierzchnię długo żywione i często skrywane pragnienie wolności, równości, sprawiedliwości, dokonując przewartościowania wartości. Ziściła to, czym hiszpańscy chłopi i robotnicy żyli oraz oddychali, czyli to za co gotowali byli do



największych poświęceń, w tym także życia. To z kolei stało się możliwe dzięki osiągnięciu przez hiszpańskich wolnościowców hegemonii politycznej na wielu obszarach i prowadzeniu wojny dyskursywnej, w której anarchistyczne dyskursy skutecznie wypierały te katolickie, konserwatywne, liberalne czy republikańskie. Samo w sobie posiadało to kluczowe znaczenie dla żywiołowości oraz skali przemian zapoczątkowanych w lipcu 1936 roku. Dodatkowo - co także wymaga uwydatnienia - zręby nowego świata anarchiści zaczęli tworzyć jeszcze wewnątrz starego, tworząc socjalistyczne enklawy w kapitalistycznym świecie. Wszelako, to o czym teraz mówię, tj. zarówno wyniesienie na powierzchnię anarchistycznego *immaginarium*, jak i budowa wolnościowych enklaw, posiadało daleko idące następstwa oraz bezpośredni wpływ na Rewolucję, która dzięki temu, nie była ani spontaniczna, ani także odgórnie planowana czy też narzucona przez jakiś centralny ośrodek decyzyjny. Była raczej następstwem osiągnięcia przez anarchistów hegemonii politycznej na wielu obszarach Półwyspu Iberyjskiego. To zaś sprawiło, że Rewolucja Społeczna w Hiszpanii była prawdopodobnie pierwszym wielkim zrywem rewolucyjnym, który zdołał się wyzwolić (lub był tego bliski) ze schematów wykształconych w dobie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, które przeto - acz naturalnie w ograniczonym stopniu - powielał nawet Bakunin. Można wtem uznać, że wystąpienie to zapoczątkowało nowy rodzaj czy też schemat wystąpień, stając się pierwszą prawdziwie ludową rewolucją, podczas której masy nie były tylko biernym przedmiotem, lecz stały się prawdziwie aktywnym podmiotem politycznym, świadomym i celowym nośnikiem rewolucji. Rzecz jasna wynikało to z faktu, iż hiszpańscy proletariusze oraz chłopi, wskutek anarchistycznego episteme, nie spoglądali na siebie przez pryzmat swej klasowości, lecz widzieli się jako twórcze, samoafirmujące się jednostki. To wszystko sprawiało, że rewolucjoniści działali samodzielnie, nie czekali na polecenia wydawane przez jakiś centralny komitet czy rząd - po prostu samoorganizowali się i przystępowali do działania. W tym m.in. punkcie tkwił przyczynek tak ogromnej przewagi osiągniętej przez anarchistów w pierwszych tygodniach Rewolucji i wydarzeń po nieudanym puczu.

Charakterystyczne w okresie wrzenia rewolucyjnego w Hiszpanii było również to, iż nastąpiła ogromna aktywizacja i emancypacja kobiet. Anarchistki z grupy *Mujeres Libres* musiały strasznie kłuć w oczy wychowanych w patriarchalnym społeczeństwie anarchistów?

Niestety, rzeczywiście wielu anarchistów wyznawało typowo katolickie dyskursy nadające kobiecie podrzędną rolę, z czego zresztą doskonale zdawali sobie sprawę najbardziej świadomi oraz bojowi aktywiści i liderzy. W konsekwencji wytworzyła się pewna anarchistyczna hipokryzja - za szczytnymi, pochwalającymi anarchistyczne *equaliberte* hasłami, nie podążała praktyka dnia codziennego, która - w anarchistycznym domu - oznaczała dla kobiety często taką samą udrękę i niewolę, co w konserwatywnym. Rewolucja przyniosła jednak istotne zmiany na lepsze na tym polu, czemu także - o ironio - dodatnio przysłużyła się anarchistyczna aktywność legislacyjna, zwłaszcza F. Montseny. Z jednej zatem strony, aktywność kobiet w dobie rewolucji, ich udział w milicjach oraz w procesie kolektywizacji powodował, że ich pozycja znacząco rosła. Z drugiej zaś, korespondowało to ze stopniowo słabnącymi wpływami katolickiej kultury odnoszącej się wobec samej pozycji kobiet, ale także seksualności. Niemniej nadal ekonomiczna pozycja kobiet - nawet w uspołecznionej gospodarce - pozostawała gorsza aniżeli mężczyzn. Otrzymywały mniejsze płace, nakazywano im wykonywać „kobiece zawody" czy też starano się - np. poprzez wprowadzenie tzw. płacy rodzinnej w kolektywach *CNT* - w ogóle trzymać je z daleka od pracy zawodowej, utrzymując je w roli matek i gospodyń. Dopiero przedłużająca się wojna i większa potrzeba rąk do pracy (zwłaszcza po poborze z 1938 roku) wzmacniały pozycję kobiety w gospodarce.

Czego dziś, po 80 latach, współcześni anarchiści mogą nauczyć się z lekcji hiszpańskiej rewolucji?

Najogólniej rzecz ujmując, sama Rewolucja, jak i losy *CNT* dostarczają współczesnym anarchistom (i nie tylko) praktycznych, jak i teoretycznych wskazówek, przede wszystkim odnoszących się do modelu i celowości budowy silnego oraz dobrze zorganizowanego ruchu (który wszak dokonuje syntezy indywidualnej inicjatywy, z kolektywnymi formami działania i podejmowania decyzji), a także dostarczają konkretnego przykładu długofalowej i holistycznej strategii prowadzącej do urzeczywistnienia nowego świata, opartego na całkowicie nowych paradygmatach, będących zaprzeczeniem tych starych. Podnoszą przy tym konieczność prowadzenia działalności istnie pozytywistycznej i skrajnie holistycznej - tj. na każdej płaszczyźnie: politycznej, ekonomicznej, kulturowej, obyczajowej, etc. Ujmując inaczej - poza aspektem walki dnia codziennego, np. w miejscu pracy, kardynalne znaczenie posiada walka dyskursywna i osiągnięcie hegemonii politycznej, co udało się hiszpańskim anarchistom. Co więcej, przykład ten obrazuje, iż możliwa jest alternatywa wobec gospodarki towarowej, co w czasach hegemonii ideologicznej i kulturowej apologetów neoliberalnego kapitalizmu, nabiera szczególnego znaczenia, nawet dla anarchistów. Rewolucja możne także wzmacniać przekonanie wśród anarchistów o słuszności samorządności pracowniczej, federalizmu oraz faktów, iż pryncypia socjalistyczne i komunistyczne są nie tylko możliwe do urzeczywistnienia, ale stanowią odpowiednie remedium na wiele bolączek i chorób społecznych, jak atomizacja, alienacja, mechanizację życia społecznego, utowarowienie niemal każdej dziedziny życia, centralizacja czy jednoczesny upadek indywidualizacji oraz poczucia wspólnoty. W tym konkretnym przypadku, porównanie osiągnięć Rewolucji Społecznej w Hiszpanii z czasami współczesnymi, ukazuje aktualność oraz znaczenie anarchistycznej ideologii oraz analizy zastałego świata. Mówiąc inaczej, Rewolucja w Hiszpanii zademonstrowała pozytywną alternatywę wobec kapitalizmu jako takiego, ukazując zarazem efektywność i elastyczność wariacji socjalistycznych i komunistycznych, ukazując zarazem ich sprawiedliwość, poszanowanie wolności jednostkowej i społecznej, egalitaryzm.

Historia hiszpańskiego anarchizmu nie kończy się wraz ze zwycięstwem Franco. Jego ciągłość miała oblicze zarówno zbrojnej walki, jak i działalności na emigracji aż do odrodzenia się ruchu po śmierci dyktatora. Czy zajmowałeś się w swych badaniach również tym okresem hiszpańskiego anarchizmu?

Tak, lecz zdecydowanie w mniejszym stopniu. Na pewno jednak zamierzam wrócić do tej kwestii i napisać być może kilka artykułów na temat losów CNT na wychodźstwie, które są niezwykle zawiłe oraz złożone, głównie wskutek rozbicia organizacji, czego - oczywiście nie bezpośrednim oraz całkowitym - pokłosiem jest współczesny konflikt pomiędzy *CGT* a *CNT*.

Dziękujemy za rozmowę.



O ZWIĄZKACH SZTUKI I PROPAGANDY POLITYCZNEJ W KONTEKŚCIE HISZPAŃSKIEJ WOJNY DOMOWEJ

Jednym z mitów historii najnowszej jest hiszpańska wojna domowa, prowadzona nie tylko na płaszczyźnie taktyczno-politycznej, ale również propagandowej. W tym celu posłużono się medium sztuki. Zarówno republikanie jak i nacjonaliści gen. Franco wykorzystywali ją jako oręż zbrojny i narzędzie wpływów ideologicznych wywieranych na społeczeństwo, co ujawniła ekspozycja w Pawilonie Hiszpańskim podczas *Wystawy Światowej* w Paryżu z 1937 r.

„Od pierwszych chwil wojny domowej los historycznego i artystycznego dziedzictwa Hiszpanii cieszył się zainteresowaniem światowej opinii publicznej" (1) - tymi słowy Josep Renau, Dyrektor Generalny Sztuk Pięknych, rozpoczął *L'organisation de la défence du patrimoine artistique et historique espagnol pendant la guerre civile* - pełen szczegółów, przegląd wysiłków Republiki Hiszpańskiej, podejmowanych w celu ochrony artystycznego dziedzictwa narodowego. Od początku hiszpańskiej wojny domowej zarówno republikanie, jak i nacjonaliści traktowali sztukę jako część wielkiej bitwy. Sytuacja ta z całą mocą zarysowała się na *Światowej Wystawie (Exposition Internationale des Arts et des Techniques dans la Vie moderne)* w Paryżu, otwartej w maju 1937 r. Jak do tego doszło?

17. lipca 1936 r. generał Francisco Franco przyleciał z Wysp Kanaryjskich do hiszpańskiego Maroka, gdzie objął dowództwo na tamtejszymi wojskami. Opanowane przez wojskowych buntowników *Radio Ceuta* nadało zaszyfrowany komunikat: „Nad Hiszpanią niebo jest bezchmurne" - był to znak dla powstania zbrojnego przeciw rządowi *Frontu Ludowego.* Rebelianci oskarżyli demokratycznie wybrane władze o bycie narzędziem w ręku Moskwy, a także proklamowali swój zamysł odtworzenia dawnego porządku. Rebeliantów poparły Niemcy (niemal od samego początku powstania, pomagając m.in. przy transporcie wojsk Franco na kontynentalną Hiszpanię) i Włochy, zaś republikanów - Związek Radziecki (który nigdy nie wysłał do Hiszpanii swoich wojsk a jedynie doradców i broń) oraz międzynarodowe organizacje lewicowe i anarchistyczne. Na wystawie w Paryżu po raz pierwszy doszło do konfrontacji dokonań artystycznych państw totalitarnych. Naprzeciw siebie stanęły nagrodzone pawilony: niemiecki (arch. Albert Speer) i radziecki (arch. Boris Jofan). Natomiast narodowy Pawilon Republiki Hiszpańskiej rywalizował o uwagę zwiedzających z ekspozycją przygotowaną przez popleczników Franco (2).

System wartości nacjonalistów oparty był na tradycji oraz ścisłych związkach państwa z kościołem. Gloryfikując dzieje Hiszpanii, przedstawiali się jako spadkobiercy Ferdynanda i Izabeli, czyli *Reyes Católicos* (*Królów Katolickich*), którzy po raz pierwszy, w XV w., zjednoczyli Hiszpanię pod berłem chrześcijańskim. Opierając się na fascynacji włoskich faszystów Imperium Rzymskim (*Imperium Romanum*) i podobnej mitologii nazistowskiej, zwrócili uwagę na symboliczne insygnia monarchii hiszpańskiej, pragnąc zachować jedność kraju. Ten szczególny manifest, z którym Franco rozpoczął powstanie „w święte imię Hiszpanii", był narzędziem podczas interwencji zbrojnej przeciwko republikanom, którzy byli oskarżani o podsycanie ataków na „pomniki i skarby sztuki". W swej retoryce nacjonaliści podkreślali bezmyślną, niszczycielską działalność ruchu lewicowego, wymierzoną w skarby dziedzictwa narodowego. Z drugiej strony republikanie postrzegali sztukę jako część programu zmian i reform polityczno-społecznych, wzorowanych na teoriach postępowych sił obozu lewicowego w Europie czy Ameryce Łacińskiej. Entuzjastycznie odnosili się do rewolucyjnej sztuki z Republiki Weimarskiej, Meksyku i Związku Radzieckiego.

Na początku wojny szczególnie wiele uwagi poświęcono oblężeniu średniowiecznej twierdzy Alcázar w Toledo, skarbnicy spuścizny artystycznej i miejsca uświęconego kultem religijnym, które wykorzystywano na szkolenia elit oficerskich popierających Franco. W twierdzy tej zabarykadowała się grupa nacjonalistycznych wojskowych i cywili (w tym również tych o lewicowych poglądach, którzy byli przetrzymywani jako zakładnicy). Mimo ogromnego wysiłku militarnego sił republikańskich, nie udało się zdobyć owego bastionu. Histeryczne posunięcie obrońców, oceniono w propagandzie nacjonalistycznej jako zaangażowanie w śmiały opór, a opozycję republikanów postrzegano jednoznacznie jako atak. W oficjalnej historii wojny domowej, spisanej po wygranej Franco, przy opisie walk o Alcázar, nacisk położono na „zniszczenie skarbów sztuki z Toledo" (Arrarás Iribbaren i Carlos Sáenz de Tejada, *Historia de la Cruzada Española*). Wydarzenia te zapoczątkowały kult Franco - *Generalissimo,* co znalazło odbicie w masowo rodzącej się, swoistej ikonografii „wodza narodu". W sztuce powszechnie nawiązywano do schematów rzymskiej sztuki imperialnej, zaś aktualne wydarzenia łączono z opowieściami, zaczerpniętymi z mitologii starożytnej. Dlatego w ilustracjach do poematów *Generalissimo* José Caballero czy *Bohaterowie Alcázar* Domingo Vidalomata, jawi się on jako antyczny heros. W tym pierwszym, Franco pędzi na koniu ku gwieździe Gibraltaru, w drugim - znalazły się opisy miejsc pamięci narodowej zniszczonych przez republikanów.

Przykładem współpracy kościoła i nacjonalistów była ekspozycja dokonań artystów, tworzących pod wpływami ideologii prawicowej na *Wystawie Światowej EXPO* w Paryżu w 1937 r. Republikę uznano wówczas za reprezentatywną formę ustroju dla narodu hiszpańskiego, dlatego rządzący wówczas republikanie zajęli oficjalny Pawilon Hiszpanii. Natomiast rywalizujący z nimi nacjonaliści Franco nie zostali uznani przez społeczność międzynarodową, dlatego skorzystali oni z pomocy Sekcji Zagranicznej i umieścili swe prace w Pawilonie Watykanu. W tym drugim znalazły się obrazy wotywne, podarowane przez różne kraje. Można w nich było odnaleźć odniesienia do złożonej ikonografii religijnej sztuki średniowiecznej. Te nowoczesne prace malarskie, o kompozycji wzorowanej na strukturze kościelnych ołtarzy, ukazały specyficznie ujęte tematy hagiograficzne i epizody męczeńskiej śmierci bohaterów nacjonalistycznej Hiszpanii. Wątek ten podjął José María Sert na olbrzymim płótnie (6 x 9 m) pt. *Święta Teresa, Ambasadorka Boskiej Miłości do Hiszpanii, przedstawia swemu Panu hiszpańskich męczenników z 1936 r.* Obraz, który zawisł w centralnej absydzie, był 2-poziomową kompozycją. W dolnej strefie znalazła się św. Teresa z Avila, która jako pośredniczka prezentowała Chrystusowi dusze pomordowanych nacjonalistów, zaś w górnej - męczennicy wchodzący do niebios. Rangę dzieła sztuki narodowej nadał mu kardynał Isidoro Goma y Tomás, arcybiskup Toledo oraz poplecznik ruchu nacjonalistycznego. 1. lipca 1937 r. napisał on do społeczności katolickiej otwarty list - apel, wzywający ją do wystąpienia przeciw „ateistycznemu powstaniu". Kościół uznał oficjalnie atak nacjonalistów na Republikę, a w swym oświadczeniu obwieścił, iż „komuniści i anarchiści są synami Kaina, nie przyjmującymi oczyszczenia od Boga, czy Chrystusa". Słowa te pochodzą z listu biskupa Salamanki z 30. września 1939 r. (3). Czytamy w nim również o niszczeniu przez nich świętości katolickich: „Męczeństwo jest najwyższą kategorią miłości. I tak oto czerwone kwiaty męczeństwa kwitną w naszej Hiszpanii".



Pawilon Republiki Hiszpańskiej na *Expo'37* w Paryżu

Kościół, w którym znajdował się obraz, został spalony. Zniszczenia obiektów sakralnych - to oskarżenie najczęściej wysuwane przeciw „czerwonym". Wśród nich znalazła się katedra w Vic, której wnętrze zdewastowano 21. lipca 1936 r. Przed laty malowidła ścienne (*murales*) również wykonał tu José Maria Sert, artysta niegdyś popierający politykę republikańską, który w 1936 r. pracował nad dekoracją Izby Rady Ligi Narodów w Genewie. W końcu wsparł działania Franco oraz przyjął propozycję rekonstrukcji zniszczonych malowideł katedry.

Republika Hiszpanii uczestniczyła w międzynarodowej *Wystawie Światowej EXPO '37* w Paryżu, prezentując swe osiągnięcia w oficjalnym pawilonie narodowym, któremu warto przyjrzeć się bliżej. Jego przygotowanie stało się próbą poprawy wizerunku kraju na arenie międzynarodowej. Zamiast osiągnięć w dziedzinie handlu czy przemysłu, osłabionych podczas wojny, Republika wybrała prezentację ze sfery sztuki i kultury. Organizatorzy wystawy w Pawilonie włożyli wiele wysiłku, aby pokazać, że republikański rząd ma wszystko pod kontrolą. Dążyli do objawienia siły Hiszpanii, również - w dziedzinie sztuki. Warto zaznaczyć, iż w latach 30. wyrosło tu pokolenie młodych, niezwykle zdolnych artystów, takich, jak: Pablo Picasso, Joan Miró, Joseph Lluis Sert, Albert Sánchez Pérez i Julio González, których część należała do ówczesnej międzynarodówki artystycznej skupionej wokół *Kominternu*, a wielu z nich zostało zaproszonych do pracy nad Pawilonem Hiszpańskim. Wzniesienie jego bryły powierzono Josephowi Lluisowi Sert, uczniowi Le Corbusiera oraz założycielowi i członkowi *Gruppo de Arquitectos y Tecnicos Ctalanes para el Progreso de la Arquitectura Contemporanea*, założonej w Barcelonie w 1931 r. Współpracował z nim Luis Lacas. Pawilon Hiszpański, ustawiony w centrum zajmującej stosunkowo niewielki obszar tzw. „sekcji obcej", zbudowano przy głównej alei, łączącej Plac Trocadero z Wieżą Eiffla. Wyróżniała go bezpretensjonalna elegancja, a prosta i surowa bryła budynku wyróżniała się na tle szokujących konstrukcji konkurujących ze sobą pawilonów niemieckiego i rosyjskiego, które stały na dwóch przeciwległych brzegach Pont d'Jena. Jednopiętrowa budowla, do której zastosowano gotowe prefabrykaty i tanie materiały z odzysku (szkło, walcowana blacha, sklejka, pręty stalowe i płyty izolacyjne) została „opasana" ciągiem pnących się po ścianach zewnętrznych schodów ułatwiających komunikację. W założeniu Pawilon miał być świadectwem niezwykłej innowacyjności architektów pracujących dla Republiki, a zaprezentowane w nim, specjalnie dobrane obiekty, stanowiły dodatkowe medium propagandy ideologiczno-politycznej. Widz płynnie przemieszczał się między dwoma poziomami budynku po dziedzińcach, schodach, rampach, podestach i tarasach, by oglądać galerię umiejętnie dobranych, wyłaniających się kolejno dzieł ówczesnych awangardystów hiszpańskich. Odbiorcę „witała" znacznie przewyższająca pawilon totemiczna rzeźba Alberto Sáncheza Péreza pt. *Hiszpanie wkraczający na ścieżkę, która prowadzi do gwiazd*. Wielkie malowidło ścienne Joana Miró - *Chłop kataloński w czasie rewolty* wzywało widzów aby oddali życie za wolność. Wśród zaprezentowanych rzeźb znalazły się też: *Głowa kobiety* Picassa, *Monserrat* Gonzáleza oraz rzeźba *Fontanna Rtęci* Alexandra Caldera. Stanęła ona naprzeciwko dzieła, które wzbudziło najwięcej kontrowersji, czyli wielkiego malowidła ściennego - głośnego *muralu* Pabla Picassa pt. *Guernica*.

Baskijskie miasteczko Guernica y Luno zbombardował 26. kwietnia 1937 r. niemiecki *Legion Condor*. To działanie, przeprowadzone w imieniu nacjonalistów, nie było jedynym tego typu zniszczeniem miasta hiszpańskiego, jednak propagandziści lewicy uczynili z tego zdarzenia najsłynniejszy epizod całej wojny. Pablo Picasso wielokrotnie wyrażał swe poparcie dla działań Republiki. W styczniu 1937 r. rozpoczął prace nad serią rysunków *Sen i kłamstwa gen. Franco* - specyficznym komiksem, będącym w istocie ironicznym paszkwilem pod adresem *Generalissimo* (również zaprezentowane na wystawie w Paryżu). Złożyły się nań dwie akwaforty. Każda z nich została podzielona na 9 kwadratowych kwater, w których znalazły się satyry ośmieszające Franco. Dla poznania zjadliwego języka Picassa, przyjrzyjmy się jedynie dwom. Z początku generał jawi się jako monstrualny owad na koniu z którego wylewają się wnętrzności. W jednym ręku trzyma on miecz, a w drugim - proporzec kongregacji religijnej. W kolejnej scenie, Franco żongluje zaś na linie rozciągniętej między Słupami Herkulesa, dokonuje przerzutu wojsk przez Cieśninę Gibraltarską. W ręku trzyma obłok Opatrzności Bożej, która kazała mu zabiegać o tytuł Wodza z Łaski Boskiej. Na monstrualnej wielkości członku *Generalissimo* znalazł się zaś proporzec kongregacji religijnej. W ten sposób Picasso zwrócił uwagę na poczesne miejsce patriarchalnej kultury *machismo* wśród nacjonalistów. Kopie wydruków grafik pokazane w Pawilonie sprzedawano szerszej publiczności, a dochód z tego miał wesprzeć rząd republikański.

Zaangażowanie Picassa do pracy przy malowidle umieszczonym w Pawilonie Hiszpańskim znacznie podnosiło prestiż rządu republikańskiego. Minister Finansów, Juan Negrin, skomentował to tak: „Dla dobra propagandy Republiki obecność malowidła ściennego Picassa jest równe militarnemu zwycięstwu na froncie." (4) To apokaliptyczny wyraz wojny totalnej. Sięgnąwszy po język nowoczesnych form, artysta oddał nasz sposób odbioru tego wydarzenia historycznego - całą jego bohaterską walkę, heroizm, cierpienie i śmieć. - „Nigdy i nigdzie - powtarzam - nie doznałam takiego wstrząsu, jak owego, czerwcowego dnia roku 1937, kiedy po raz pierwszy dane mi było ujrzeć *Guernikę* - wspomina polska architekt, Helena Syrkus. - W Paryżu wracałam na *EXPO* tylko po to, aby ją znowu obejrzeć, znów przeżyć, znów przeboleć. Obserwowałam tłumy zwiedzające pawilon hiszpański, nie tylko ja wychodziłam ze łzami w oczach. (...) *Guernica* spełniła rolę greckiej *katharsis* - zmusiła ludzi - poprzez doznania estetyczno-emocjonalne - do przeżycia tragedii ludu hiszpańskiego, do wyzwolenia uczucia buntu przeciw ludobójcom i trwogi przed powtórzeniem się burzenia spokojnych miast." (5). Na wystawie w Paryżu dzieło Picassa szokowało śmiałością kompozycji i drastycznością ukazania porozrywanych, rozrzuconych w bezładzie szczątków ciał. Emocje zwiedzających ekspozycję opisał też Amedée Ozenfant w *Notatkach turysty z Wystawy 1937 roku* (*Notes d'un touriste l'Exposition 1937*): „Kobieta schodzi z pierwszego piętra, gdzie wystawiono fotografie wojny domowej, fotografie dzieci zmasakrowanych przez najemników Franco i mówi do córki:

- To wszystko jest straszne. Mrowie przechodzi mi po plecach - obserwuje następnie *Guernikę*.

- Nie rozumiem, co to ma przedstawiać, ale jest mi dziwnie, po prostu jakby mnie ktoś chciał na kawałki posiekać". (6)

Niestety, *Guernica* - wyraz postawy antywojennej i antyfaszystowskiej Picassa - została wykorzystana do celów propagandowych przez komunistów. Obraz ten, będąc oskarżeniem faszyzmu o wszelkie zbrodnie popełnione podczas hiszpańskiej wojny domowej, otworzył dyskusję wokół zagadnienia, jakim są ideologiczne uwikłania artystów. Sam Picasso pragnął tworzyć sztukę politycznie zaangażowaną. „Malarstwo nie jest do dekorowania mieszkań. Jest instrumentem wojny ofensywnej, czy defensywnej przeciwko wrogowi" - powiedział w *Les Lettres Françaises* z 24 marca 1945 r. Jednak jego wypowiedź dla francuskiego pisma *Humanité* pt. *Dlaczego przystąpiłem do Francuskiej Partii Komunistycznej?* (1944) ujawnia skrajną naiwność polityczną. - „Tak, jestem przeświadczony, że malarstwem moim walczyłem jak rewolucjonista. Ale dziś zrozumiałem, iż nawet to mi nie wystarcza (...) - rzekł. - I dlatego skierowałem się do *Partii Komunistycznej*, bez najmniejszego wahania, gdyż w głębi byłem z nią zawsze. Wszyscy moi przyjaciele - Aragon, Eluard, Cassou, Fourgeon wiedzą dobrze o tym. Nie należałem do niej dotychczas ze swego rodzaju 'nieświadomości', sądziłem bowiem, że wystarczało moje dzieło, moja przynależność sercem, ale nie była to jeszcze moja partia" (7). W kontekście niezwykle przemyślanych rozgrywek politycznych, słowa Picassa mogą wydać się śmiesznie naiwne. Przez cały czas trwania wojny hiszpańskiej, odpowiedzią na cyniczną, stalinowską propagandę była jedynie łatwowierność zachodnich intelektualistów. Picasso zdecydował się wstąpić do partii z pobudek emocjonalnych, a nie dla faktycznych przekonań politycznych. W 1944 r. współpracujący z aliantami komuniści na froncie II wojny światowej odnoszą zwycięstwa nad siłami Hitlera, powoli utrwalając swoje *status quo*, które stało się bazą do późniejszych postanowień jałtańskich, zatem akces partyjny Picassa był tylko formalnością. Nic więc dziwnego, że jego sztuka była łatwym środkiem oddziaływania na masy przez skrzydło lewicowe, a *Guernica* zrobiła międzynarodową karierę jako „ikona sztuki XX wieku". Po zamknięciu wystawy w Paryżu przetransportowano ją statkiem do Londynu, lecz o dziwo, jej przyjęcie w New Burlington Galleries i Whitechapel Art Gallery było dość chłodne. Następnie obraz trafił do nowojorskiego Metropolitan Museum of Art, co pomogło przeciągnąć uwagę opinii publicznej skupionej wokół dzienników *Time* i *Newsweek* na stronę republikańską. Echa rozgrywek politycznych były słyszane do lat 80., kiedy obraz zawisł w madryckim Prado.

Lewicowy *Front Ludowy* stosowało także inne metody gry politycznej. Na antresoli Pawilonu Hiszpańskiego zorganizowano galerię rzeźb twórców pochodzących z prowincjonalnych regionów Hiszpanii, wystawę rzemiosł artystycznych i sztuk stosowanych. Rzeźby Emiliano Barral i Francisco Pérez Mateo zostały umieszczone na tle płyt z tablicami inskrypcyjnymi i biograficznymi sławiącymi bohaterską śmierć dwóch bohaterów obrony Madrytu 1936 r. oraz ich zdjęć. Stały się one dopełnieniem wyposażenia sali ekspozycyjnej, pełniącej funkcję swoistej izby pamięci. Z kolei na wystawie w Sekcji Dokumentalnej, w rolę dzieł sztuki wcieliły się dla odmiany zwykłe przedmioty. Instalacja Josepa Renau, złożona z kolb wypełnionych rtęcią pochodzącą z okręgu Amaldén oraz wykresów statystycznych, ilustrujących tempo przyrostu produkcji, miała wyrażać dynamikę rozwoju gospodarczego Hiszpanii rządzonej przez republikanów. *Pendant* do niej stanowiła słynna, ruchoma rzeźba Alexandra Caldera pt. *Fontanna Rtęci*, rodzaj

mobile ze ściekającą kanałami rtęcią pochodzącą z okręgu Amaldén. Dzieła sztuki spełniły rolę służebną wobec propagandy politycznej. Szczególną rolę na tym polu odegrał fotomontaż jako sugestywna metoda manipulacji. Republikanie twierdzili, iż tworząc państwo oparte na nowych, „demokratycznych zasadach", nie można nie dostrzec potrzeby zmiany sytuacji kobiety hiszpańskiej, dlatego ich emancypacji poświęcił swój fotomontaż Josep Renau, artysta z Walencji. Na dwóch panelach przeciwstawił stojącą na tle prostej chaty kobietę w ludowym stroju z Salamanki i nowoczesną, wyzwoloną kobietę-żołnierza, ubraną w wojskowy uniform. Upozowane zostały całkiem odmiennie. Twarz tej pierwszej, ukazanej hieratycznie z prawej strony - tonęła w mroku, natomiast tej drugiej, ujętej po lewej stronie w dynamicznej pozie, została oświetlona, zaś usta - otwarte, jakby do wzniesienia bojowego okrzyku. Kompozycja tej pracy, zbudowana z dwóch paneli, zestawionych na zasadzie „przed i po", obrazowała postęp w życiu kobiet, który mieli umożliwić republikanie.

Inna praca Renau, złożona z pary fotomontaży, obok napaści lotnictwa nacjonalistów na Muzeum Prado w Madrycie, ukazała ciężarówkę, która podczas nalotu na Madryt z 19. października 1936 r., pod łoskotem lecących bomb przewoziła zbiory Prado do Torres de Serrano w Walencji. Dzieło to jest doskonałym pretekstem do poruszenia jeszcze jednej, ważnej kwestii, jaką jest ochrona narodowego dziedzictwa kulturalnego. Nacjonaliści zarzucali republikanom brak troski o skarby kultury i sztuki, a republikanie rewanżowali się tym samym. Fotomontaż przedstawiał środki zaradcze, jakie podjął w tej sprawie rząd *Frontu Ludowego*. W *L'organization de la défense du patrimoine artistique espagnol pendant la guerre civile* (*Organizacja obrony hiszpańskiego dziedzictwa artystycznego podczas wojny domowej*) Josep Renau pozostawił obszerny, bogato ilustrowany raport o krokach podejmowanych przez Republikę w celu ochrony dziedzictwa narodowego przed zniszczeniami wojennymi, który następnie został opublikowany w piśmie *Beaux-Arts*. Wystawie dzieł z Muzeum Sztuki Katalońskiej w Barcelonie towarzyszył katalog ze wstępem Christiana Zervosa, który troskę o sztukę narodową przypisał jedynie republikanom. Była to ostatnia próba poprawienia republikańskiego *morale* w świetle opinii publicznej. Franco prowadził wojnę obliczoną na stopniowe wyczerpanie przeciwnika (1937-1938), dokończenie jej było tylko kwestią czasu. W dodatku zmęczony nią Stalin, który zakończył już czystki i wykorzystał wszelkie narzędzia propagandy, zamierzał zawrzeć nowe układy z demokracjami zachodnimi bądź z Hitlerem. Barcelona poddała się 28. stycznia 1939 r., a Madryt 28. marca. Stojący na krawędzi upadku rząd *Frontu Ludowego* opuścił siedzibę w Madrycie, a o losie skarbów z Prado zgodnie z postanowieniem z Figureas z 3. lutego 1937 r. miał zadecydować *Komitet Międzynarodowy* (*International Commitée*) z siedzibą w Genewie (na jego czele stanął David Weil). Ostatecznie zbiory Prado trafiły do Genewy.

Człowiekiem w szczególny sposób uwikłanym w ideologię był Alberto Sánchez Pérez - jeden z najbardziej interesujących twórców, który dokonał rewolucji w rzeźbie XX wieku. Hiszpańska badaczka, Josefina Alix Trueba, trafnie nazwała go „artystą jedności" i „geniuszem silnie trzymającym się wytyczonych zasad, który potrafił przetrwać i odrodził się z popiołów, kiedy siłą próbowano go unicestwić" (8). Długo zaniedbywany przez historyków sztuki, Sánchez Pérez zasłużył się jako jeden z najważniejszych rzeźbiarzy awangardy, a opisanie w skrócie jego niezwykłej osobowości jest niemożliwe. Na poparcie tego sądu warto zacytować słowa Pabla Picassa: „Prace Alberto znacznie wpłynęły na wielu artystów naszych czasów - wielu ważnych artystów. Jego teoria i jego dzieła pobudzają twórczy niepokój i dostarczają impetu dla tych nurtów sztuki awangardowej Hiszpanii, które zerwały z akademizmem i reakcyjnym konformizmem" (9). Jednak szalenie zindywidualizowana twórczość, bogata biografia i doskonałej klasy dzieła Sáncheza nigdy nie cieszyły się specjalnym zainteresowaniem badaczy. Sylwetkę długo pozostającą w cieniu i nieznane dotychczas prace (liczne z nich uległy zniszczeniu podczas hiszpańskiej wojny domowej) z mroku niewiedzy wydobyła dopiero seria wystaw monograficznych, zorganizowanych dopiero w latach 70. ub. w. Artysta nauczył nas nowoczesnej percepcji rzeźby jako dzieła sztuki funkcjonującego w przestrzeni trójwymiarowej, które służy do odbioru z wielu punktów widzenia. Poświęcił się on również studiom form, kolorów i cech najchętniej wybieranych, naturalnych materiałów rzeźbiarskich.

Przez całe życie artysta uważał się za człowieka lewicy. Popierał sztukę zaangażowaną, lecz określona postawa polityczna nie wywarła znaczącego wpływu na jego twórczość, którą można rozpatrywać na wielu płaszczyznach. Niezwykle ambitny, dzięki swej determinacji przeszedł drogę od piekarza-analfabety do artysty-geniusza i jednego z najbardziej uznanych, ówczesnych krytyków sztuki. Urodzony w 1895 r. w biednej rodzinie w Toledo, jako dziecko imał się różnych zajęć. W 1907 r. wyjechał do Madrytu. W 1915 r. został piekarzem, nauczył się czytać i pisać, a resztę osiągnął dzięki swej intuicji, pracy bez odpoczynku i niemalże bez snu. Dzięki nieustannemu studiowaniu dzieł dawnych mistrzów i godzinom spędzonym na zwiedzaniu muzeów - zetknął się ze sztuką i zdobył niezbędne, rzeźbiarskie umiejętności. Lecz przełomowe znaczenie miało dla niego w 1922 r. spotkanie z urugwajskim malarzem, Rafaelem Baradasem, który wpłynął na wczesną twórczość Salvadora Dalí. Choć przy ocenie rzeźby Sáncheza okazał on znaczną powściągliwość, dzięki magazynom poświęconym sztuce, *Cahiers d'art.*, Alberto dowiedział, czym był *happening*, który zawojował ówczesny Paryż, a w kawiarniach zachłannie przysłuchiwał się debatom artystów. Na początku tworzył rysunki znacznie uproszczonych postaci, lecz w 1925 r., na wystawie *Exposition de Artistas Ibéricos* w Palacio de Velázquez w Parque de Retiro w Madrycie, Sánchez osiągnął znaczny sukces, eksponując serię rzeźb w pełni figuralnych, opracowanych w manierze neo-kubistycznej. Dwa lata później, za pośrednictwem magazynu *Cahiers d'Art*, nawiązał kontakt z Picassem oraz z surrealistami wraz z Salvadorem Dalím. Wtedy ujawnił się geniusz Sáncheza. Zafascynowany surrealizmem, wypracował on własny, w pełni rozwinięty język wizualny.

Rysunek z 1927 r., przedstawiający rodzaj skamieniałego szkieletu zwierzęcego, na którym spoczywa drugi, to zapowiedź fazy twórczości zainspirowanej geologią, kosmogonią oraz formami organicznymi. Fascynacje te połączyły Sáncheza z grupą artystów madryckich, tworzących „szkołę z Vallecas" (przedmieście Madrytu), do której należeli też: Benjamin Palencia, Antonio Rodriguez Luna i Maruja Mello. Poszukując inspiracji, wyszli oni w plener. Na obliczu tej fazy twórczości wpłynął kontakt artysty z pejzażem z rodzinnych stron, charakterystycznym surowym, żwirowato-kamiennym krajobrazem Kastylii - spacerowanie w towarzystwie malarza, Benjamina Palencii, spieczonymi słońcem wzgórzami i polami otaczającymi dolinę Vallecas. Sánchez zbierał też naturalne twory ziemi: piach, kamienie i żwiry *pebbles*. Inspirując się przede wszystkim naturą, unikał udzielania w rzeźbie prostych odpowiedzi, a odwołując się do geologii i kosmologii, objawiał prawdziwie mistyczną pasję tworzenia. Podziwiał Picassa, El Greco, Zurbarána, Velazqueza, Cervantesa i Eisensteina, a w Residencia de Estudiantes w Madrycie prawdopodobnie wysłuchał wykładów na takie tematy, jak: *Rewolucja nieorganiczna*, *Atom i jego tajemnice*, czy *Geologia i pejzaż*. Sánchez tworzył rzeźbę o organicznych, obłych formach i rozwiniętych walorach sensualnych. Podobne doświadczenia będą mieć później: Jacques Lipchitz, Alexandre Archipienko, Alberto Giacometti, Constantin Brancusi, Hans Arp i Henry Moore. Silnie uproszczone, abstrakcyjne dzieła Sáncheza noszą rozbudowane tytuły, nawiązujące do surrealistycznej poetyki marzeń sennych, jak choćby: *Horyzont*, *Pomnik Ptaka*, *Nieznana księga lecąca ku ciszy nocy*, *Ptak mego wynalazku z kamieni stworzonych przez podmuch wiatru*, *Zwierzę przerażone swą samotnością* (rzeźby z lat 1929-1930; nie zachowane). Ujawniając poetyckie konotacje swych prac, nawiązał on dialog z eksperymentami Arpa z rzeźbą organiczną, czy próbami Giacomettiego z 1930 r.

Artykuł *Słowa rzeźbiarza* (*Parablas de un escultor*), opublikowany w 1933 r., we wczesnym okresie szkoły z Vallecas, stanowi najwcześniejszy zapis przemyśleń Sáncheza na temat sztuki. W swym pasjonującym tekście, swoistym *credo*, artysta, który napomyka o źródłach swych inspiracji, dzieli się swymi obserwacjami na temat koloru, faktury i formy rzeźbiarskiej. - „Oni mówią: miasto. Odpowiadam: prowincja" - tak określa korzenie swej twórczości, antycypując poszukiwania artystów tworzących później „sztukę ziemi" (*land art*). „Nie miałem problemów w poszukiwaniu form na prowincji, form, które często znajdowałem, by je narysować, aby tworzyły one kraj, krainę. Wszystko, co zrobiłem, to było dźwignięcie tych form z ziemi" - doprecyzował artysta. „Chcę zawrzeć w mej formie wszystko to, co można tu zobaczyć o piątej rano" - dodał. W artykule swym Sánchez ujawnił również ambiwalentną postawę wobec realizmu. (10) Artysta doszedł do konkluzji, że to, czego nie może przełożyć na język form wizualnych, nie może istnieć, dlatego do swej sztuki przenosił wyłącznie formy naturalne. W tym względzie deklarował się jako realista, acz nie w potocznym sensie tego słowa, dlatego jego twórczość odbierano niejednoznacznie. Awangardowi twórcy kręgu nowej sztuki - *Arte Nuevo* - podziwiali jego prace, lecz ich przeciwnicy zarzucali im niezrozumiały dla przeciętnego odbiorcy, hermetyczny charakter.

Niezwykle ożywiona debata dotycząca miejsca realizmu w aktywnie zaangażowanej sztuce rewolucyjnej przetoczyła się w latach 1935-1937 na łamach pisma *Nueva Cultura*, publikowanego od stycznia 1935 do października 1937 roku, którego zespół redakcyjny tworzyli: José Renau - autor plakatów i fotomontaży, a podczas wojny domowej - Dyrektor Generalny Sztuk Pięknych, a także Antonio Delorto i Antonio Carreño Prieto. Dotyczyła ona miejsca sztuki podczas rewolucji. Napisany przez Sáncheza list otwarty pt. *Sytuacja, perspektywy sztuki hiszpańskiej* (*Nueva Cultura* nr 2) okazał się cierpką krytyką elit, które, promując sztukę burżuazyjną, tamują rozwój młodej sztuki rewolucyjnej (11). -

„Nigdy nie miałem zwyczaju oddzielać sztuki od życia społecznego" - napisał Sánchez do architekta, Luisa Lacasa. Wyraźnym przejawem zainteresowania „nowej sztuki" rewolucją stał się realizm, dlatego w 5. numerze *Nueva Cultura* znalazła się lakoniczna odpowiedź Sáncheza, który stwierdził, iż sztuka rewolucyjna niekoniecznie musi być realistyczna. W tym samym numerze magazynu malarz ze „szkoły Villecas" - Antonio Rodriguez Luna napisał taką replikę: „Nasze prace interesują bardzo niewielu ludzi i uwikłane są w wizualną spekulację, dotyczącą kondycji ludzkości. Musimy stworzyć sztukę społeczną (podkreślę na marginesie, że nie używam słowa „polityczna") poza goryczą, zmaganiami oraz iluzjami rodzącymi się codziennie na prowincji, w kopalniach i fabrykach". (12)

Debata z łamów *Nueva Cultura* była zapowiedzią dyskusji, która wywiązała się we Francji w 1936 r. po wydaniu *Querelle du Réalisme* (*Źródło realizmu*). Włączyło się do niej wielu artystów zaangażowanych po stronie *Frontu Ludowego*: Férnand Léger, Le Corbusier, Jean Luçrat, Louis Aragon, Jean Cassou, Robert Dalaunay i inni (13). W Hiszpanii czasów Drugiej Republiki (od 1931 r.) brutalne stłumienie powstania górników w kopalniach Asturii z 1934 r. wzmocniło polaryzację opinii wyrażanych we wszystkich sferach, również sztuki. Alberto zawsze był oddany ideologii lewicowej, jego stanowisko było jasne, acz nie zamierzał on robić tego, czego od niego oczekiwano, czyli zaniechania uznanej ścieżki artystycznej na rzecz sztuki figuratywnej i „walczącego" realizmu. Pod wpływem debaty Alberto Sánchez, któremu nie pozwalano rozwijać wolnej ekspresji twórczej i domagano się uprawiania silnie realistycznej sztuki walczącej, wycofał się z praktyki artystycznej. Wygłosił jedynie wykład *Sztuka jako osobiste przekroczenie* (*El arte como superación personal*) (14). Przez tytułowe „przekroczenie" rozumiał on odrzucenie realizmu i tradycji figuratywnej oraz tworzenie całkiem nowych form. Sánchez powiedział: „Sztuka osobistego przekroczenia obecnie nie istnieje. Są teraz rzeczy, które interesują mnie o wiele bardziej, niż sztuka indywidualna, a mianowicie rewolucja ekonomiczna. Po zwycięstwie rewolucji zapanuje ład, ale rewolucja ducha jest niemożliwa. Innymi słowy, aby włączyć się w pełni do rewolucji duchowej, mężczyźni i kobiety po pierwsze muszą zdobyć wolność. Stanie się to możliwe, jeśli pracę poświęcimy rzeczom pożytecznym, a za użyteczną uważam pracę w laboratoriach, warsztatach, na polach. Wszystko inne jest samopobłażaniem." (15)

Większość artystów zaangażowanych politycznie poświęciło swe prace ideologii antyfaszystowskiej. Alberto Sánchez powrócił na dobre do praktyki artystycznej w 1937 r., angażując się w prace przy tworzeniu narodowego Pawilonu Hiszpańskiego na *Wystawie Międzynarodowej* w Paryżu, kiedy sytuacja na froncie wojny domowej w Hiszpanii była najbardziej krytyczna. Aranżacja Pawilonu zajęła mu dwa miesiące. Spotkał się przy tym z Picassem, Légerem, Lipchitzem i Giacomettim, z którymi miał wiele wspólnego. Przed budynkiem Pawilonu ustawił on olbrzymią, 13-metrową rzeźbę o kształcie totemu, czy kaktusa pt. *Hiszpanie wkraczający na drogę prowadzącą do gwiazd*. Nie przypominała ani dzieła wykonanego z materiału mineralnego, ani żywej rośliny. Sytuując swe dzieło pomiędzy językiem abstrakcji, a poetyką surrealizmu, artysta nałożył nań niezwykle przemyślaną symbolikę. Kaktus, z pozoru zasuszona roślina, we wnętrzu kryje pożywny, soczysty miąższ, który pozwala jej przetrwać podczas suszy. Ten wyrzeźbiony przez Sáncheza, wyrastając z ziemi, skręcał się niczym spirala i piął ku niebu niczym wąż. Jednocześnie w jego opływowej formie można się było dopatrzyć zarysu sylwetki kobiecej, przypominającej matkę z dzieckiem. Rzeźba - afirmacja natury, w której Sánchez skupił różne symbole życia, miała znamionować witalność i energię Republiki Hiszpańskiej. Realizując dzieło obciążone określonym znaczeniem ideowo-politycznym, a pozbawionym fizycznych znamion realizmu, artysta pozostawił wierny swym zasadom. Zakończywszy swe prace w Paryżu, w 1938 r. Sánchez wrócił do Hiszpanii. Parę miesięcy spędził w siedzibie rządu republikańskiego w Walencji, gdzie stworzył szczególnie interesujące scenografie teatralne. Przypomniawszy sobie o swej dawnej fascynacji modernizmem, pejzaże z tła przekształcił w odrealnione, *quasi*-surrealistyczne formy. Prospekty te „zagrały" w sztuce pt. *Las Germanais de Valencia*, granej w celach propagandowych. I choć wkrótce została ona zdjęta z afisza, publiczność zawsze oklaskiwała dekoracje Sáncheza. Ten przypadek, podobnie, jak rzeźba z Pawilonu Hiszpańskiego, pokazuje, że można uprawiać sztukę dla „zwykłych ludzi" bez ohydnego realizmu i złego smaku. Sánchez niewątpliwie zawsze potrafił pozostać sobą.

W końcu 1938 r. rząd republikański wysłał rzeźbiarza do Związku Radzieckiego jako nauczyciela rysunków dzieci azylantów hiszpańskich, którzy po pokonaniu sił Republiki przez generała Franco odbyli tu masowy *exodus*. Wizyta, zaplanowana jako czasowa, po zwycięstwie Franco nad siłami Republiki, przerodziła się w pobyt stały na obczyźnie, który zakończyła śmierć Sáncheza w Moskwie w 1962 r. Z pewnością nie był on łatwy, gdyż artysta opuścił Hiszpanię oraz pewien projekt polityczno-społeczny, do którego był bardzo przywiązany. Jednak w Moskwie, gdzie mieszkał i pracował, został dobrze przyjęty, choć nigdy - co interesujące - nie nauczył się rosyjskiego. Nieszczególnie trudna była też adaptacja do nowych warunków, acz Sánchez do ostatnich dni myślał o powrocie do ojczystej Hiszpanii, gdzie Franco, najpierw doprowadził do bezwarunkowej kapitulacji Republiki, a potem zajął się jej dekomunizacją. Artysta hiszpański spotykał się z twórcami rosyjskimi, z którymi nawiązał przyjaźnie oraz rysował i projektował scenografie teatralne, które można obejrzeć w moskiewskich muzeach: *Teatru* oraz *Puszkina*. Sánchez był także doradcą *Teatru Gitano* w Moskwie i konsultantem do spraw *designu* w słynnej firmie *Don Quixote* Grigorija Kozincewa.

W 1934 r. na Zjeździe Pisarzy w Moskwie proklamowano realizm socjalistyczny jako obowiązującą doktrynę w sztuce. Wydaje się, iż Sánchez dawał na to przyzwolenie, jednak sam tego kierunku nie uprawiał. Opanowawszy nową dla niego technikę malarstwa olejnego, od 1939 do 1956 r. tworzył martwe natury i pejzaże. Nad obecność w życiu publicznym przedłożył własną prywatność. Często odwiedzali go przyjaciele z Hiszpanii, a okazyjnie - sam Pablo Neruda, który zachęcał go do kontynuacji drogi, jaką obrał sobie w Paryżu, czy w Hiszpanii. Nakłaniali go również by opuścił ZSRR i zamieszkał we Francji, gdzie mógłby znaleźć więcej możliwości samorealizacji. Jednak odmówił. Do Hiszpanii mógłby wyjechać, gdyby była ona całkiem wolna. Jednak po *odwilży* 1956 r. sytuacja w ZSRR zmieniła się diametralnie. Sánchez odzyskał swój dawny stan ducha i zabrał się z ochotą do pracy. Kontynuował drogę twórczą, na jaką wkroczył jeszcze w Hiszpanii, a później w Paryżu. Wrócił do rzeźby organicznej i bogatego, pełnego magii świata, który pozostawił w 1937 r. Wykonał serię mistrzowskich prac, bezpośrednio inspirowanych okresem hiszpańskim, w których odzyskał zdobycze z samodzielnej nauki rzemiosła. Dlatego jego późne rzeźby, takie, jak: *Drogowskaz na rzece Biełaja*, *Pieśń Skylark* czy *Byk* nie różnią się zasadniczo od najwcześniejszych, tworząc jedną linię rozwojową. To niezwykła synteza wielu lat spędzonych przez Alberto Sáncheza w ZSRR i jego hiszpańskiego ducha, a nade wszystko - pełna afirmacja kunsztu i rzeźbiarskiej biegłości.

Agnieszka Maria Wasieczko

Przypisy:

(1) J. Renau, *L'organisation de la défence du patrimoine artistique et historique espagnol pendant la guerre civile*, cyt. za: M. Daniel, *Spain: Culture at War*, w: w: *Art and Power. Europe under the Dictators*. Katalog wystawy, Hayworth Gallery, Londyn 1996., s. 63;

(2) Opis *Wystawy Światowej* w Paryżu z 1937 r. znacznie wykracza poza ramy niniejszej publikacji. Zainteresowanych tym tematem odsyłam do artykułu: D. Ades, *Paris 1937. Art and the Power of Nations*, w: *Art and Power* .... op. cit., ss. 58-62;

(3) List biskupa Salamanki, 31 IX 1936, przytoczony przez: Angel Vinas, *Los condicionantes internacionales*, w: Tunon do Lara, *La guerra civila espagnola. 50 anos despues*, Barcelona 1985, s. 288;

(4) Cyt. za: M. Daniel, *Spain: Culture at War*, op. cit., 66;

(5) H. Syrkus, *Wspomnienia*, w: M. Bibrowski, *Picasso w Polsce*, Kraków 1979, s. 93;

(6) A. Ozenfant, *Notes d'un touriste a l'Exposition 1937*, w: *Art and Power. Europe under the Dictators*, op. cit., s. 118;

(7) P. Picasso, *Dlaczego przystąpiłem do Partii Komunistycznej?*, w: *Artyści o sztuce. Od van Gogha do Picassa*, red. E. Grabska i H. Morawska, Warszawa 1977, s. 544. Wypowiedź ogłoszona w: *Humanité*, 1944, nr 64. Wersja angielska: *Picasso explains*, w: *New Masses*, 1944, nr 4;

(8) J. A. Trueba, *Alberto Sanchez. An Artist on the Crossroads*, w: *Art and Power*, op. cit., s. 114;

(9) P. Picasso, Presentation, w: P. Martin (pseud. Luis Lacasa), Alberto, Budapeszt, 1964. Cyt. za: J. A. Trueba, *Alberto Sanchez. An Artist on the Crossroads*, op. cit., s. 111;

(10) A Sánchez Pérez, *Parablas de un escultor*, Valencia 1975. Oryginał opublikowano w: *Arte Magazine*, Madrid 1933

(11) A Sánchez Pérez, *Los Artistas Nueva Cultura*, w: *Nueva Cultura*, nr 5, czerwiec-lipiec 1935, s. 13-14. Zob. też: J. A. Trueba, *Alberto Sanchez*. op. cit., s. 113;

(12) *Los Artistas y Nueva Cultura*, w: *Nueva Cultura* nr 5, czerwiec-lipiec 1935, s. 13-14;

13) *Querelle du Réalisme*, 1936; nowe wydanie red. Serge Fauchereau, Paris 1987;

(14) A Sánchez Pérez, *El arte como superación personal*, w: *C.N.T.*, Madryt, 7. lutego 1933;

(15) A Sánchez Pérez, *El arte como superación personal*, op. cit., cyt. za: J. A. Trueba, *Alberto Sanchez*. op. cit., s. 113.



Generał Franco według Pabla Picasa

CZY HISZPAŃSKICH FASZYSTÓW CZASÓW RZĄDÓW FRANCO W KOŃCU DOSIĘGNIE SPRAWIEDLIWOŚĆ?

31. października 2014 r., argentyńska sędzia, Maria Servini de Cabria, wydała międzynarodowe nakazy aresztowania oraz wnioski o ekstradycję w sprawach 20 decydentów okresu faszystowskich rządów Franco, oskarżonych o zbrodnie przeciwko ludzkości dokonane w latach 1939-1975.

Hiszpański generał Francisco Franco, stojąc na czele faszystowskich grup militarnych, doprowadził nacjonalistów do ostatecznego zwycięstwa w hiszpańskiej wojnie domowej, toczącej się w latach 1936-1939, obalając tym samym demokratycznie wybrany rząd republikański oraz dławiąc rewolucję społeczną, przeprowadzaną przez anarchistów i im podobne grupy.

Co najmniej pięciu oficjeli wysokiej lub średniej rangi, w tym kilku byłych ministrów rządu, było odpowiedzialnych za zatwierdzenie wyroku śmierci przez uduszenie garotą 25-letniego hiszpańskiego anarchisty **Salvadora Puig Antich** w 1974 roku. Puig Antich należał do ***Iberyjskiego Ruchu Wyzwolenia*** (***Movimiento Iberico de Liberación*** - ***MIL***), który był luźną siecią działających w Hiszpanii anarchistycznych i anty-autorytarnych skrajnie lewicowych grup bojowych, dokonujących zbrojnych napadów na banki, celem pozyskiwania środków na działalność samorządnych rewolucyjnych ruchów pracowniczych, jakie istniały w Barcelonie na początku lat 70.

W roku 1973 został on aresztowany razem z innym bojówkarzem *MIL* w wyniku urządzonej zasadzki, w czasie której Puig Antich został poważnie ranny na skutek strzelaniny, jaka się wywiązała. Oskarżono go o zabójstwo funkcjonariusza *Guardia Civil* (hiszpańska formacja paramilitarna, podległa Ministerstwu Spraw Wewnętrznych oraz Ministerstwu Obrony - *przyp. tłum.*), który zginął w trakcie tego zdarzenia.

Szybki proces Puig Anticha przed sądem wojskowym był farsą - typową pokazówką, charakterystyczną dla wymiaru sprawiedliwości okresu rządów Franco. W trakcie procesu, sympatycy ***MIL*** dowodzili, że przygotowane przez policję materiały w tej sprawie były sfałszowane i z pewnością nie wystarczające do wydania wyroku, jako że gliniarz, który padł ofiarą strzelaniny był trafiony większą ilością kul niż zostało wystrzelone z pistoletu Puig Anticha, zaś sam Puig Antich był już w tym momencie ranny i na tyle niesprawny, iż nie mógłby oddawać żadnych strzałów w samoobronie. Tym niemniej, uznano go winnym i skazano na śmierć.

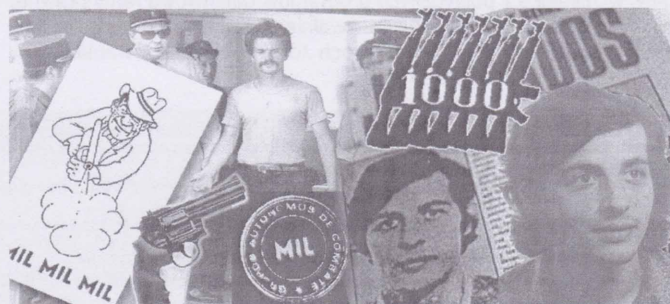
Pomimo międzynarodowej kampanii przeciwko egzekucji anarchisty i w obliczu nacisków na liberalizację prawa, reżim definitywnie zatwierdził wykonanie wyroku, zachowując się w sposób typowy dla frankistowskiej skrajnie prawicowej dyktatorskiej polityki, co miało też wymiar wizerunkowy, stanowiąc próbę radykalnej reakcji na fakt zamordowania hiszpańskiego premiera przez baskijskich separatystów z *ETA*, do którego doszło miesiąc po aresztowaniu Puig Anticha. Bojownicy ***MIL*** inspirowali się wydarzeniami francuskiego maja'68 oraz innymi walkami wolnościowymi, w tym też szczególnie działalnością ruchu anarchosyndykalistycznego lat 30. w Hiszpanii oraz hiszpańską *guerillą* po roku 1939. W przeciwieństwie do autopromujących się awangardowych grupek i paramilitarnych organizacji lewicowych, aktywiści ***MIL*** sami zdecydowali o rozwiązaniu swojej formacji, co nastąpiło jeszcze przed aresztowaniem Puig Anticha i innych bojowników pod koniec 1973 roku.

Kilka osób, którym udało się uciec z aresztu, wraz z nowymi sympatykami, wywodzącymi się z kręgów kampanii przeciwko egzekucji oraz na rzecz wsparcia aresztowanych działaczy ***MIL***, zdołało zainicjować działalność komórek nowej sieci we Francji - były to ***Grupy Międzynarodowej Akcji Rewolucyjnej*** (***Groupes d'Action Révolutionnaires Internationalistes*** - **GARI**). Dwa miesiące po egzekucji Puig Anticha, ***GARI*** uprowadziło w Paryżu prominentnego hiszpańskiego bankiera, Angela Baltasara Suareza, żądając zaprzestania wykonywania wyroków, uwolnienia wszystkich uwięzionych aktywistów ***MIL*** oraz wielu innych więźniów politycznych w Hiszpanii, jak również domagając się dużego okupu.

Żaden z więźniów nie został zwolniony, przekazano natomiast okup w wysokości około trzech milionów franków francuskich, jednak większość tej sumy została wkrótce odzyskana przez francuską policję. Następowały kolejne ataki zbrojne wymierzone w reżimowe cele. Przeprowadzały je różne grupy, zarówno w Hiszpanii, jak i poza nią. Jednakże po śmierci Franco, w latach 1976-77, *Komunistyczna Partia Hiszpanii* i inne ugrupowania lewicowe oraz partie centrowe poszły na ugodę z jego następcami, godząc się na reformy mieszczące się wyłącznie w skrajnie prawicowym wachlarzu politycznym w zamian za zmniejszenie skali rządowych represji, co w istocie było formą legitymizacji reżimu.

W ramach porozumienia, w 1977 roku w Hiszpanii przyjęto prawo, na mocy którego objęto amnestią przedstawicieli drugiej z zawierających ugodę stron, którzy byli oskarżeni o udział w akcjach politycznych, jakie miały miejsce w czasach rządów Franco.

W uzasadnieniu swojej interwencji prawnej, argentyńska sędzia powoływała się na międzynarodowy legislacyjny standard praw człowieka, odnoszący się do przestępstw przeciwko ludzkości (jak np. torturowanie czy ludobójstwo) - ten sam, na którego zasadzie funkcjonuje Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze. Standardem tym posłużył się również sędzia Baltasar Garzón w Hiszpanii, zarówno w uzasadnieniu wydania nakazu aresztowania byłego chilijskiego dyktatora Augusto Pinocheta w 1998 roku, jak i podczas formułowania aktu oskarżenia przeciwko decydentom czasów Busha, odpowiedzialnym za stosowanie tortur. Jeśli zostanie udowodnione, że podobne przestępstwa nie mogą być osądzone w kraju, gdzie zostały popełnione, to sądowe sprawy karne dotyczące ich, mogą być prowadzone przez określone państwa (jak np. Argentyna, Hiszpania do 2009 roku oraz ponad sto innych krajów), które mają konstytucyjny lub ustawowy mandat przeprowadzania procesów przeciwko naruszaniu praw człowieka przez obywateli innych państw.



W 2004 roku, parlament Katalonii wydał oświadczenie, w którym rekomendowano, by rząd „anulował wszelkie zarządzenia i wyroki reżimu Franco". Trzy lata później, socjalistyczny rząd Hiszpanii wydał *Prawo Pamięci Historycznej*, w ramach którego jedynie potępiono reżim Franco, nakazano usunąć wszelkie jego symbole z przestrzeni publicznej oraz wprowadzono możliwość tworzenia fundacji na rzecz działalności lokalnych „stowarzyszeń wskrzeszania pamięci historycznej", mających na celu badanie i dochodzenie prawdy na temat wszelkich okropieństw reżimu Franco, jakie były dokonywane lokalnie. Jednak rządzący później konserwatyści zablokowali możliwość powoływania tego typu publicznych fundacji. W międzyczasie, sędzia Garzón został odwołany ze swojego urzędu po tym, jak zadecydował o wszczęciu dochodzeń w sprawach dokonywanych przez nacjonalistów zbrodni, które kosztowały życie 114 tysięcy ludzi w czasie i po zakończeniu wojny domowej.

Mija osiemdziesiąt lat od hiszpańskiej nacjonalistyczno-faszystowskiej rewolty wywołanej przeciwko wybranemu republikańskiemu rządowi i prawie czterdzieści lat od ustawowego wprowadzenia amnestii. Gdy dwa lata temu odwiedziłem Barcelonę, byłem zdruzgotany tym, jak niewiele jest tam form publicznego upamiętnienia tych, którzy stanęli po stronie Republiki, jak bardzo nikłe jest obecnie zainteresowanie, zwłaszcza anarchistycznym oporem wobec tamtej prawicowej rebelii, tym wszystkim co przeżyli mieszkańcy Barcelony podczas i po wojnie domowej, oraz samymi szeroko zakrojonymi rewolucyjnymi przemianami społecznymi, jakie dokonywały się w mieście i na otaczających je terenach zanim Franco zwyciężył.

Podobnie zaskoczony byłem przebywając w położonej bardziej na południe dolinie rzeki Ebro, gdzie miała miejsce największa bitwa czasów wojny domowej. Otóż, działające tam lokalne muzeum

poświęcone tamtym wydarzeniom, zawiera w swoich ekspozycjach sprzęt militarny i szereg informacji dotyczących w równym stopniu obu stron konfliktu i w sposób zamierzony (a zarazem męczący) prezentuje całość zupełnie bezrefleksyjnie. Tego typu podejście przyczynia się do budowania wrażenia, że wina leży gdzieś pośrodku i sprawia, że historycznie obiektywna ocena sytuacji nie może być realnie dokonana.

Pozostająca po Franco spuścizna zastraszenia ciągle daje o sobie znać, zwłaszcza w obrębie środowisk politycznych, jak i większości starszej wiekowo części społeczeństwa. Z kolei, jego polityczni spadkobiercy w dalszym ciągu są silnie obecni w całej machnie biurokratycznej, sądownictwie, wojsku i policji. Polityka historyczna jest w dzisiejszej Hiszpanii ciągle dosyć żywa i ciągle budzi kontrowersje. Obowiązujące od 1977 roku prawo amnestii pozostaje niezmienione.

O ile wydana przez sędzię Servini de Cabrię decyzja, przynajmniej pozornie stanowi - jak na razie - niejako punkt wyjścia dla właściwie rozumianego publicznego uznania określonych wyczynów reżimu Franco jako zbrodni, to jest to oczywiście tylko czubek góry lodowej w kwestii weryfikowania historii i teraźniejszej świadomości społecznej. Jest ona także przejawem tendencji do napiętnowywania konkretnych praktyk oraz łączenia ich ze ściśle odpowiedzialnymi za nie osobami, nie sprowadzając się tym samym do oskarżania reżimu jako całości. Wszystko to jest jednocześnie i tak bez znaczenia dla ofiar sprzed lat. Najbardziej istotne zdaje się być to, iż wydawane międzynarodowe nakazy aresztowania uniemożliwią starzejącym się oskarżonym uciekanie za granicę.

Nakazy aresztowania z 31. października przyczyniają się ponadto do nasilenia dyskusji na temat samej istoty międzynarodowych praw człowieka w ogóle. Stawką jest tutaj osiągnięcie trwałego zrozumienia idei i praktyki wolności bez hierarchii, w miejsce zwykłego tylko domagania się egzekwowania praw cywilnych czy praw człowieka.

Zdawanie się na państwowy system sprawiedliwości jest podejściem czysto reformistycznym, ograniczonym przez arbitralne limity, wynikające z politycznych programów państwowe ramy prawne, procedury legislacyjne klauzule zwalniające (jak w przypadku linii obrony Busha i Obamy w sprawach tortur i bombardowania celów cywilnych na Bliskim Wschodzie).

Niegdyś obywatelscy libertarianie, tacy jak Roger Baldwin, założyciel *American Civil Liberties Union* (amerykańska organizacja *non-profit*, mająca na celu ochronę praw obywatelskich gwarantowanych konstytucyjnie - *przyp. tłum.*) w latach 20., inspirowali się i często wspierali kampanie wolnościowe anarchistki Emmy Goldman. Jednak ich aktywność była ograniczona restrykcyjnymi ramami przepisów konstytucji i lokalnych praw, zatem *de facto* uznawali oni zasadność wyroków prawa oraz państwa jako takiego. Goldman odrzucała takie podejście, gdyż to właśnie wszechobecność państwa i kapitalizmu (wraz z innymi formami zhierachizowanego ucisku) stanowi ograniczenie ludzkiej wolności.

O ile zatem oficjalny system międzynarodowych praw człowieka, takich jak choćby krajowe swobody czy prawa obywatelskie, może czasem stanowić restrykcyjną barierę, przyczyniającą się do doraźnego obalania i osądzania poszczególnych ciemiężycieli, o tyle jego retoryka, z natury reformistyczna i etatystyczna, kamufluje rzeczywistą istotę istniejącego ucisku, co przyczynia się do utrwalania stabilności państwa.

Rzecz jasna, rozumiemy problemy, z jakimi borykają się ludzie, których prawa człowieka są łamane, jak również jesteśmy w stanie zrozumieć to, że zarówno oni, jak i członkowie ich rodzin, przyjaciele oraz inne osoby okazujące im wsparcie, usiłują korzystać z „miękkich", legalistycznych środków - jak np. ustawowe rekompensaty, o ile są możliwe - przeciwko ciężkim represjom i prześladowaniom ze strony władzy. Podobnie, anarchiści oraz inni anty-autorytarni aktywiści - jeśli zostaną uwięzieni przez państwo, zazwyczaj przyjmują pomoc prawną w swojej obronie.

Bez względu jednak na to, czy ktoś akceptuje specyficzną strategię i taktyki walki, jakie stosowano w Barcelonie i szerzej w Hiszpanii na początku lat 70., czy też nie, powinniśmy pamiętać, iż Puig Antich i inni anarchistyczni rewolucjoniści ryzykowali własnym życiem nie po to, by doprowadzić do zreformowania jakichś reżimów, ale by podkopać cały system zhierarchizowanego porządku.

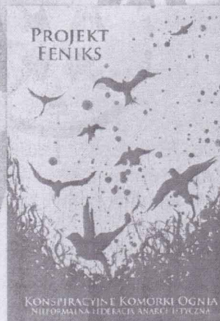
David Porter

Tekst ukazał się na łamach *The Fifth Estate* nr 393. Tłum.: **Zdzichu**









renesans buntu

o odrodzeniu pierwotnej determinacji

Sprawia mi radość przeciw wytyczonym drogom
Ciskać światy na przekór starczym, dawnym bogom!
Leopold Staff - *Ja - wyśniony*

Buntuję się, więc jestem.
Albert Camus

Część 1 (negatywna) : przyczyny i cele buntu oraz jego miraże.

1.1 Istota władzy i przyczyny zniewolenia.

Władza jest pewną formą relacji międzyludzkich - jest uznaniem nadrzędności tego, kto rządzi i podrzędności tego, kto jest rządzony. Ta feudalna relacja nie uległa zmianie, mimo przemian jakie dokonały się w ewoluujących wciąż społeczeństwach. Ewolucja społeczeństw dotyczy wielu sfer, nie dotyczy jednak samej istoty organizacji życia społecznego, którą stanowi podporządkowanie.

Bycie rządzonym nie zmienia swej natury, mimo zmian form porządku, którym podlegają jednostki. Podporządkowanie to akceptacja porządku, bez względu na jego postać. Istota podporządkowania przejawia się w posłuszeństwie, posłuszeństwo zaś w respektowaniu majestatu władzy. W podporządkowaniu nie liczy się sensowność uznawania pewnej formy ładu za obowiązującą, liczy się wyłącznie sam fakt uznania danego porządku, jako czegoś obowiązującego. Posłuszeństwo nie wymaga rozumności, wymaga zaś uległości, uniżoności, usłużności i poddańczości. Taka jest natura podporządkowania. Nie jest ona żadną formą afirmacji jednostkowych walorów, posiadanych przez człowieka. Podporządkowanie nie wymaga bowiem rozwagi, spokoju, odwagi czy pogody ducha, wymaga jedynie respektu dla władzy.

Bez podporządkowania - jak twierdzą obrońcy formalnego ładu - nie jest w ogóle możliwa koegzystencja jednostek. Temu służy tzw. proces socjalizacji - wpajaniu pokory, posłuszeństwa i uniżoności. Nie jest to proces, dzięki któremu człowiek rozkwita jednostkowymi walorami w postaci zalet. Nie jest to ewolucja twórcza, która kształtuje wartościową osobowość. Wręcz przeciwnie - skutkiem wpajania posłuszeństwa jest ukształtowanie człowieka bylejakiego - pozbawionego zalet - bojaźliwego, zahukanego sługi. Posłuszeństwo nie jest żadną zaletą, lecz przeszkodą na drodze do nabycia zalet. Proces socjalizacji nie jest mądrą nauką, tylko rodzajem tresury ideologicznej, czyniącej z jednostki usłużne narzędzie w rękach ludzi, którzy oczekują jedynie pokory i nierozumnego uznania. Czy ludzi, którzy uczą uniżoności można zwać nauczycielami, czy też raczej gnębicielami i prześladowcami?

U podstaw procesu socjalizacji leży kilka powiązanych ze sobą aksjomatów ideologicznych:

1) „Cnota" podporządkowania zawsze jest ważniejsza od wolności.

2) Uznanie nadrzędności władzy jest koniecznym warunkiem współistnienia ludzi.

3) Jednostka jest czynnikiem nieistotnym, istotny jest zbiór jednostek, zwany społeczeństwem.

Powyższe aksjomaty wyrządzają wielką szkodę rozumnej indywidualności.

Aksjomat pierwszy degraduje zaletę jaką jest osobowa niezależność. Piętnowanie niezależności związane jest z wpajaniem zasady, że jednostka zawsze od czegoś zależy, zatem niezależność jest jedynie fikcją. Skutkiem takiej „nauki" jest powstawanie zrepresjonowanej osobowości, przejawiającej się w niewyraźnym charakterze, emanującym bezsilnością. Taka zrepresjonowana jednostka, tkwiąc w poczuciu wszechobecnych zależności, obawia się jakiejkolwiek formy osobowej ekspresji. W ekspresji tej może się bowiem wyrażać niezgoda na „bycie zależnym". Jednostka taka obawia się wyrazić coś, co podważy konieczność tkwienia w zależnościach. I tu paradoksalnie ujawnia się wolność, którą posiada każda jednostka ludzka. Skoro bowiem człowiek obawia się konsekwencji odrzucenia podporządkowania (które przejawia się w rozmaitych zależnościach), to istnieje możliwość bycia niezależnym, a zatem **nie istnieje konieczność podporządkowania się**. Możliwość bycia niezależnym jest zaprzeczeniem konieczności bycia zależnym.

Aksjomat drugi neguje wartość zalety jaką jest rozwaga. Uznanie nadrzędności rodzi służalczość. Służalczość to gotowość do spełniania czyichś oczekiwań, oczekiwania te są zaś zasadą, którą respektuje sługa. Żadne uzasadnienie nie jest mu potrzebne, bowiem każde oczekiwanie jest nakazem, wymagającym jedynie bezwarunkowej aprobaty. Ucząc człowieka służalczości, oducza się go potrzeby szukania uzasadnień. Poszukiwanie uzasadnień jest rozwagą. Jeśli poszukiwanie to uważa się za nieważne, to „naucza się" braku rozwagi. Człowiek respektujący nakazy, traci zdolność rozumnego oceniania swych działań i zaangażowań. Brak uzasadnień jest czymś naturalnym w służalczości. Służalczość godzi się z wszelkimi wymaganiami. „Czy to ważne dlaczego się czegoś wymaga? - ważne, że się wymaga!" - oto mentalność sługi.

Aksjomat trzeci niweczy ludzką indywidualność. Zniweczenie to polega na zahamowaniu procesu samorozwoju jednostki celem dostosowania jej do masowej formy procesu społecznego. W konsekwencji kształtuje się słaba osobowość o mętnym charakterze. Słaba jednostka - indywiduum, któremu nie dane było stać się indywidualnością to efekt osobowej degeneracji. Degeneracja ta przejawia się w braku dążenia jednostki do doskonałości, co powoduje, że nie wykształca ona cech czyniących z niej osobę wartościową. Ów proces samodoskonalenia się stoi w opozycji do potrzeby przestrzegania norm społecznych. Jeśli bowiem jednostka podejmuje heroiczny wysiłek, mający doprowadzić do wytworzenia zalet, to nie myśli o przestrzeganiu norm społecznych, lecz o swych własnych brakach. Nie myśli o wymaganiach społecznych, lecz o deficytach swego ducha. Nie normy społeczne, lecz poznanie swych mankamentów i słabości inicjuje proces doskonalenia się jednostki. Samopoznanie, a nie poznanie treści społecznych oczekiwań jest przyczyną samodoskonalenia się. Człowiek koncentrujący swą uwagę na przestrzeganiu norm społecznych jest typem konformisty. Konformista zajęty jest upodabnianiem się do innych - ofiar społecznej adaptacji - a nie porównywaniem swego realnego, pełnego braków ducha z wyobrażonym (możliwym) Duchem, który braków nie posiada. Człowiek, który myśli jedynie o adaptacji społecznej, zamiast dbać o dobrą formę swego bycia, zajęty jest powielaniem ogólnie przyjętych (moralnych) zachowań. Konformiści, których Ayn Rand zwie powielaczami: „troszczą się jedynie o ludzi. Nie pytają: «czy to prawda?». Pytają: «czy inni uważają to za prawdę?». Nie chcą oceniać, lecz powielać . Nie robić, lecz sprawiać wrażenie, że się robi. Nie interesuje ich tworzenie lecz pokazywanie" (1).

Proces społecznej adaptacji, którego fundamentem są wymienione **aksjomaty socjalizacji,** to źródło zła powodujące zwyrodnienie ludzkiego bycia. Szlachetność Ducha manifestuje się w swobodzie bycia, rozwadze i potrzebie samodoskonalenia się. Swoboda bycia stoi w opozycji do potrzeby uznawania społecznych zależności. Rozwaga neguje służalczość, której wymagają władcy (ci, którzy dysponują władzą). Samodoskonalenie się to rozumne kreowanie własnej indywidualności, które wiąże się z kwestionowaniem wagi społecznych oczekiwań. Podsumowując stwierdzić można, że proces socjalizacji jest czymś, co szkodzi Duchowi, a nie tym, co go uszlachetnia.

Prawdziwy buntownik kwestionuje tkwienie w sieci zależności, służalczość i wyższość bytu społecznego nad indywidualnością. Prawdziwy buntownik to wolny Duch - człowiek, który zrozumiał naturę podporządkowania i świadomie wyrzekł się posłuszeństwa. „Niedzielni" wolnościowcy z subkulturowych nisz nie mają z tak rozumianym buntem nic wspólnego. Ci zdeklarowani „wolnościowcy", zamiast buntować się, zajęci są deklarowaniem buntu. Zamiast buntować się, manifestują jedynie swoje „zbuntowanie". Bunt i obraz buntu nie są tym samym.

Członkowie „wolnościowych" subkultur tworzą obraz buntu, nie będąc w istocie żadnymi buntownikami. Mówiąc językiem Ayn Rand - owi „wolnościowcy" są jedynie *powielaczami*.

Władza nie istnieje bez służby, władczość zaś bez służalczości. Ten, kto ma władzę, pragnie, by mu służono. Władcza jednostka oczekuje służalczości, jeśli zatem człowiek wyrzeknie się służalczości, to zaneguje władczość, jeśli zaś wyrzeknie się służby, to zakwestionuje wyobrażony majestat władzy. Satanistyczne *credo - non serviam!* - wyraża pełną pasji negację wszelkiej służby. Każda służba jest poniżeniem. Każde poniżenie jest porażką indywidualności. Indywidualność musi wystrzegać się poniżenia, gdyż poniżenie jest zaprzeczeniem potrzeby posiadania przez jednostkę zalet. Jednostka pozbawiona zalet staje się jedynie namiastką indywidualności - indywiduum pozbawionym wartości. Takie puste istnienie nie warte jest kontynuacji. Puste istnienie może jedynie zapełnić się walorami, albo odejść w wielką pustkę.

1.2 Wolny Duch a subkultury wolnościowe.

Buntownikiem nie jest ktoś, kto zrezygnowawszy wcześniej z uniżoności wywyższa się, lecz ten, kto wyrzeka się pokory wobec władczości. Nie pokora, a przekora jest istotą buntu.

Subkulturowe środowiska wolnościowe, których praktyka kończy się na deklaracji buntu nie są wartościową inspiracją. Bunt przeciwko porządkowi społecznemu ma długą historię. W historii tej przejawiają się świadectwa znacznie bardziej inspirujące od inicjatyw podejmowanych przez subkultury wolnościowe (2). Punkowcy, squattersi czy weganie, skupiając swą uwagę na czystości doktrynalnej, utkwili w pułapce dogmatycznej ideowości. Wspieranie tzw. sceny niezależnej, tworzenie autonomicznych siedlisk, sprzeciw wobec eksploatacji zwierząt czy walka o równouprawnienie to hasła „wolnościowe", które wyrażają stosunek do konkretnych problemów. W owym - manifestowanym hasłowo - stosunku brakuje jednak świadomości istoty problemu leżącego u podstaw rozmaitych patologii.

Punk

Tworzenie „sceny niezależnej" przez punkowców jest jedynie powierzchownym, ideologicznym postulatem, jeśli nie wynika ze zrozumienia zjawiska komercjalizacji sztuki. Owa komercjalizacja spowodowana jest kryzysem kultury, w której powszechnie uznaje się prymat ekonomii. Prymat ekonomii zaś, to świadectwo uznania wyższości posiadania rzeczy (własności) nad posiadanie osobowych walorów - zalet (3). Jeśli zatem rozumie się istotę problemu, jakim jest kryzys kultury, to nie tyle jest się zwolennikiem wspierania „sceny niezależnej", co praktykiem zwracającym uwagę na kondycję swego bycia. Bynajmniej nie chodzi o to, żeby stać się jednostką przesiąkniętą treściami ideologicznymi, nie o takiej praktyce mowa. Uznanie słuszności poglądów ideologicznych wymaga autoindoktrynacji - czyli uznania pozbawionego rozumnych wątpliwości. W przypadku ideologicznej indoktrynacji rzecz ma się zatem identycznie jak w przypadku służalczości. Poddając umysł indoktrynacji, oducza się człowieka potrzeby szukania uzasadnień. Tak jak w przypadku służalczości, tak i w przypadku wyznawania ideologii, umysł staje się tępym narzędziem będącym zaprzeczeniem rozwagi. Dbanie o kondycję swego bycia wymaga nie ideologii, lecz rozwagi. Dzięki rozwadze człowiek staje się rozumnym panem swego własnego istnienia. Ten, kto potrafi kształtować swój charakter, przyczyniając się do wzrostu pozytywnych cech, jest większym przeciwnikiem komercjalizacji od zwolennika niekomercyjnej sztuki. Człowiek koncentrujący swą uwagę na praktyce duchowej, której przedmiotem jest psychofizyczna jedność, rozumie, że samo bycie ma większe znaczenie od dysponowania majątkiem. Osoba taka rozumie także, iż dystans do posiadania wiąże się z negacją zjawiska komercjalizacji, a w konsekwencji z odrzuceniem prymatu ekonomii, który powoduje kryzys kultury. Jeśli zaś uznaje się potrzebę wspierania sceny niezależnej, a nie dostrzega się problemu w prymacie ekonomii, to bunt jest jedynie symboliczny (4).

Squattersi

Ludzie, próbujący tworzyć otwartą przestrzeń, stają się ofiarami zamknięcia, jeśli nie dostrzegą pułapki ograniczonej przestrzeni, w której działają. Koncentrując swą uwagę na działaniu w zamkniętej przestrzeni, łatwo uwięzić buntownicze dążenia i stać się wyznawcą jakiejś formy terytorializmu (5). Z pewnością posiadanie „wolnego domu" jest czymś wartym uwagi. Jeśli jednak wiąże się to z akceptowaniem represyjnych warunków funkcjonowania, to obciążone jest zgodą na istnienie formalnego porządku - przyczyny represji (6).

Nie jest to żadna forma dezaprobaty praktyk squaterskich, lecz przestroga przed mentalną klatką, więżącą wolnego Ducha. Celem niniejszych analiz jest określenie rodzaju świadomości, jaką trzeba posiadać, żeby być człowiekiem, który przyczynia się do tworzenia otwartej przestrzeni. To analizy egzystencjalne, zawierające opis warunków jakie trzeba spełniać, żeby być twórcą świata „bez granic".

Myśląc o „wolnym domu", czyli mieszkaniu istniejącym poza strefą kontroli, nie można zapominać o tym, że siłą rzeczy popada się w konflikt z siłą próbującą kontrolować wszelkie ludzkie aktywności - z władzą nie uznającą samowoli ani potrzeby samowystarczalności. Jeśli ludzie samowolnie dążą do autonomii w sferze mieszkaniowej, a nie dostrzegają konfliktu samowystarczalności z presją instytucjonalnej kontroli, to są krótkowzroczni. Prawdziwa autonomia ma miejsce wtedy, gdy istnieje poza kontrolą. Zatem nie tyle tworzenie niezależnych enklaw jest świadectwem wolności, co właśnie bycie poza kontrolą (7).

W prawdziwej autonomii nie chodzi o to, by mieć „własny kąt" kosztem respektowania praw i obyczajów bądź płacenia podatków czy rachunków. W prawdziwej autonomii wolny Duch przyczynia się do stworzenia miejsca, w którym takie koszty nie istnieją. Bynajmniej nie wynika stąd, że wolny Duch jest idealistą, który ignoruje istnienie presji prawnej, moralnej czy ekonomicznej. Rzecz nie w tym, żeby naiwnie uważać, że żadne koszty nie istnieją, lecz by owych kosztów unikać. Człowiek, który twierdzi, że squatters jest zobowiązany do czegoś umową prawną jest w istocie stróżem paragrafowego ładu, a nie wolnym Duchem. Traktowanie reprezentantów porządku społecznego jak partnerów, z którymi można prowadzić racjonalny dialog jest błędem. To świadectwo naiwności, którego ofiarą padli Indianie podpisując umowy, takie jak traktat z *Traverse de Sioux*, traktat z *Fortu Laramie* i wiele innych (8) - z których każdy kolejny przyczyniał się do ograniczenia posiadanej przez nich autonomii. Człowiek szukający prawdziwej autonomii powinien wiedzieć, że każdy wysłannik czy obrońca paragrafowego porządku jest jego **wrogiem**. Jeśli bowiem ktoś myśli o nieformalnej autonomii, to **z konieczności** popada w konflikt z formalnym - prawnym ładem. Oczywiście wolny Duch, jakim jest buntownik, może prowadzić negocjacje ze swymi wrogami, czasem nawet musi, jeśli jednak ma pozostać wolnym Duchem, to nie może zapomnieć o tym, że ci z którymi negocjuje, są jego wrogami. Wolny Duch wszelkie formalne umowy będzie traktować jako niezobowiązujące, będzie przestrzegał ich jedynie pozornie - po to, aby nie narażać się na sankcje. Wolnemu Duchowi zdecydowanie bliżej do przestępczej samowoli niż do „przyzwoitości" praworządnego obywatela, skrupulatnie unikającego ekscentrycznych zachowań. Buntowniczemu „czarnemu charakterowi" bliżej do bimbrownika - szmuglera z okresu prohibicji bądź gangstera-kryminalisty, który świadom jest tego, iż zbrodnia (*crimen*) to jedynie konwencjonalna norma służąca prawnej kwalifikacji.

Warto pamiętać o tym, że istnieje różnica między złem a formalną (konwencjonalną) normą, w której zło próbuje się utożsamiać z tzw. czynem kryminalnym, czyli bezprawnym. Czy brak uprawnień świadczy o tym, iż nie powinno się czegoś robić? Czy człowiek podejmujący określone działanie popełnia błąd, gdy nie zna się na rzeczy, czy wtedy, gdy uprawnień nie posiada? Można znać się na czymś i nie mieć uprawnień, można też mieć uprawnienia i się nie znać, zatem są to różne rzeczy. Co jest wartościowsze - wiedza czy uprawnienia? To chyba nie ulega wątpliwości. Zło powoduje nie człowiek, któremu brak uprawnień, lecz ten, któremu brak wiedzy - ignorant. W świetle prawa jest zaś na odwrót - za złego (przestępcę) uważa się tego, któremu brak uprawnień do działania. Jeśli formalna ocena, sankcjonująca posiadanie uprawnień, jest błędna, to bez wahania można ją zignorować i nie obawiać się, że postępowanie takie jest niewłaściwe. Formalna ocena nadaje się wyłącznie do tego, by być obiektem ironicznych komentarzy i złośliwych kpin, a nie do tego, by być adekwatną miarą ludzkiej aktywności.

Dlatego też buntownik nie będzie liczył się z formalnymi ocenami w postaci urzędowych monitów, rozporządzeń czy poleceń. Buntownik będzie unikał konsekwencji, które sługy paragrafowego ładu nazywają „odpowiedzialnością karną" - będzie oszukiwał, lawirował i niszczył dowody swych nielegalnych praktyk. To właśnie oznacza bycie poza kontrolą. Jeżeli nie można uniknąć skontrolowania bezpośrednio, to można uniknąć go pośrednio, tworząc przewrotną i zakłamaną iluzję podporządkowania. Praktyki tego typu stawiają człowieka poza prawem. Dlatego też źródłem inspiracji buntownika będzie nieformalnie zorganizowany świat przestępczy.

Weganie

Jeśli idzie o subkulturowe środowisko wegan wyrażających sprzeciw wobec eksploatacji zwierząt, to zawężając horyzont krytyki do kwestii diety redukują problem do jednego z jego aspektów. Bynajmniej, nie idzie mi tu o krytykę weganizmu jako takiego, lecz o krytykę postawy utożsamiającej sprzeciw wobec eksploatacji zwierząt z przestrzeganiem diety wegańskiej. Owszem, weganizm może być świadectwem wrażliwości wobec części przyrody, jaką stanowią formy

zwierzęce (9). Sednem problemu nie jest jednak posiadanie tego typu wrażliwości, lecz dostrzeżenie prawdziwej przyczyny powodującej eksploatację całej przyrody (w tym także zwierząt), która w konsekwencji doprowadza świat do zatracenia.

Przemysł zajmujący się przetwórstwem białka pochodzenia zwierzęcego jest jednym z przejawów całego wachlarza działań, które przyczyniają się do eksploatacji zwierząt. Propagowanie diety wegańskiej nie jest *remedium* na problemy zwierząt, tak jak nie jest nim eliminacja wszelkich form drapieżnych z ekosystemu. Za eksploatację zwierząt (i ogólnie całej przyrody) odpowiedzialny jest ekspansywny charakter ludzkiej cywilizacji. Charakter ten, cywilizacja zawdzięcza prymatowi ekonomii, wyrażającemu postawę zorientowaną na „posiadanie". Problemem zatem jest myślenie o przyrodzie w kategoriach utylitarnych, czyli myślenie o przyrodzie jak o złożach surowców do wydobycia, puli materiałów potrzebnych w procesie produkcji czy terenów do zagospodarowania. Taki sposób postrzegania przyrody jest zaś zakorzeniony w wielowiekowej tradycji leżącej u podstaw współczesnej cywilizacji. Potwierdza to jeden z konserwatywnych publicystów stwierdzając: „Tradycyjnie chrześcijańskie i europejskie rozumienie własności ziemi opierało się nie tylko na tym, kto dany teren pierwszy odkrył, ale jej źródło widziało też w fakcie czynienia sobie danych gruntów «poddanymi»" (10). Oto istota problemu - mentalność ukształtowana przez religijną wizję uczącą oceniania i postrzegania przez pryzmat posiadania. „Czyńcie sobie ziemię poddaną" - to biblijna zasada, będąca moralnym fundamentem postawy, która jest przyczyną eksploatacji przyrody. Skutkiem takiego przekonania musi być instrumentalny stosunek do przyrody, traktujący wszystko to, co otacza człowieka, jak zbiór przedmiotów podporządkowanych ludzkim celom. Ludzie mający takie przekonanie nie czują się gośćmi w świecie, lecz panami, do których świat należy. Tacy ludzie nie mogą pojąć, że tylko pewna forma świata jest od nich zależna, oni sami zaś są zależni od każdej formy, którą świat przejawia. Antropocentryzm, o którym mowa, nie jest niczym innym jak megalomanią - obsesyjnym wyolbrzymianiem potencjału, którym człowiek teoretycznie może dysponować. Praktycznie jednak, twórczy umysł, z którego ludzie tak często są dumni, nie służy niczemu więcej niż prozaicznemu zaangażowaniu w kontynuowanie istnienia. Trudno zatem mówić o wyjątkowości i wielkości człowieka, skoro skupiając swą uwagę na przeżyciu, nie różni się w tym od innych form biologicznych.

Nieograniczonej ekspansywności i inwazyjnemu sposobowi bycia przeciwstawia się postawa, którą cechuje umiar. Człowiek umiarkowany nie tyle odmawia sobie posiadania „dóbr", co uczy się rezygnowania z tego, co pozornie potrzebne. Ten, kto jest umiarkowany rozróżnia między „dobrem" a nadmiarem, który jest zbytkiem, czyli czymś bez czego można się obyć. Człowiek umiarkowany, szacując wartość potencjału dóbr, z których można skorzystać - jest rozważny, co przekłada się na to, że nie doprowadza do sytuacji, w której tworzy autodestrukcyjne zależności. Człowiek, o którym mowa, nie doprowadza do sytuacji, w której jego sposób funkcjonowania zależy od systematycznie kurczących się zasobów. Świadomość tego, iż funkcjonuje się w oparciu o zanikający potencjał doprowadza rozważnego człowieka do zmiany sposobu funkcjonowania. Potrzeba posiadania tzw. dóbr współcześnie przyjęła formę obsesji. O ile niegdyś potrafiono gospodarować z umiarem, o tyle współczesny, agresywny ekonomizm nastawiony jest na niekończące się zwiększanie stanu posiadania.

Obserwując sposób funkcjonowania całych społeczeństw, dochodzi się do wniosku, że umiar stracił rację bytu. Człowiek umiarkowany aktualnie kojarzy się raczej z biedakiem, aniżeli z człowiekiem rozważnym. Inwazyjny sposób bycia manifestowany w niekończącej się ekspansji stanu posiadania - oto współczesny ideał gospodarności. Prymat ekonomii przejawiający się w patologii bycia, jaką jest obsesja na punkcie posiadania, powoduje stopniową i permanentną degenerację całej ludzkiej społeczności. Ludzie, zamiast myśleć o walorach swego bycia, myślą wciąż o substytucie tych walorów, jakim jest posiadanie. Kapitalnie na ten temat pisze w swoich pracach Erich Fromm: *Ucieczka od wolności* oraz *Mieć, czy być?*

Wolny Duch - buntownik - nie będzie zajęty propagowaniem diety wegańskiej, tylko będąc wrogiem cywilizacji, będzie dążył do jej upadku. Samo propagowanie, będąc formą indoktrynacji ideologicznej, nie jest formą oświeconej edukacji, lecz jej zaprzeczeniem. Wolny Duch nie będzie uprawiał żadnej propagandy ani indoktrynacji, lecz będzie starał się ukształtować wrażliwość, która wyrasta ze zrozumienia świata i sytuacji, w jakiej znajduje się ludzkie bycie. Wolny Duch będzie gardził zarówno propagandą samą, jak i tymi, którzy ją uprawiają. Praktyki indoktrynacyjne, narzucające określony światopogląd, nie różnią się istotnie od autorytarnych praktyk, stosowanych przez sądy inkwizycyjne. Źródłem eksploatacji zwierząt nie jest jedynie fakt przetwórstwa białka pochodzenia zwierzęcego, lecz sposób funkcjonowania całej cywilizacji. Cywilizacja *in toto*, będąc sumą rozlicznych patologii, jest wynaturzoną strukturą, narzucającą destruktywny sposób bycia. Zniszczyć to, co niszczy naturalny fundament bycia i osłabia ludzkiego ducha - oto wyzwanie dla buntownika.

Cywilizacja gnije, barbarzyństwo nie osiągnęło jeszcze dostatecznej siły (...) Niech moi przyjaciele budują - ja pragnę zniszczenia, ponieważ jestem przekonany, iż budować w martwocie ze zgniłych materiałów jest syzyfową pracą i że tylko z wielkiego zniszczenia mogą powstać nowe materiały, a z nich nowe organizmy (11).

1.3 Cywilizacja jako wynaturzenie.

Cywilizacja to pewien sposób funkcjonowania całej ludzkiej społeczności. Ów sposób funkcjonowania uwarunkowany jest przez zasady, które nadają ludzkim zachowaniom określoną formę. Błędny jest pogląd utożsamiający cywilizację z tzw. „dorobkiem materialnym", bowiem nie tyle posiadanie określonych narzędzi i artefaktów jest świadectwem sposobu funkcjonowania, co metody ich wytwarzania i użytkowania (10). Metody te wtórne są wobec mentalnych i moralnych czynników, manifestujących się w określonej postawie. Ową postawę - orientację człowieka cywilizacji określają poniższe zasady:

1) Aksjomaty socjalizacji (Dogmaty wspólnoty wyznawców).

Wykorzystywane do kształtowania osobowości, paradoksalnie skutkują zanikiem walorów jednostki, w konsekwencji wykształcając zrepresjonowaną osobowość, czyli sposób bycia pełen zahamowań i lęków. Brak swobody bycia, wiążącej się z radością doświadczania i przejawiania otwartej postawy wobec świata, powoduje pogłębianie się lęków i staje się genezą zachowań agresywnych. Jednocześnie zasady leżące u podstaw procesów socjalizacyjnych mają charakter dogmatyczny, co powoduje, iż uznanie ich ważności nie wymaga racjonalnego uznania, lecz irracjonalnej aprobaty. Społeczeństwo ufundowane na takich zasadach jest wspólnotą wyznawców, którzy, oczekując wiary w słuszność standardów moralnych, przyczyniają się zarazem do upadku rozumności. Brak rozumności jest zaś główną przyczyną powstania społeczeństwa zniewolonego.

2) Kodyfikowanie bądź sankcjonowanie zachowań za pomocą norm prawnych i moralnych (Krzewienie dozwolonych rytuałów).

Prowadzi do sformalizowania wszelkich inicjatyw, co skutkuje zanikiem autentycznego zaangażowania. Obowiązek angażowania się zastępuje poczucie sensu obecne w niewymuszonym i świadomym uczestnictwie. Następstwem tego jest schematyzm oceniania i zanik refleksyjności. Zmanierowanie, które jest skutkiem sankcjonowania wszelkich zachowań, prowadzi do braku spontaniczności, ów brak zaś do wewnętrznego zniewolenia (przymusu wewnętrznego), a w konsekwencji anihilacji twórczego potencjału Ducha.

3) Prymat ekonomii (Teologia monetarna).

Powoduje komercjalizację wszelkich dziedzin ludzkiej aktywności. W konsekwencji prowadzi do patologii bycia, która manifestuje się w uznaniu wyższości posiadania rzeczy nad posiadaniem wysublimowanej (ew. wyrafinowanej) formy Ducha. Uniwersalizm ekonomiczny, w jakim manifestuje się prymat ekonomii, skutkuje sakralizacją wartości ekonomicznych, w związku z czym niektórzy całkiem trafnie używają określenia „teologia monetarna". Określenie to jest o tyle zasadne, że można zaobserwować wyrazistą analogię między panteistyczną teorią boga, wedle której wszystko jest bogiem, a koncepcją funkcjonowania, wedle której wszystko (każdy przedmiot bądź działanie) ma swoją cenę.

4) Ekspansywność i inwazyjność bycia (Ewangelizacyjna misja kolonizacji świata).

Prowadzi do eksploatacji przyrody, zaniku biosfery, a w konsekwencji do zagłady gatunków (ekstynkcji) i biologicznego holocaustu, będącego unicestwieniem całej biosfery.

Innym mankamentem związanym z ekspansywnością i inwazyjnością jest konfliktowa (związana z rywalizacją) forma funkcjonowania. Konfliktowość, będąca przeciwieństwem harmoniczności, przejawia się zarówno w kolizji form cywilizacyjnych z naturalnymi jak i w antagonizmach wewnątrzcywilizacyjnych. W sferze indywidualnej, utożsamienie ekspansji z potrzebą rozwoju skutkuje brakiem samokrytycyzmu. Samokrytycyzm, przejawiający się w zajmowaniu krytycznego stanowiska wobec swych (podmiotowych) dążeń, kwestionuje zarazem antropocentryzm i egocentryzm, czyli postawy będące podstawą ekspansywności. Z perspektywy samokrytycyzmu nie jest ważne poszerzanie strefy wpływów, lecz poszerzanie granic świadomości. I odwrotnie - postawa ekspansywna, koncentrując się na poszerzaniu strefy wpływów, wiąże się z ignorowaniem praktyki poszerzania granic świadomości. Procesy cywilizacyjne są świadectwem istnienia formy, którą trudno nazwać

inaczej niż patologią funkcjonowania. Negacja owej patologii jest z konieczności negacją cywilizacji jako takiej.

W negatywnych procesach cywilizacyjnych wykorzystywana jest technologia, jednak nie sama technologia jest źródłem zła, lecz sposób jej użytkowania. Nie jest to myśl nowa, lecz znana już od czasów antycznych. Już Platon bowiem twierdził, iż zło nie jest cechą przedmiotów, lecz sposobem korzystania z nich. Zły nie jest komputer, lecz posługiwanie się nim w celu uprawiania indoktrynacji, która ogranicza umysł. Zła nie jest kamera, lecz wykorzystanie jej w celu inwigilacji odbierającej swobodę bycia. Zły nie jest samochód, lecz korzystanie z niego w celu przewożenia ludzi na egzekucję, etc.

Technologia w rękach ludzi pragnących „czynić sobie ziemię poddaną" jest złem, zła nie jest sama technologia, lecz intencja używania jej jako narzędzia podboju. Identycznie przedstawia się sprawa w przypadku terenów zurbanizowanych. Nie chodzi o to, by skupiska miejskie w ogóle nie istniały, lecz o to, aby nie powstawały kosztem przekształcania planety w ziemię jałową. Tezę powyższą znaleźć można w wywodach Murraya Bookchin'a na temat ekologii społecznej. Rozwiązanie, które Bookchin proponuje, jest o tyle ciekawe, że nie zmierza w kierunku prymitywizmu, nawołującego do porzucenia wszelkich zaawansowanych technologicznie wytworów, lecz koncentruje się na ich harmonicznym współistnieniu ze światem natury. Mimo, że Bookchin był przeciwnikiem intensywnej urbanizacji, to nie negował istnienia miast jako takich. W wypracowaniu organicznej unifikacji świata ludzkich wytworów za światem natury widział cel ludzkiej aktywności.

Z kolei, jeśli chodzi o teorie naukowe czy dorobek artystyczny (tzw. wytwory kulturowe), to nie tyle są one świadectwem procesów cywilizacyjnych, co raczej oznaką walki z nimi. Każda próba wykroczenia poza unormowany, uporządkowany świat jest formą konfrontacji z usankcjonowanym - prawnym ładem. Postęp myśli związany jest z przekraczaniem obowiązujących granic, istnienie porządku społecznego wiąże się zaś z respektowaniem tego, co obowiązuje. Myśliciele i duchowi poszukiwacze przekraczają przyjęte ramy funkcjonowania, zaś wysłannicy paragrafowego ładu próbują zapobiec ich przekraczaniu. Kontestacja obyczajów, negacja prawa, rozumna krytyka uznanych teorii naukowych czy ekstrawagancja manifestowana w swobodzie artystycznej - każda z tych aktywności stawia człowieka w opozycji do istniejącego porządku.

Racjonalny amoralizm, polegający na odrzuceniu wszelkich przykazań na rzecz zaangażowanego zrozumienia, w pełni wyraża swobodę bycia. W mniejszym stopniu swobodę tę wyraża naukowa dociekliwość czy artystyczna kreatywność. Badacz może być dogmatyczny, ignorując fakty niezgodne z teorią, której słuszność uznaje. Doprowadzić to może do sytuacji, w której dopasowuje fakty do teorii, zamiast uzgadniać teorię z faktami. Taki nierzetelny badacz ogranicza swobodę działania, utrudniając odkrycie prawdy. Taki człowiek, nie dość, iż zaciemnia to, co miał wyjaśnić, to dodatkowo staje się przeciwnikiem wolności, podważając sens naukowych poszukiwań. Wyśmiewając tych, którzy szukają prawdy, odrzuca krytykę uznanej przez siebie teorii, a przeczące jej argumenty nazywa wymysłami. Artysta z kolei może ograniczać artystyczną swobodę w imię ideologicznego interesu. Estetyka w takim ujęciu służy indoktrynacji. Zamiast skłaniać do refleksji, narzuca postawę poglądową, zamiast ukazywać dramatyzm dylematu, próbuje zaszczepić zobowiązanie, zamiast poszerzać horyzonty myślowe, przeprowadza rodzaj musztry zawężającej rozumienie. Pseudoartyści, o których mowa, przyczyniają się do zaniku wolności, stępiając świadomość alternatyw. Naukowcy i artyści mogą dawać świadectwa wolności bądź jej przeciwieństwa, w zależności od tego, jaki jest ich stosunek do dziedziny, którą się zajmują. Mogą być poszukiwaczami bądź stróżami. Ci pierwsi są buntownikami, drudzy zaś, mimo, że bywają innowacyjni, to kwestionują te rodzaje innowacyjności, które podważają fundamenty uznanego ładu.

Istnieją różne formy buntu i różne sposoby jego wyrażania. Istnieją także buntownicze doktryny, których wyznawcy teoretycznie skonfliktowani są z powszechnie uznanym porządkiem społecznym. Bunt wyznawców jest jednak pozorny. Taki (wyznaniowy) sposób angażowania się jest o tyle kiepski, iż buntownik nie wie przeciwko czemu się buntuje. Mimo, że potrafi wskazać to, wobec czego czuje wrogość, to nie potrafi dostatecznie wyjaśnić „kim" jest wróg. Taki bunt jest irracjonalny, przekonanie do niego ma zaś charakter ideologiczny. Zaangażowanie tego typu zawsze będzie skazane na porażkę. Motywacje ideologiczne są czym innym od zrozumienia istoty problemu. Tylko zrozumienie gwarantuje całościowe - rozumiejące zaangażowanie. Gdy człowiek nie pojmuje sensu swego zaangażowania, to nie jest w stanie angażować się w całości. Co prawda, można być wiernym wyznawcą jakiejś idei, bycie wyznawcą powoduje jednak zaślepienie. Taki człowiek przestaje zważać na błędy, które popełnia. Wszelkie konsekwencje swoich działań usprawiedliwia zaś interesem ideologicznym. Dlaczego? - dla idei! Co ciebie skłania do tego, by uznać tą ideę za prawdziwą? - wiara... Wiara zaś wiąże się z wyznaniem, które nie poszukuje odpowiedzi, lecz naiwnego, gorącego serca. Porażką zaangażowania ideologicznego jest ukształtowanie zaślepionej i bezkrytycznej osobowości. Tak rodzi się patologia bycia, przeciwstawna szlachetności Ducha. Pozorny buntownik nie jest bojownikiem o wolność, lecz (będąc zaślepionym wyznawcą) przeciwnikiem wolności. Dając świadectwo braku rozumności, jest przykładem zniewolonej jednostki. Trzeba zaś pamiętać, iż bezrozumna wolność to żadna wolność.

W kontekście powyższych analiz, nie może dziwić porażka marksistów, którzy równość społeczną traktują jak jeden z najważniejszych postulatów ideologicznych. W praktyce jednak brak zrozumienia natury równości, jak i jej przeciwieństwa - nierówności, przekształca się w prymitywną praktykę prześladowania wszystkich przeciwników równości (kimkolwiek by oni nie byli). Sama równość zaś pozostaje jedynie w sferze idei, faktycznie ustępując hierarchii członków, mniej lub bardziej zasłużonych wcielaniu idei równości w życie. Tym sposobem rewolucjoniści, nienawidzący arystokracji, po rozprawieniu się z arystokratami sami zajmują ich miejsce, ciesząc się tymi samymi przywilejami. Tak oto ***rewolucja pożera własne dzieci*** (11). Tego typu hipokryzja jest efektem dbania o czystość ideologiczną, której niezmiennie towarzyszyć będzie brud praktyki.

W historii ludzkiej cywilizacji wiele jest świadectw buntu wartych uwagi. Szczególnie pouczające są te, które powstały w skrajnie niesprzyjających okolicznościach ścisłego, feudalnego ładu. W odróżnieniu od subkultur wolnościowych i wyznawców buntowniczych doktryn, istniały formy buntu, łączące zrozumienie problemu wolności z określonym sposobem praktykowania. Na uwagę zasługują co najmniej cztery niżej wymienione fenomeny funkcjonowania:

1) „Świat przeklęty" ludzi marginesu średniowiecznych miast,

2) Klany *ninja* w okresie poprzedzającym powstanie Szogunatu Tokugawa,

3) Szkoły filozoficzne w Grecji z czasów imperium Aleksandra Macedońskiego,

4) Wojownicze zakony buddyjskie w epoce „rozkwitu" cesarstwa chińskiego.

Frater Sathaniell Zakalwe

Przypisy:

(1) Ayn Rand, *Źródło*, przeł. I. Michałowska-Gabrych, Poznań 2007. s.703
Koncepcja człowieka Ayn Rand, podkreślająca wielką rolę rozumnej indywidualności jest warta uwagi, jednak pogląd ten jest nieuzgadnialny z naiwnym przekonaniem Rand o sprawiedliwych werdyktach tzw. gospodarki wolnorynkowej. Jeśli bowiem tendencje rynkowe wyrażają statystykę ludzkich upodobań, to są jako zjawisko statystyczne (czyli uśredniające) zaprzeczeniem indywidualizmu, który postuluje bycie jednostki ponad statystyką. Jeśli zatem za sprawiedliwą uważa się tzw. gospodarkę wolnorynkową, to trzeba uważać za sprawiedliwy stan podporządkowania indywidualności statystyce ludzkich zachowań. Trzeba więc wybrać: albo jest się stronnikiem indywidualizmu, albo statystyki, która jest zaprzeczeniem indywidualizmu;

(2) O czym będzie mowa w kontynuacji niniejszego tekstu - *Renesans buntu* (*część 2 pozytywna): inspiracje buntownika*;

(3) Doskonale o problematyczności „posiadania" pisze E. Fromm w książce *Mieć czy być?*;

(4) O symbolicznym buncie pisałem w tekście: *O pozornej walce i utracie pierwotnej determinacji*, w: Inny Świat nr 2(44)/2015;

(5) Buntownik uciekający przed zamkniętą przestrzenią, ograniczoną formułami przepisów, może popełnić błąd polegający na tym, że padnie ofiarą tego, przed czym ucieka. Tworząc enklawę wolności, tworzy zamkniętą przestrzeń. W konsekwencji powstaje hermetyczne środowisko, które cechuje nieufność bądź nawet wrogość wobec obcych;

(6) Por.: „Skłoty to struktury-projekty, które (...) mogą stanowić cenne powstańcze narzędzie. Kiedy natomiast ich istnienie staje się celem samym w sobie, przemieniają się w laboratoria alienacji i alternatywnej subkultury, spychając «środowisko» na mieliznę. Skłoty to rebelianckie bazy operacyjne, a nie miejsca schronienia dla «studentów» i «robotników»". *Anarchista Spiros Mandylas o aresztowaniu, skłotach i „środowisku"* [w:] http://grecjawogniu.info/?p=17432;

(7) Buntownik uciekający przed zamkniętą przestrzenią, ograniczoną formułami przepisów, może popełnić błąd polegający na tym, że padnie ofiarą tego, przed czym ucieka. Tworząc enklawę wolności, tworzy zamkniętą przestrzeń. W konsekwencji powstaje hermetyczne środowisko, które cechuje nieufność bądź nawet wrogość wobec obcych;

(8) Por. Krystyna i Alfred Szklarscy, *Złoto Gór Czarnych - Ostatnia walka Dakotów (t.III)*, Katowice 1979;

(9) Może lecz nie musi. Jeśli bowiem weganinem jest człowiek, który pod wpływem indoktrynacji stał się tym kim jest, to nie jest człowiekiem wrażliwym, lecz przekonanym - zindoktrynowanym, czyli dążącym do czystości ideologicznej. Czystość ideologiczna nie jest równoważna z posiadaniem wrażliwości!;

(10) http://www.fronda.pl/blogi/miroslaw-salwowski/czy-w-ameryce-polnocnej-doszlo-do-ludobojstwa-indian,41071.html;

(11) Michaił Bakunin, cytat za: Hanna Temkinowa, *Bakunin i antynomie wolności*, Warszawa 1968;

(12) W podobnym charakterze o cywilizacji wypowiadał się F. Koneczny, twierdząc, że „cywilizacja jest to «metoda ustroju życia zbiorowego». Jako taka nie jest związana z poziomem rozwoju, ale z zasadami określającymi całokształt współżycia społecznego";

(13) Powiedzenie przypisywane Danton'owi.



Coraz trudniej jest odróżnić - z jednej strony - bycie starym, chorym i zniszczonym życiem od - z drugiej strony - życia w takim czasie i takim miejscu które same w sobie jest sędziwe, umęczone i przegrane. Czasami wydaje mi się, iż to tylko moje wrażenie, potem jednak okazuje się, że niektórzy młodsi i zdrowsi ode mnie ludzie doświadczają podobnych stanów nudy, beznadziei i bezsilnego gniewu. Może nie tylko ja tak mam.

Mój znajomy przypisuje ten zwrot w stronę odczuwania zawodu „wszystkim", łącznie ze staroświeckimi postawami radykalnymi/ aktywistycznymi, doświadczeniem rozczarowania obecnym systemem politycznym w Stanach Zjednoczonych. Oczekiwano bowiem od niego jakiegoś odwrotu od obskurantyzmu biorącego swój początek w latach osiemdziesiątych, czy może nawet „postępu" w stronę jakiejś formy demokratycznego socjalizmu. Mimo, iż sam nie podzielam tego optymizmu (zawsze zakładam, że ktokolwiek chętny na zostanie Prezydentem Stanów Zjednoczonych musi być psychopatycznym mordercą), dostrzegam, iż „młodzi" doświadczyli poważnego rozczarowania zupełną porażką liberalizmu wobec nacierającej fali kapitalistycznego triumfalizmu.

Rozczarowanie to dało początek ruchowi *OCCUPY*, zaś porażka ruchu *OCCUPY* doprowadziła do zwrotu w stronę czystej negacji. Uważam wszakże, że ta polityczna analiza „nowego niczego" może być zbyt dwuwymiarowa żeby trafnie opisać to, jak cała nadzieja na „zmianę" zginęła pod kapitalizmem kognitywnym i technopatokracją (1). Mimo, iż został mi sentyment do hipisowskiego *flower-power*, również odczuwam ten stan „terminalny" (jak ujął to Nietzsche) i tylko połowicznie żartuję gdy wyrażam go mówiąc, że nareszcie dotarliśmy do Przyszłości a straszna prawda o Końcu Świata jest taka, iż on się nie kończy. Innymi słowy, mamy do czynienia z jednym wielkim centrum handlowym w stylu J. G. Ballarda i Philipa K. Dicka - od teraz do wieczności. Taka JEST przyszłość - jak wam się podoba? Życie w ruinach, nie takie złe dla burżuazji, lojalnych sługusów Jednego Procenta. Klimatyzowane ruiny! Nie ma Ragnaroku, nie ma Porwania Kościoła (2), nie ma dramatycznego domknięcia; jedynie niekończące się powtórki *reality show* o policjantach. Rok 2012 przyszedł i poszedł a my wciąż jesteśmy zadłużeni w jakimś bezimiennym banku, przykuci do naszych ekranów.

Większość ludzi - żeby w ogóle żyć - potrzebuje żyć w cieniu „iluzji" (że znów zacytuję Nietzschego) głoszącej, iż świat toczy się do przodu tak, jak zwykle - niektóre dni bywają dobre, inne zaś złe; w gruncie rzeczy nie różni się jednak od świata 10 000 p.n.e. czy 1492 n.e. albo kolejnego roku. Niektórzy potrzebują nawet wiary w Postęp, przekonania, że Przyszłość rozwiąże wszystkie nasze problemy. Co więcej, iż nasze życie jest o wiele lepsze niż życie w (powiedzmy) V w. n.e. Żyjemy dłużej dzięki osiągnięciom współczesnej nauki - nasze dodatkowe lata spędzamy rzecz jasna w dużej mierze jako obiekt zainteresowania medycyny, schorowani i znużeni, podtrzymywani przy życiu przez Maszyny i Pigułki, nakręcając ogromne zyski kilku megakorporacjom i ubezpieczalniom. Naród Struldbrugów (3).

Co prawda toniemy w bagnie powstałym pod rządami chorych maszyn Numisfery (4) Pieniądza. Istnieje obecnie dziesięciokrotnie więcej pieniędzy niż potrzeba do kupienia całego świata, wciąż jednak znikają gatunki, kończy się przestrzeń, topnieją czapy lodowe, woda i powietrze stają się toksyczne, podobnie jak kultura, otacza nas faszyzm hałasu (5), krajobraz składany jest w ofierze szczelinowaniu i megamarketom. Nauka uleczy jednak wszystkie bolączki które stworzyła, w Przyszłości (w dłuższej perspektywie, gdy wszyscy umrzemy, jak ujął to Lord Keynes); w międzyczasie będziemy więc konsumować świat i wysrywać go jako odpady - ponieważ tak jest wygodnie, wydajnie i zyskownie, jak również przyjemnie.

Cóż, powiecie, to wszystko zbieranina lewicowo-liberalnych utartych fraz, prawda? Słyszeliście to już milion razy. Ziew. Jakaż nuda, jakaż dziecinada, jakaż daremność. Nawet gdyby to była prawda... co możemy zrobić? Jeśli nasi Namaszczeni Przywódcy nie są w stanie, lub nie chcą, temu zaradzić - kto tego dokona? Bóg? Szatan? „Naród"?

Wszystkie popularne sposoby na „wyjście" z „kryzysu" - począwszy od elektronicznej demokracji i siłowej rewolucji, przez żywienie się wyłącznie produktami lokalnymi (6) i solarne wihajstry, po regulację rynku finansowego i Strajk Generalny - jakie nie byłyby niedorzeczne i wysublimowane, opierają się na jednej podstawowej radykalnej zmianie - gwałtownym przesunięciu w ludzkiej świadomości. Bez zmiany tego rodzaju wszystkie reformistyczne nadzieje są płonne. Jeśliby do takiej zmiany jakimś cudem doszło, żadne „reformy" nie byłyby już potrzebne. Świat by się po prostu zmienił. Ocalałyby wieloryby, nie byłoby wojen. I tak dalej.

Jakaż siła mogłaby (choćby teoretycznie) przyczynić się do tego rodzaju zmiany? Religia? Zinstytucjonalizowane religie istnieją już 6000 lat i sprawy mają się jedynie gorzej. Dodanie psychodelików do wodociągów? Kalendarz Majów? Nostalgia? Terror?

Jeśli katastrofa jest nieunikniona, być może ziści się scenariusz głoszony przez „surwiwalowców" i na zgliszczach powstanie zielona utopia, dzieło pozostałych przy życiu kilku milionów śmiałków. Czy jednak kapitalizm nie wynajdzie sposobu na czerpanie zysku z Końca Świata? Niektórzy mogli zauważyć, że już tak się dzieje. Prawdziwa katastrofa może stać się ostateczną apoteozą fetyszyzmu towarowego (7).

Załóżmy na potrzeby wywodu, iż ta idylla elektronarzędzi i alarmów cofania jest wszystkim, co mamy i co będziemy mieć. Kapitalizm poradzi sobie z globalnym ociepleniem poprzez sprzedaż rękawków do pływania i polis ubezpieczeniowych. Powiedzmy, że już po wszystkim, ale wciąż mamy telewizję i *twittera*. Koniec Dzieciństwa (8), tj., dziecko staje się ostatecznym konsumentem, łaknącym marki. Terroryzm albo Mango 24 (9) - wybór należy do Ciebie (w demokracji możesz wybierać).

Od momentu gdy w 1989 roku skończył się ruch socjalistyczny (będący ostatnim tchnieniem ohydnego „krótkiego wieku XX" (10)), jedyną widoczną „alternatywą" dla kapitalistycznego neoliberalnego totalitaryzmu wydaje się być religijny neofaszyzm. Rozumiem dlaczego ktoś mógłby chcieć zostać bigoteryjnym fundamentalistą - a nawet im współczuję - jednakże mimo, że szkoda mi trędowatych, nie oznacza to, że sam chciałbym zostać jednym z nich.

Gdy próbuję zachować jakieś strzępy mojego dawnego antypesymizmu, wyobrażam sobie, iż historia jeszcze się nie skończyła, że wyłoni się jakaś Populistyczna Partia Zielonych Socjaldemokratów która zachwieje tym obleśnym zadowoleniem z siebie Wielkiego Biznesu. Mówię tu o czymś na kształt skandynawskiego monarchistycznego socjalizmu z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, który z perspektywy czasu wydaje się być najbardziej ludzkim z systemów państwowych, jakie wydała na świat cuchnąca paszcza zwana Cywilizacją (pomyślcie o Amsterdamie w czasach świetności). Oczywiście jako anarchista i tak byłbym jej przeciwny - jednakże miałbym w tej sytuacji luksus wiary w to, iż anarchia może mieć szanse powodzenia. Nawet gdyby taki ruch zaistniał, możemy być zupełnie spokojni, że nie będzie to w USA. Czy w żadnej innej krainie w której straszy duch martwego marksizmu. Może w Szkocji.

Czekanie na takie odrodzenie ruchów socjalnych wydaje mi się bezcelowe. Lata temu wielu radykałów porzuciło nadzieję na Rewolucję, zaś tych kilkoro, którzy wciąż pozostają wierni tej idei, przypomina fanatyków religijnych. Popadanie w taki doktrynerski rewolucjonizm może działać kojąco, podobnie jak zagłębienie się w religijny mistycyzm - przynajmniej dla mnie obie te opcje straciły swój powab. Podobnie, solidaryzuję się z tymi prawdziwymi wyznawcami (jednakże nie wtedy gdy wpadają w autorytarną lewicowość lub faszyzm), niemniej jednak, jestem zbyt przygnębiony by ulegać ich złudzeniom.

Jakie mamy możliwości w naszkicowanym przeze mnie scenariuszu Końca Świata, poza popadaniem w samobójczą desperację? Po wielu przemyśleniach opracowałem trzy podstawowe strategie.

1. Bierny eskapizm. Trzymaj głowę nisko, nie rób wokół siebie szumu. Kapitalizm zezwala na wszystkie rodzaje „stylów życia" (nienawidzę tego określenia) - wybierz jeden dla siebie i spróbuj się nim cieszyć. Możesz nawet żyć jako drobny rolnik bez prądu i piekielnego spalania (11), niczym jakiś świecki amisz-kontestator. A może nie. Możesz jednak pobawić się tą myślą. „Palcie trawę, jedźcie kurczaki, pijcie herbatę", jak zwykliśmy mawiać w latach sześćdziesiątych w Mauretańskim Kościele w Ameryce, naszym psychodelicznym kulcie. Miej nadzieję, że cię nie znajdą. Wpasuj się w jakąś dopuszczalną kategorię, zostając neohipisem czy nawet anabaptystą.

2. Aktywny eskapizm. W tym scenariuszu próbujesz doprowadzić do stworzenia optymalnych warunków umożliwiających pojawienie się Stref Autonomicznych, czy to tymczasowych, okresowych lub nawet (pół)permanentnych. Gdy w 1984 roku po raz pierwszy sformułowałem określenie Tymczasowej Strefy Autonomicznej (TSA), wyobrażałem ją sobie jako uzupełnienie Rewolucji - mimo, iż prawdę mówiąc, byłem już zmęczony wyczekiwaniem czegoś, co już raz zawiodło w 1968 roku. TSA dałoby przedsmak prawdziwej wolności, w konsekwencji pozwalałoby na podjęcie próby życia tak, jakby Rewolucja już nadeszła; aby nie umrzeć nie poznawszy nawet „wolnej wolności" (*liberté libre*, jak ujął to Rimbaud). Stwórz swoją własną piracką utopię. Oczywiście TSA mogą być równie proste i krótkie jak naprawdę dobre przyjęcie, prawdziwy autonomista dążyć będzie jednak do zmaksymalizowania potencjału głębszego i dłuższego doświadczania życia przeżytego w sposób autentyczny. Niemal z pewnością wiązać się to będzie z popełnieniem przestępstwa, należy więc myśleć jak zbrodniarz, nie ofiara. Być cwaniakiem, nie frajerem, jak ujął to Burroughs (12). Jak jeszcze można żyć (i to dobrze) bez Pracy. Praca, przekleństwo klasy myślącej. Niewolnictwo płacowe. Jeśli masz na tyle szczęścia by zostać znanym artystą możesz liczyć na osiągnięcie względnej niezależności bez łamania prawa w oczywisty sposób (może poza prawami dotyczącymi dobrego smaku). Możesz też odziedziczyć milion (większa kwota byłaby przekleństwem). Zapomnij o rewolucyjnej moralności, pytanie brzmi - czy stać cię na posmakowanie wolności? Dla większości z nas zbrodnia będzie nie tylko przyjemnością ale i koniecznością. Starzy anarcho-illegaliści pokazali nam drogę - indywidualne wywłaszczenie. Bycie schwytanym psuje oczywiście całą zabawę, jednakże ryzyko jest częścią autentyczności wobec siebie. Jednym z pomysłów na aktywny eskapizm jaki przyszedł mi do głowy była przeprowadzka na obszary wiejskie wraz z kilkoma setkami podobnie myślących liberalnych socjalistów. W takiej liczbie, by wystarczyło na przejęcie lokalnego rządu (miejskiego lub nawet hrabstwa), wybór i nadzór nad szeryfami i sędziami, komitetami rodzicielskimi, ochotniczymi jednostkami straży pożarnej i zarządem miejskich wodociągów. Przedsięwzięcie można będzie sfinansować z hodowania nielegalnych fantazji i handlowania nimi po cichu. Dla wzajemnej korzyści i ekstatycznej przyjemności zorganizuje się „Związek Egoistów", być może pod przykrywką „komun", czy nawet klasztorów, kogo to właściwie obchodzi. Należy się cieszyć póki można. Jest mi wiadome, że plan ten realizowany jest w kilku miejscach w Ameryce - oczywiście nie zamierzam zdradzić gdzie. Kolejny możliwy model indywidualnego eskapizmu to droga wędrownego poszukiwacza przygód. Biorąc pod uwagę to, iż cały świat zdaje się zmieniać w gigantyczny parking albo sieć społecznościową, nie jestem pewien, czy ta opcja wciąż pozostaje dostępna, podejrzewam jednak, że tak. Trick polega na tym, żeby podróżować do miejsc, których nie odwiedzają turyści - jeśli takowe wciąż istnieją - i wplątywać się w niebezpieczne i fascynujące sytuacje. Dla przykładu - gdybym był młody i zdrowy, udałbym się do Francji, by wziąć udział w TSA, która wyrosła wokół sprzeciwu wobec budowy nowego lotniska, albo do Grecji lub Meksyku, gdziekolwiek, gdzie pojawia się przewrotny duch buntu. Problemem są oczywiście pieniądze (rozsyłanie figurek wypełnionych haszem nie jest już takim dobrym pomysłem). Jak opłacić swoje życie pełne przygód? Miłość znajdzie sposób. Nie ma znaczenia czy po drodze Ci z ideami placu Tahrir czy parku Zucotti - chodzi o to, żeby tam po prostu być.

3. Zemsta. Nazywam to Zemstą Zaratustry, ponieważ - jak ujął to Nietzsche - zemsta może być mała ale i tak bardziej ludzka niźli żadna. Można przez chwilę nacieszyć się satysfakcją napędzenia sukinsynom strachu. Niegdyś postulowałem „Poetycki terroryzm" zamiast przemocy, głosząc, iż sztuka służyć może za broń. Być może jednak broń może posłużyć jako sztuka. Od kowalskich młotów luddystów do czarnych bomb zamachowców, przemoc może stanowić formę twórczego wyrazu, samego w sobie, lub z pobudek estetycznych, bez jakichkolwiek złudzeń na temat rewolucji. Oscar Wilde i *l'acte gratuit* (13) - dandyzm rozpaczy. W idei tej niepokoi mnie myśl, że niemożliwym wydaje się rozróżnienie pomiędzy działalnością postlewicowych anarcho-nihilistów i działalnością postprawicowych neotradycjonalistycznych reakcjonistów. W związku z tym, bombę zdetonować mogą równie dobrze fundamentalistyczni fanatycy - jaką różnicę zrobi to ofiarom lub „niewinnym przechodniom". Wysadzenie w powietrze laboratorium nanotechnologicznego mogłoby być zarówno dziełem zdesperowanego monarchisty jak i nietzscheańskiego anarchisty. W niedawnej książce kolektywu *Tiqqun* (14) (*Theory of Bloom*) natknąłem się na fascynujące zestawienie Nietzschego, Rene Guenona, Juliusa Evoli i innych, jako przykładów ostrej i celnej krytyki syndromu Blooma (15), tj. postępu jako iluzji. Oczywiście przyjęcie pozycji „spoza lewa i prawa" ma dwie strony medalu, lewą i prawą. Europejska *Nowa Prawica* (Alain de Benoist i jego ferajna) podziwia Guya Deborda, z podobnych powodów (jego krytykę, nie postulaty). Postlewica może teraz docenić tradycjonalizm jako reakcję na nowoczesność, podobnie jak neotradcjonaliści mogą docenić sytuacjonizm. Nie oznacza to jednak, iż postanarchistyczni anarchiści są identyczni z postfaszystowskimi faszystami!

Przypomina mi się sytuacja z Francji czasów *fin de siècle*, kiedy to doszło do dziwnego sojuszu między anarchistami i monarchistami, na przykład grupa *Cercle Proudhon*. To surrealistyczne połączenie wynikło głównie z dwóch powodów: a) oba stronnictwa nienawidziły liberalnej demokracji, zaś b) monarchiści mieli pieniądze. Związek ten zaowocował niecodziennym potomstwem, takim jak Georges Sorel. Z kolei Mussolini, jak wiadomo, rozpoczął swoją karierę jako indywidualistyczny anarchista!

Kolejny związek pomiędzy lewicą i prawicą może być rozumiany jako forma egzystencjalizmu, również tutaj za ojca idei uznać można Nietzschego, jak sądzę. Na lewicy znaleźć można takich myślicieli jak



Gide czy Camus. Na prawicy oświecony łotr, baron Julius Evola nakazywał swoim skrajnie prawicowym ugrupowaniom w Rzymie ataki na Współczesny Świat, mimo, że nadzieje na odtworzenie tradycji były mrzonkami, jeśli nie magicznym aktem autokreacji. Byt przebija esencję. Nie wolno tkwić przy przywiązaniu do rezultatów. Z pewnością poparcie kolektywu *Tiqqun* dla „doskonałego aktu surrealistycznego" (strzelania z rewolweru do przypadkowych osób w tłumie) wpisuje się kontekst działania jako wyniku desperacji (muszę przyznać, że tego typu rzeczy zawsze, ku mojemu ubolewaniu, powstrzymywały mnie od pełnego oddania się surrealizmowi - jest to dla mnie zbyt okrutne; nie jestem też fanem de Sade).

Oczywiście, jak wiadomo, problem z tradycjonalistami polega na tym, że nigdy nie byli oni dość tradycyjni. Spoglądali w stronę minionych cywilizacji, w nich upatrując swój „cel" (religia, mistycyzm, monarchizm, rzemiosło, itp.), podczas gdy powinni sobie uświadomić, iż prawdziwa tradycja jest w „pierwotnej anarchii" epoki kamienia, strukturze plemiennej, łowiectwie i zbieractwie, animizmie - czymś, co nazywam *Neandertalskim Frontem Wyzwolenia*. Paul Goodman używał terminu „neolityczny konserwatyzm" na określenie swojej wersji anarchizmu, możliwe jednak, że lepszym byłoby sformułowanie „paleolityczna reakcja"!

Kolejny duży problem z tradycjonalistyczną prawicą polega na tym, że emocjonalny ton tego ruchu jest zakorzeniony w represjonowaniu siebie. Dość powiedzieć, iż w myśl analizy reichiańskiej (16), autorytarne ciało stanowi odzwierciedlenie okaleczonej duszy, a jedynie anarchia jest zgodna z prawdziwą samorealizacją.

Europejska nowa prawica która powstała w latach 90. kontynuuje swoją propagandę - ci faceci nie są jedynie zwykłymi

nacjonalistycznymi, szowinistycznymi, antysemickimi, homofobicznymi zbirami - to intelektualiści i artyści. Myślę, że to źli ludzie ale nie uważam, iż są nudni. Czy nawet, że nie mają racji w paru kwestiach. Oni też są przeciwni nanotechnologii!

Mimo, iż w latach 60. sam próbowałem podłożyć kilka bomb (przeciwko wojnie w Wietnamie), koniec końców cieszę się, że nie wybuchły (technologia nigdy nie była moim ulubionym zajęciem). Oszczędziłem sobie w ten sposób zastanawiania się, czy doświadczyłbym moralnych skrupułów. Zamiast tego, wybrałem drogę propagandzisty i pozostałem przy aktywizmie w anarchistycznych mediach, działając w nich od 1984 do około 2004 roku. Współpracowałem z kolektywem wydawniczym *Autonomedia*, *Industrial Workers of the World*, *Towarzystwem Johna Henry'ego Macka* (lewicowymi Stirnerystami) i starym nowojorskim *Libertariańskim Klubem Książki* (założonym przez towarzyszy Emmy Goldman, dziś już nieżyjących, z których kilku nawet znałem). Miałem swoją audycję w *WBAI* (*Pacifica*) przez 18 lat. Dawałem wykłady w całej Europie w latach 90. To był dobry czas - dziękuję. Anarchizm wydaje mi się jednak jeszcze bardziej odległy niż wydawał się w roku 1984 czy nawet 1958, gdy dzięki lekturze *Krazy Kat* (17) George'a Harrimana po raz pierwszy stałem się anarchistą. Cóż, kiedy jesteś egzystencjalistą, nigdy nie musisz przepraszać. W ciągu ostatnich kilku lat w kręgach anarchistycznych pojawił się nowy trend „powrotu" do indywidualizmu Stirnera/Nietzschego, bowiem, powiedzmy sobie szczerze, kto bierze dziś na poważnie rewolucyjny anarchokomunizm i syndykalizm? Jako, że trwam przy stanowisku indywidualistycznym od dziesięcioleci (stonowanym wszakże przez mój podziw dla Charlesa Fouriera i niektórych „duchowych anarchistów", takich jak Gustave Landauer), naturalnie zgadzam się z tym trendem.

„Zieloni anarchiści" i przeciwni cywilizacji neoprymitywiści zdają się (a przynajmniej niektórzy z nich) podążać w stronę nowego bieguna przyciągania, a mianowicie nihilizmu. Być może lepszym określeniem byłby tu neonihilizm, jako, że tendencje te nie powielają wprost nihilizmu rosyjskich narodników (18) czy francuskich zamachowców okresu 1890-1912, jednakże, wielu z tych nowych nihilistów spogląda na nich jako na swoich prekursorów. Podzielam ich niezgodę - w gruncie rzeczy, duża część niniejszego eseju stanowi jej odzwierciedlenie, nazwijmy to twórczą rozpaczą. Tym czego jednak nie rozumiem, są ich postulaty - jeśli takowe istnieją. „Co jest do zrobienia" - to koniec końców slogan nihilistyczny, zanim przywłaszczył go sobie Lenin. Zakładam, iż pierwsza z moich propozycji, bierny eskapizm, nie będzie zgodny z ich programem. Jeśli idzie o aktywny eskapizm, użycie sufiksu „-izm" implikuje nie tylko to, że mamy do czynienia z jakąś ideologią ale też i jakąś formę działania. Jaka jest logiczna konsekwencja tego toku rozumowania?

Jako animista doświadczam świata (poza cywilizacją) jako w swej istocie czującego. Śmierć Boga oznacza ponowne narodziny bogów, jak ujął to Nietzsche w swojej ostatniej, „obłąkanej", korespondencji z Turynu - zmartwychwstanie wielkiego boga PANA - chaosu, Eris, Gai, Nocy, jak ujął to Hezjod; innymi słowy, ontologicznej anarchii. Żądza, Życie samo w sobie, Ciemność rewolty i negacji - one wszystkie wydają mi się tak prawdziwe, jak być powinny.

Wciąż obstaję też przy pewnej formie duchowego anarchizmu - ale tylko w postaci herezji i pogaństwa, nie ortodoksji i monoteizmy. Wielkim szacunkiem darzę Dorothy Day - jej publikacje wywarły na mnie duży wpływ w latach 60. - jak również Ivana Ilicha, którego znałem osobiście, ostatecznie jednak nie mogę poradzić sobie z dysonansem poznawczym pomiędzy anarchizmem i papieżem! Niemniej jednak, mogę uwierzyć w ponowną poganizację monoteizmu. Pozostaje przy tradycjach pogańskich ponieważ czuję, iż wszechświat jest żyjący, nie jest zaś „martwą materią". Przez całe życie będąc zwolennikiem psychodelików, zawsze sądziłem, że duch i materia są ze sobą tożsame, co samo w sobie uzasadnia to, co Teoria nazywa „pożądaniem". Z tego punktu widzenia, sformułowanie „rewolucja życia codziennego" wciąż jest do pewnego stopnia prawdziwe - choćby tylko w ramach mojej drugiej propozycji, aktywnego eskapizmu (lub TSA). Jeśli zaś chodzi o trzecią możliwość, zatarustriańską zemstę, wydaje się ona być ścieżką którą mógłby podążyć nowy nihilizm, przynajmniej z perspektywy filozoficznej. Jako, że nie mogę jej osobiście popierać, pytanie to pozostawiam otwarte.

Dochodzimy tu do punktu, w którym zgadzam i nie zgadzam się z nowym nihilizmem. Podzielam przekonanie, iż drapieżny kapitalizm wygrał i nie jest możliwa żadna rewolucja w klasycznym sensie tego określenia. Jednakże nie mogę zmusić się do tego, żeby być „przeciwko wszystkiemu". Wewnątrz Tymczasowych Stref Autonomicznych wciąż istnieje możliwość „autentycznego życia", nawet jeśli tylko na chwilę; jeśli oznacza to jedynie eskapizm, zostańmy Houdinim. Wzrost zainteresowania indywidualizmem jest w oczywisty sposób odpowiedzią na śmierć społeczności. Czy jednak nowy nihilizm pociąga za sobą śmierć nawet jednostek i „związku egoistów" czy też nietzscheańskich wolnych duchów? Kiedy mam dobry dzień, lubię myśleć, że tak nie jest.

Niezależnie od tego, którą z trzech wspominanych przeze mnie dróg wybrać (lub też inną, której nie jestem sobie w stanie wyobrazić), najistotniejszym wydaje mi się by nie popaść w apatię. Być może musimy przełknąć depresję, bezsilny gniew i rewolucyjny pesymizm. Ale jak ujął to e. e. cummings (poeta anarchistyczny) jest gówno, którego nie zniesiemy, o ile mamy nie zostać własnym wrogiem. Nie można iść na przód, trzeba iść na przód. Podlewajcie pąki róż i samolubne przyjemności, tak długo jak wciąż istnieją ptaki i kwiaty. Być może nawet miłość nie okaże się niemożliwa...

Peter Lamborn Wilson

Tekst oryginalnie ukazała się w: **http://theanvilreview.org/**
Tłumaczenie: **Michał Kosakowski**

Przypisy tłumacza:

(1) Określenie ukute przez P. L. Wilsona, oznacza całkowite oddzielenie, rozpad wspólnot i szaleństwo w którym pośredniczy Internet;

(2) Ang. *rapture*, doktryna obecna w wierzeniach niektórych chrześcijańskich kościołów. Porwanie Kościoła ma poprzedzać powtórne przyjście Jezusa Chrystusa, w jego trakcie zmarli wierni powrócą do żywych by wraz z żyjącymi wiernymi unieść się w powietrze i spotkać się tam z Bogiem;

(3) W powieści Johnatana Swifta *Podróże Guliwera* mianem struldbrugów określa się tych mieszkańców krainy Luggnagg, którzy urodzili się nieśmiertelni, nie mają jednak daru wiecznej młodości, w wyniku czego starzeją się w nieskończoność;

(4) Ang. *numisphere*, określenie ukute przez P. L. Wilsona, oznacza przypuszczalnie sferę wpływów lub występowania pieniądza, analogicznie do atmosfery, biosfery czy noosfery;

(5) Ang. *noise-fascism*, określenie ukute przez P. L. Wilsona, zdaniem tłumacza oznaczać może przemoc symboliczną, i nie tylko, w przestrzeni dźwiękowej;

(6) Ang. *locavore*, słowo wprowadzone do słownika języka angielskiego (amerykańskiego) Oxford University Press w roku 2007, brak polskiego odpowiednika;

(7) Pojęcie z dziedziny marksistowskiej teorii ekonomii, oznacza zredukowanie stosunków międzyludzkich nawiązanych w ramach podziału pracy i produkcji dóbr, do relacji między towarami (Encyklopedia PWN);

(8) Być może nawiązanie do powieści science-fiction A. C. Clarke'a *Koniec dzieciństwa*;

(9) W oryginale *Home Shopping Network*, stacja telewizji kablowej, podobnie jak zaprezentowany polski odpowiednik emitująca jedynie prezentacje sprzedawanych produktów;

(10) Termin zaproponowany przez węgierskiego historyka Iván Berend, zdefiniowany przez Erica Hobsbawma, określający lata 1914-1991, rozpoczyna się wraz z I wojną światową, kończy wraz z upadkiem Związku Radzieckiego;

(11) Ang. *infernal combustion*, dosłownie piekielne spalanie, tutaj - nieprzetłumaczalna gra słów, *internal combustion engine* to określenie na silnik spalinowy o wewnętrznym spalaniu (np. samochodowy);

(12) W oryginale *Be a Johnson, not a mark*. Określenie *Johnson* w amerykańskiej gwarze przestępczej oznacza szanowanego przez swoich towarzyszy przestępcę, postępującego wobec nich uczciwie, wypełniającego zobowiązania;

(13) Fr. czyn pozbawiony motywacji, bezcelowy (np. zbrodnia);

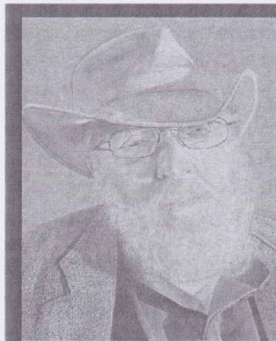
(14) *Tiqqun* był wydawanym w latach 1999-2001 zaangażowanym politycznie czasopismem filozoficznym, redagowanym przez anonimowy kolektyw autorów. Jego nazwa pochodzi od hebrajskiego określenia *tikkun olam*, funkcjonującego w tradycji kabalistycznej i oznaczającego reparacje i odkupienie;

(15) Nazwa pochodzi od nazwiska Leopolda Blooma, głównego bohatera powieści *Finneganów tren* Jamesa Joyce'a;

(16) Wilhelm Reich (1897-1957) - austriacki psychoanalityk i seksuolog, zorientowany na pracę z ciałem. Początkowo walczył z neurozami nękającymi rodaków poprzez promowanie swobody seksualnej, po przeprowadzce do USA stworzył koncepcję orgonu, podstawowej energii kosmicznej związanej z freudowskim libido;

(17) *Krazy Kat* - amerykański komiks autorstwa George'a Harrimana, publikowany w latach 1913-1944, między innymi w *New York Evening Journal*;

(18) Narodnicy - działacze rosyjskiego ruchu demokratycznego lat 70.-90. XIX w., głosili hasła wzywające do powstania chłopskiego i obalenia caratu.



Peter Lamborn Wilson (ur. 1945) - bardziej znany pod pseudonimem **Hakim Bey** - amerykański pisarz, krytyk społeczny, historyk kultury, poeta i tłumacz. Przez swych krytyków zaliczany do nurtu *life-style* anarchizmu (będącego podobno przeciwieństwem anarchizmu społecznego). W swej pisarskiej twórczości inspiruje się różnymi szkołami anarchizmu (choć z naciskiem na anarchizm indywidualistyczny), sytuacjonizmem, nietzschanizmem, niedogmatycznym islamem (głównie tradycja *sufi*) czy innymi wolnymi religiami (sam jest członkiem synkretycznego *Mauretańskiego Kościoła Ortodoksyjnego*) czy nawet ruchami nowoprawicowymi. Twórca koncepcji Tymczasowej Strefy Autonomicznej, którą z czasem rozwinął ku permamentności. Dziś, luźno związany z ruchem anarchistycznym. W Polsce ukazało się kilka książek Wilsona/Beya, głównie nakładem małych niezależnych wydawnictw. Szerszy biogram tego intrygującego myśliciela można znaleźć na stronie: **magivanga.wordpress.com**

JOHN ZERZAN

krótka rozmowa o bolączkach współczesnego świata...

John Zerzan jest chyba najbardziej rozpoznawalnym teoretykiem anarchistycznego prymitywizmu oraz zagorzałym krytykiem technologii, industrializacji jak i lewicowego anarchizmu. Niniejszy krótki wywiad odnosi się m.in. do niedawnych zamachów w Paryżu oraz kampanii prezydenckiej w USA. Wywiad przeprowadził Zander Sherman (autor książki *The Curiosity of School*, komentator w dziedzinie edukacji). Rozmowa pochodzi ze strony magazynu *The Believer*, w którego 113 numerze ukazał się artykuł *Anarchy in USA*, w dużej mierze poświęcony Zerzanowi właśnie.

Zacznijmy od Paryża. Z jakich najciemniejszych zakamarków duszy wzięło się to szaleństwo?

Jesteśmy świadkami pustki nowoczesnego społeczeństwa technologicznego. Żyjemy w epoce braku prawdziwego dialogu i łączności z naturą. Cywilizowane życie jest puste. To nie podoba się ludziom i niektórzy reagują z maksymalną agresją.

Jeszcze większe znaczenie, rzekłbym, mają akty tego co nazywam terroryzmem tutaj, w USA. W porannych wiadomościach podano, że sześć osób zostało zamordowanych na obozowisku w Teksasie. Domniemany sprawca nie był islamistą. Kiedy takie rzeczy dzieją się każdego dnia, to się sumuje. To o tych masakrach powinniśmy mówić. Hodujemy własny dżihad tutaj, w Stanach, gdzie ludziom odbija i zabijają grupkę osób a potem siebie. W jaki sposób to się różni od wydarzeń w Paryżu czy Bejrucie?

Co technologia ma z tym wspólnego?

Im bardziej społeczeństwo jest stechnicyzowane, tym mniej jest spójne. Myślę, iż to prawdopodobnie najważniejsza przyczyna. Co podgryza i rozkłada społeczeństwo i wymazuje te więzy? Mam na myśli to, że to nie może być przypadek, iż im bardziej społeczeństwo jest stechnicyzowane tym mniej łączy ludzi. I oczywiście jest to twierdzenie dokładnie przeciwne do propagandy. „Teraz jesteśmy wszyscy połączeni. Jesteśmy globalnie złączeni. Jesteśmy milisekundy od siebie" - tylko, że zaprzeczenie jest prawdą. Nigdy nie byliśmy tak wyizolowani i rozdzieleni.

Jeżeli masz problem w masowym społeczeństwie, wzywasz gliny. Ekspertów. Nie masz już skutecznego połączenia ze sobą czy innymi, czy z funkcjonującą społecznością. To znaczy, nadal nazywa się to „społecznością". Nazwy tej używają politycy i deweloperzy, ale dla mnie nie jest to zgodne rzeczywistością. Masowe społeczeństwo zastąpiło prawdziwą społeczność, gdzie ludzie funkcjonują razem i żyją na własny rachunek. I wiesz, robi się coraz gorzej. Jesteśmy już na patologicznym poziomie z tymi codziennymi strzelaninami, a nadal nie jest to rejestrowane przez uznanych ludzi.

Przez władze?

Dokładnie.

Śledziłeś debaty prezydenckie?

Z takim zaangażowaniem jak śledzę mecze futbolowe. To forma rozrywki - wszyscy to wiedzą. Te uniki, te wygłupy i to, iż jest gorzej niż kiedykolwiek. To kolejna sprawa zupełnie jasna. Ludzie wiedzą, że nie mają realnego wpływu. Ich głos się nie liczy. „Naród" nie kieruje niczym. Przy okazji to powód, dla którego technologia zastąpiła politykę jako źródło ideologii. Twierdzenia ideologiczne są płytkie i absurdalne i nikt im już nie wierzy. Wszyscy wiedzą, iż to żart. I dlatego to technologia ma nadejść i wypełnić te wszystkie obietnice.

Jak wydarzenia w Paryżu i kryzys z uchodźcami wpłyną na te zmagania?

Myślę, że przekierują je na korzyść prawicy. Będzie jeszcze więcej siania strachu, ksenofobii i reakcji narodowców, które mają teraz tendencję do rozzuchwalania się nie tylko tutaj, ale w Francji i gdzie indziej. To widać. Gorączka nacjonalistyczna jest podkręcana by zająć miejsce prawdziwych analiz. Ci imigranci są kozłami ofiarnymi, to dobrze znany mechanizm.

Anarchiści chcą zdelegalizować rząd. Republikanie chcą go ograniczyć. Czy to oznacza, iż jesteś bliżej prawicy niż lewicy?

Cóż, nie. Nie sądzę. Republikanie nie chcą ograniczyć rządu. Chcą coraz większej militaryzacji, coraz większego nadzoru. Chcieliby zakazać małżeństw homoseksualnych i tak dalej. Gdzie tu jest ograniczanie?

***New York Times* zaprezentował ostatnio technologię wirtualnej rzeczywistości, która pozwala zwiedzać różne miejsca na świecie w trójwymiarze. Mówiłeś, że technologia alienuje, ale czy *VR* nas nie zbliża do siebie?**

To tylko pogłębia eskapizm. Wiesz, 10-12 lat temu był wielki szał na *VR* i jakby się skończył, więc musimy poczekać i zobaczyć czy ta druga fala nie będzie przelotna. Nie byłbym zaskoczony, gdyby nie była. Jeżeli są ludzie, którzy wolą być wirtualnymi przyjaciółmi niż prawdziwymi, bo może nie mają żadnych prawdziwych przyjaciół - skoro tamto już zostało zniszczone to owszem, czemu by nie, lepsze to niż nic. Dlatego ludzie to robią. To dlatego gapią się w ekrany przez całe dnie - świat jest mniej przyjazny. Jeżeli nie masz nic, to możesz równie dobrze być aktorem w swoim małym filmie, *awatarem* czy czymkolwiek. Czemu nie?

Twoja ostatnia książka *Why hope? (Czemu mieć nadzieję?)* broni optymizmu i ma cytat z Oscara Wilde'a na okładce. O co chodzi?

Moja książka odwołuje się w szczególności do tego rodzaju nihilizmu i wycofania wewnątrz ruchu anarchistycznego. Ludzie tacy jak Paul Kingsworth i Guy McPherson mówią, że daremnie jest sądzić, iż możemy cokolwiek zrobić. Stawiam temu opór, bo nie chcę zamykać drzwi na możliwości - czemu miałbym je zamykać? Nie wiemy co się wydarzy. Jeżeli stwierdzimy, że już jesteśmy zgubieni, to tak będzie. Koniec i kropka.

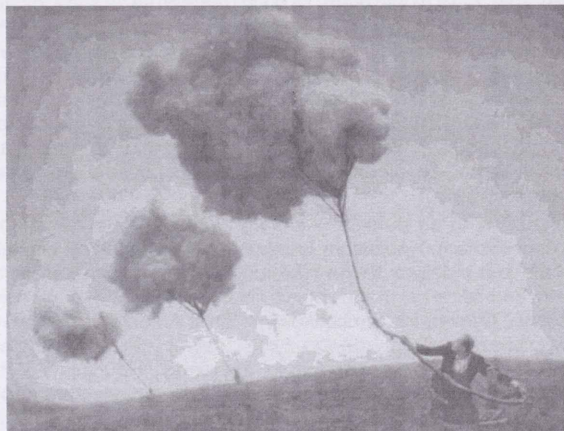
Co trzeba zrobić by nadeszła zmiana?

Ja ciągle piszę, mówię i mam nadzieję, iż w pewnym momencie drzwi się otworzą i będziemy mieli bardziej wolną wymianę informacji, bardziej prawdziwą konwersację. To w każdym razie próbuję zrealizować, bo wierzę, że propagowanie idei jest ważne. Nie powiedziałbym, iż jest ważniejsze niż działanie. Nie można rozdzielać tych dwóch. Ale nie będę nic wysadzał w powietrze, więc robię to co robię i mam nadzieję, że dotrze to do ludzi, którzy myślą w podobny sposób. Wtedy być może trzeba będzie zadziałać siłą na sankcje przeciw ukazywaniu rzeczywistości.

Co czyni cię szczęśliwym w wieku 72 lat?

Mam wspaniałą partnerkę, cudowne małżeństwo i wnuki. Mam też moją pracę. Wcześnie wiedziałem czym chcę się zajmować i czuję, że miałem dużo szczęścia, iż mogłem to zrealizować. I jeszcze coś: To brzmi jak bardzo dawna sprawa, ale miałem szczęście znaleźć się w Bay Area w latach 60. To przeżycie nie do powtórzenia. Miało ogromny wpływ na mój temperament i poglądy. Nie doszło do całkowitej zmiany, ale to był magiczny czas. Mieszkałem w Haight-Ashbury. Mieszkałem w Berkeley. Byłem w samym środku tego wszystkiego i było to niesamowite. Myślę, że to do mnie przylgnęło.

Tłum.: **Ludwika Wykurz**



W 110. rocznicę - pamiętamy!

Warszawa, styczeń 1906 r. EGZEKUCJA 16 ANARCHISTÓW Dokumenty, relacje

Trudno powiedzieć dlaczego śmierć 16 młodych warszawskich anarchistów-komunistów, rozstrzelanych bez sądu w styczniu 1906 roku w warszawskiej Cytadeli, nie pozostawiło po sobie takiego piętna w historii jak np. egzekucja 4 anarchistów w Chicago w 1887 roku. Mało kto - nawet sami anarchiści - pamięta dziś o nich tak jak o „Męczennikach z Haymarket". Na dłuższą monografię lub opracowanie, na które z pewnością zasługuje to tragiczne wydarzenie, przyjdzie nam raczej poczekać. Póki co, przedstawiamy jedynie zbiór dostępnych nam w tym momencie materiałów, większość z nich, po raz pierwszy w polskim tłumaczeniu.

1. Źródła policyjno-sądowe

Tak naprawdę niewiele wiemy o tym, co się wydarzyło i niestety (jak to często bywa) nasza wiedza na temat historii anarchizmu opiera się głównie na raportach policyjnych i sądowych. Jeśli chodzi o warszawski *Internacjonał*, mamy do czynienia głównie z serią dokumentów, które przedstawiamy poniżej w chronologicznym porządku, poczynając od raportu dotyczącego pierwszych aresztowań:

1905 listopad 29 (grudzień 12) Warszawa
P.o. oberpolicmajstra warszawskiego P. Mejer do generał-gubernatora warszawskiego G. Skałona o działalności Federacyjnej Grupy Anarchistów-Komunistów Internacjonał wraz z wnioskiem o zesłanie 6 osób.

Stworzona niedawno w Warszawie „Grupa Anarchistów-Komunistów Internacjonał" rozpoczęła swoją działalność 9. (22.) września tego roku, gdy jeden z jej członków, Izrael Blumenfeld, wrzucił bombę do kantoru Szereszewskiego po tym jak bankier Szereszewski odmówił przekazania wymuszonych od niego na partyjne cele pieniędzy. 5. (18.) listopada na przedmieściu Wola, po pogrzebie arcybiskupa Hieronima, podczas gdy oddział kozaków wracał z cmentarza, nieznany złoczyńca (według naszych informacji należący do wspomnianej grupy) rzucił od tyłu w tenże oddział bombę, która wybuchając nikogo jednak nie zraniła. Wieczorem 13. (24.) listopada członkowie tej samej grupy wrzucili dwie lub trzy bomby (słychać było dwa wybuchy) do kawiarni hotelu „Bristol", rozbijając dwie duże szyby okienne, raniąc lekko dwóch z klientów i powodując drobne zniszczenia wewnątrz lokalu.

Oprócz tego, posiadamy informacje o tym, że niektórzy członkowie tejże grupy nachodzą mieszkania właścicieli kamienic i ogólnie osób zamożnych, nakładając im kary grzywny. Większość terroryzowanej ludności wykupuje się wręczając znaczące sumy grabieżcom. Przedstawiciele partii wręczają im pokwitowania każące przekazać pieniądze. Są one napisane ręcznie w języku polskim i żydowskim oraz przypieczętowane niebieską pieczęcią grupy, a w innych wypadkach pojawiły się „Ostrzeżenia" wydrukowane w języku rosyjskim.

Wieczorem 22. listopada (5. grudnia) do podlegającej mojej osobie sekcji Ochrany dotarły informacje naszych agentów, według których kilku członków wspomnianej organizacji postanowiło pojawić się u pewnej bogatej osoby mieszkającej przy ulicy Prostej 8, w celu przeprowadzenia tam „ekspriopiacji" 5 tys. rubli, tzn. zbrojnego wymuszenia wymienionej sumy, przy czym zdecydowali zabrać ze sobą bombę, po to by w razie odmowy wrzucić ją do domu tejże osoby, a powodując wybuch w ten sposób zastraszyć swoje przyszłe ofiary grabieży i uniemożliwić im ewentualną odmowę.

Gdy przekazano mi te informacje, rozporządziłem, iż funkcjonariusze naszej sekcji mają użyć wszelkich środków by zapobiec dokonania wymienionego przestępstwa i aresztować złoczyńców. Prystawowi 6. cyrkułu powierzone zostało ukrycie w jednym z domów przy ulicy Twardej niewielkiej liczebnie grupy żołnierzy w celu wsparcia funkcjonariuszy naszej sekcji podczas aresztu złoczyńców.

Około godziny 8.30 rano na ulicy Prostej pojawiła się dwójka młodych Żydów, zachowanie się których dawało do zrozumienia, że są członkami grupy mającej na celu dokonanie wspomnianego aktu grabieży i zostali oni wysłani jako pierwsi by zbadać sytuację i oszacować sposobność bezpiecznego przeprowadzenia swoich planów. Zaszli oni do domu numer 8 i sąsiednie bramy, obserwowali także skrupulatnie wszystkich, rzadkich raczej, przechodniów przechodzących tą praktycznie opustoszałą ulicą. Z tego powodu podjęta została decyzja o ich aresztowaniu, czego podjęli się funkcjonariusz sekcji Wojewodin wraz z agentami policji Gościło i Wysockim. Po dostawieniu aresztowanych do najbliższego, 8. cyrkułu, podali oni swoje nazwiska: Lewka Flinker syn Joska oraz Josek Roziennik syn Szljomy.

Przy przeszukaniu Flinkera w cyrkule znaleziono: 2 egzemplarze wydrukowanego na kartkach pocztowego papieru „Ostrzeżenia" w którym sugeruje się (nieznanej osobie) zapłacić wymuszonej od niego sumy w przeciągu 2 dni a w przeciwnym razie grozi się podjęciem zdecydowanych środków; oraz 4 egzemplarze wydrukowanych kwitów potwierdzających otrzymanie (od nieznanych osób) pieniędzy. Roziennikowi odebrany został rewolwer.

Po upływie 20 minut, na rogu ulic Twardej i Prostej zatrzymała się kolejna dwójka Żydów i zaczęła się przyglądać tak jakby szukając kogoś wzrokiem na ulicy Prostej. Zaraz później, od strony placu Grzybowskiego, podjechało jednokonną furmanką jeszcze 4 Żydów, a poprzednia dwójka wyszła im na spotkanie. W momencie gdy jeden z nowoprzybyłych rozliczał się z dorożkarzem, agent Gurin zbliżył się do nich i złapał trzech, z których jednak udało mu się utrzymać tylko jednego, którego to powalił na ziemię. Jeden z tych którzy mu się wyrwali, wystrzelił kilkakrotnie do Gurina z rewolweru, a potem zaczął uciekać, goniony przez agenta Wysockiego, który stracił jego ślad na ulicy Waliców. Drugi wyrwał się Gurinowi nieudacznie, potknął się i upadł, a upadając wypadła mu z kieszeni bomba. Starał się uciec lecz został schwytany przez agenta Siemiona Łuszczyckiego i oddział wojska który podbiegł w tymże momencie. Bombę podniósł funkcjonariusz Wojewodin.

Co się tyczy reszty Żydów, zatrzymany został ten który rozliczał się z dorożkarzem. W pierwszej chwili, gdy Gurin złapał trójkę, starał się on uporczywie strzelać w niego od tyłu z rewolweru Nagan, lecz chwycili go agenci Wędrowski i Towstołuski. Przewrócony przez Gurina na ziemię Żyd także starał się wyciągnąć z kieszeni rewolwer ale agent Jachonta, który przybiegł na pomoc Gurinowi, wyrwał mu go z ręki. Po przewiezieniu do 8. cyrkułu zatrzymani Żydzi podali swoje nazwiska: zwalony przez agenta Gurina na ziemię to Nachim-Wulf Sarna syn Icka, starający się wystrzelić do Gurina z Nagana to Josek Goldsztejn syn Michela a ten któremu wypadła bomba - Icek Salamon syn Izraela. Podczas przeszukania, już w cyrkule, u Salamona znaleziono jeden duży nóż, 1 egzemplarz wspomnianego wyżej „Ostrzeżenia" wraz z 6 kwitami, a także list Salamona do niejakiej Pinczewskiej, zamieszkałej w Nowym Dworze. Z treści owego listu wynika, że Salamon należy do organizacji anarchistów.

Przy przeszukaniu miejsc zamieszkania zatrzymanych znaleziono: u Goldsztejna - rewolwer i jeden egzemplarz gazety „Der Bund", a w zamieszkałym wspólnie przez Roziennika i Flinkera mieszkaniu - proklamacje Polskiej Partii Socjalistycznej w języku żydowskim.

Podczas wstępnego przesłuchania, żaden z zatrzymanych nie przyznał się do przynależności do wspomnianej powyżej organizacji przestępczej, wszyscy natomiast podawali częściowo wykrętne i nieprawdopodobne wyjaśnienia.

Wszyscy wymienieni powyżej z nazwiska zostali zamknięci pod strażą w Pawilonie X Cytadeli warszawskiej, a cały materiał dochodzenia w ich sprawie przekazany został prokuratorowi sądu okręgu warszawskiego, w celu wzmożenia śledztwa przygotowawczego.

Meldując Waszej Wysokości o tych zajściach ośmielam się dodać: nie wydaje się Wam możliwym by, w przypadku gdy w trakcie śledztwa którykolwiek z wymienionych został wypuszczony spod straży, zamiast wypuszczenia włączyć ich do listy administracyjnie zesłanych jako osób szkodliwych państwowemu i społecznemu porządku do oddalonego

miejsca na przymusowe przebywanie w tymże na określony czas (paragraf 32 i 33 przepisów dotyczących miejsc gdzie nie został zadeklarowany stan wyjątkowy).

Spełniający powilności oberpolicmajstra pułkownik Mejer (1)

1906 styczeń 2. (15.), Warszawa
Raport tymczasowego generał-gubernatora m. Warszawy i guberni warszawskiej K. Wejsa do generał-gubernatora warszawskiego G. Skałona z danymi o działalności 13 aresztowanych anarchistów-komunistów i postanowieniem ich rozstrzelania.

W oparciu o art.12, aneksu do art.23 drugiego tomu „Zbioru praw Imperium Rosyjskiego" oraz telegramu-okólnika Waszej Wysokości z 4.(17.) listopada 1905 roku, prezentuję kopię mojego postanowienia z 2.(15.) stycznia 1906 dodając, że o jego spełnieniu doniesione będzie dodatkowo.

Tymczasowy generał-gubernator Wejs

POSTANOWIENIE

1906 roku, dnia 2.(15.) stycznia 1906, ja, tymczasowy generał-gubernatora m. Warszawy i guberni warszawskiej, po rozpatrzeniu dochodzenia nad grupą przestępczą pod nazwą „Grupa warszawskich anarchistów-komunistów Internacjonał" której działalność przejawia się w formie propagandy antypaństwowej oraz całej serii zamachów terrorystycznych, fabrykacji i rzucaniu rozmaitych bomb, wymuszeń, rozboji oraz innych aktów przemocy, doszedłem do wniosku, że zatrzymani w związku z śledztwem:

1. Chaim Ryfkind, syn Nachima (znany także jako Rudolf Wiśniewski, ksywka Wiktor)
2. Szloma Rozencwajg (ksywka Salomon)
3. Jakub Golszajn (ksywka Kamaszenmacher)
4. Abraham Rotkopf (ksywka Lodzer)
5. Sura Rotkopf (ksywka Stefka)
6. Szloma Szajer (ksywka Narodowiec)
7. Jankiel Pfefer (ksywka Zimediker)
8. Szmul Furcajg (ksywka Kanorka)
9. Dawid Lejb Kryształ (ksywka Lejbus)
10. Judko Kernbajser (ksywka Ignac)
11. Izaak Szpiro
12. Chaja Flatto (ksywka Helena) - wszyscy wyznania mojżeszowego
13. Karol Skurza (ksywka Karol Mały), wyznania rzymsko-katolickiego,

z całkowitą pewnością są winni przynależności do grupy anarchistycznej oraz dokonania lub uczestnictwu w wymienionych aktach przestępczych, bezpośrednio zagrażających państwowemu porządkowi bezpieczeństwu, z tego więc powodu i w oparciu o art.12, aneksu do art.23 drugiego tomu „Zbioru praw Imperium Rosyjskiego" oraz telegramu-okólnika warszawskiego generał-gubernatora z 12.(25.)grudnia 1905 roku (wraz z pismem dyrektora kancelarii z 13.(26.) grudnia 1905 roku Nr.24142), postanawiam:

1.Chaima Ryfkinda (znanego także jako Rudolf Wiśniewski),
2.Szlomę Rozencwajga
3.Jakuba Golszajna
4.Abrahama Rotkopfa
5.Surę Rotkopf
6.Szlomę Szajera
7.Jankiela Pfefera
8.Szmula Furcajga
9.Dawida Lejbę Kryształa
10.Judkę Kernbajsera
11.Izaaka Szpiro
12.Chaję Flatto oraz
13.Karola Skurzę

skazać na śmierć przez rozstrzelanie, zlecając sztabowi Cytadeli warszawskiej spełnienie tego wyroku w dniu 3.(16.) stycznia bieżącego roku wobec S. Rozencwajga, J. Golszajna, A. Rotkopfa, C. Ryfkinda, S. Szajera, J. Pfefera oraz S. Furcajga, a odnośnie osób S. Furcajga, D. Kryształa, J. Kernbajsera, I. Szpiro oraz K. Skurzę w dniu 4.(17.) stycznia b.r.. Odnośnie S. Rotkopf i C. Flatto, ze względu na dostarczone mi od głównego naczelnika kraju (Nadwiślańskiego) wytyczne, decyduję wyrok tymczasowo odroczyć.

Osobiście podpisał: tymczasowy generał-gubernatora m. Warszawy i guberni warszawskiej, generał-lejtnant Wejs. (2)

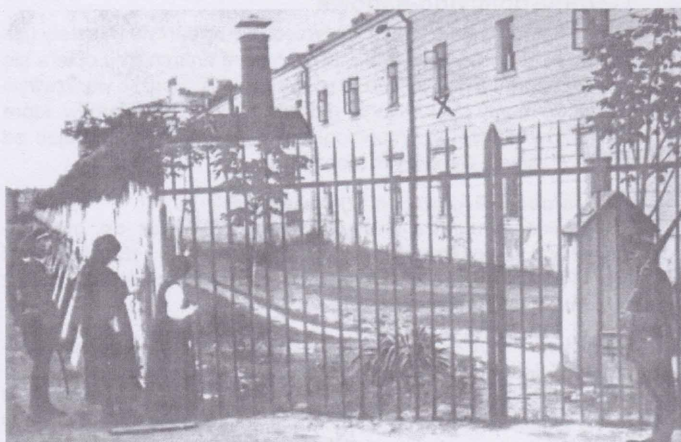
Dwa dni później Wejs wysyła Skałonowi krótki raport o wykonaniu wyroków śmierci:

Jako dodatek do moich raportów Nr.3 z 2.(15.) stycznia i Nr.13 z 3.(16.) stycznia bieżącego roku oznajmiam, iż o godzinie 7.30 rano rozstrzelani zostali w Cytadeli anarchiści-komuniści Szmul Furcajg, Dawid Kryształ, Judko Kernbajser, Izak Szpiro i Karol Skurza. (3)

Kilka dni później, 9.(22.) stycznia 1906 roku, zastępca generał-gubernatora warszawskiego do spraw policyjnych, generał-major A. Markgrafski (4) wysyła Skałonowi tajny raport dotyczący zachowania się anarchistów przed egzekucją:

Szóstka straconych 3.(16.) stycznia przestępców politycznych należących do partii „Grupa warszawskich anarchistów-komunistów Internacjonał", tak w drodze na miejsce kaźni jak i tamże, zachowała zupełne milczenie.

Jednakże w odniesieniu do przestępców straconych 4.(17.) stycznia, jeden z nich, Karol Skurza, wyspowiadał się przed księdzem i przyjął komunię, przed egzekucją płakał, prosił o zmiłowanie mówił, że jest niewinny a już w ostatnim momencie krzyczał, iż chciałby coś tam zeznać. Także Szmul Furcajg płakał przed egzekucją i twierdził, że jest niewinny. Pozostała trójka zachowywała się spokojnie, a tylko zaraz



X Pawilon Cytadeli Warszawskiej - miejsce kaźni wielu rewolucjonistów.

przed tym jak padła salwa odziany w palto gimnazjalisty Izak Szpiro, zdołał krzyknąć „Niech żyje anarchia!".

Ciała oddane zostały ziemi na miejscu kaźni, o czym mam honor powiadomić Waszą Wysokość. (5)

Tydzień później K. Wejs postanawia rozstrzelać kolejnych pięciu anarchistów:

Dnia 17.(30.) stycznia 1906 roku, ja, tymczasowy generał-gubernatora m. Warszawy i guberni warszawskiej, po rozpatrzeniu dochodzenia nad grupą przestępczą pod nazwą „Grupa warszawskich anarchistów-komunistów Internacjonał" której działalność przejawia się w formie propagandy antypaństwowej oraz całej serii zamachów terrorystycznych, fabrykacji i rzucaniu rozmaitych bomb, wymuszeń, rozboji oraz innych aktów przemocy, doszedłem do wniosku, że zatrzymani w związku z śledztwem:

1.Froim Grauman, syn Mejera (pseudonim Fiszel)
2.Moszek Pugacz, syn Szymona (pseudonim Mojsze Tokarz Drugi)
3.Simcha Mendelewski, syn Abrahama-Dawida (pseudonim Pine)
4.Kopel Igalson, syn Szulima-Abrahama (pseudonim Kuba)
5.Izrael Jumel Blumenfeld (pseudonim Lodzer Pierwszy),

wszyscy wyznania mojżeszowego, z całkowitą pewnością są winni przynależności do grupy anarchistycznej oraz dokonania lub uczestnictwu w wymienionych aktach przestępczych, bezpośrednio zagrażających państwowemu porządkowi bezpieczeństwu, z tego więc powodu i w oparciu o art.12, aneksu do art.23 drugiego tomu „Zbioru praw Imperium Rosyjskiego" oraz telegramu-okólnika warszawskiego generał-gubernatora z 12.(25.)grudnia 1905 roku, postanawiam:

1.Froima Graumana
2.Moszke Pugacza
3.Simchę Mendelewskiego
4.Kopela Igalsona
5.Izraela Blumenfelda

skazać na śmierć przez rozstrzelanie, zlecając sztabowi Cytadeli warszawskiej spełnienie tego wyroku w dniu 18.(31.) stycznia. (6)

Kilka dodatkowych informacji dotyczących „pierwszej generacji" warszawskiego *Internacjonału* znajduje się także w o wiele późniejszym (18.(31.) lipca 1906), raporcie oberpolicmajstra P. Mejera do generał-gubernatora Warszawy G. Skałona:

Na wskutek postępowania Nr.13733, z 11.(24.) bieżącego lipca, dotyczącego rozpatrzenia prośby Nejmera Kupermana, który ubiega się o uwolnienie swojego brata Szlomy Kupermana, mam zaszczyt powiadomić, że tak czy inaczej Szloma Kuperman należy do „Grupy Anarchistów-Komunistów Internacjonał", bywał na zebraniach członków tejże grupy, odbywających się w mieszkaniu Dawida Kryształa, w domu przy ulicy Dzielnej 18, gdzie przechowywano bomby, broń a także publikacje, które drukowane były w domu Sary Rotkopf na ulicy Wilczej, a (co za tym idzie) po (ewentualnym) uwolnieniu niezwłocznie powróci on do swojej działalności, w związku z czym zwolnienie go spod straży w tym momencie uznaję osobiście za niepożądane, a jeśli Wasza Wysokość uznałaby to za możliwe, prosiłbym zmusić go do wyjazdu za granicę.

Oczywiście wspomniany „wyjazd za granicę" to po prostu zesłanie do Rosji. W przypadku Szlomy Kupermana, zesłany on został do guberni astrachańskiej, skąd zdołał zbiec. (7)

2. Relacja skruszonego szpicla

Swego rodzaju ciekawostką historyczną jest fakt, że tortury a potem egzekucja warszawskich anarchistów wstrząsnęły do tego stopnia jednym z policyjnych kapusiów, że... zaczął on współpracować z ruchem rewolucyjnym! Przedstawiamy poniżej relację M. J. Bakaja, szczególnie ze względu na zawarte w niej informacje dotyczące sposobu funkcjonowania warszawskiej *Ochrany* na początku XX-go wieku:

W styczniu 1906 roku w Petersburgu rozpoczęto publikację magazynu „Былое" („Przeszłe"), pierwszego w Rosji legalnego czasopisma poświęconego historii ruchu wyzwoleńczego. Jego redaktorzy byli uczestnikami ruchu rewolucyjnego i jednymi z jego pierwszych historyków: W. J. Boguczarskij, W. L. Burcew P. J. Szczegoliew. Pod koniec maja 1906 z redakcją „Byłoje" rozpoczął współpracować agent do zadań specjalnych warszawskiej sekcji Ochrany, niejaki M. J. Bakaj. W liście otwartym z dnia 9. lutego 1909 do petersburskiej gazety „Речь" („Słowo") Bakaj starał się wyjaśnić przyczyny tej dziwnej współpracy. Z powodów cenzury, pismo zostało opublikowane dopiero po Rewolucji Październikowej. Oto jego fragmenty:

„Jestem Rosjaninem z Małorusi, Kozakiem i prawosławnym. Po raz pierwszy byłem aresztowany w maju 1902 roku, wypuszczono mnie w październiku tego samego roku, a w grudniu wstąpiłem dobrowolnie do służby w Departamencie Policji jako agent cywilny i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Zubatowa. (...) W sierpniu 1903, po odwołaniu Zubatowa, szefem Departamentu Ochrony Porządku i Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie został mianowany rotmistrz A. G. Peterson, a ja pracowałem dalej, pod jego teraz rozkazam, w charakterze agenta.

Peterson był szefem aż do września 1905 roku, a następnie został przeniesiony do tego samego biura w Moskwie, co uważane było wtedy i wciąż jest za awans. Podczas naszej wspólnej służby nigdy nie widziałem by uciekał się do użycia metod prowokacji i istotnie, w jego czasach w Warszawie nie znaleziono ani jednej drukarni, laboratorium bomb czy składów broni. Nie było też procesów politycznych. Często, z powodów osobistych czy też służbowych, funkcjonariusze Departamentu Policji starali się usunąć Peterson, lecz się to nie udawało. Wtedy to, funkcjonariusze Departamentu Policji J. P.. Miednikow i Łucenko wraz z odpowiedzialnym za warszawską sekcję inwigilacji Jakowlewem, przy pomocy prowokatorów Dawida Ajzenlista i Moszke Szwarca postanowili zabić generał-gubernatora K. K. Maksymowicza, myśląc, że po tym morderstwie Peterson zostanie usunięty. Potem postanowili zabić samego Petersona; w ostatniej jednak chwili Szwarca wzięło na skruchę i wyznał wszystko. Śledztwo na ten temat prowadził, dziś już nieboszczyk, I. A. Makarow lecz z nieznanych powodów zostało one przerwane. Sprawa ta jest znana senatorowi S. G. Kowalewskiemu.

Po przeniesieniu Petersona do Moskwy, szefem został mianowany Szewjakin które rozpoczął swoją działalność z miejsca od najzwyklejszych prowokacji. Przy pomocy prowokatorów fabrykował bomby, dokonywał aresztowań po tzw. „anonimowych donosach" czyli dzięki cenzurze listów oraz zeznań złodziei, alfonsów i prostytutek. Atmosfera w Ochranie od razu nasyciła się swego rodzaju bachanalią dokonywaną na żywocie i wolności ludzkiej. (...)

W grudniu 1905 roku pojechałem do Moskwy, gdzie znalazło mnie powstanie i byłem świadkiem, jak Raczkowski przynosił paczkami całymi odezwy wzywające do pogromów, które drukowane były w Departamencie Policji, podczas gdy oficerowie siemionowskiego pułku podpisywali wyroki śmierci ołówkiem na skrawku papieru, po czym natychmiast wprowadzali je w życie. 20. grudnia wróciłem do Warszawy i tam stałem się świadkiem niesamowitych horrorów. Na rozkaz generał-gubernatora G. A. Skałona i oberpolicmajstra Mejera torturowano więźniów politycznych. Tajniak Grin poddawał ich straszliwym torturom i zmuszał by gadali to co im kazał. Krzyki i jęki tych nieszczęsnych całymi dniami rozlegały się wewnątrz murów ratusza. W tymże grudniu katowano tam 20 chłopców i dziewcząt w wieku od 16 do 18 lat, którzy zostali później straceni w drodze administracyjnej (8) po to by zastraszyć rewolucjonistów.

Tortury trwały aż do lata, przerwały się gdy opublikowano informacje na ten temat w gazecie „Ruś", ale potem zostały ponownie wznowione.

Wszystkie te okropności które ujrzałem na własne oczy uczyniły ze mnie zaprzysięgłego wroga reżimu i tej garści osobników, którzy patrząc jedynie na swe osobiste samopoczucie i utrzymane się na stanowisku nie cofają się przed żadną zbrodnią i ofiarami.

Już w 1906 roku byłem całkowicie po stronie rewolucjonistów i byłem bardzo zaskoczony, że ich aktywna praca przerwana została w najgorętszym momencie. 20. maja 1906, po długiej wewnętrznej walce, poszedłem do W. L. Burcewa, zaznajomiłem go ze wszystkimi tajemnicami kazamatów, zwrócił mu uwagę na to, że prawie wszystkie wpadki rewolucyjnych planów są głęboko związane z głęboko zakorzenioną prowokacją a także podkreśliłem, iż w Partii Socjalistów-Rewolucjonistów panoszy się prowokatorami „Raskin" (pseudonim). Rozmawiałem z nim o wielu jeszcze sprawach i poprosiłem by wskazał mi drogę do ujawnienia wszystkich tych okropności." (9)

3. Materiały anarchistyczne

Poniżej przedstawiamy dwa przedruki z anarchistycznych wydawnictw tejże epoki. Pierwszy pochodzi z wydawanego w Londynie po rosyjsku ***Listki Chleb i Wolja*** (jednym z głównych redaktorów był Piotr Kropotkin) a drugi z polskojęzycznego ***Głosu Rewolucyjnego***.

Przywrócono tortury

W marcu 1906 roku w gazecie „Ruś" (Nr 44, 2.(15.) marca) został opublikowany list profesora Baudoiane de Courtoine w którym mówi się o tym, że funkcjonariusz Grin, osobiście oddelegowany do Warszawy przez ministra Durnowo i posiadający specjalne pełnomocnictwa, torturował w więzieniu aresztowanych, bestialsko się nad nimi katując. Jakiś czas później, rosyjskie gazety pisały, iż warszawski prokurator rozpoczął śledztwo wobec Grina oraz dziesięciu jeszcze tajniaków „stosujących tortury wobec więźniów". Oczywiście nic z tego śledztwa nie wyszło.

Drukujemy poniższe pismo autorstwa jednego z tychże samych towarzyszy torturowanych przez Grina i jego tajniaków. Zdumieją się czytelnicy do jakiej nikczemności i podłości zdolne są władze Mikołaja II:

Z Warszawy.

Chciałbym by nasi towarzysze dowiedzieli się jak przedstawiało się nasze aresztowanie i jak nas traktowali, by cokolwiek z nas wydobyć. Czy wszystko to stało się na wskutek prowokacji, czy też zawiniła nasza własna nieostrożność, nie mogę w tym momencie jeszcze nic powiedzieć. Już trzy miesiące o tym rozmyślam lecz nie znajduję odpowiedzi. Teraz chciałbym opisać wszystko dokładnie.

31. grudnia (nowej daty) za dnia, przez patrol dowodzony przez podporucznika żandarmerii aresztowani zostali dwaj nasi towarzysze, Karol Skurza i Ignac Kornwejs, mający przy sobie bomby. Gdy doprowadzono ich do cyrkułu, podporucznik rozkazał ich bić by powiedzieli skąd mają te bomby. Dzień później, gdy ujrzałem ich w kancelarii cyrkułu, nie poznałem ich. Byli straszliwie pobici, twarze poszarpane, a Karolowi Skurzy to w ogóle jedno oko wybili. Już tej samej nocy, po ich areszcie, ten sam podporucznik przeprowadził rewizję (przeszukanie) w konspiracyjnym mieszkaniu naszej grupy. Tejże nocy nocowali tam Salomon Rozencwajg, Abraham Rotkopf (z Łodzi), Jankiel Pfefer oraz syn właścicielki mieszkania, Lejba Kryształ. W mieszkaniu znaleziono tekst z naszą pieczęcią oraz niewielką ilość czcionek drukarskich. Podczas przeszukania Jankiel Pfefer, będący właścicielem naszego drugiego konspiracyjnego mieszkania, stracił głowę na tyle, że podał swój adres. Tam znaleziono 21 bomb, 2 miny oraz dynamit. Także w tym drugim mieszkaniu nocowali tego wieczoru niektórzy z naszych towarzyszy, zostali jednak uprzedzeni w porę i udało im się uciec.

Jednak w mieszkaniu jednego z aresztowanych w pierwszym domu,

zostali złapani Jakub Goldsztejn, Lejba Furcajg oraz jedna jeszcze towarzyszka. Znaleziono tam tylko 2 rewolwery. Tak więc, wszyscy spotkaliśmy się tej nocy w 3. cyrkule. Na drugi dzień pojawili się tajniacy wraz ze swym szefem Grinem by przeprowadzić przesłuchanie. Oczywiście nikt z nas na pytania nie odpowiadał. Wtedy zaczęli bić Pfefera, a potem posadzili go w oddzielnym pokoju. W cyrkule nie mogliśmy rozmawiać jeden z drugim jako, iż pilnowali nas żołnierze którym rozkazano „puścić w ruch bagnety" jak tylko zaczniemy między sobą gadać. Jeden z towarzyszy chciał tylko zagadnąć i „przykładowo" dźgnęli go parę razy. Tej samej nocy przyszło mi ujrzeć Pfefera znów, skatowanego nie do poznania. Mnie samego najpierw znowu obszukali a potem zaczęli raz jeszcze przesłuchiwać, lecz jako, że wciąż milczałem zostawili mnie w spokoju.

1. stycznia (nowej daty) 1906 roku, około północy przewieźli nas zamkniętą karetą więzienną na komisariat policji. Eskortował nas trzyosobowy konwój: jeden w środku, drugi jechał konno a trzeci szedł pieszo. Prystaw pokazując na nas palcem zwrócił się do żołnierza który siedział z nami w karecie mówiąc: „Przekazuję ich pod waszą odpowiedzialność. Nie powinni gadać między sobą, a w przeciwnym zwyczaju możecie użyć bagnetu."

Gdy wprowadzili nas do kancelarii, ujrzałem tam także towarzysza Izaaka Szapiro okrążonego żołnierzami. Zaraz potem porozsadzali nas w celach-pojedynkach i do każdego z nas odkomenderowali po policjancie. Zaczęło się znowu bicie. Siedziałem blisko całej reszty a więc słyszeć mogłem jęki wszystkich moich towarzyszy. Wszystko to doprowadziło mnie do takiego stanu, iż prawie co bym zwariował. Było to jeszcze bardziej przerażające niż to co stało się później. Przyszła kolej na mnie. Jak można zrozumieć, także mnie bili okrutnie...Torturowali nas tak przez kilka godzin.

Następnego dnia pojawił się podporucznik który nas aresztował i znowu zaczęli nas przesłuchiwać...Ciągnęło się to przez 5 dni: nocami nas bili a w ciągu dnia przesłuchiwali. Straszliwe to było. Na przykład Pfefer był do tego stopnia pobity, że spuchł cały, a na Abrahama Rotkopfa aż strach było patrzeć. Wszyscy byłyśmy okaleczeni do niepoznawalności. Jednemu wybili oczy. Słów mi brak by opisać całą tą zgrozę. Doprowadzili nas do stanu nieświadomości, byliśmy wszyscy jakby obłąkani, ja sam nie wiedziałem już co się ze mną dzieje. Podczas wszystkich tych przesłuchań nic nie jadłem ani nie spałem. Reszta to samo. Ostatniej nocy po przesłuchaniu zwaliłem się na podłogę o od razu zacząłem drzemać ale mnie obudzili i z powrotem zaczęli przesłuchiwać. Powtórzyło się to kilkakrotnie. Od uderzeń w twarz szczęka strasznie bolała i jeszcze długo po tym nie byłem w stanie jeść. Po przesłuchaniach pakowali nas do tych brudnych cel pojedynczych, nie dając nam ani bielizny ani jadła.W korytarzu stało pilnując nas 8 policjantów.

Jeszcze na przesłuchaniach powiedzieli nam, iż zostaniemy oddani pod sąd wojenno-polowy, to znaczy rozstrzelani. Kilka dni później aresztowano towarzyszy Fiszela Grojmana oraz Kubę Igalsona, który został ranny podczas ekspropriacji, w której także brał udział, lecz zginął na miejscu Ignac Rasziner. Grojmana torturowali tak, że oszalał, między innymi starali mu się powyrywać zęby szczypcami. Później, aresztowano jeszcze Mojsze Pugacza (Mojsze Tokarz Drugi) i Simchę Mendelewskiego (Pinia). Jako, że Mendelewski był anarchistą, aresztowali wraz z nim jego brata, który przesiedział potem w więzieniu 4 miesiące. Simcha niczego nie chciał im powiedzieć. Skatowali go straszliwie. Sześć razy kładli go na stół a stójkowy który pomagał w biciu tajniakom połamał na nim szablę. Simcha tracił przytomność, dawali mu trochę wody a jak dochodził do siebie to bili z powrotem. Pugacza pobili tak, że nie mógł się ruszać.

W domu Ignaca Kornbauma znaleźli notatkę/rachunek i aresztowali jego matkę, 60-letnią staruszkę. Także ją bili żeby wydobyć od niej zeznania ale nie wiedziała o niczym. Przesiedziała w więzieniu kilka miesięcy.

Przyszli przeszukać mieszkanie jednego z towarzyszy a nie zastając jego samego w domu zabrali ojca, starszego człowieka, mającego na głowie dużą rodzinę. Trzymali go w więzieniu przez 4 miesiące a rodzina głodowała. Wraz z ojcem aresztowali jeszcze 15-letniego brata, siedzieli więc razem. Oprócz tego wpadły tam jeszcze inne niewinne osoby: dozorca, jeden szewc i jedna kobieta. Także oni przesiedzieli 4 miesiące.

15. stycznia przewieziono do Cytadeli 9 towarzyszy którzy 17. stycznia na rozkaz Skałona zostali rozstrzelani bez sądu: Salomona Rozencwajga, Goldsztejna, Chaima Ryfkinda (aresztowano go wcześniej i przyznał się, że jest anarchistą), Lejbę Furcajga, Lejbę Kryształa (nie był on anarchistą, był niewinny a wzięli go jedynie za to, że jego matka była właścicielką mieszkania gdzie spotykali się anarchiści), Pfefera (Zimerdikera), Szlomę Szajera (zwanego „Narodowcem"), Karola Skurzę, Ignaca Kornbauma i Izaka Szpiro. Resztę aresztowanych póki co wypuścili myśląc, że śledząc ich uda się złapać pozostałych towarzyszy z grupy. Nie było jednak więcej aresztów.

26. stycznia zostali rozstrzelani, znów bez żadnego sądu: Moszke Pugacz („Mojsze Tokarz Drugi"), Simcha Mendelewski („Pinie"), Grojman, Kuba Igalson oraz Izrael Blumenfeld („Lodzer').

Wszystko co wiem opisałem. Straszny ten obraz pozostanie na wieczność w mym sercu. Kto to przeżył nigdy nie zapomni. Ale tym co nie widzieli tego na własne oczy, trudno jest przekazać całą tą zgrozę. (10)

Pamięci naszych 16 rozstrzelanych towarzyszy

Styczeń 1905 r. Miesiąc postrachu dla tyranów i burżuazji. Początek wielkiej rewolucji rosyjskiej, która przejęła postrachem i drżeniem całe kapitalistyczne społeczeństwo.

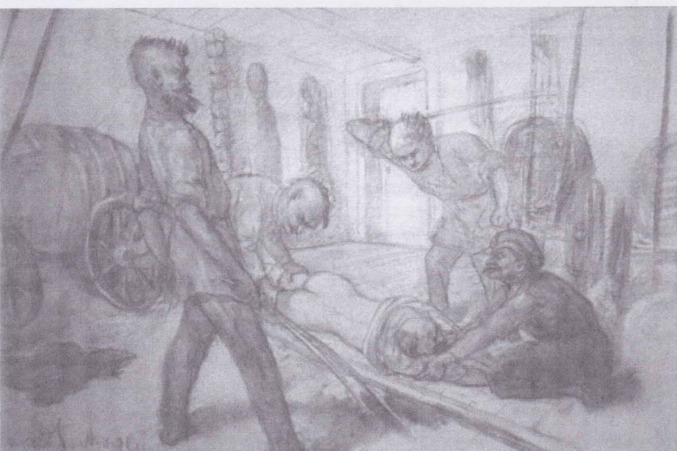
Styczeń 1906 r. Początek rewolucyjnej walki anarchizmu.

Z pamięcią na dnie styczniowe wstępujemy do krwawego boju z burżuazjom - przeciw tyranom!

Robotnicy, w styczniu 1905 roku rząd wyzwał was do walki na śmierć i życie.

Zaś w styczniu 1906 roku wyzwała was burżuazja do otwartej walki na śmierć i życie!

„Dla takich szubrawców jak anarchiści, sądu nie potrzeba, rozstrzelać ich jak psów"- zawołała burżuazja przez usta kata Polski, Skałona.



W tejże samej chwili wyrwał się z piersi tysięcy robotników okrzyk: „Dla takich zwierząt jak burżuazja, sądu nie potrzeba - śmierć im wszystkim!"

W niedziele wieczorem dnia 19. grudnia 1905 r. aresztowano naszych towarzyszy; nazajutrz zaś prasa burżuazyjna doniosła z radością, że tej nocy aresztowano „Warszawską grupę anarchistów" (Międzynarodówkę), których oskarżono o fabrykowanie i rzucanie bomb, jak również o propagowanie anarchizmu i jednocześnie żądała stracenia ich.

Wtedy to ze szpalt tej prasy poczęło się zwalczanie anarchizmu. Jedna burżuazyjna gazeta pisała: „Anarchizm trzeba doszczętnie wyplenić!"

"Trzeba anarchizm z korzeniem wyrwać" - podchwyciła druga.

"Musimy zorganizować miejską milicję do zwalczania anarchistami"- radziła trzecia.

Ta sama burżuazyjna prasa, która protestowała przeciwko wyrokowi na lejtnanta Szmidta, ci sami obłudnicy, którzy przelewali krokodylowe łzy z powodu sprawy Spirydonówny, sami żądali śmierci dla naszych towarzyszy.

Pamiętajcie więc robotnicy! Zachowajcie to sobie dobrze w waszej pamięci. „Burżuazja żądała śmierci waszych braci, którzy wskazali wam drogę pozbycia się swojej niewoli i cierpień."

„Śmierć robotnikom, którzy nie zgadzają się z waszym wyzyskiem i legalnym rozbojem" - tryumfowała burżuazja.

„Dobrze" - odpowiadamy, niechaj będzie śmierć, niechaj śmierć będzie najlepszym argumentem w walce z burżuazją! My nie potrzebujemy lepszej logiki w walce z burżuazją i jej sługami.

Nie zadowolili się dzicy lokaje burżuazji tym, że się zabija naszych towarzyszy, lecz poddawano ich jeszcze strasznym torturom. Towarzyszom naszym wyrywano włosy z głowy i wybijano zęby. Z wybitym okiem stanął towarzysz Salomon Rozencwajg do drugiego przesłuchania. Na noszach wynosili okrutnicy naszych towarzyszy z „Ochrannoje oddielenie."

4. stycznia rano wystawiono pięć słupów na podwórzu Warszawskiej Cytadeli i wyprowadzono naszych towarzyszy związanych, ustawiono ich koło grobów świeżo już dla nich wykopanych.

Jakub Goldsztejn (Kamaszenmacher) robotnik liczący 22 lat, przemówił do żołnierzy: „Bracia żołnierze! Was wyznaczono do rozstrzelenia waszych nieprzyjaciół i wrogów ojczyzny. Mówiono wam, że jesteśmy buntownikami-anarchistami. Bracia, wiecie wy kto my jesteśmy? Czego my chcemy? O za co nas rozstrzelają? My jesteśmy dziećmi wielomilionowej rzeszy proletariuszy, żyjących wiecznie w głodzie i chłodzie. Od setek lat męczą nas kaci i tyrani, od setek lat wysysają nas i ograbiają fabrykanci! Nie chcieliśmy więc być dłużej niewolnikami! Zrozumieliśmy nareszcie, że by wyzwolić się z odwiecznej niewoli, musimy z bronią w ręku wystąpić przeciwko całemu burżuazyjnemu społeczeństwu, by je zniszczyć. Te idee nieśliśmy robotniczej masie wołając ją do walki za wolne społeczeństwo! Żołnierze, dzieci nieszczęśliwych, cierpiących proletariuszy, nie przykładajcie ręki do naszego zamordowania, bo umieramy za wolność ludu roboczego! Niech żyje anarchia!"

Dziesięciu żołnierzy opuściło swoje karabiny. W tej to chwili pozdrowili ich nasi towarzysze okrzykiem: „Niech żyją nasi bracia żołnierze!" i rozległ się hymn Carmagnole. Salwa przerwała ich ostatni śpiew. Pięciu towarzyszy padło trupem.

Drugiego dnia rano t.j. 5 stycznia, mieli kaci znowu pracę.

Na dziedziniec cytadeli wyprowadzono znowu sześciu towarzyszy, między nimi był nasz towarzysz Chaim Ryfkind („Wiktor"). Aresztowano go na ulicy Dzikiej, w dwa dni po ogłoszeniu manifestu październikowego, za rozdzielanie ulotek rewolucyjnych pieśni i za agitację między żołnierzami.

W więzieniu przez dwa tygodnie nie chciał wyjawić swojego nazwiska, nazywał się tylko anarchistą-komunistą. Raz był już skazany na 4 lata ciężkich robót. Gdy więc go kaci dostali powtórnie w swoje ręce, oskarżyli go o to, iż i on należał do tej grupy która rzuciła bombę na hotel Bristol. Oskarżyli go o to pomimo tego, że przed tym wypadkiem, siedział w więzieniu od kilku tygodni. Kaci wciągnęli go do ogólnego procesu, by jako tako upozorować zbrodnię jego niewinnej śmierci.

Bracia! Burżuazja jest konsekwentną. Ona robi odpowiedzialnymi wszystkich anarchistów za każdy popełniony czyn. My na to odpowiadamy: tak samo i my was uważamy za jedną solidarną bandę i robimy całą burżuazję odpowiedzialną za każdą przez was popełnioną zbrodnię.

Robotnicy, nie rozdzielajcie burżujów na złych i dobrych, każdy burżuj jest odpowiedzialny swoim życiem za zbrodnie społeczeństwa, które on pochwala.

Gdy kaci pytali naszego tow. Wiktora jakie ma zatrudnienie, to odpowiedział im, iż zajmuje się przygotowaniem bomb na burżuazję. Odważny w życiu, był nim też i w śmierci. Umarł ze słowami: „Śmierć katom, niech żyje anarchia!"

Ostatni akt krwawego dramatu rozegrał się 28. stycznia. Dnia tego rozstrzelano ostatnich pięciu towarzyszy. Między nimi był też powszechnie lubiany tow. Kuba Igalson, uczeń 7 klasy gimnazjum.

Nie staje nam słów by opisać szlachetną osobistość tego towarzysza. Blada, wychudła twarz, z bystrymi oczyma, bujne czarne włosy oto jego zewnętrzny opis. Gdy przemawiał do cierpiących, o ich niedoli, głodzie, niewoli, porywał tak robotników, że trudno było uwierzyć, że nie pochodzi on z klasy robotniczej.

Aresztowano go przy grupowej ekspropriacji w kantorze Haberbusz i Sziler. Gdy towarzysze nasi już mieli w rękach 2000 rubli, wszedł przez tylne drzwi kantoru inkasent - równocześnie szpicel przy warszawskiej policji - i strzelił trzy razy, zabijając towarzysza Ignacego i raniąc jednocześnie towarzysza Kubę. Aresztowano go z kulą w piersiach.

Po trzykroć prosili go adwokaci by zeznał, iż pieniądze chciał zabrać dla siebie i jest zwykłym złodziejem. Uśmiechnął się gorzko, oświadczając, że jest anarchistą, iż robił ekspropriację po to by mieć środki do rozszerzania swoich ideałów.

Pod szafotem przemówił w te słowa do lekarzy: „Panowie lekarze! Wy którzyście doszli do waszego stanowiska kosztem proletariatu, wy przedstawiciele wiedzy i nauki, jeżeli jeszcze nie zagasła w was ostatnia iskra godności ludzkiej, to nie bądźcie świadkami tego brutalnego mordu!"

Z obecnych lekarzy trzech natychmiast opuściło swe miejsca.

Ze słowami: „Ciało nasze zabijecie, lecz świętego zapału nigdy!", z okrzykiem: „Niech żyje anarchia!," padł.

Bracia robotnicy! Jeśli świętą wam jest pamięć poległych towarzyszy, to prowadźcie dalej walkę przeciw burżuazji i tyranom!

Podnieście razem z nami anarchistami czarny, rewolucyjny sztandar z krwawym napisem:

Carowi i jego sługom śmierć!

Burżuazji i fabrykantom śmierć!

Ciemnym jezuitom i inkwizytorom śmierć!

Czcijcie pamięć naszych poległych towarzyszy, pierwszych ofiar socjalnej rewolucji!

Niech żyje anarchia!"(11)

4. Zakończenie

Jeśli chodzi o dwie anarchistki którym wyrok śmierci zmieniono na zesłanie, zachowały się drobne wzmianki tylko o jednej z nich, pochodzącej z Łodzi, tak jak jej stracony brat Abraham, Sarze „Stefie" Rotkopf. „Stefa" Rotkopf spędziła około 2 lat w syberyjskim więzieniu dla kobiet zwanym Malcewka, należącym do kompleksu więzień katorżniczych w rejonie Nierczyńska, przy granicy mongolskiej. Siedziało tam wiele słynnych eserek i anarchistek (np. Fania Kaplan która później, w 1918, strzelała do Lenina), a jej nazwisko pojawia się we wspomnieniach niektórych z nich (12). Już w 1908 r. wypuszczono ją i przewieziono na zesłanie. Nie udało się ustalić jej dalszych losów, a o drugiej z warszawianek, Chaji Flatto, nie wiemy zupełnie nic.

Śmierć szesnastu warszawskich anarchistów odbiła się szerokim echem we wszystkich zakątkach Rosji. Anarchiści pamiętali o swoich straconych towarzyszach, po prostu kontynuując walkę przeciw policji i państwu, podczas gdy tzw. „akcje solidarnościowe", typowe dla naszych czasów, były raczej rzadkością. Jedyną znaną nam akcją bojową będącą bezpośrednim odwetem za stracenie członków *Międzynarodówki* było rzucenie bomby w komisariat policji w Odessie:

„Wtedy też w Odessie stało się wiadomym stracenie anarchistów w Warszawie. Na początku stycznia 1906 r. 16 rozstrzelano warszawskich anarchistów (wśród nich trzech było niepełnoletnimi w wieku 17-18 lat). W gazetach pojawiła się informacja, że rybacy wyłowili z Wisły kilka zdeformowanych ciał należących do straconych, których twarze oblane były smołą. Ten wyrok bez sądu wyzwał oburzenie w całym imperium.

9. stycznia 1906 roku (a więc w rocznicę rozstrzału robotników w Petersburgu) członek bojówki, Dawid Agranat, chcąc zemścić się za „warszawiaków" i za „krwawą niedzielę", rzucił bombę w miejski posterunek policji i został aresztowany na miejscu. W jego mieszkaniu znaleziono materiały wybuchowe, 27 powłok do bomb i jeszcze jedną gotową bombę." (13)

Niestety nie wiemy jaki los spotkał anarchistę Dawida Agranata.

Przypisy:

(1) H. Rappaport, *Anarchizm i anarchiści na ziemiach polskich do 1914 r.*, Warszawa 1981;
(2) Ibid. s. 24-25;
(3) Ibid s. 26;
(4). Andriej Markgrafski długo już nie pożył. 20. czerwca 1906 roku na dworcu w Otwocku przywitały go kule bojówkarzy *PPS*-u;
(5) H. Rappaport, *Anarchizm i anarchiści...*, Warszawa 1981, s. 26-27
(6) Ibid. s. 27-28;
(7) Ibid. s. 33-34;
(8) Tzn. bez sądu;
(9) Феликс Моисеевич Лурье. *Полицейские и провокаторы: Политический сыск в России. 1649-1917.* СПб.: Час Пик, 1992, s. 123;
(10) *Listki Chleb i Wolja. Organ anarchistów-komunistów*, Nr 3 (Londyn, 28. 11. 1906), s. 4-5;
(11) *Głos Rewolucyjny. Organ Anarchistów-Komunistów*, Nr.1, Warszawa, 15. października 1906, s. 11-12. Skrócona wersja tego samego artykułu ukazała się później po rosyjsku w *Burewjestnik. Organ Rosyjskich Anarchistów-Komunistów*, Nr.5, 30. Kwiecień 1907, Paryż. s..12;
(12) Радзиловская Ф., Орестова Л. Мальцевская женская каторга 1907-1911гг. // Женщины-террористки в России. Бескорыстные убийцы. Ростов-н-Д, Феникс, 1996;
Деркач Надежда Яковлевна, По этапам и тюрьмам. М., 1930;
(13) *Анархістський рух в Одесі (1903-1916 рр)* Савченко В. А. , Одеса, Друкарський дім 2014 , s. 98.



Sport, zdrowie, antyfaszyzm...

FORZA CLAPTON!



Wstęp

Nigdy jakimś szczególnym kibicem piłki nożnej nie byłem. Od dziecka fascynował mnie żużel, a dwa miejscowe kluby piłkarskie służyły raczej do upustu testosteronu miejscowym prymitywom, niż do radowania się piłkarskimi wyczynami. Kilkanaście lat temu, po przybyciu do miejsca narodzin futbolu, moje kontakty z piłką dalej ograniczały się jedynie do oglądania meczów w telewizji. Jako, że mieszkałem w stolicy, to na ilość i jakość lokalnych klubów piłkarskich nie mogłem narzekać. Większość znajomych z roboty kibicowała którejś z wielkich gwiazd; czy to *Chelsea*, czy *Arsenal*-owi. U mnie padło na *West Ham* - może dlatego, iż klub miał zawsze mocno klasowe korzenie, a może dlatego, że zawsze pozytywnie kojarzył mi się poprzez piosenki ***Cockney Rejects*** czy ***The Business***. Poza tym, ode mnie, do Boleyn Ground mam 10 minut na nogach. Na mecze *West Ham* chodziliśmy w parę osób, głównie z Polski, którym idee antyfaszystowskie i wolnościowe zawsze były bliskie. Niestety, klimat na stadionie mocno mnie rozczarował. Bardziej przypominało to wizytę w teatrze bądź operze, gdzie półtorej godziny masz grzecznie wysiedzieć na plastikowym krzesełku. Było śpiewane *Forever blowing Bubbles* na rozpoczęcie meczu, jakieś tam piosenki leciały z trybun, ale to maksimum na co mogą sobie pozwolić kibice na brytyjskich stadionach. Wywieszenie flagi czy jakakolwiek oprawa meczu jest szybko likwidowana przez profesjonalną ochronę, za to komercyjnych reklam mamy pod dostatkiem. Do tego dochodzą astronomiczne ceny biletów i mamy pełen obraz meczów *Premier League*, czy szerzej *modern football*. Na szczęście jakieś 3 lata temu doszły do mnie słuchy, iż grupa londyńskich punków zaczęła kibicować jakiejś lokalnej drużynie piłkarskiej we wschodnim Londynie. Chodzą na mecze, bezceremonialnie piją *Tyskie* na „trybunach", drą gębę co niemiara i mają wywieszony banner ***Punk Football Clapton FC***. Czego więcej mogłem chcieć. I co ciekawe, ich stadion jest również 10 minut drogi ode mnie. Tak się zaczęła moja przygoda z ***Clapton FC***.

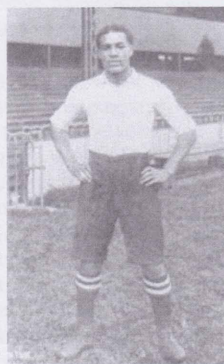
Historia

Kiedy pierwszy raz postanowiłem zawitać na Old Spotted Dog muszę przyznać, że nie było łatwo znaleźć stadion. Brama wejściowa ukryta jest pomiędzy na wpół zrujnowanymi warsztatami samochodowymi a starymi budynkami, parę minut drogi od *West Ham Park*. Jeszcze wtedy nie było setek wlepek z całego świata, ani wrzutów na ścianach pomagających odnaleźć drogę na stadion. Stadion to też dużo powiedziane. Po przejściu przez bramki widzimy murawę, gdzie po lewej, na wprost wejścia, jest jedna zadaszona trybuna z krzesełkami dla gości, a dokładnie po drugiej stronie, wiata zbudowana z rusztowania i gruzowisko dla gospodarzy. W tym momencie musimy przybliżyć troszeczkę historię ***Tonsów*** jak to mówią na ***Clapton FC***, gdyż jest ona bardzo bogata, jak na klub który gra w tutejszej okręgówce, jaką jest *Essex Senior League*.

W sierpniu 1877 roku, grupka mężczyzn przy Queensdown Road, w dzielnicy Clapton, założyła klub piłkarski o nazwie *Downs FC*, który grał na okolicznych terenach Hackney Downs. Rok później, klub zmienił nazwę na ***Clapton Football Club*** i od tego (1878) roku oficjalnie datowane jest jego powstanie. W 1880 roku klub przenosi się na północ, do dzielnicy Leyton, by po krótkim czasie chwilę pograć na Pilgrims Farm w dzielnicy Walthamstow, a od 29. września 1888 roku osiąść już na stałe na Old Spoted Dog w Forest Gate. W ten dzień odbył się pierwszy mecz ***Tonsów*** na własnym stadionie, przeciwko *Old Carthusians*, który gospodarze wygrali 1:0, przy tłumie publiki przekraczającej 4000 głów. Zmieniły się też barwy klubu, z pierwotnie ciemno niebieskich koszulek opatrzonych białym krzyżem maltańskim na piersi i białych spodenek, na biało czerwone pasiaki z herbem dzielnicy Newham na piersi i czarnego koloru spodenkami. Od tego momentu Old Spotted Dog stał się miejscem szczególnym na mapie londyńskiego East Endu i mocno zakorzenił się w lokalnej robotniczej kulturze. Pierwsi zawodnicy ***Tonsów*** nierzadko, jak w przypadku innych nowopowstałych klubów piłkarskich tamtych czasów, rekrutowali się bezpośrednio spośród kibiców. Od tego czasu ***Clapton FC*** zdobył wiele nagród w rozgrywkach ligowych, pucharach, a co ważne, był pierwszym w historii angielskim klubem grającym na kontynencie, gdzie zmierzyli się z drużyną *Belgium XI* w Antwerpii w 1890 roku i wygrali spektakularnym wynikiem 8:1.

Relacje jakie łączą ***Clapton FC*** i jego młodszego i o wiele bardziej znanego brata z dzielnicy, czyli *West Ham United FC* też są dosyć ciekawe. Oficjalnie *West Ham* został zarejestrowany w 1895 roku pod nazwą *Thames Ironworks FC*, czyli siedem lat później niż klub ***Tonsów***. Od 1900 roku występujący już pod pełną nazwą *West Ham United Football Club* bardzo często gościł na Old Spotted Dog. Kluby spotykały się jako rywale (w towarzyskich meczach i pucharowych rozgrywkach), ale murawa ***Tonsów*** była często wykorzystywana przez *West Ham*, do rozgrywania młodzieżowych meczów i niektórych ligowych, gdzie pojawiały się takie gwiazdy „młotów" jak Bobby Moore czy Geoff Hurst, a mecze oglądało kilka tysięcy osób. Zawodnicy zaczynający karierę w ***Clapton FC*** często kończyli jako profesjonalni gracze w szeregach *hammersów*. Ostatni mecz *West Ham United* na stadionie *claptonsów* odbył się w sierpniu 1990 roku. Młodszy, bardziej profesjonalny brat, zazwyczaj mecze przeciwko ***Tonsom*** kończył zwycięsko, a jedyna wygrana ***Clapton FC*** przeciwko *West Ham United* nastąpiła podczas memoriału Lee Rackett'a 14. sierpnia 1984 roku, gdzie remis 3:3 zakończył się wygraną w rzutach karnych 7:6 dla gospodarzy Old Spotted Dog. Przyjacielskie stosunki pomiędzy dwoma klubami objawiały się również tym, że *West Ham* zapraszał ***Tonsów*** na swoją profesjonalną murawę, gdzie rozgrywali swoje mecze pucharowe.

Walter Tull



Do historycznych ciekawostek, świadczących o pewnej wyjątkowości ***Clapton FC*** należy przygoda z klubem **Waltera Tull'a**. Walter urodził się w Folkestone, w hrabstwie Kent, 28. kwietnia 1888 roku. Był synem cieśli - Daniela Tull'a, potomka niewolników z Barbados i angielki Alice E. Palmer. Po śmierci rodziców, Walter wraz z bratem Edwardem trafia do londyńskiego sierocińca w dzielnicy Bethnal Green. Jego brat został adoptowany przez rodzinę z Glasgow i został pierwszym oficjalnie zarejestrowanym czarnoskórym dentystą w Wielkiej Brytanii. Natomiast następny udokumentowany ślad z życia Waltera to wejście w skład drużyny ***Clapton FC*** w 1908 roku. Było to odkrycie sezonu. Walter grał na pozycji pomocnika i dzięki jego wysiłkom drużyna zdobyła w sezonie 1908/09 dwa puchary (*FA Amateur Cup* i *London Senior Cup*) czyniąc go pierwszym w historii brytyjskiego futbolu czarnoskórym piłkarzem - zdobywcą medalu. **Tull** został wkrótce dostrzeżony i odkupiony przez londyński *Tottenham Spurs*, a dwa lata później trafił do klubu *Northampton Town FC*. Podczas swojej kariery, **Walter Tull** spotkał się z rasistowskimi zachowaniami wśród kibiców drużyn przeciwnych, z czego udokumentowanym przypadkiem są wyzwiska rzucane wobec niego przez kibiców *Bristol City* i opisane przez gazetę piłkarską *Football Star*. Był to prawdopodobnie również jeden z pierwszych niechlubnych zachowań tego typu w brytyjskiej piłce nożnej. Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, Walter trafił do słynnego *Batalionu Piłkarzy* z Middlesex (w rzeczywistości 17. i 23. batalion stworzony głównie z piłkarzy i kibiców). W wojsku został sierżantem i walczył w bitwie pod Sommą w 1916 roku. Znany był wśród kolegów z odwagi i dobroci. Zginął 25. marca 1918 roku podczas wiosennej ofensywy we Francji w stopniu podporucznika. **Walter Tull** jest postacią szczególną dla współczesnych kibiców ***Clapton FC*** oraz darzoną wielkim szacunkiem. Często podczas meczów zobaczyć można banner - memorandum dla **Waltera Tull'a**, a na mieście wlepki zrobione przez ultrasów z jego podobizną.

Forza Clapton!!!

Rok 2013, jak już wcześniej wspomniałem, był zarówno dla klubu jak i dla mnie przełomowym okresem. Wchodząc niepewnie po raz pierwszy na stadion, kierując się w stronę rusztowania, gdzie około 20-30 osób wywiesza flagi i bannery, ogarnia mnie wewnętrzna radość. Nawet nie z tego, że jednym z większych bannerów był ten z napisem ***Clapton FC*** zawierający logo piwa *Tyskie* (wbrew powszechnym opiniom, *Tyskie* nigdy nie było sponsorem ***Tonsów***, a samo logo bez pytania wrzucili kibice, lubiący spijać polskiego sikacza), lecz z tego, iż na rusztowaniu zawisły antyfaszystowskie i anarchistyczne flagi. Pewniejszym już krokiem wchodzę na rusztowanie i uśmiechami wita mnie parę znajomych twarzy. Są tam punki z irokezami, łyse głowy skinheadów, czy zupełnie nie wyróżniające się ubiorem postacie w różnym wieku i o różnym kolorze skóry. Dowiedziałem się, że rusztowanie pod którym stoimy i sączymy piwo oglądając mecz, jest dla kibiców pewnym symbolem i powodem do dumy. ***Scaffold Brigada*** (*scaffold* - z ang.

rusztowanie), bo tak się nazwała pierwsza grupa ultrasów zbierająca się co mecz pod rusztowaniem. Świetnie to oddaje ducha jaki tam zastałem; kilkadziesiąt osób bezceremonialnie pije przyniesione przez siebie browary, pali jointy, śpiewa i krzyczy wspierając swoją drużynę. Wszystko to w robotniczej dzielnicy, w na wpół zrujnowanym i zapomnianym przez wszystkich stadionie. Ta niesamowita atmosfera i otwartość na wszystkich, którzy chcą spędzić popołudnie oglądając piłkę i dobrze się bawić nie wydając przy tym fortuny, stała się kluczem do sukcesu ***Clapton FC***. Jednym z ważniejszych haseł głoszonych przez kibiców ***Tonsów*** jest ***Against Modern Football*** - czyli znana z innych europejskich stadionów kwestia autorytarnie zarządzanej i komercyjnej formy futbolu. Kibice chcą sami współtworzyć klub wraz z drużyną i sami decydować o jego rozwoju, inwestycjach czy cenach biletów. ***Clapton Ultras*** od samego początku określali się jako polityczni i społeczni kibice. Każdy jest mile widziany na trybunach, o ile nie prezentuje rasistowskiej, homofobicznej czy seksistowskiej postawy. Lecz to nie wszystko. ***Clapton Ultras***, jako grupa zaangażowana społecznie, przyniosła na stadion aktywizm i pokazała, iż każdy może dać coś od siebie. Regularnie zaczęto robić zbiórki żywności (tzw. *food banks*) na konkretne cele - dla bezdomnych, dla uchodźców (*Newham Refugee & Migrant Project - RAMP*) czy dla ubogich rodzin. Zbierano pieniądze i wyprawki szkolne dla ubogich dzieci z Forest Gate. Kibice wspierają również od początku kampanię samotnych matek z północno-wschodniego Londynu pod nazwą *Focus E15* - duża delegacja kibiców była na demonstracji w dzielnicy Stratford, organizowanej przeciwko polityce mieszkaniowej polegającej na likwidacji mieszkań socjalnych i zastępowania ich drogimi apartamentowcami. Również przy każdej okazji, gdzie potrzebne są akcje solidarnościowe czy to z więzionymi antyfaszystami i anarchistami, czy przeciwko homofobii i faszyzmowi, zawsze można liczyć na odpowiednią oprawę kibiców ***Clapton***. Oprawy również są na wysokim poziomie: race, flagi, coraz to nowe bannery czy przyśpiewki, świadczą o niesamowitym zaangażowaniu jakie kibice wnoszą na stadion. O tym, jak sytuacja w ciągu 2-3 lat się zmieniła, świadczy ilość kibiców odwiedzających Old Spotted Dog. Gdzie w sezonie 2013/2014 z kilkudziesięciu osób zrobiła się setka, która w miarę regularnie chodziła na mecze, to już sezon 2015/2016 pobił wszelkie rekordy. Na meczu u siebie, gdzie ***Clapton*** podejmował rywali *Ilford FC*, oficjalnie zarejestrowano 761 kibiców, nie licząc dzieci i tych co dotarli na drugą połowę, co jest niebywałym sukcesem i ewenementem w całej *Essex Senior League*, jak i w skali wszystkich drużyn okręgowych w UK. Regularnie na meczach u siebie pojawia się teraz 200-300 osób, co świadczy o 10-krotnym wzroście zainteresowania klubem w ciągu dwóch lat. Ultrasi oprócz oprawy również wytwarzają własne szaliki, koszulki, bluzy, wlepki, wszystko pokropione antyfaszystowskim sosem. Od niedawna kibice tworzą również swojego zina, zarówno w wersji papierowej jak i elektronicznej, o nazwie ***Red Menance***. Na niesamowity koloryt kibiców uczęszczających na mecze ***Clapton FC*** wpływa ich różnorodność płciowa, rasowa czy narodowościowa. Po Anglikach, Polacy byli pierwszą z ekip, która wspólnie zaczęła spotykać się na *scaffoldzie*. Niedługo później zaczęli pojawiać się Hiszpanie i Włosi. Ekipa z Włoch - znana dzisiaj jako ***Brigata Italiana*** - jest najbardziej liczną i widoczną ekipą imigrantów udzielających się na stadionie. Ich oprawy, energia i siła którą wnieśli, jest niesamowitym przykładem świetnej organizacji i ducha kibicowania ludzi, którzy traktują swój klub jak swój dom. Obecnie ***Clapton*** posiada niedawno powołaną, w głównej mierze przez Polaków - ***East Euro Crew***, a także kibiców z Walii znanych jako ***Welsh Brigade***, czy grupę z dzielnicy Walthamstow - ***E17 Brigada Roja***.

Na trybunach, pośród całej różnorodności ludzi, można ciągle wypatrzyć kilku oryginalnych kibiców z ubiegłego wieku. Nietuzinkową postacią wśród nich jest zdecydowanie Ian Simpson, który swój pierwszy mecz jako kibic Tonsów oglądał w 1957 roku. Rodzice Iana byli współzałożycielami ***The Clapton Supporters Club***, a jego rodzina od pięciu pokoleń przychodzi wspierać swoją drużynę. Ian, w wywiadzie jaki udzielił dla zina ***Red Menance***, nie ukrywa szczęścia jakim jest dla niego powrót kibiców ***Clapton*** na trybuny w 2013. Atmosfera tworzona przez współczesnych ultrasów jest zdecydowanie inna od tej z ubiegłego stulecia, lecz Ian odnajduje się w niej świetnie i nie szczędzi głosu śpiewając współczesne przyśpiewki z młodymi kibicami na Old Spotted Dog.

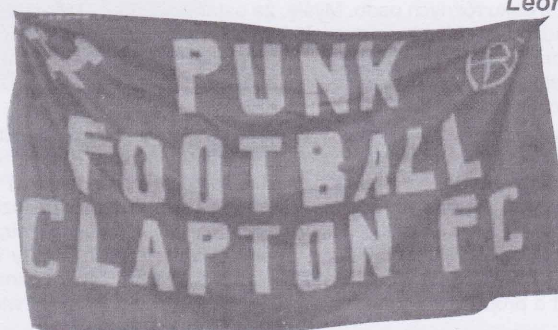
Problemy

Lecz aby nie było zbyt pięknie i kolorowo, klub jak i kibice mają też różnego rodzaju kłopoty. Na pewno jednym z większych i dłużej trwających jest konflikt pomiędzy kibicami, a zarządem klubu, a szczególnie z prezesem Vinnie McBeane'm, który przejął klub w niejasno finansowych okolicznościach. Vinnie wyczuł interes, kiedy na stadion zaczęło przychodzić po kilkaset osób. Ceny biletów (chociaż fizycznie nikt ich do ręki nie dostaje), czyli 6 funtów od głowy, pomnożony przez powiedzmy 200 osób dwa razy w tygodniu jest łatwe do obliczenia, nie licząc reklam czy sponsoringu. McBean z nikim się nie rozlicza, ani z drużyną ani kibicami nie chce rozmawiać o inwestycjach czy jakiejkolwiek strategii dotyczącej klubu. Brak działających pryszniców, niedobór toalet, czy rozsypująca się infrastruktura nie są w kręgu zainteresowania prezesa. Dopiero pod naciskiem kibiców pewne udogodnienia zostały wprowadzone. Jakiś czas temu powstała grupa wewnątrz kibiców ***Clapton FC*** o nazwie ***Friends Of Clapton***, której głównym celem był udział kibiców w zarządzaniu klubem, oraz patrzenie na ręce prezesowi i jego klice. Bardziej przyszłościowy plan zakłada przejęcie klubu w ręce kibiców i drużyny, gdzie wszystkie decyzje będą podejmowane na zasadach demokracji bezpośredniej. Dużym krokiem, który tak naprawdę zaczął się w momencie pisania przeze mnie tych słów, jest powstanie funduszu kibiców ***Clapton FC*** - ***Clapton Supporters Action Fund***, gdzie są zbierane fundusze na wykup klubu i oddanie go w ręce kibiców i drużyny.

Innymi problemami z którym zmierzyli się kibice ***Tonsów*** to faszyści i policja. Ci pierwsi, z zazdrością śledzili rozwój fenomenu ***Clapton***, donosząc na klub do władz piłkarskich o nielegalnym używaniu pirotechniki przez kibiców, używaniu politycznej propagandy oraz o spożywaniu alkoholu. Wyobraźcie sobie reakcje kibiców ***Clapton***. Nieco inaczej przyjął to Vinnie McBean w imieniu klubu. W oficjalnym stanowisku ogłosił, że klub nie życzy sobie politycznej oprawy kibiców (chociaż w wywiadzie dla *Daily Mirror* szczycił się ich ideami) oraz, iż zabrania się używania pirotechniki jak i spożywania własnego alkoholu. Nikt w praktyce się do tego nie zastosował. Pogróżki internetowe pojawiały się coraz częściej. Do fizycznej konfrontacji po raz pierwszy doszło na meczu wyjazdowym 20. grudnia 2014 roku przeciwko *Southend Manor*. W przerwie meczu, pięcioosobowa grupka kibiców ***Clapton*** zaatakowana została przez faszystów w drodze do sklepu. Skończyło się to hospitalizacją faszystów gdzie m.in. byli członkowie nacjonalistycznej *South East Alliance*. Do drugiego incydentu w ten dzień doszło na parkingu i w pobliskim parku, gdzie policja aresztowała dwóch kibiców ***Clapton***, którym postawiono zarzuty.

Groźniejszym wydarzeniem były inny wyjazdowy mecz ***Clapton*** - tym razem przeciwko drużynie *Thamesmead Town* w sierpniu 2015 roku, gdzie 40 osobowa grupa z ***Clapton*** została zaatakowana kamieniami i butelkami przy wejściu na stadion przez 60 osobową grupę lokalnych faszystów z *EDL*, którzy nawet nie byli kibicami *Thamesmead*, lecz wykorzystali ich stadion do zrobienia zadymy. Mecz został przerwany, a konfrontacja trwała kilkadziesiąt minut, aż na miejsce przybyła policją wraz z helikopterem. Ranni byli po obu stronach i obie strony ogłosiły swoje zwycięstwo. Policja na początku oficjalnie oskarżyła kibiców ***Clapton*** o wszczęcie zadymy, by na drugi dzień, po analizie zapisów z kamer, przeprosić. Autobus odjeżdżający z kibicami ***Clapton*** został zatrzymany przez policję, dokładnie przeczesany, a kibice ustawieni pod ścianą, przeszukani i spisani. Podczas konfrontacji, faszyści krzyczeli „we hate niggers!" („nienawidzimy czarnuchów") co spotkało się z oburzeniem obu klubów, gdzie grali czarnoskórzy zawodnicy. Po tym ataku ***Clapton FC*** spotkał się z okazami solidarności wśród wielu grup kibiców (min. *Werder Bremen*), jak i z zainteresowaniem policji. Policjanci pojawili się kilkukrotnie na samym stadionie jak i w jego okolicach. Na szczęście te wydarzenia nie złamały ducha kibiców i z jeszcze większą energią dopingują oni drużynę zarówno na wyjazdach, jak i u siebie. Fenomenem ***Clapton*** zainteresowało się wiele osób. Jedną z takich grup są media. *Guardian*, *Daily Mirror*, czy nawet polskie *Sportowe Fakty* piszą o ***Tonsach***, lecz najlepsze jest to, że idą w ich ślady inne mniejsze kluby. Grupy jawnie antyfaszystowskich kibiców, którym nie podoba się *modern football* pojawiły się na trybunach ***Whitehawk FC*** z przedmieść Brighton, ***Dulwich Hamlet FC***, czy ***Waltham Forest FC***, przenosząc wspaniałą atmosferę na swoje podwórka. Nadzieja przyświecająca kibicom ***Clapton*** na dzień dzisiejszy jest taka, że nadejdzie czas, gdzie drużyna, klub i kibice będą jednością, oraz wspólnie decydować będą o przyszłości ***Clapton*** wraz z zdezelowanymi rusztowaniami na Old Spotted Dog.

Leon Cz.



A- kultura...

5000

...O HIP-HOPIE, ZAANGAŻOWANIU, ANTYFASZYZMIE, ANARCHIZMIE I INNYCH SPRAWACH...

...ROZMOWA Z 5000 - KOLESIEM KTÓRY OD DEKADY KRĘCI ANARCHO-RAPSY!

Może na sam początek powiedz kilka słów o sobie. Skąd się wziąłeś, gdzie jesteś, dokąd zmierzasz...

Siemanko, tutaj **5000**, jak większość żywych stworzeń wyszedłem z łona i dałem się usocjalizować. Staram się jakoś ogarnąć bajzel dookoła, a jak już się zmęczę, to zmierzam tam skąd przyszedłem...

Kiedy na drodze Twego życia pojawił się hip-hop? Czy było to jakieś znaczące przeżycie, które utkwiło ci w pamięci, czy może płynna droga, powiedzmy od punk rocka do hip-hopa?

Hmmm, trudno powiedzieć, za małolata słuchałem trochę rapsów. Potem przez różne gitarowe wynalazki i młodzieńczą dawkę alkoholu dotarłem do hc/punka i po iluś latach pojawiła się zajawka na hip-hop, który gdzieś tam ciągle krążył dookoła mnie.

W Polsce bunt hip-hopu wyrażał się głównie poprzez wściekłe opowieści o życiu na ulicach, blokowiskach itp. Brak mu jednak było jakiegoś szerszego społecznego i politycznego spojrzenia. Twoja twórczość jawi się jako pionierskie kroki w próbach przełamania tych stereotypów. Czy pomysł, by Twój hip-hop był radykalny w przekazie, wolnościowy, anarchistyczny, pojawił się już u zarania Twojej twórczości, czy może przyszedł z czasem?

Nie do końca się tu zgodzę, iż brak w hip-hopie społecznej analizy. Myślę, że w twórczości konkretnych artystów czy artystek jest tego bardzo dużo. A co do polityki, to trochę chyba jest tak, iż hip-hop stara się trzymać od niej z daleko, bo jej nie akceptuje - a nie dlatego, że nie jest świadom jej istnienia.

Co do mej twórczości, to szczerze mówiąc, był jedyny chyba powód z krwi i kości, dla którego zdecydowałem się pisać i nagrywać. Zainspirowany zagraniczną muzyką hip-hopową z przekazem, desperacko szukałem czegoś na czym można byłoby zawiesić ucho na polskiej scenie. Jako osobą wywodząca się z hc/punka, miałem oczywiście dość wygórowane oczekiwania, jeśli chodzi o poziom rozkminy w tekstach. Nie trzeba więc chyba dodawać, że nic takiego nie znalazłem. Stąd pomysł by zrobić coś swojego. Później dopiero zapoznałem się z twórczością takich składów jak **Polaroid Android** (o którym miałem już wtedy jakieś mgliste pojęcie, ale na płytkę jeszcze trzeba było trochę poczekać) czy **Poema Faktu**. Także ważne jest, żeby powiedzieć, iż zdecydowanie nie ja w tym kraju pierwszy robiłem anarcho-rapsy. Możliwe co najwyżej, że przez to, iż nieprzerwanie od prawie dekady cisnę temat i zwykłem się określać jako artysta z takiego nurtu, to stąd takie wrażenie czasem gdzieś tam pozostaje. Przez pierwsze kilka lat opierałem się na kradzionych bitach i cały czas propsuję takie podejście, bo chodzi przede wszystkim o przekaz. Lecz kiedy z czasem pojawiły się możliwości współpracy z producentami, to z zainteresowaniem zacząłem z nich korzystać, bo to na pewno mocno poszerza horyzonty. Jak na razie jestem z tego zadowolony, nikt nie ingeruje w mój proces twórczy a ja mam możliwość szlifować swoje skillsy u boku różnych osób. Myślę, że ostatnie numery, które nagrałem na kradzionych bitach, to musiało być coś z okolic **Almas Kontrol**, ale dokładnie nie pamiętam. Tak czy inaczej, nie odżegnuję się od tej opcji i jak najbardziej popieram wszelkie projekty, które w taki sposób działają (pozdrówka **Postanomic**!).

Swoją drogą, tak szczerze, to dla mnie nie do końca jest jasne, jak szeroki jest odbiór moich tekstów. Wiem, że demówka z 2008 dotarła do sporej liczby osób, ale wiele z nich też i na tym się zatrzymało. Patrząc teraz z perspektywy czasu, muszę przyznać, iż to dość śmieszne, że tamta płytka okazała się takim wpływowym wydawnictwem. Patrząc na statystyki na *soundcloudzie*, *bandcampie*, *vimeo*, *youtube* czy innych stronach, wydaje się, iż takiej muzy słucha dość mało osób. Jednak jeśli chodzi o projekty z moim udziałem, to też jest moja osobista wina, bo świadomie trochę się kitram po kanałach - nie mam żadnego oficjalnego *youtubea*, *facebooka* etc. Podziemie podziemia :). KMWWKNPT mówiąc kolokwialnie. Pewnie to bluźnierstwo, ale raczej nie mam i nie miałem aspiracji wypływania na szersze wody. Także zajawka pozostawała od początku nieco środowiskowa.

Czy w tej hip-hopowej kulturze pociągnęła cię tylko i wyłącznie muzyka? Próbowałeś swych sił również w innych stylach wypowiedzi oferowanych przez świat hip-hopu?

Kiedyś, jak byłem młodszy, trochę sobie fikałem przed telewizorem do muzyki z hip-hopowych teledysków i chciałem się poważniej uczyć brejka, ale wiadomo jak jest ;). Czasem sobie coś pobazgrzę po murach, no a poza tym to piąty element - ciągle się edukuję.

Często w środowisku hardcore/punk zdarza się, iż zespoły śpiewają ostre, radykalne teksty, które później zazwyczaj nie przekładają się na ich życie. Śpiewają o antykapitalizmie czy anarchizmie a nie uświadczysz ich na akcjach, demo czy innych wydarzeniach związanych z ruchem antyautorytarnym. Ciekaw jestem jak wygląda u Ciebie? Czy hip-hop jest jedyną formą Twojej realizacji? Czy starasz się żyć zgodnie z własnymi tekstami?

To dobre pytanie i warto czasem na forum się rozliczyć :). Wiesz co, wydaje mi się, że rap czy hip-hop, jest tak samo - jeśli nie bardziej niż hc/punk - nastawiony na weryfikację autentyczności, tego co po angielsku zwie się *realness*. Także, na pewno ten proces weryfikacji gdzieś tam nie jest dla mnie sprawą obcą i zawsze starałem się dwa razy pomyśleć, zanim coś pojawi się w tekście. Przechodząc jednak do właściwej części odpowiedzi, myślę, iż faktycznie zweryfikować moją autentyczność mogą tylko inni ludzie. Powiem tyle, że mimo, iż niezbyt aktywnie uczestniczę w życiu społeczności, to jakieś tam swoje drobne rzeczy robię no i trzymam rękę na pulsie - staram się być na bieżąco z rzeczami, które w środowisku się dzieją, jeśli uważam je za istotne. Myślę, że w swej istocie, moje poglądy nie uległy zbyt wielkim zmianom przez te lata kiedy piszę rapsy (będzie około 10 lat), na pewno zmieniło się jednak moje podejście do życia codziennego, pewne wzorce zanikły, w ich miejsce pojawiły się inne, jestem zdecydowanie bardziej dojrzałą osobą teraz niż te 10 lat temu. Każdy zdrowo myślący człowiek, który nie przeszedł przez jakieś traumatyczne rzeczy, powinien móc powiedzieć o sobie to samo. Dalej identyfikuję się z anarchizmem, uważam się niezmiennie za antyfaszystę, jestem tak samo jak kiedyś - a może nawet bardziej - otwarty na inność, konsekwentnie od ponad 15 lat nie jem truchła, od ponad 10 jestem weganinem, staram się konsumować mało i w miarę świadomie, grzebię w śmietnikach, generalnie żyję jak żyłem - ale tak jak napisałem powyżej - nie uczestniczę zbyt aktywnie w życiu środowiska, poza koncertami i wydarzeniami okołokoncertowymi, a i koncertów nie gramy ostatnio zbyt dużo. Jestem stałym bywalcem skłotów, współorganizuję raz na jakiś czas różne wydarzenia hip-hopowe, ale z rzadka kiedy angażuję się w inne rzeczy. Muszę przyznać, że regularne wyjazdy z Polski na dłużej trochę wytrąciły mnie z uczestnictwa w różnych kolektywach czy inicjatywach, przytłoczyła mnie też trochę nasza bezrefleksyjność i zamułka w niektórych kwestiach. Trochę uciekłem w mizantropię, co nałożyło się czasowo na to, iż zacząłem się aktywizować naukowo, założyłem rodzinę, generalnie jak to się mówi - życie zweryfikowało. Teraz jak o tym myślę, to widzę, że spojrzenie na nasze środowisko z pewną dozą empatii w stosunku do przeciętnego hip-hopowca sprawiło, iż wiele dogmatyzmów i konserwatywnych opcji, które wcześniej widziałem i o których wielokrotnie nawijałem, zaczęło mi naprawdę przeszkadzać, więc trochę także i to miało wpływ na moje powolne odbicie od aktywnego uczestnictwa w środowisku. A może to wszystko z lenistwa i zniechęcenia... Tak czy inaczej, nie rozpatruję tego w kategoriach

sprzedania/niesprzedania ideałów, cały ten proces był dość organiczny i trwa nadal. Moje życie (cielesne czy wewnętrzne) nie stanęło w miejscu, a jeśli chodzi o muzykę czy koncertowanie, to ciągle udostępniam/y wszystko za darmo, gigi gramy za zwroty, praktycznie tylko na skłotach i załoganckich miejscówkach, zazwyczaj na benefitach czy imprezach związanych z jakimiś konkretnymi inicjatywami czy akcjami, i chciałbym, żeby tak zostało. Klubowo-imprezowa otoczka jako taka w ogóle mnie nie grzeje w kontekście występów. Dlatego też, mimo zainteresowania i ciekawości, nigdy nie byłem w stanie za bardzo zaangażować się w scenę d'n'b czy soundsystemową (w rozumieniu dub/step) mimo, iż uważam, że tam jest bardzo dużo głów, którym dawka gorzkiego przekazu mogłaby co nieco poukładać w czaszkach. Zresztą prawda też jest taka, iż nigdy nie traktowałem rapu jako miejsca na przechwałki co do swojej prawdziwości. Raczej jako medium do pokazania, że można i warto pokazać jako muzykę motywacyjną i narzędzie analityczne. Z tego co wiem, wiele osób tak też to odebrało i dlatego uważam, iż spełnia to swoje zadanie.

Innym ważnym dla mnie motywem w pisaniu i występowaniu, było zawsze właśnie takie kreowanie wewnętrznego dyskursu, rodzaju autorefleksji nad tym gdzie jesteśmy jako ruch, dokąd zmierzamy, z czym musimy się zmierzyć i jak nam to wychodzi. Kto śledził/a ten na pewno wyłapał/a dużo takich wątków, czy to na wydawnictwie z **Hellcatem/Rufiem** czy na **Fatajsach**, koncertach etc. No i te rzeczy generalnie się nie zmieniają. Ale kto śledzi w miarę długo moje występy, pod różnymi banderami, na pewno zwrócił/a uwagę, że od czasu pierwszego etapu mojej hip-hopowej wędrówki zdecydowanie zmalała ilość gadki ideologicznej na koncertach i ilość deklaracji poglądowych w tekstach. I to myślę jest trzon odpowiedzi na twoje pytanie - przestałem mówić o pewnych rzeczach bo nie chciałem, żeby brzmiały one sztucznie. Cały czas myślę podobnie, ale aktywnie działam w środowisku mniej niż kiedyś. Inną sprawą jest to, że uważam, iż to może nie najlepsze, ale zupełnie naturalne (i ja zawsze bardzo się cieszę kiedy widzę ogarniętych świadomych ludzi, którzy wydawali się być zblazowanymi hipsterami czy blokersami lub kimkolwiek innym - może nie działają ale jednak SĄ bardziej świadomie), że każda grupa społeczna składa się z jednostek mniej i bardziej aktywnych, ważne żeby wszyscy wiedzieli czemu są akurat wśród tych a nie innych osób, bo weryfikują to często sytuacje podbramkowe. Jak to się mówi, potrzeba i liderów i *followersów*. Ja w pewnym momencie zauważyłem, iż nie specjalnie odpowiada mi rola autorytetu i mimo, że nigdy nim nie byłem, to występowanie na scenie i wszystko inne co związane z wyjazdami koncertowym, bardzo łatwo potrafi człowieka tak nastroić. Wydaje mi się, iż był kilka lat temu dobry moment, żeby zostać głosem pewnych spraw, ale ja po prostu wolałem zrobić krok w cień. Od jakiegoś czasu bliżej mi do pozycji obserwatora. To też wzajemnie związane jest z ewolucją życiową i zmianami w estetyce tekstów i występów. Nie zawsze czułem się dobrze na siłę moralizując ze sceny, więc generalnie teraz staram się tego unikać. I nie do końca chodzi o to, że nie mam zdania na pewne tematy, albo nie chcę zabierać głosu. Prawda jest taka, iż często ludzie czekając na koncert, mają jakieś tam oczekiwania. Kiedy wychodzisz na scenę i grasz po raz 97 ten sam materiał, nie zawsze masz siłę to samo hasełko (na które czeka zarówno publika jak i organizatorzy benefitu na którym grasz ;)) wrzucić pomiędzy dwa numery, bo to już trąci sztucznością (szczególnie, że nie da się przewidzieć w marcu, bookując koncerty na czerwiec, w jakim będziesz nastroju i stanie energetycznym, czy akurat twojego psa dzień przed gigiem nie rozjedzie tir albo coś). Może nie dla odbiorcy, ale dla mnie tak, a myślę, że weryfikacja powinna się odbywać z dwóch stron. Nie zawsze też wypada o wszystkim mówić, a za dużo słów tylko miesza ludziom w głowach i też tego doświadczyłem. Były konfliktowe sytuacje, raz nawet dostałem w twarz za czyjeś ograniczone horyzonty myślowe. Staram się unikać czarno-białości w komunikacji z innymi. Na swój własny użytek, czy w prywatnej konwersacji wiadomo - każdy stosuje skróty myślowe czy wartościuje w głowie - ale wysyłanie zbyt stereotypowych komunikatów w eter nie zawsze jest zdrowe i też trochę staram się tego unikać, mimo, że oczywiście w pewnych sprawach zarówno warto jak i trzeba. Mam wrażenie, iż występy hip-hopowe stwarzają zazwyczaj bardziej osobistą więź między odbiorcą a nadawcą i stąd tak wiele wątpliwości jeśli chodzi o kwestie naturalności, energii, szczerości etc. Nie mogąc znaleźć sensownego kompromisu między tym co czuję i myślę sam w danym momencie, czy na dany temat, tym co czuję, że wypada powiedzieć, tym co ktoś myśli, że powinienem powiedzieć, raczej zrezygnowałem z dodatkowych komentarzy, szczególnie, że czasem moje szydercze teksty mogły być odbierane na opak. Uważam to za pewnego rodzaju krok wstecz, ale wynikł on organicznie, a teksty i tak są naładowane treścią (i słyszę to teraz dużo częściej niż kiedyś w opiniach ludzi) więc jakoś się tym nie przejąłem.

Kiedyś muzyką buntowników, wyrażającą sprzeciw był punk rock. Aktualnie młodzi buntownicy raczej identyfikują się z kulturą hip-hopową, rzadko jednak wybierają drogę hip-hopu zaangażowanego, raczej słuchają typowej muzyki bez przekazu lub takiej, w której jedyną ambicją jest alkohol, narkotyki czy podryw. Czy masz jakiś pomysł, aby jednak zaangażowany rap był bardziej „zachęcający" dla młodzieży?

Przede wszystkim musi być dobry. Pomijając nawet fakt tego, że dzisiaj wszystko dąży do optymalizacji i rzeczy muszą być naraz funkcjonalne i estetyczne plus wykorzystywać praktyki psychomarketingowe, żeby cię do siebie przekonać, to ludzie zwyczajnie nie zainteresują się przypadkową nutą, która do nich trafi, jeśli nie będzie dobrze podana. Dlatego robienie takich rzeczy jakie my (większość scenowych raperów) robimy, jest trochę bez sensu, bo tworzymy bardzo niszową muzykę. Dużo większy wpływ na „młodzież" mają artyści z głównego nurtu, tacy jak np. **Guralesko**, **Hemp Gru** czy **Ryfa Ri**, że wspomnę tylko te bardziej optymistyczne przykłady. No a wiadomo co trzeba robić (poza byciem dobrym w tym jaką sztukę się tworzy), żeby dostać się do mainstreamu (mówię cały czas o podziemnym mainstreamie), zaistnieć w nim i tam pozostać albo pozostawić po sobie ślad w postaci płyty, która nadrobi za naszą dalszą nieobecność czyli tzw. klasyka. Nasze środowisko raczej nie jest zainteresowane istnieniem na rynku hip-hopowym a bez zaistnienia na rynku, trudno być atrakcyjną częścią tej kultury dla przypadkowych osób. Żeby obejść tą przeszkodę, potrzeba zaangażowania całej naszej sceny i zmiany pewnych stereotypów myślowych na temat tego, czym jest statystyczny hip-hopowiec. I tutaj zaczynają się kolejne schody. Jak to się mówi - „zapomniał wół jak cielęciem był" - tak dobrze czujemy się w swoich anarchistyczno - politycznie poprawnych mikrokosmosach, że łatwo zapominamy, iż nie każdy mówiący o kobietach językiem przedmiotowym jest mizoginem. Nie każdy mówiący o pedałach jest homofobem a nie każdy mówiący o lewakach jest naziolem. I nie powinniśmy z góry nastawiać się na pozycję defensywną lub ofensywną, w stosunku do takich zachowań. To oczywiście naturalna reakcja - automatyczna lustracja innych pozwala nam na podstawie wyuczonych schematów rozumieć jak mamy ich traktować - z zaufaniem, czy z dystansem etc. Ale często zdarza się tak, że to jednak my, w sytuacji kontaktu z przybyszem z planety hip-hop, będziemy mieli bardziej rozbudowany aparat analizy pewnych zachowań ludzkich przez pryzmat socjalizacji, systemowych mechanizmów itd. i będziemy w stanie zrozumieć z czego wynika zachowanie tej osoby, którego my nie pochwalamy. Ona natomiast niekoniecznie musi być w stanie nas tak łatwo rozkminić, bo dla niej jesteśmy nieco spoza znanej jej rzeczywistości. Oczywiście może się wydarzyć również w drugą stronę, ale to co chcę powiedzieć to to, że powinniśmy się traktować przede wszystkim jak ludzie - istoty rozumne - które potrafią dyskutować i pewne rzeczy sobie wytłumaczyć lub o pewne rzeczy zapytać, żądać wyjaśnień zamiast od razu zakładać, że chuj z tego będzie. Powiem tak - często poza opakowaniem, nie różni nas wiele, jeśli chodzi o światopogląd i powinniśmy się traktować z równością i szacunkiem - zaprosić ludzi, którzy być może pierwszy raz są na skłocie, opowiedzieć im czym to miejsce jest, jakimi rządzi się prawami i dlaczego. Co jest miłe, a co nie jest mile widziane, poczęstować ich blantem i życzyć dobrej zabawy. Skłot to tylko przykład, tak samo może być ze wszystkim - ze spotkaniami, *food not bombs*, demonstracjami, akcjami bezpośrednimi i wszystkim innym. Nie jesteśmy najmądrzejsi i nie mamy racji absolutnej. A jeśli już koniecznie musimy tak uważać, to naszym obowiązkiem jest się tą wiedzą dzielić, a nie ją reglamentować i wymagać przestrzegania jej wykładni pod groźbą wrzucenia do worka bezmózgich drechów czy nacjonalistów. Temat integracji dwóch środowisk towarzyszył mi dość intensywnie przez ostatnie półtora roku. W przejściach przez różne sytuacje, imprezy, rozmowy z ludźmi, spory i konflikty. Jest to dość złożona sprawa, także mogłaby spokojnie skonsumować miejsce na kolejny wywiad.

Jeszcze osobnym motywem jest to, że u nas realia społeczne, polityczne czy ekonomiczne są nieco inne niż np. w Niemczech czy we Francji bądź Hiszpanii, a walka o scenę hip-hopową została przez lewicę zaprzepaszczona już na samym początku, jakieś 15 może nawet 20 lat temu. Ziarnko do ziarnka i zajebali cały spichlerz. Teraz żadne nasze hasełka, odwołujące się do niekompatybilności hip-hopu i prawicy, czy imprezy na które przychodzi po 50 osób, nie są w stanie tego zmienić. Możemy kreować jakiś tam skromny nurcik w obrębie większego zjawiska na polskiej ziemi, ale pozostaniemy raczej marginalni, mimo haseł o jedności, tolerancji etc. I próby zyskania takiej pozycji w środowisku uliczno-hip-hopowym jaką ma lewica na zachód od nas, na razie będą raczej spełzać na niczym - prawicowy hip-hop ma już monopol na społeczne niezadowolenie w tym pięknym kraju.

Byłeś jednym z pionierów hip-hopu na deskach skłotowych scen oraz imprezach anarchistycznych czy antykapitalistycznych. Pamiętasz jakie były pierwsze reakcje na Twoją twórczość?

Wydaje mi się, że od początku ludzie słuchali z zainteresowaniem. Dla mnie na początku był to bardzo duży stres, ale i fajne przygody. Zawsze w publice trafiały się jakieś przypadkowe osoby i one często miały do powiedzenia różne dziwne rzeczy, może to dlatego, że kiedyś robiłem dużo więcej *spoken wordów* w ramach występów i to było trochę ciężkostrawne, szczególnie jeśli komuś nie w smak było z ich (czyli moją) linią poglądową. Największy zawsze miałem problem z ludźmi, którzy podbijają po występie (albo jeszcze gorzej - w trakcie, jak na przykład na koncercie w Krakowie we wrześniu 2011, prawie rozjebałem wtedy spory mikser - kto był/a na pewno pamięta he he) z jakimiś dziwnymi wontami i na siłę starają się o czymś pogadać i do czegoś mnie przekonać, a zazwyczaj są najebani i chyba tylko dlatego mają odwagę podbić z tak bezsensownymi tematami jakie się trafiają. Mam nadzieję, że nikt tego źle nie odbiera, jestem zawsze otwarty na gadkę, na krytykę czy polemikę, ale zbyt często bywało to tak, iż po kilku godzinach spędzonych np. na stojaka w zapchanym pociągu, po półtoragodzinnym koncercie (tak tak, a z **Mirahem** grywaliśmy nawet po 2,5 godziny) z chujowo wycyrklowanym sprzętem, jakaś najebana morda podbija i ma pretensje, że pluję mową nienawiści i jeszcze żąda ode mnie wytłumaczenia, nie dając mi w tym samym czasie dojść do głosu, no to sorry. To trochę pokłosie faszerowania muzyki zbyt dużą ilością treści :). Kiedyś też było tak, że każdy koncert grałem 100% na trzeźwo (tzn w ogóle nie konsumując używek, może poza yerbą), więc tym bardziej bywało to drażniące. To trochę taka sytuacja, gdy po jakimś spotkaniu na sali ktoś podnosi rękę by zadać pytanie, po czym wstaje i mówi przez 15 minut może i na temat (ale nie koniecznie), ale brak tam jakiegokolwiek znaku zapytania, i ok nie ma żadnego problemu, ale niech nie oczekuje od ciebie jeszcze odpowiedzi. Ja tam lubię sobie pogadać i porozkminiać z drugim człowiekiem, lubię krytykę i lubię wyjaśniać konteksty aluzji z tekstów, ale wolę to robić na spokojnie a nie tak na dziko bo to traci wtedy sens i zostaje sprowadzone do konfrontacji człowieka najebanego i człowieka zmęczonego w głośnym środowisku - mała szansa na konstruktywny dialog. Ale generalnie reakcje dawniej były trochę takie jak na koncerty **Fatjas** - ludzie zazwyczaj nie wiedzieli co powiedzieć, bo takie treści to ciężki kawałek chleba.

5000, PCFSTNK, Fatajs, Żmijowe Bębny - to chyba tylko niektóre z projektów w których bierzesz/brałeś udział. Mógłbyś powiedzieć coś więcej o nich samych oraz innych...

5000 to mój solowy hip-hopowy pseudonim, tzn. jeśli pojawiam się u kogoś w numerach czy po prostu nawijam na czyimś bicie, występuję solo, albo jestem wymieniany jako element jakiegoś składu ,to właśnie jako **5000**. **PCFSTNK** to takie *credo* - czy chuj wie co - które ukułem wiele lat temu, żeby trochę nadać sobie jasności w tym, na czym zależy mi w twórczości. Jeśli by rozbić to na czynniki pierwsze to otrzymamy **Podpalmy Czarną Flagę / Totalna Negacja Kultury** (S jest za *slasz* pośrodku). W czasie, kiedy hasło powstało, miałem wiele pomysłów jak wypuścić je na szersze wody, ale jako, że nigdy nie byłem dobrym PR-owcem ani nie przywiązywałem wielkiej wagi do nadawania swoim rozkminkom sztucznego rozpędu, to zostało to gdzieś tam trochę w kącie. Jak kiedyś rozpocznę regularniejsze nagrywanie w domu czy zorganizuję jakąś inną przestrzeń na studio, to pewnie tak to nazwę. Na razie zostało jako nazwa *soundclouda*, *vimeo* i bloga **5000**, który jest chyba jedynym oficjalnym organem komunikacji ze światem jaki kiedykolwiek posiadałem jako **5000** (poza koncertami i nagrywkami oczywiście). A jeśli chodzi o znaczenie i genezę, to pierwszy człon nawiązuje do tego, że jako anarchiści często mówimy o tym, iż różne dogmaty i hierarchie są mocno niewolące, że konserwatyzm to i zamordyzm tamto etc a sami/same nie jesteśmy wiele lepsi w ocenianiu i rozliczaniu innych. Stąd podpalenie flagi, bo wtedy symbolicznie pozbywasz się kajdan wiary jakie na ciebie narzucił ten nasz ukochany ateizm. Drugi człon to to samo, tylko na trochę szerszą skalę - nie ma co szczycić się kulturą, bo cały jej blask i wielkość zostają przykryte grubą warstwą zbrodni na Naturze, zwierzętach i ludzkości, których dana kultura jest winna. Fraza wzięła się od nazwy, pod którą kiedyś troszeczkę z kumplem bazgraliśmy i jakoś została. Podobały mi się wtedy różne inspirujące i dające do myślenia rozwinięcia skrótów, którymi podpisują się ekipy malujące i tak jakoś powstało **TNK**. **PCF** doszło później i to chyba nawet jako cytat z numeru *Alojzy Bombel*, którego nigdy nie nagrałem. Ale jeśli kiedykolwiek dojdzie do nagrania następnej solowej płyty **5000**, którą planuję już jakieś 8 lat, to numer na pewno się tam znajdzie. Teraz już go nie gram, bo nie występuję sam, ale jeśli kiedyś wrócę do grania *stricte* swojego repertuaru to i ten numer powróci, bo to jeden z tych, które zdecydowanie robiły robotę - kto widział/a na żywo pewnie potwierdzi.

Fatajs myślę, że zbytnio przedstawiać nie trzeba, bo dzięki temu, iż **Miraho** jest bardziej rozpoznawalny ode mnie, to na pewno większość osób o nas słyszała. **Free All Those Abu Jamals** - gdzieś tam na styku hip-hopu, nojzu, tekkkna i dubstepowej popelinki - dwuosobowy projekt o mocnym społeczno-politycznym *backgroundzie* tekstowym, okraszony dużą dawką propagandy wizualno-kanabisowej. W pewnym momencie dość ważne miejsce zaczęły w naszych występach odgrywać wizualizacje, do tego stopnia, że teraz cały nasz set jest - poza muzyką - także setem wizualizacji dopasowanych pod rytmikę i treść muzyki tekstów. **Żmijowe Bębny** - to jeden z nowszych projektów w których uczestniczę - powstał gdzieś półtora roku temu, pierwszy koncert zagraliśmy w styczniu 2015 w Poznaniu. **Żmijowe Bębny** to takie trochę 90' remixed - 1 MC 1 DJ, sampler, gramofon. Projekt tworzymy wspólnie z Waloszem, który jest odpowiedzialny za produkcję - bity i skrecze, czasem coś tam nawinie też, ogólnie fajne doświadczenie, mój pierwszy projekt gdzie muzyka nie jest odtwarzana z kompa tylko wybijana/wyskreczowywana, kiedy ja nawijam, także to też nowa energia. W związku z tym, to też pierwszy projekt, z którym kiedykolwiek grałem regularne próby i to doświadczenie też sobie chwalę. Z **Mirahem** zagraliśmy może dwie próby w życiu, całość **Fatajs**-owego materiału powstawała na koncertach, w studiu przy nagrywkach albo na wspólnych wyjazdach czy wizytach u siebie nawzajem. Ze **Żmijami** zagraliśmy przez ten rok chyba z kilkanaście koncertów, nagraliśmy materiał na demo, ale chyba będzie trzeba powtórzyć nagrywkę i jakoś tam sobie kulamy. Z innych rzeczy, w które się gdzieś tam uwikłałem to warto wspomnieć o **AlQaedan** - projekcie, który uruchomiliśmy z ziomkiem z Tychów - **RBSN**-em - nagraliśmy dwa numery, ukazał się na razie jeden, do którego jest teledysk - numer nazywa się *Ścieżki wciąż nieoświetlone*. Generalnie zainteresowanie, żeby coś robić jest, ale jak to się mówi - proza życia. Robson podesłał trochę bitów, teksty są napisane, problem w tym, że nie byłem baaaardzo dawno w studio a w domu samemu nagrywać trochę nuda więc nagrywki uskuteczniam raczej tylko przy okazji współpracy „on the spot". Ale **AlQaedan** na bank


Fatajs

jeszcze da o sobie znać, możliwe, że już niedługo. Natomiast jeden projekt, który powstaje dość spontanicznie i w sumie nabiera właśnie tempa, to moja współpraca z członkiem kolektywu producenckiego **Dekonstruktionists**. Hajni niedawno był w odwiedziny w Warszawie, nagraliśmy 9 numerów, praktycznie w niecałą dobę, pogadaliśmy o *Gwiezdnych Wojnach*, niedługo będziemy mieli materiał z kilkunastoma numerami (właśnie dziś dostałem do odsłuchu część numerów, myślę, że są nie najgorsze), chcemy go wypuścić na CD, zobaczymy jak się wszystko ułoży. Promuje go jak na razie numer *Artefakty* - właśnie wypuściliśmy klip i powoli wypuszczamy jakieś zajawki reszty. Może pogramy jakieś koncerty, nie wiem, wszystko wyjdzie w praniu. Poznaliśmy się dość przypadkowo w efekcie koncertu **Babylon Warchild** w Warszawie, w sierpniu 2015 r. Hajni współpracował wcześniej z **Unknown Mizery** - jednym z typów z **Babylon Warchild** i przez to nawiązaliśmy kontakt. Spodobały mu się moje teksty i *flow*, więc zaczął bombardować mnie bitami, w międzyczasie zremixował numer *Ścieżki wciąż nieoświetlone*. Tak to było. Całość planowanego wydawnictwa jest utrzymana trochę w stylistyce *5000 na planecie rap* - tzn bity są dość *bangerowe*, w tekstach też poza klasycznym pretensjonalnym i wydumanym stylem **5000**, trochę takich typowych rapowych tematów - trochę słownych przechwałek, trochę romansu, trochę *storytellingów* i abstrakcji - podróż przez różne wymiary rzeczywistości, ale niech zadrży ten kto myśli, że się sprzedałem :). Generalnie płyta będzie o ptakach i termitach. Trochę więcej na temat powolnego przepoczwarzania się moich tekstów opowiem poniżej.

Inny projekt, który mam nadzieję już niedługo ujrzy światło dzienne, to moja kolaboracja z innym *samplowym* narkomanem, tym razem z Mongolii. **Bodikhuu,** bo o nim mowa, jest moim równolatkiem i poznaliśmy się już nie przypadkiem, a dzięki mojemu uporowi. Obczaiłem kiedyś jego produkcje w internecie i kiedy ostatnim razem byłem w Mongolii, wystalkowałem typa i zapoznałem się z nim. Kilka razy się spotkaliśmy, zaczęliśmy się poznawać i powoli myśleć o współpracy. Po kilku miesiącach, wybraliśmy się na tydzień do najstarszego parku narodowego na świecie, u stóp którego rozpościera

się Ułan Bator i tam w zaciszu mongolskiego geru (czyli po naszemu jurty), nagraliśmy album z rapowanymi bajkami o ludzkim i międzyludzkim okrucieństwie. To jedna z produkcji, z których jak dotąd jestem najbardziej zadowolony. Zobaczymy co będzie dalej.

Razem z wokalistką El Bandy i wieloma innymi muzykami tworzyłeś projekt Simbola Antifaszista. Co sądzisz i jak oceniasz szanse wznowienia projektu? Jeśli byłaby taka możliwość to jedynie dla nagrań, czy wchodziłyby w grę jakieś koncerty?

Nie wiem, myślę, że ten projekt to już trochę domena przeszłości. Zagraliśmy w sumie jeden koncert, ale skład na nagraniach był dość płynny, a żadne z nas nie chciałoby chyba uzurpować sobie prawa do decydowania, kto miał/aby brać w tym teraz udział, a kto nie, bo w szczytowych momentach w nagrywkach brało udział chyba około 20 osób. Czasem wracamy do tego tematu, ale wydaje mi się, iż to raczej zamknięty rozdział, chociaż kto wie. Ja nie miałbym nic przeciwko.

Wiem, że jesteś zaangażowany w projekt o nazwie Rhymes of Resistance (Rymy Oporu), możesz przybliżyć coś w jego temacie?

Rymy Oporu to luźny kolektyw, który powstał w toku organizowania różnych wydarzeń hip-hopowych na *Rozbracie*, jako hip-hopowe ciało w skłoterskim łonie. Nazwa inspirowana była transnarodową siecią zespołów *action-samby* **Rhythms of Resistance - Rytmy Oporu**. Idea jest dość prosta, chociaż chyba nigdy jej oficjalnie nie doprecyzowaliśmy - chodzi o tworzenie kultury hip-hopowej, niezależnej od sponsoringów, stojącej w opozycji do hip-hopu konsumpcyjnego, komercyjnego czy siejącego nienawiść. Pod tym sztandarem były i wciąż są organizowane imprezy, warsztaty, pokazy filmów. Traktujemy to też trochę jak *label* - sygnujemy tą logówką nasze produkcje etc. Czasem wypuszczamy koszulki, trochę dla zajawki, trochę żeby dofinansować inne działania, bo pieniądze na wszystko co robimy idą z wcześniejszych wydarzeń albo z kieszeni prywatnych, tzn. naszych. Przez te kilka lat aktywności udało się zorganizować kilka ciekawych inicjatyw - *GraffitiFesty* w Poznaniu, *All Girls Rap Fest* - pierwszy i jedyny cykliczny festiwal z kobiecym hip-hopem, odbywający się ruchomo, w różnych miastach w Polsce, poza tym kilka pokazów filmów, warsztaty hip-hopowe, *graffiti* czy *breakdance*, *jamy* graffciarskie i niezliczona ilość imprez, głównie koncertów w różnych miastach w całym kraju. Poza tym, sprowadziliśmy trochę artystów z zagranicy do Polski i wypuściliśmy się na jedną trasę koncertową do Niemiec, Czech i Szwajcarii, no i wydaliśmy trochę płyt. Działa również nasz blog (**rhymesofresistance.blogspot.com**), który będzie mniej lub bardziej regularnie uzupełniany, można tam trochę poczytać o różnych inicjatywach związanych z nami lub z którymi my jesteśmy związani no i oczywiście fejsbóg **Rhymes of Resistance *///* Rymy Oporu**. Jest trochę planów na działania, wydawnictwa itd. Ja na pewno będę organizował traskę **Bodikhuu** po Europie, za rok czy dwa, ale generalnie jako, że jesteśmy bardzo małą ekipą, działamy trochę okazjonalnie, w zależności od potrzeb i możliwości. Poza tym zapraszamy wszystkie chętne głowy do współpracy.

Miałeś w swej historii m.in. wspólne sety z Miraho - czy dzieliłeś scenę również z innymi anarcho-raperami?

Nie jest tych wolnościowych rapsów zbyt dużo, także wiele okazji nie miałem, ale wydaje mi się, że zaliczyłem większość tzw zaangażowanych hord z Polski a także kilka z zagranicy. Grałem tak jak wspomniałeś z **Mirahem** ale także z **Postanomic**, **PettyKhryme Soundsystem**, z **Carperem**, **AJKS** (chociaż nie wiem czy to wypada tutaj wymieniać ;)), z **Neimar**, z **Marią Konopnicką**, z **Majkim** (i Kubańczykiem też, pozdro!), **Anarchem i Edukatorem**, **Charliem La Gore** i pewnie paroma innymi (wybaczcie), a z zagranicy byli i były to m.in. **Combat Wombat**, **Lena Stoehrfaktor** (**Conexion Musical**), **Drowning Dog/Dj Malatesta**, **Signor K**, **La Prensa Negra**, **Krikzticha**, **Kolona**, **Afarastafa**, **Moscow Death Brigade**, **Mc Homeless**, **Babylon Warchild** czy **Edoshuv Kurnik**.

Jeden z profili *pcfstnk* ma taki oto opis: *Kurdistan, Basque Country, Tibet, Osetia, West Papua, Palestine*. Można pokusić się o stwierdzenie, iż popierasz walkę narodowowyzwoleńczą tych narodów bez państwa? Jak się to ma do Twego anarchizmu?

Wiesz co, wrzuciłem te miejscówki bardziej jako symbol tego, że z miejsc pozbawionych prawa do samostanowienia także płyną ważne głosy. Dla mnie jednak to jest tak, iż popieram walkę „narodowowyzwoleńczą" do momentu, kiedy walczy z opresorem jakim jest państwo (no i zależy też oczywiście w imię czego konkretnie ta walka). W momencie, kiedy walka o wyzwolenie się kończy i sama staje się aparatem opresji, to ja umywam ręce. Bardziej kładę nacisk na „wyzwoleńcza" niż „narodowo". Popieram walkę ludzi bez możliwości do samostanowienia o sobie. Co zrobią jak już będą mieć taką opcję, to już nie moja sprawa. Nie szukam w tym jakiejś wielkiej filozofii.

Wolność, anarchizm, antyfaszyzm czy prawa zwierząt - to m.in. niektóre z wątków Twoich tekstów. Możesz powiedzieć coś więcej o innych tematach lub rozwinąć te podane?

No i teraz wyjdzie, że rzeczywiście się sprzedałem - nie robię już zbyt dużo nowych numerów traktujących o wymienionych przez Ciebie kwestiach bezpośrednio. Zawsze wychodziłem z założenia, iż wolność, wyzwolenie, rozgrywa się na kilku poziomach - wyzwolenie osobiste/wewnętrzne (tutaj zawsze pasowało mi porównanie do wielkiego *jihadu*), wyzwolenie ludzi, wyzwolenie zwierząt i Ziemi. W takim *total liberation* -istycznym podejściu zawierały się wszystkie moje metki poglądowe: anarchizm, antyfaszyzm czy kwestie praw czy wyzwolenia zwierząt. Zawsze miałem jakieś tam zacięcie antycywilizacyjne, prymitywistyczne, ale widać bardziej w sferze marzeń niż faktycznego pójścia w tą stronę, bo ciągle mieszkam w mieście i niestety raczej nie wybieram się do szałasu w borze. Ale mam nadzieję, że kiedyś to się zmieni. Generalnie, wszystkie projekty stanowią dla mnie niejako zamknięte całości połączone (z mojej perspektywy oczywiście) moją w nich obecnością. I tak **Simbola** była stricte związana z ruchem dookoła 11. listopada czy morderstwa Maxa Itoyi, większość osób zaangażowanych w projekt była zaangażowana także w działania listopadowe czy majowe. **Almas Kontrol** to jednorazowa pamiątka po pewnym okresie bujanki z kumplami w Mongolii, okraszona moimi ówczesnymi przemyśleniami i chęcią sprawdzenia się w nieco innej konwencji. **Fatajs** to trochę właśnie taka hip-hopowa tuba propagandowa itp., także też i natężenie tematów politycznych się zmienia(ło) w zależności od założeń czy koncepcji na dany projekt. Ale poza ogólnym etosem totalnego wyzwolenia, zawsze starałem się w tekstach patrzeć na społeczeństwo przez pryzmat naszej społeczności i na odwrót - na społeczność przez pryzmat społeczeństwa, a także wykrzykiwanych przez nas sloganów. Stąd wzięło się też hasło **PCFSTNK**, które niejako patronuje mojej twórczości od czasu gdy je jakoś tam ukułem.

Natomiast jeśli chodzi o wątki bardziej bieżące, to tematyka się nie zmienia, ciągle nawijam o rozterkach współczesnej cywilizacji i człowieka więzionego czy też właśnie spierdalającego z więzienia (umysłu/społeczeństwa/wymiaru sprawiedliwości/relacji międzyludzkich - niepotrzebne skreślić), ewoluuje natomiast forma. Teraz dużo więcej nawijam o kosmosie, świecie przyrody, owadach, geometrii, różnych azjatyckich czy pozaeuropejskich motywach kulturowych, mitologiach etc. plus trochę to wszystko okraszam etosem betonu. Dlatego prostych haseł staram się unikać, widzę, że czasem są zupełnie puste albo nieadekwatne. Wolę coś powiedzieć naokoło, tak, iż trzeba się w to wgryźć, bo kiedy docierasz samodzielnie do sedna takiej rozkminy, to bardzo mocno zaczynasz się z nią utożsamiać, nawet jeśli nie w pełni się z nią zgadzasz. To trochę jak gra w grę. A wiadomo, że dobra gra, dobra powieść czy film, muszą mieć dobry klimat - scenografię, historię i wszystko inne. Generalnie traktuję to wszystko konceptualnie - album jest zamkniętą całością z mniejszych zamkniętych całości, które łączą się często między sobą jeśli chodzi o tematykę, słownictwo, odwołują się do siebie nawzajem na przestrzeni jednej czy kilku produkcji. Kiedy piszę jakiś numer bardziej światopoglądowy, to staram się najpierw mocniej przekminić co ważne żeby tam powiedzieć, od jakiej strony chcę ugryźć temat etc. Potem to już słowno-rytmiczna rzeźba. Kiedyś starałem się stosować metodę - temat na numer - i to wymagało ode mnie właśnie dużo pracy konceptualnej i rozkmin poglądowych, ale skręt nastąpił przy okazji **Fatajs**-ów, gdzie dużo było pisania wspólnego i trzeba było jakoś się dopasować, często chwilę przed nagrywką, podczas gdy wcześniej (i do tej pory w sumie też) zazwyczaj jeden tekst powstawał bardzo długo. Ale czasem równie sprawnie, jeśli chodzi o przekaz, wychodzą mi proste strumienie świadomości, w których zawsze jest dużo intensywnych symbolicznych czy alegorycznych treści. I takie motywy dość samoistnie mocno sprzęgły się z tą konceptualnością, dlatego teraz większość z tego co piszę jest jakby oderwane od rzeczywistości zza okna czy z wiadomości - piramidy, dżungle, żywe trupy, artefakty, węże, trucizny, magiczna biżuteria, loty kosmiczne, kolonizacja ziemi i kosmosu, astrologia, okultyzmy, mitologie, reptilianie, owady i hip-hop :). Rdzeń jest ten sam, forma nieco rozkwitła, i zrzuciła skórę sloganów, która okazała się nie uszyta na miarę. Kilka dni temu załączyłem sobie po raz pierwszy płytę **Killah Priesta** - *The Psychic World of Walter Reed* i zrobiła na mnie mega wrażenie po dotychczasowych kilku odsłuchach - jest bardzo dobrym egzemplarzem takiej twórczości o jakiej mówię, jaką lubię i w swoim ograniczonym stopniu uprawiam. Myślę, że naturalnie zmierzam w podobnym kierunku (jeśli chodzi o stylistykę i sposób przekazywania treści, bo myślę, że same treści to może *nieco* inne ;)).

Masz zdecydowane antyfaszystowskie poglądy i z pewnością krew cię zalewa jak widzisz hip-hopowców wspierających *Ruch Narodowy* czy szerzących szowinistyczne poglądy. Co chciałbyś powiedzieć takim kolesiom?

Nic. Wątpię czy by zrozumieli cokolwiek, co mógłbym mieć im do powiedzenia. Nikogo na siłę nie nawrócisz, szczególnie osób tak zacietrzewionych. Myślę, że treść dialogowa powinna być kierowana w stronę hip-hopowych przeciętniaków, którzy łykają prawicowy przekaz jak młode pelikany, bo brak im alternatywy. W ich stronę i w stronę naszego, uczulonego na wszystko co nie czarno-tęczowe środowiska. Niejeden punk lubi pojarać się gangsterskim rapem zza granicy (i nie mówię tutaj o kręceniu beki, raczej o tym, że łykają wiele numerów czy treści) ale jak przychodzi co do czego, to naszych własnych rap chuliganów potrafimy jedynie wrzucić do worka nacjonalistów. Nikogo nie wybielam ani nie usprawiedliwiam, po prostu przypominam, iż każdy kijek ma dwa końce. Samemu mi nie jest łatwo w sytuacjach konfrontacji z hip-hopową rzeczywistością, ale jeśli naprawdę chcemy cokolwiek zmienić w tym, jaki jest stosunek sił i wizerunek naszego środowiska w środowisku hip-hopowym, trzeba nieco się zasymilować, zrewidować formę w jakiej podajemy nasze treści i otworzyć się na inność (o czym tyle lubimy krzyczeć, oskarżając innych), jakkolwiek prymitywna czy epikurejska by ona nie była. Trzeba zastanowić się co możemy zrobić, żeby ktoś zrozumiał o co walczymy i czemu. Dokonać na drugiej osobie takiego aktu zrozumienia, to jest spory wyczyn.

Często słyszy się o apolityczności raperów oraz hip-hopowców. Często nie chcą oni wypowiadać się na ważne społecznie kwestie. Z jednej strony, na swoich *trakach* są odważnymi i otwartymi osobami, z drugiej strony dla nie zrażania swoich fanów wolą milczeć niż powiedzieć co myślą. Jak oceniasz taką postawę, milczenia wśród artystów z rodzimej sceny? Jest to faktyczna apolityczność czy populistyczne bezpieczeństwo?

Wiesz co, myślę, że sam sobie odpowiedziałeś na pytanie. Ale apolityczność to bardzo ciekawy temat. Kiedyś się nad tym zastanawiałem i wyszło - z tego co pamiętam - na to, iż mamy niejako trzy apolityczności i w zależności od tego, od której strony spojrzysz i z jakiego powodu zadasz pytanie, to odpowiedź i jej kontekst mogą mieć diametralnie różne znaczenie. Mnie apolityczność, jako termin, kojarzy się najbardziej chyba z kapelami oi!owymi czy streetpunkowymi - mimo, że nigdy dużo takiej muzy nie słuchałem, to chyba jest to metka, którą takie składy lubią, co częstokroć doprowadzało do różnych dwuznacznych sytuacji. No ale wracając do 3 apolityczności to tak:

a) apolityczność typu „nie angażuję się w politykę i jest to moja świadoma postawa obywatelska"

b) antypolityczność - „mam wyjebane, nie chce mi się o tym gadać weź spierdalaj, polityka to gówno"

c) apolityczność typu „nie interesuję się oficjalnym obiegiem politycznym, ale jestem zaangażowany w działania oddolne/lokalne"

To oczywiście tylko jakieś modelowe uproszczone przykłady, ale często pod terminem apolityczność kryją się różne postawy i sami nie wiemy z kim mamy do czynienia.

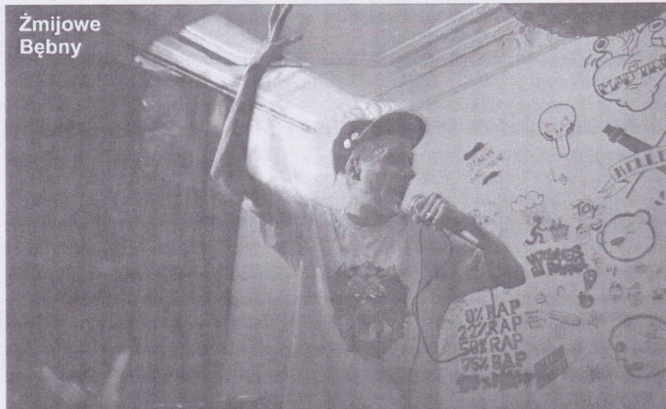
Wracając do sceny hip-hopowej to myślę, że to jest trochę pomieszaniu typów a i b z dodatkowym brakiem zdania na pewne tematy i jedynie powielaniem populistycznych pomyj, czyt. ludzie wielokrotnie nie będą mieli wiele do powiedzenia na jakiś temat, dlatego nie zabierają zdania. Często nie mają nic do powiedzenia ponad to co mówi jakiś ogół - dobrym przykładem jest tutaj dyskurs patriotyczny czy anty-uchodźczy. Natomiast niektóre osoby, nie wypowiadają się ze względu na kwestie scenowo-rynkowe czyli fakt, że jeśli większość wykonawców nie ma nic do powiedzenia, to co mogą mieć do powiedzenia odbiorcy ich muzyki? Rozmawiałem ostatnio ze znajomym, który przypomniał mi o sprawie koncertu **Pezeta** w Londynie ileś tam lat temu i tym, że wystąpił tam pod bannerem ***Good Night White Pride*** o ile dobrze pamiętam. Później **Pezet** mówił, że w Polsce by tego nie zrobił, bo po prostu nie przyszła na to pora. To sporo mówi o kontekście o który pytasz i jest dość ciekawe w kontekście jego sierpniowych wypowiedzi odnośnie celtyków na 1. sierpnia. No ale pokazuje to, że niektórzy jednak konsekwentnie pewne poglądy w sobie pielęgnują mimo tego, iż na co dzień raczej ich nie okazują. Z tym **Pezetem** i wieloma innymi wykonawcami czy składami to w ogóle śmieszne, jak mało potrzeba żeby lewaki kogoś polubiły :). Wszyscy od razu zapomnieli o przewlekłej mizoginii **Pezeta** i zaczęli się podniecać, że powiedział co powiedział. Z **Peją** trochę podobna sytuacja, zresztą nie ma co pokazywać palcami, bo to bez sensu - chodzi mi bardziej o proces i to, iż pokazuje on jak bardzo lewej stronie zależy na jakimkolwiek ochłapie z rapowej sceny, a nie za bardzo chce cokolwiek od siebie za niego zaoferować. Prawda jest taka - jak pisałem wyżej - i są to niestety nieco gorzkie słowa, że myśmy przegrali pojedynek o scenę rapową jakieś 15 może 20 lat temu. I nasze zacietrzewienie w niektórych politycznych dogmatach, które jest potrzebne jako pancerz przeciwko społeczeństwu naszych skurwiałych rodaków i rodaczek, niestety uniemożliwia nam porozumienie się na obopólnie zrozumiałej płaszczyźnie z gawiedzią hip-hopową. Bo oczywiście to prawda, że dzieli nas bardzo niewiele, jeśli chodzi o esencję jakichś dążeń wolnościowych, ale odbiorcy dzisiejszego hip-hopu mają mocno wyprane banie, a my którzyśmy sobie sami pewne opcje załadowali w mózgi, w efekcie jesteśmy dla nich równie niedostępni, co oni dla nas. Niewiele osób rozumie, iż jak taki hip-hophead dostanie zakaz tego, tego, tego i tamtego to zamiast wejść i poznać ludzi innych, ciekawych, o potencjalnie szerszych horyzontach, pomyśli, że to pedały i lewaki i pójdzie do domu. Oni nie rozumieją naszych wartości, bo nasze ulotki, teksty, blogi, demonstracje i wszystko inne są pisane niezrozumiałym językiem, operują na zupełnie innym poziomie. Za dużo tam dialektyki :).

Swego czasu przebywałeś w Mongoli, czy tam istnieje hip-hop/rap? Czy również ma podłoże społeczne?

Oczywiście, że istnieje. Nie ma już chyba miejsc gdzie hip-hop nie istnieje. Mongolski hip-hop ma trochę podłoże społeczne ale szczególnie, w dzisiejszych czasach, bierze się to raczej z poglądów patriotycznych czy nacjonalistycznych niż czegokolwiek innego.

Jacy wykonawcy - polscy czy zagraniczni - mieli największy wpływ na Twoją twórczość?

Kiedyś miałem taką świętą czwórcę, z tego co pamiętam, na piedestale byli **Mickiewicz**, **WDZ**, **Ras Luta** (tak wiem trochę przypał, ale jarałem się swego czasu jego uduchowionymi antybabilońskimi nawijkami) i **Promoe**. Poza tym myślę, że do panteonu dodałbym **Cosmica** z **LTR**, stare **ZIP**, **Poemę Faktu**, **Bigg Jusa**, **Kidda** ze **Skweru**, **Naj One** aka **Foekus**, **Keny Arkanę**, **Mobb Deep**, **Sun Tzu**, **ELF Tranzportera**, **Taliba Kweli**, **HG** jako całość, **Dalek** no i oczywiście **deadprez**. Kiedyś mocno jarałem się stylówką **Eldoki**, ale mniej więcej



wtedy kiedy wyskoczył z tekstami o Dmowskim, zorientowałem się też, iż progres z płyty na płytę jest niezauważalny, więc mając w ręku dwa silne powody, odbiłem i od kilku lat chyba ani razu świadomie go nie posłuchałem :). A z najwcześniejszych inspiracji to pewnie **WYP-3**, **Kaliber**, **Cypress Hill**. Z tych raczej nowszych, to nie wiem na ile można mówić o zajawce, a na ile o tym, że byli dla mnie inspiracją czy mieli wpływ na mój styl, ale ciągle mielę nowych i starych twórców i twórczynie: **Wu**, **C Plus**, **Young MA**, **Bonus RPK**, **Jasiek MBH**, **Hudy HZD**, **Captain Murphy**, **Evidence**, **Saul Williams**, **Actitud Maria Marta**, **OFWGKTA** (szczególnie **Mellow Hype** i **Mellow High** no i **Earl**), **Killer Mike** (no i **El-P** czyli w sumie **RTJ**), **Nate57**, **Randy Akozta**, **PRO8L3M**, **Ryfa Ri**, **Roots Manuva**, **Babylon Warchild**, dużo mongolskiego rapu no i polskiego również. Staram się też słuchać w tym wszystkim muzyki i płyt producenckich/instrumentali i patrzeć dokąd zabierają bez wokali. Może starczy tej wyliczanki.

Z perspektywy czasu, jak oceniasz rozwój sceny tzw. „lewicowego rapu" w naszym kraju?

Nie specjalnie się rozwija. Tyle na ten temat sądzę, ale pokuszę się też o przynajmniej cząstkową diagnozę takiego stanu rzeczy. Moim zdaniem, jest to związane z brakiem zainteresowania taką muzyką, stylistyką i przekazem. Poprzez brak zainteresowania rozumiem, głównie małe zainteresowanie wydawnictwami i wydarzeniami - koncertami, imprezami itp. - wszystkim co robione niezależnie, niekonsumpcyjnie, na skłotach, a do tego jeszcze z zabarwieniem politycznym. I ten brak wsparcia jest widoczny zarówno ze strony środowiska hip-hopowego jak i ze strony środowisk wolnościowych. Dla hip-hopowców nasze klimaty są zbyt zgettoizowane, jesteśmy zamkniętym kręgiem, skłot czy jakakolwiek załogancka miejscówka jest dla nich obcym, nieznanym terytorium zamieszkanym przez mitycznych lewaków, a punki nie specjalnie widzą sens w chodzeniu na hip-hopowe koncerty. Nie mówię, że w ogóle brak jakiejkolwiek wymiany czy wsparcia, ale jest oni nikłe. Poza tym często „nasze" hip-hopy są nieco zbyt surowe lub ciężkie jeśli chodzi o estetykę - muzykę/wokale. No

i niestety, sam poziom muzyczno-tekstowy pozostawia czasem wiele do życzenia - ludzie nie specjalnie jarają się muzą, która ma być atrakcyjna, jeśli ona taka nie jest. Może była pojemność na coś takiego kilka lat temu, ale teraz kiedy każdy może w domu nagrywać numery i dostawać tysiące wyświetleń, ludzie oczekują od twórców czegoś więcej i to jest zrozumiałe. Dlatego, jak dla mnie, równie ważnym obowiązkiem (jeśli mogę tak powiedzieć) każdej osoby chcącej robić polityczny rap, jest walka o podwyższanie poziomu technicznego swojej nawijki/muzyki/nagrań i w tym samym utrzymywanie właściwego paradygmatu politycznego. Ludzie nie chcą słuchać chujowego rapu, bo jest chujowy, a fajny bez przekazu jest fajny, ale bez przekazu.

Możesz polecić czytelnikom jakieś świeże projekty w klimatach anarchistycznego hip-hopu?

Kurde nie wiem, jakiś czas temu przestałem wyszukiwać na siłę anarcho-projekty. Kiedy coś dobrego wpadnie mi w ucho to biorę i słucham, ale nie lustruję na bieżąco rynku - słucham sobie raczej znanych, sprawdzonych anarchoklasyków ;). Z moich nowszych odkryć, to może **Walter Gross**? Nie wiem na ile to anarchistyczny projekt ale o większy *DIY* w hip-hopie trudno. Poza tym niedługo nowa płyta **Combat Wombat** no i zdecydowanie **Ryfa Ri**.

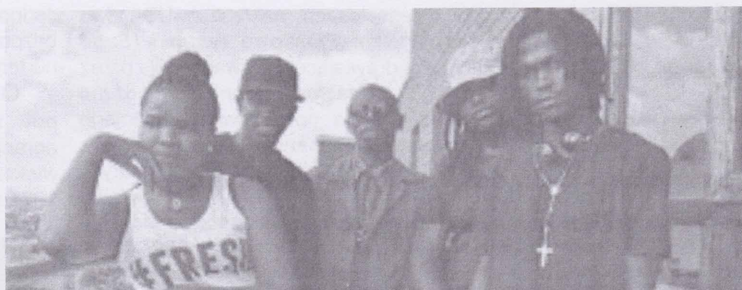
Jakie są dalsze plany twojej twórczości? Może zdradzisz czytelnikom/czytelniczkom na jakich projektach będą mogli cię w niedalekiej przyszłości usłyszeć?

Jeśli chodzi o koncerty to mam na tą chwilę dwa fajne bookingi - ze **Żmijami** na urodzinach *Przychodni* i *Syreny* 1. kwietnia i 30. kwietnia w Manchesterze na ***0161 Festival*** z **Fatajs**. Zapraszam na oba. Zaraz potem wyjeżdżam z Polski. A jeśli chodzi o wydawnictwa/nagrywki, to tak jak pisałem powyżej, najbliższe plany to **5000DKST** (już niedługo), **Żmijowe Bębny**, **Bodikhuu5000**, **AlQaedan** może następne **Fatajs**-y, może wreszcie pierwsza prawdziwa solówka **5000**? Poza tym, może jakieś kolaboracje, nie wiem zobaczymy, szczerze to staram się poświęcać na rap jak najmniej czasu :).

Sprawdzajcie **Rymy Oporu** i nowy wkurwiony projekt **Postanomic**! Dzięki za wywiad! BLESS !

http://rhymesofresistance.blogspot.com/
https://www.youtube.com/channel/UCxypEf_XkllyLTyKseMjhjQ

KOLEKTYW ANARCHISTYCZNEGO HIP-HOPU W RPA



Jak uświadomić ludziom, że są zakuci w łańcuchy? Dla *Soundz of the South* (*SOS*) - antykapitalistycznego kolektywu oporu z dzielnicy Khayelitsha w Kapsztadzie odpowiedź brzmi - Dać im hip-hop.

Ten slogan sięga pierwszych źródeł hip-hopu w Nowym Yorku. W latach 70. ubiegłego wieku, na ulicznych imprezach południowego Bronxu, nagłośnienie było często połączone do latarni w parku. Początki hip-hopu były więc samodzielnie improwizowaną inicjatywą - i co najważniejsze - bezpośrednią reakcją na marginalizację „kolorowych" w silnie zhierarchizowanym społeczeństwie i przejawy rasizmu w mediach. Inicjatywą ***SOS*** jest niesienie aktywistycznego ducha hip-hopu, którego istotą jest ciągła walka ze wszystkim co niesprawiedliwe i upokarzające.

Kolektyw jest złożony z działaczy społecznych i artystów oddanych ideom decentralizacji władzy, bezpośredniego działania, ruchom autonomicznym i wolnościowym. Tak jak w przypadku prekursorów myśli anarchistycznej, Emmy Goldman czy Michaiłaa Bakunina, jego członkowie wierzą, że wewnętrzny system hierarchiczny jest silnie skorumpowany i jedynie horyzontalna organizacja (niezależna organizacja zewnętrzna) może eliminować nierówności. Oprócz nagrywania albumów, ***SOS*** organizuje regularne spotkania, pokazy niezależnych filmów dokumentalnych, cotygodniowe *slam session*. Członkowie kolektywu biorą udział w zorganizowanych protestach, panelowych dyskusjach i regularnych konferencjach. Do najbardziej znanych lokalnie kampanii należą sztandarowy apolityczny projekt „Nie głosuj! Zorganizuj się!" oraz wspieranie brutalnie spacyfikowanych przez policję uczniów Philippi High w Kapsztadzie. Zainicjowali także afrykańską wersję ***Hip Hop Caravan***, czyli corocznego cyklu imprez. Trzecia edycja ***Afrykańskiej Karawany*** (na którą składały się koncerty i konferencja) odbyła się w Kapsztadzie - 12. grudnia 2015 w Moholo Live i 13. grudnia w Buyel'mbo Village, Khayelitsha.

Jeden z utworów jest bezpośrednio zainspirowany zaangażowaniem kolektywu w studencki protest *#FeesMustFall*, dotyczącego pobierania wysokich opłat za edukację. Podczas wywiadu z działaczami Millihą, Anele, Khustą, Sipho i Monde, zdecydowanie opowiedzieli się za tym, iż ich muzyka musi wpływać na politykę. „Hip-hop powinien pociągać do odpowiedzialności tych, którzy są u władzy" - mówi Anele. Co więcej, młodzi ludzie mogą się bardziej utożsamiać ze współtworzonym gatunkiem. Według Millihi, w przeciwieństwie do muzyki punk, wymagającej instrumentalnego zaplecza, „Potrzebujesz jedynie długopisu i kartki a rytm będzie płynął z Ciebie". W czasie, gdy obwieszony błyskotkami prezydent Jacob Zuma charyzmatycznie podryguje zgodnie z forsowanym przez główny nurt stylem klipów o dziwkach i alkoholu, podziemny hip-hop kolektywu stanowi alternatywę.

Członkowie ***SOS***, biorą udział w innych organizacjach społecznych, takich jak *The Housing Assembly* (stowarzyszenie oferujące wyszukiwanie lokali lub pomoc prawną w oddłużeniu domów czarnoskórych obywateli) oraz *ILRIG* (*Międzynarodowa Grupa Badań Pracy i Informacji* - zrzeszająca związki zawodowe w RPA) tłumacząc przy tym, że do fali zmian społecznych jest potrzebne coś znacznie więcej niż muzyka. By być aktywną częścią kolektywu, trzeba brać udział w regularnych dyskusjach, protestach, spotkaniach, podejmować inicjatywę i identyfikować się z zasadami ruchu. Praca u podstaw jest wielokrotnie inspiracją utworów. Anele podkreśla, iż hip-hop w prosty i przystępny sposób rozbudza w ludziach świadomości i mobilizuje ich do podjęcia akcji. „Demaskuje problemy władzy i sprawia, że ludzie zaczynają o tym mówić", lub jak ujmuję to Monde, „Bierzemy to co jest niedostępne i przybliżamy do tych, którzy nie mogą dosięgnąć."

Afrykański ***Hip-hop Caravan*** ma na celu rozbudzenie społecznej świadomości na całym kontynencie. Od 2011 roku nieustannie wspierany jest przez ***SOS***, *Uhuru Network* (agencja zajmująca się rozwojem biznesu z naciskiem na usługi branży *IT*) oraz różnych działaczy kulturalnych. W każdym mieście goszczącym festiwal, obywają się konferencje naukowe, zachęcające do dyskusji o roli hip- hopu w walkach z nierównością społeczną i znaczeniu koncertów, jako platformy działań wykluczanej społeczności. Edycja 2015 roku zaczęła się w Arusha w Tanzanii, a przewodnim tematem była migracja na tle ostatnich ksenofobicznych wydarzeń w RPA oraz europejskiego kryzysu uchodźców i strzelanin, w jakich biorą udział czarnoskóre nastolatki w USA. Zainspirowano się także dakarskimi artystami hip-hopowymi, którzy zjednoczyli się pod sztandarem idei powstrzymania prezydenta A. Wade'a przed niekonstytucyjnym zajęciem stanowiska trzeci raz z rzędu. Wspólnym mianownikiem jest poszukiwanie źródła problemów i porównywanie ich pod kątem granic narzuconych przez system.

Podczas festiwalu ***SOS*** prowadzi działalność w oparciu o własne środki. Konsekwentnie odrzucają jakiegokolwiek źródła finansowania płynące z korporacji (odmowa zainteresowanemu patronatem koncernowi *Red Bull*, jak wskazuje Khusta), aby utrzymać autonomiczny i niezależny program. ***SOS*** wspólnie decyduje o tym, co dzieje się z napływającymi przychodami. Nikt nie otrzymuje pieniędzy według własnego uznania. Natomiast, jak wyjaśnia Khusta, całość jest inwestowana w potrzeby społeczności. Jako wolna i otwarta grupa bez ustalonej ilości członków, nie są zainteresowani wyrobieniem sobie rozpoznawalnej marki, do której przylgnęłaby komercyjna etykietka, „Nie robimy pustych piosenek, które nadają do radia" - mówi Anele.

Walka z niesprawiedliwym uciskiem ludzi odgrywa w południowo afrykańskiej muzyce ważną rolę. Urzędujący prezydent Jacob Zuma, świadomy przekonującej mocy rytmu, na czas wyborów sprowadza ku uciesze lokalnej społeczności do dzielnic i miasteczek DJ-ów reprezentujących papkę głównego nurtu. Dlatego ***SOS*** nie chce, by zagłuszał on słuchaczom prawdziwy rytm wolności. Cytując Bakunina, fałszywe przekonanie o „słodkiej" demokracji, gdzie wymaga się wdzięczności za pseudo-wolność, odwracając jednocześnie uwagę od ważnych aspektów rzeczywistości. „I to jest to co mamy i dlatego robimy to co robimy, aby ludzie zrozumieli, że żyją zakuci w łańcuchy. Pracują, budując majątek dla szczęścia innych, nie swojego" - tłumaczy Anele. Niestety, wielu kolegów anarchistów nie rozumie przesłania hip-hopu, „Widzą czarny kult siły i myślą, że to nacjonalizm", ale jest przekonany, iż nie ma linii oddzielającej anarchizm i hip-hop. **Hip-hop to głos klasy robotniczej**.

Tłum.: ***Roxana***



Strzały w ciemnościach...

Gorzka sól

Przeglądam materiały do kolejnych *Strzałów w ciemności*, bo obiecałem kontynuować listę *Tastes of Cinema*, i tak badając kino amerykańskie pod kątem tematyki społecznej trafiam na postać **Carla Junghansa**. Współpracownik niemieckiego komunisty Williego Münzenberga, człowieka zaangażowanego między innymi w działalność *Prometheus Film* - pozapaństwowej, prokomunistycznej wytwórni filmowej z czasów Weimaru, nakręcił w przedwojennej Czechosłowacji fabułę ***Takie jest życie*** (***Takový je život***, 1929), film o życiu praskiego proletariatu, którym zapisał się w historii kina. Po 1933 roku - co zaskakujące - został w III Rzeszy i kręcił filmy dla reżimu nazistowskiego (jego *Jugend der Welt* konkurowało nawet z „olimpijskimi" filmami Reni Liefenstahl), dopóki w roku 1938 z powodu konfliktu z Goebbelsem nie uciekł do USA via Paryż i Casablanka. Według dosyć skąpych źródeł o jego losach, nakręcił w USA dwa wartościowe dokumenty o życiu Indian: ***Piaskowe rysunki*** (***Sand Paintings***, 1946) o ceremonii uzdrawiającej prowadzonej przez szamana ludu Nawaho oraz ***Pomniki przeszłości*** (***Monuments of the Past***, 1946) o ciężkich warunkach życia południowo-zachodniego plemienia Indian Pueblo - to chyba jeden z pierwszych takich filmów, który ukazuje prawdziwe życie rdzennych mieszkańców Starej Ameryki. Carl Junghans porzucił już wtedy film i zajął się fotografią, a w połowie lat 60. powrócił do RFN, aby prowadzić wykłady na spotkaniach z widzami. Ten, który wychwalał za młodu Lenina w swoim filmie *Lenin 1905-1928: Droga do zwycięstwa*, na starość został zwolennikiem Nixona i bawarskiego chadeka Franza Josefa Straussa.

Junghans znika z pola widzenia. Przeglądam sieć i tylko na *youtubie* znajduję ***Takie jest życie***, poza tym- pustka. Archiwa szkół filmowych i narodowe filmoteki nie udostępniają list swoich zasobów w sieci, nie wiadomo czy gdzieś w ogóle istnieją jeszcze jakieś kopie. Coś co powinno, mówiąc górnolotnie, „należeć do ludzkości", pozostaje być może zakopane w kilku blaszanych puszkach w piwnicy jakiejś filmoteki. Czy w ogóle warto się trudzić, aby takich filmów szukać? Nie tylko dla naukowców czy miłośników folkloru byłby to wspaniały materiał, również dla twórcy - filmowca, poety, muzyka - kopalnia inspiracji. Podobny los mógł czekać inny wspaniały film, którego akcja dotyczy *nomen omen* kopalni, ale przede wszystkim warunków życia rdzennych mieszkańców. To niebywałe, że powstał on w Stanach Zjednoczonych w roku 1954. Kinematografia amerykańska nie mogła się do tamtego momentu poszczycić zbyt wieloma produkcjami bezpośrednio poruszającymi tematykę społeczną (oprócz niektórych filmów z okresu rooseveltowskiego *Nowego Ładu*).

Sól ziemi (Salt of the Earth) - bo o tym filmie mowa - jest ewenementem jak na tamte czasy w amerykańskim kinie. Jeden z pierwszych filmów fabularnych pokazujących *explicite* problem zatrudnienia, niewolniczego wykorzystywania robotników oraz realny strajk, a co najważniejsze to film poruszający temat kobiety-robotnicy i jej pozycji nie tylko w niewolniczym systemie zatrudnienia, ale i w relacjach społecznych. Ewenementem jest również to, że film powstał w całości za pieniądze związku zawodowego, a dokładniej *International Union of Mine, Mill and Smelter Workers*, mający swe korzenie w *Western Federation of Miners*, założonej w 1893 roku, która miała z kolei swój udział w założeniu *International Workers of the World* (*IWW*) w roku 1905.

Poprzez historię meksykańskiego małżeństwa Quintero, zamieszkujących Zinc Town („cynkowe miasto") w Nowym Meksyku, film opowiada historię robotników pracujących w kopalni *Empire Zinc*. Męska część załogi podejmuje strajk, by wywalczyć lepsze warunki BHP i równe płace dla robotników meksykańskich, którzy są gorzej opłacani niż biali Amerykanie. Ważny tu jest wątek feministyczny - jeden chyba z pierwszych tak wprost wyrażonych na ekranie - gdyż do strajku dołączają kobiety z dziećmi i dzięki ich zdecydowaniu, silnej woli i determinacji, protest uwieńczony jest sukcesem. Już pierwsze sceny filmu pokazują dom robotnicy, Esperanzy Quintero, która jako narratorka wprowadza widza w akcję - coś niespotykanego w maskulinistycznym amerykańskim kinie tamtych czasów, opanowanym przez *western*, *musical* i *noir*, portretującym kobiety stereotypowo, jako *femme fatales* czy głupiutkie trzpiotki. Tutaj, mamy kawałek realnego życia z prawdziwymi z krwi i kości postaciami kobiecymi, za to mężczyźni są dla nich cieniem i pretekstem do snucia opowieści. ***Sól ziemi*** nakręcona została ponad 60 lat temu, mimo to niewiele się w USA zmieniło pod względem równości płac. Nadal Meksykanie są gorzej opłacani niż biali i często pracują w gorszych warunkach.

Wartość tego filmu ma jeszcze inne aspekty. Aktorami w filmie nie byli zawodowcy, ale rodziny górników uczestniczących w prawdziwym strajku w Zinc Town w 1951 roku oraz ówcześni pracownicy kopalni *Empire Zinc* w momencie kręcenia filmu, co dodaje wiarygodności kreacjom postaci. Ekipa techniczna z kolei, składała się z wybitnych profesjonalistów, stąd mistrzowskie kompozycje kadru nawiązujące do wzorów Eduarda Tisse i Siergieja Eisensteina (***Strajk***, ***Łąki bieżyńskie***, ***Que viva Mexico!***), meksykańskich filmów narodowych Gabriela Figueroi i Emilio Fernándeza (***Maria Candelaria***, ***Perła***, ***Maclovia***) czy ludowych eposów Ołeksandra Dowżenki (***Zwenigora***, ***Ziemia***, ***Iwan***). Jednocześnie patos kina socrealistycznego równoważy miejscami bezpośredni styl relacji, gdzie widać inspiracje świeżym wówczas nurtem włoskiego społecznego neorealizmu.

Osobne słowa należą się dalszym losom filmu i warunkom w jakich powstawał. Kino amerykańskie zawsze podlegało surowym ograniczeniom moralnym. Poza wyjątkowymi latami 1929-1934, większość produkcji była szczegółowo oceniana, a nasiliło się to po 1934 roku poprzez tzw. „Kodeks Haysa". W latach 50. rozpoczęło się



niesławne „polowanie na czarownice" w związku z komisją senatora McCarthy'ego, którego celem było wyeliminowanie wszystkich artystów podejrzanych o „sympatie prokomunistyczne". Reżyser filmu **Herbert J. Biberman**, scenarzysta **Michael Wilson**, producent **Paul Jarrico** oraz grająca Esperanzę Quintero aktorka **Rosaura Revueltas** zostali wpisani na „czarną listę Hollywood" za swoje lewicowe lub „prokomunistyczne" przekonania i na wiele lat - jeśli nie na zawsze - odsunięci od kinematografii. W ten sposób, Hollywood potrzebował odzyskać swoje narzędzie propagandy po rooseveltowskim *Nowym Ładzie*. **Biberman** nakręcił jeszcze tylko w 1969 roku film ***Niewolnicy*** z Dionne Warwick, o prześladowaniu czarnoskórych na XIX-wiecznych plantacjach, po czym zmarł w 1971 roku nie doczekawszy się należnych honorów. **Wilson** i **Jarrico** wyemigrowali do Europy lub pracowali pod pseudonimami. Najgorszy los czekał **Rosaurę Revueltas**, która za rolę zbuntowanej robotnicy została deportowana z USA do Meksyku i dopiero w 1976 zagrała następną rolę w filmie. Nic mi nie wiadomo o dalszych losach operatorów ***Soli ziemi***. **Stanley Meredith** i **Leonard Stark** nie figurują na „czarnej liście", ale według portalu *IMDB* ich kariera stanęła w miejscu. Twórcy mieli zresztą ogromne problemy z produkcją filmu: wyrzucano ich z wielu miejsc, w których mieli kręcić plenery, a taśmę sklejano nocami w jakimś prywatnym laboratorium. ***Sól ziemi*** oczywiście nie weszła do oficjalnej dystrybucji. Po nowojorskiej premierze, oficjalnie zakazano wyświetlania filmu, właściciele kin zastraszani przez agentów rządowych wycofali się z pokazów, a puszki z taśmami wylądowały w magazynie w Los Angeles. Dopiero w 1965 roku pokazano ją tu i ówdzie na amerykańskich ekranach, ale i tak została zniszczona przez prasę i dziennikarzy na bezpośrednie

polecenie rządu USA. Film był za to pokazywany jako ciekawostka w amerykańskich szkołach filmowych czy na spotkaniach związkowych. Miał jednak swoją historię w Europie: w 1954 roku zdobył pierwszą nagrodę na festiwalu w Karlowych Warach oraz nagrodę Academie du Cinema de Paris. Był z powodzeniem pokazywany w zachodniej jak i wschodniej Europie, również w Polsce, o czym świadczą notki prasowe z czasopisma *Film* (nr 3/1954, 45/1955) oraz plakat filmowy autorstwa Wiktora Górki. W 1982 roku wygasły prawa do filmu, a Biblioteka Kongresu zleciła w 1992 roku odrestaurowanie ***Soli ziemi*** i włączyła ją na listę stu najważniejszych amerykańskich filmów w historii jako: „wyjątkowego pod względem kulturowym, historycznym i estetycznym". Historia zatoczyła więc koło i w najlepszy chyba możliwy sposób zadośćuczyniła twórcom.

Filmów opisujących tło społeczne strajku w historii kinematografii nakręcono - wbrew pozorom - mnóstwo. Wbrew pozorom, bo wydaje się, że strajk zawsze i wszędzie dla pracodawców (nie ważne, czy to komunistyczna biurokracja, feudalni obszarnicy czy kapitalistyczne spółki) jest największym spełnionym koszmarem. Kinematografie do niedawna były nadzorowane przez instytucje państwowe i wykorzystywane do krzewienia własnej propagandy, a strajki bynajmniej nie leżą w interesie istnienia żadnego państwa czy korporacji. Jednak gdy do głosu dochodziły frakcje lewicowe lub historyczny strajk stawał się odległym w czasie wydarzeniem, z powodzeniem eksploatowano ten temat komercyjnie w kinie głównego nurtu, czego przykładem jest temat polskiego Sierpnia 1980 roku (***Strajk - Die Heldin von Danzig*** Volkera Schlöndorffa, nowelowy ***Solidarność, solidarność...***, ***Człowiek z nadziei*** Andrzeja Wajdy). Z filmów uczciwie podejmujących temat zderzenia między robotnikami a pracodawcami należy wymienić ***Kopalnię***, turecki film polityczny Yavuza Özkana, ***Ådalen 31*** Bo Widerberga, ***Cios za cios*** Marina Karmitza, ***Rebelię w Patagonii*** Hectora Olivery, ***Krótki dzień pracy*** Krzysztofa Kieślowskiego, ***Salwy w Marusii*** Miguela Littina, ***Godzinę zero*** Diego Velasco, ***Zbyt odległą niedzielę*** Kena Hannama czy włoską komedię ***Towarzysze*** Mario Monicellego. W ciekawy sposób, do strajkującej klasy robotniczej podchodzą Anglicy, którzy stawiają na połączenie atrybutów rozrywkowych z uczciwym psychologicznie portretowaniem środowiska (***I'm All Right Jack***, ***Made in Dagenham***, ***Dumni i wściekli***, ***Faith***), ale też analitycznie i refleksyjnie (***Gwiazdy patrzą na nas***, ***Dni nadziei***, ***Questions of Leadership***). Amerykanie ten sam temat poruszają najczęściej w poważnym tonie, żeby wspomnieć ***Grona gniewu*** Johna Forda, ***W szachu*** Johna Saylesa, ***F.I.S.T.*** Normana Jewisona (z Sylvestrem Stalonne grającym związkowca!), ***Molly Maguires*** Martina Ritta, ***Harlan County War*** Tony'ego Billa czy ***Harlan County USA*** Barbary Kopple. Celowo pomijam tu filmy dokumentalne, bo z jednej strony strajk jest zawsze zjawiskiem wyjątkowym, na którym zawsze żerują media jako sensacji - mamy więc mnóstwo kronikalnych relacji oraz filmów dokumentalnych nakręconych przez telewizje lub zaangażowanych społecznie reżyserów. Z drugiej strony, dzisiaj wszyscy mamy dostęp do technologii, które umożliwiają utrwalanie i rozpowszechnianie nakręconych przez nas materiałów i w ten sposób w *Internecie* mamy wiele relacji ze strajków na całym świecie. Jednak strajk pracowniczy jest wypadkową wielu czynników i sił, warto więc zajrzeć do literatury i filmu by przyjrzeć się epickim portretom historycznych wydarzeń. Jak by nie było, powody do strajku nigdy się nie zmieniają.

Freejazz

DROGA CNOTY

Po wsiach wędrując i opłotkach...

Żar tli się na kocówkach cienkich szczapek drewna, delikatnie dmucham i pojawiają się małe płomyki, a nad blatem pieca ze szpar pomału wynurzają się, wijące smugi sinawego dymu. Jedne wędrują lekko do góry inne kładą się wzdłuż żeliwnej pokrywy pieca. Przypominają mi wieczorne łąki przed domem, kiedy mgła leniwie otula wszystko. Smugi wilgotnego powietrza wydostają się szparami spod ziemi, jako żywo przypominają snujący się leniwie dym z pieca. Wyglądają jak żywe twory, wędrują wzdłuż pól, unoszą się i opadają, czasem przeplatają ze sobą. Mgła wieczorem zapowiada zimną noc i pogodny dzień.

Wspomnieniami sięgam do podróży, gdy drogi zaścielała mgła gęsta jak mleko, pomału jechałem tirem, wiozącym buty z Chin, według informacji kierowcy po około 80 groszy para, w sprzedaży detalicznej po 30 złotych. Zadziwiające, że Chiny jakikolwiek autorytaryzm by nie uprawiały zawsze, stosują podobne metody. Co prawda współczesne Chiny przyznają się bardziej do Mao i Marksa, aniżeli Lao Tse i Konfucjusza, to ich droga ma coraz mniej wspólnego z ideologią Marksa. Chińczycy wydają się być wierni rodzimym myślicielom, przynajmniej w sferze kierowania społeczeństwem. Nie wyróżnia się tam mędrców - co według Lao Tse nie przyczynia się do waśni. Nie eksponuje się przedmiotów trudnych do zdobycia, ponieważ wyrządzają one szkody i przyczyniają się do powstawania chytrości i zawiści. Idąc dalej za słowami autora *Księgi cnoty*, czyni się starania by naród nie posiadał wiedzy ni namiętności. Wówczas daje sobą kierować i jest szczęśliwy. Znacznie gorzej ze spełnieniem jednego z postulatów zawartych w *Tao Te King*, iż nie zniewala się krajów przy pomocy wojska oraz, że mądrość polega na porzuceniu własnego dobra na rzecz pomocy innym.

Onegdaj na jednym z mijanych codziennie murów, w centrum miasta widniał napis: *Współczuję tym, którym byt kształtuje świadomość.* Napis wzbudzał spore zainteresowanie, gdyż nawet moja sąsiadka, w PRL-u cenzor, zaczepiła mnie raz na korytarzu i zapytała:

- Widział Pan ten napis, nie rozumiem jak można coś takiego napisać.

To chyba i słusznie, pomyślałem, iż system bezbłędnie wybiera ludzi do pełnienia roli społecznych kontrolerów. By system totalitarny sprawnie funkcjonował, ważne jest by w narodzie funkcjonowały dwie cechy: administratorzy władzy powinni bezgranicznie wierzyć w to co robią, a zniewolone masy powinny być bezgranicznie przekonane, iż posiadają pełnię swobód. Post-stalinizm upadł, gdyż nie udało mu się spełnić drugiego postulatu, niektóre totalizmy funkcjonują zaś dalej, gdyż skutecznie realizują oba. Dawni chińscy filozofowie, dalecy jednak byli od totalizmu, aczkolwiek doskonale rozumieli ludzką naturę. Wiedzieli dobrze, iż wszyscy nie są równi i nie wynika to, z tego iż inni wspinając się na karki równych stają się równiejsi. Społeczeństwo tworzą różne grupy, o pewnych skłonnościach mentalnych, umysłowych. W starożytnych Chinach, czy ogólnie na Dalekim Wschodzie, pomimo tego, że średnio 15-25% męskiej populacji zgłębiało wiedzę w klasztorach (a szereg indywidualistów-joginów samotnie w górach), to jednak duża część społeczeństwa, nie była zainteresowana wyższymi ścieżkami, aspiracjami rozwoju duchowego. W kulturach tradycyjnych ta część społeczeństwa zazwyczaj także akceptuje taki stan rzeczy, realizując swoją kosmiczną egzystencję drogą małych kroczków. Według Lao Tse, w społeczeństwie takim nie można i nie ma sensu wprowadzać, ani zbytniej wiedzy, ani pożądliwości. Przekładając strofy *Tao Te King* na język prosty - ludzie ci w sposób naturalny dążą do *status quo* - równowagi, dla nich równoznacznej ze świętym spokojem. Jak zaś powinna być postawa elit zawarte jest w słowach:

Dlatego mędrzec mówi:
sam nie działam, a naród się rozwija,
jestem spokojny, a naród sam wie co poprawne
nie ingeruję, a naród sam się wzbogaca
nie wzbudzam w sobie pożądań, a naród staje się prostoduszny.

Czy coś zmieniło się w ciągu ostatnich 26 wieków? W Chinach z pewnością, w pozostałej części globu nie mniej. Przede wszystkim duża część społeczeństwa nie jest czynnie zaangażowana w studiowanie i doświadczanie *sacrum*, no i może jeszcze to, iż nie rządzą już nami filozofowie. Niezmienne jest to, że dla znacznej części społeczeństwa ważne jest zachowanie *świętego spokoju.* Prawdopodobnie zarówno dzisiejsza *świętość* jak i *spokój* nie są tym samym co przed wiekami. Co ważniejsze, współczesna kultura wszystkim ludziom stara się zaszczepić, żądze, namiętności, poczucie wyższości i wszelkie inne postawy, które Lao Tse wymieniał jako te, które prowadzą na manowce. Lecz czy można mieć pretensje do znaczącej części społeczeństwa, która w ramach dążenia do *harmonii* z samym sobą, dziś niszczy to, czego jutro im zabraknie? Przecież dążenie takie jest czymś naturalnym, może tylko zmieniły się cele i treści.

Ponoć by doszło do pozytywnego przewartościowania w człowieku, koniecznym jest ukazanie mu nie tylko alternatywy, lecz alternatywa ta nawet jeśli słuszna sama w sobie, musi być dla niego atrakcyjna. Gorzej jeśli alternatywy są mniej atrakcyjne niż złudzenia. A jak pisał Lao Tse prawda nie bywa atrakcyjna.

Gdy odwiedzałem często Czechy, niemal regularnie w jednym z miasteczek napotykałem pewnego młodego Cygana. Zazwyczaj rozmawialiśmy ze sobą nieco. Zawsze podkreślał, że według niego Polacy, to dobrzy ludzie. Gdy myślę o dobroci, wpadam na to, iż dla starożytnych Chińczyków dobroć była tożsama z mądrością. Dziś chyba to już nie jest tak oczywiste, może od czasu, gdy piekło zaczęto brukować dobrymi chęciami.

Powsinoga

Książka...

Anarchista w poszukiwaniu samego siebie...

Autora książki *Opary anarchii, łzy rewolucji* znam już od przeszło czterech lat i został mi przedstawiony, jako odważna, walcząca (zawsze wygrywane, fizyczne starcia z naziolami, weszły już do kanonu warszawskich opowieści) i zaangażowana w klimat osoba. Dlatego ze zdziwieniem dowiedziałam się, że Tymoteusz nie uznaje się za anarchistę i ma z tym określeniem kłopot. Rozwiązanie zagadki przedstawił sam, w wydanych niedawno książkach: *Czas anarchia, tryb rewolucja* oraz *Opary anarchii, łzy rewolucji*. Oto kilka refleksjami *a propos* tej drugiej... której fabuła krąży wokół *Antyszczytu* w Warszawie z 2004 roku.

Treść *Oparów anarchii...* dotyczy wyłącznie czasu poświęconego na przygotowanie oraz samego odbycia się *Antyszczytu*. Nie ma w niej żadnych okoliczności spoza i jest to moim zdaniem jeden z jej plusów. Jak wyglądały przygotowania? Z książki wynika, iż TYPOWO: zamykały się w kilku ścianach alternatywnej *Jadłodajni,* gdzie podpici i wyzwoleni z okowów konsumpcyjnych wartości, pogoni za pieniądzem, młodzi oraz starsi anarchiści, antyglobaliści i inni toczyli zażarte dyskusje, przerywane okolicznościowymi bójkami, pijackimi fazami lub miejskimi przygodami. W ich rozmowach zawsze przewijał się wątek konfliktu na linii *my* - *oni*. *My*, to niesieni wspólnym, buntowniczym duchem, uświadomieni niewolnicy systemu, w którym tkwimy jak każdy, ale przynajmniej posiadamy właściwą perspektywę. *Oni* - to bezideowe kotlety pozbawione kontroli nad własnym życiem, nieszczęśliwe, wkurwione i osamotnione jednostki, poruszające się bezwolnie w totalnej fabryce, jaką jest życie. A każde z opisywanych wydarzeń jest przyczynkiem do kolejnych pytań: jak poruszyć masy? Czemu pozostają tak głuche i konformistyczne? Dlaczego się wzajemnie mijamy? Kim tak naprawdę jesteśmy *my*? Na ile nasze działania mają sens i czy mają sens w ogóle?

Siłą tej książki jest jej bezpośredniość, wartko toczący się język, który nie odbarwia wydarzeń, niczego nie koloryzuje ani nie wybiela. Czuje się, jakby tę historię opowiadał ktoś siedzący obok, czasem wzdychając, czasem pojękując; ktoś, kogo mamy ochotę poklepać po ramieniu. Niektóre z wątków bawią, inne być może przyprawią o lekkie zażenowanie, ale wszystkie układają się w krótką historię życia ówczesnego anarchisty. Warto je poznać właśnie jako część składową tamtych zrywów wolnościowych.

Jednak myli się ten, kto dostrzeże jedynie postalkoholowe flesze, frustracje czy trawiące ówczesne dusze konflikty. We wstępie do książki Tymoteusz napisał: „Starałem się odpowiadać na pytania (dotyczące ruchów z lat 80. i 90. podczas poprzednich spotkań autorskich) podchodząc do zagadnienia kontrkultury, kontestacji i ruchów społecznych z wielorakiej perspektywy (...) mimo to czułem niezadowolenie z udzielanych przez siebie odpowiedzi. Miałem pewność, że zawierają one tylko część prawdy, jej stronę zewnętrzną, a klucz do sedna pozostaje nieuchwytny. Stanowił on dla mnie zagadkę mimo, że byłem uczestnikiem opisywanych wydarzeń". Tymczasem - w moim odczuciu - odpowiedź na rozterki, jakie wówczas przeżywano i które są dylematem do teraz, znajduje się właśnie w niniejszej książce. Bo tak naprawdę, głównym tematem który podejmuje, jest odwieczny dylemat anarchisty: czy jego anarchia jest reprezentacją własnego heroizmu czy hedonizmu?

Ów problem zaistniał na naszej osi czasu z chwilą, kiedy ruch wydzielił się na zróżnicowane okresy, podzielone ze względu na pochodzenie i sposób pojmowania idei przez jego uczestników. Powszechnie uważa się, iż do czasów drugiej wojny światowej przeważał duch heroizmu - anarchiści, będący najczęściej robotnikami, starali się żyć moralnie o poziom wyżej, niż klasa burżuazyjna, z którą walczyli. Ich moralność zakładała ograniczenie przyjemności do minimum, dochodziło nawet do sytuacji kuriozalnych, kiedy w obrębie całych miast, zwłaszcza hiszpańskich, anarchistyczni purytanie nie sprzedawali żadnych napojów alkoholowych, kawy czy lemoniady. Luksus był dla nich występkiem a folgowanie używkom i przyjemnościom, brakiem godności i elementem zniewolenia. Przede wszystkim zaś, idąc na walkę klas, czynili to z poświęceniem - strajkowali, walczyli o wyzwolenie chłopów i dbali o swoje otoczenie tak, by było zgodne z ich ideałami. Po drugiej stronie stoi intelektualizm i wyrafinowanie pokolenia '68., czyli anarchizm odrodzony tym razem w klasie średniej, wyrosłej na przekonaniu o istnieniu systemu zmieniającego życie w spektakl, a bogactwo i biedę - w złudzenia. W tym świecie tłamsi się jednostkę, sztucznie kontroluje jej potrzeby, pragnienia i myśli, zmuszając do zaspokajania ich przez nabywanie odpowiednich dla danej chwili wygaszaczy. Kontroluje cały jej czas - wszystko poświecone jest pracy lub konsumowaniu. W tym ujęciu przyjemność jest anarchiczna, dzika, naturalna. Jeśli chcesz być wolny - pielęgnuj w sobie spontaniczne pragnienia, zaspokajaj je czym i kiedy tylko masz ochotę - hedonizm to rewolucja! Dokładnie ten rodzaj rozterki doskonale opisuje cała książka Tymka. Bezustanne dryfowanie w rzeczywistości, będące innym rodzajem powszechnego marazmu; brak odpowiedzi na najważniejsze pytania i środowisko, które nie pomaga, bo jest w dokładnie tym samym miejscu.

Wszyscy w powieści mają dobre argumenty na to, dlaczego chcą robić rewolucję i po co im *Antyszczyt* - ale czy rzeczywiście tego pragną? Czego chce sam autor, raz po raz zarzucający innym brak świadomości i woli działania, równocześnie pielęgnujący swój eskapizm, który każe mu tkwić w samotności, będąc czasem z tłumem, ale częściej poza nim.

Bohaterowie *Łez rewolucji* nie są pomnikami dawnych czasów, dzięki czemu możemy poczuć się, jakbyśmy byli między nimi. Bo też nie ma między nami istotnej różnicy. Główny dylemat pozostaje nierozwiązany - kapitalizm tylko urósł w siłę, bunt stał się przedmiotem obrotu handlowego. „Irokezy robią dziś sobie nawet sekretarki" - powiedział w niedawnym wywiadzie do *Wyborczej* Tymoteusz. Ale nie jest to rewolucja ani nawet jeden z jej elementów - to tylko dowód na pacyfikację przez system kontrkulturowych symboli. Gdzieś zapodziała się anarchistyczna praca z ludem, uświadamianie i uczenie. Hedonistyczny wariant pogrążył samych hedonistów - rewolucja zjadła własne dzieci.

W którym miejscu znajdujesz się Ty - Drogi Czytelniku? Czy jesteś jednym z uczestników *Antyszczytu*, a może początkującym aktywistą, dopiero stojącym przed wyborem drogi własnych wartości, konfliktującym się ze światem? Czy rewolucja byłaby możliwsza teraz, czy mamy lepsze zaplecze praktyczno-ideowe, czy chcemy się poświęcać czy tylko dobrze bawić w zamkniętym, uświadomionym gronie? Sięgnij po książkę Tymka i dokończ jego opowieść.

KKB



★Los★ Fastidios
STREET PUNK - IT

24/25 CZERWCA 2016

TOTAL ULTRA
D.I.Y. CHAOS
FEST PIKNIK

ŻELEBSKO K/BIŁGORAJA /PL/

ANSA
EMO HARDCORE/PUNK - CIECHANÓW

[peru]
NOISE - WĘGRÓW/LUBARTÓW

Schröttersburg
POST PUNK/NOISE - PŁOCK

HERIDA PROFUNDA
HARDCORE/CRUST/GRIND - PL/UK

THE LOWEST
HARDCORE - WARSZAWA

24.06 PIĄTEK - 16:00 - 20PLN

suicidebycop
80' HARDCORE/PUNK - TORUŃ

MORUS
PUNK - WARSZAWA



ANTISECT
ANARCHO PUNK - UK

THE OPPRESSED
ANTI FASCIST OI! - UK

25.06 SOBOTA - 12:00 - 40PLN / DWA DNI - 50PLN

DISORDER
CHAOS PUNK - UK

1981
POST PUNK - FIN

AUTONOMADS
ANARCHO DUB/SKA/PUNK - UK

Vastusta
HARDCORE/PUNK - FIN

Choix
STREET ROCK'N'ROLL - RU

PODWÓRKOWI CHULIGANI
SKA/PUNK - PŁOCK

GOVERNMENT FLU
HARDCORE - WARSZAWA

SOCIAL CRISIS
CRUST PUNK - BIAŁA PODLASKA

FIRENZE
POST PUNK - WARSZAWA

ODSZUKAĆ LISTOPAD
EMO HARDCORE/PUNK - NOWY TARG

IŁ-62
HARDCORE/PUNK - WARSZAWA

PUNK - WARSZAWA

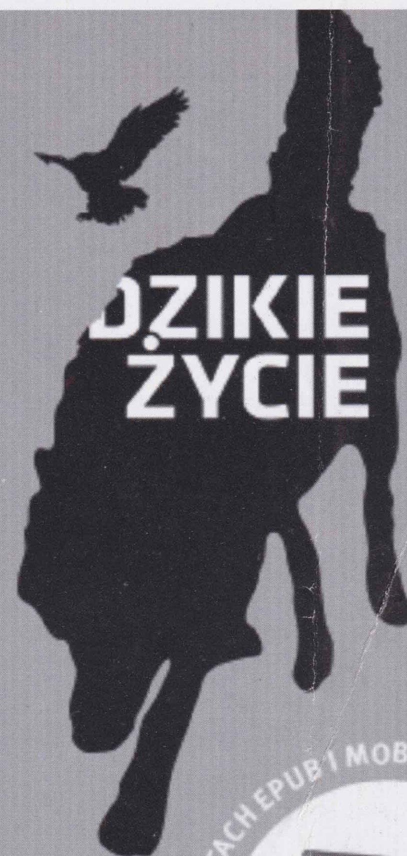
GOOD NIGHT WHITE PRIDE

MIESIĘCZNIK DZIKIE ŻYCIE

jedyne w Polsce pismo poświęcone bezkompromisowej ochronie dzikiej przyrody

PISZEMY O:

- kampaniach w obronie przyrody
- filozoficznych aspektach ochrony przyrody
- poglądach intelektualistów i osób publicznych na problemy środowiska naturalnego
- demaskujemy szkodliwe działania



Dostępny w salonach prasowych w salonach prasowych Empik, Garmond Press oraz w wersji elektronicznej w serwisach: eGazety.pl i e-Kiosk.pl. Można również zamówić bezpośrednio u nas, na stronie: pracownia.org.pl/dzikie-zycie

Redakcja: Pracownia na rzecz Wszystkich Istot • ul. Jasna 17, 43-360 Bystra
tel./fax: 33 817 14 68 • redakcja@pracownia.org.pl



W FORMATACH EPUB I MOBI!



80. lat temu hiszpańskie społeczeństwo wypowiedziało posłuszeństwo systemowi opartemu na nacjonalizmie, klerykalizmie i militaryzmie.
Przeciwko buntowi armii, kapitału i kościoła opowiedziały się szerokie masy klasy pracującej, chłopów i część inteligencji. Rewolucyjne zmiany zapoczątkowane przez anarchistów z CNT i FAI pokazały światu, iż anarchistyczna utopia jest możliwa w realizacji!
Pamiętajmy o bohaterach tamtych wydarzeń!